



MÓWILI, ŻE JEST
NIEBEZPIECZNA.
MYLILI SIĘ.

CZAROWNICE
NIE PŁONA
JENNY BLACKHURST

Przecież nie można się bać jedenastoletniej dziewczynki... Nawet jeśli cię przed nią ostrzegają i radzą, żebyś się jej nie narażała. Bo jeśli ją rozzłościś, może ci się przytrafić nieszczęście.

Imogen Reid, psycholożka rozpoczynająca nowe życie w rodzinnym mieście, z którego kiedyś uciekła, nie chce wierzyć w ludzkie gadanie. Ellie Atkinson, uratowana z pożaru, w którym zginęli wszyscy jej bliscy, potrzebuje pomocy, a nie piętnowania. I Imogen robi wszystko, żeby jej tę pomoc zapewnić. To nie z Ellie jest coś nie tak, lecz z jej otoczeniem – z miastem, ze szkołą, z rodziną zastępczą dziewczynki...

Tak w każdym razie uważa Imogen.

I robi wszystko, by pomóc Ellie uporać się z traumą.

Więcej, niż nakazują standardy zawodowe.

Więcej, niż nakazywałby rozsądek.

Więcej, niż...

CZAROWNICE NIE PŁONĄ

JENNY BLACKHURST

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA



Wydanie elektroniczne

JENNY BLACKHURST

Brytyjska pisarka, wychowywała się w Shropshire, gdzie mieszka do tej pory z mężem i dziećmi. Dorastając, godzinami czytała książki i rozmawiała o kryminałach, tak więc było tylko kwestią czasu, kiedy sama zacznie pisać.

Jenny Blackhurst debiutowała świetnie przyjętą powieścią *How I Lost You*, po niej wydała książki **Zanim pozwolę ci wejść** oraz **Czarownice nie płoną**, które na dobre zjednały jej fanów thrillerów psychologicznych.

Tej autorki

ZANIM POZWOLĘ CI WEJŚĆ
CZAROWNICE NIE PŁONA

Tytuł oryginału:
THE FOSTER CHILD

Copyright © Jenny Blackhurst 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2018

Redakcja: Marta Grał

Zdjęcie na okładce: © Deborah Pendell/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-454-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

[Prolog](#)

[1. Ellie](#)

[2. Imogen](#)

[3. Ellie](#)

[4. Imogen](#)

[5. Imogen](#)

[6](#)

[7. Imogen](#)

[8](#)

[9. Imogen](#)

[10](#)

[11. Imogen](#)

[12](#)

[13. Imogen](#)

[14. Ellies](#)

[15. Imogen](#)

[16. Imogen](#)

[17. Ellie](#)

[18. Imogen](#)

[19. Ellie](#)

[20. Imogen](#)

[21. Ellie](#)

[22. Imogen](#)

[23. Imogen](#)
[24. Ellie](#)
[25. Imogen](#)
[26. Imogen](#)
[27. Ellie](#)
[28. Imogen](#)
[29. Ellie](#)
[30. Imogen](#)
[31. Imogen](#)
[32. Imogen](#)
[33. Ellie](#)
[34. Imogen](#)
[35. Imogen](#)
[36. Ellie](#)
[37](#)
[38. Imogen](#)
[39. Ellie](#)
[40. Imogen](#)
[41. Imogen](#)
[42. Imogen](#)
[43. Imogen](#)
[44. Ellie](#)
[45](#)
[46](#)
[47. Imogen](#)
[48](#)
[49. Imogen](#)
[50. Ellie](#)
[51. Imogen](#)
[52. Ellie](#)

[53. Imogen](#)
[54. Imogen](#)
[55. Ellie](#)
[56. Imogen](#)
[57. Imogen](#)
[58. Imogen](#)
[59. Ellie](#)
[60. Imogen](#)
[61. Ellie](#)
[62. Ellie](#)
[63. Ellie](#)
[64. Ellie](#)
[65. Imogen](#)
[66. Ellie](#)
[67. Imogen](#)
[68. Ellie](#)
[69. Imogen](#)
[70. Imogen](#)
[71. Imogen](#)
[72. Ellie](#)
[Imogen](#)
[73. Ellie](#)
[74. Imogen](#)
[75. Imogen](#)
[76. Imogen](#)
[77](#)
[78. Imogen](#)
[79. Ellie](#)
[80. Imogen](#)
[81. Imogen](#)

[82. Imogen](#)

[83. Ellie](#)

[84. Imogen](#)

[85. Imogen](#)

[86. Ellie](#)

[87. Imogen](#)

[88](#)

[89. Imogen](#)

[90. Imogen](#)

[91. Imogen](#)

[92. Ellie](#)

[93. Imogen](#)

[94. Imogen](#)

[95. Ellie](#)

[96. Imogen](#)

[97. Imogen](#)

[98. Imogen](#)

[99. Imogen](#)

[100](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Mamie i tacie. Nie mogłabym prosić o więcej

Prolog

– Imogen? To ty?

Kobieta w telefonie mówi bez tchu, gorączkowo, poznaję ją natychmiast.

– Uspokój się, Saro – proszę. – O co chodzi?

– O Ellie – odpowiada Sara Jefferson drżącym głosem. – Wyszła ze szkoły w czasie przerwy obiadowej. Nie wiem, dokąd poszła.

Wzdycham. Powtarzaj za mną: „To nie twój interes. Nie twoja broszka”.

– Saro, nie pracuję już przy sprawie Ellie. Odsunęli mnie. Nie powinnam się nawet interesować jej wagarami.

– Nie rozumiesz. – Sara mówi coraz natarczywiej. – Nie martwię się o Ellie, tylko o Lily.

Machinalnie kładę dłoń na brzuchu i dopiero po chwili przypominam sobie, że dziecka już tam nie ma.

– Co się stało z Lily?

Odgłos, który wydaje Sara, nie jest chlipnięciem ani jękiem, lecz czymś pomiędzy jednym a drugim.

– Znikła. Ellie ją zabrała.

1

Ellie

Ellie leży na nie swoim łóżku, w obcym pokoju i nasłuchuje odgłosów obcej rodziny, która na dole ogląda telewizję. Pociera kciukiem krzesiwo zapalniczki. W górę strzela pomarańczowy płomień, po czym znika, kiedy Ellie cofa palec.

Pstryk, płomień.

Pstryk, płomień.

Pstryk, płomień.

Przeciąga koniuszkami palców przez wierzchołek płomienia i ze zdziwieniem zauważa, że jej nie zaboląło. Próbuje ponownie, tym razem wolniej. Czuje gorąco, ale nic więcej. Wsuwa palec głębiej w niebieski żar i trzyma, aż ból przeszywa jej ciało, mimo to nie jest tak źle. Przeciwnie, jest wspaniale. Czy tak się czuli jej rodzice? Wyzwalająca tortura? Znowu wkłada dłoń do ognia, tym razem aż po nasadę, nieruchomieje i czeka na ból. Kiedy nadchodzi, jest silniejszy; z szoku Ellie puszcza przycisk zapalniczki. Serce jej wali, ale zapala znowu... pstryk, płomień.

Dokładnie kiedy jej nozdrza zaczyna lizać smród przypalonego ciała, otwierają się drzwi i w progu staje jej przybrana siostra, Mary. Na widok Ellie oczy robią jej się okrągłe, a szczęka opada jak kotom z kreskówek.

– Ellie! Co ty wyprawiasz? – Chwyta ją za rękę i odciąga od ognia. – Zwariowałaś? Zrobisz sobie krzywdę.

W tym momencie dłoń Ellie przeszywa rozpalony do białości ból. Zdziwiona spuszcza wzrok i widzi, jak na skórze już tworzą się pęcherze wypełnione płynem.

– Ja... nie wiem, tylko się bawiłam, to wcale nie bolało. – Patrzy na swoją dłoń z łagodnym zaciekawieniem. – Teraz boli.

Mary delikatnie ściska jej ramię.

– Chodź, pomogę ci. Posmarujemy ranę maścią, owiniemy bandażem i powiemy mamie, że się skaleczyłaś, kiedy pomagałaś mi przy obiedzie.

Ellie patrzy na poparzoną skórę i wyobraża sobie, jak pęcherze rozprzestrzeniają się po całym ciele, jak pokrywają jej ramię, barki, szyję.

Mary z niedowierzaniem kręci głową.

– Będę ci codziennie zmieniać opatrunek i smarować maścią, ale jeśli rana się nie zagoi, to trzeba będzie wymyślić inną historyjkę. – Patrzy z troską na Ellie. – Co ci strzeliło do głowy? Myślisz, że twoja mama by się ucieszyła, gdyby zobaczyła, co sobie robisz?

– Moja mama nie może niczego widzieć, prawda? Moja mama nie żyje.

Ellie ma uczucie, jakby jej brzuch wypełnił się zielonym, pulsującym szlamem, niczym pomarańcza, która gnije w środku, lecz trującego mięszu nie widać pod nietkniętą skórką. Nie jest taka jak Mary, nie przypomina mieszkańców tego domu. Niektórzy to wiedzą; potrafi to wyczytać w oczach ludzi spotykanych na ulicy – przechodzą na drugą stronę, chwytają swoje dzieci za rączkę trochę mocniej niż zwykle, chociaż właściwie nie wiedzą, dlaczego to robią. Ellie wie. Wie, co w niej dostrzegają.

– Ale cię obserwuje, nie wolno ci o tym zapominać – naciska Mary. – Twoja mama patrzy z nieba i wszystko widzi. I chce, żebyś była szczęśliwa, żebyś o sobie dbała, żebyś dorosła i założyła własną

rodzinę. Tego by chciała, gdyby tu była, i tego chce tam, gdzie jest teraz. Musisz się przystosować, Ellie. Wiem, że to trudne, wiem, że nie jesteśmy twoją rodziną, ale musisz się postarać.

– A może ja nie mam ochoty się starać? Może wcale nie chcę należeć do waszej rodziny?

– Posłuchaj, Ellie, wiem, jak ci ciężko, widziałam wiele dzieci, które przewijały się przez nasz dom, te dzieci przepełniał gniew, bo nigdy nie zaznały miłości. Ale z tobą jest inaczej, ty wiesz, co to znaczy być kochaną i żyć w domu pełnym ciepła i współczucia. Może teraz tego nie czujesz, ale nie straciłaś tego na zawsze. Nie wolno ci się obwiniać o to, co się stało, nieważne, co ci mówią ludzie.

Ellie kiwa głową, ale w środku wie, że Mary nie ma racji. Mary jest starsza i myśli, że wie wszystko lepiej, ale to nieprawda. Nie zna jej. Nikt jej nie zna.

2

Imogen

Drzewa rosnące po obu stronach drogi prowadzącej do Lichoty tworzą nad głowami baldachim i rzucają na asfalt cień nakrapiany cętkami przedzierających się między liśćmi promieni słońca. Mrużę oczy, mam wrażenie, jakbym jechała cudownym tunelem do swojego ostatniego punktu przeznaczenia. Na sam koniec drogi.

Thomas Wolfe powiedział, że nie ma czegoś takiego jak powrót do domu i może powinnam była o tym pamiętać, zanim się uparłam, żeby wysłać CV na to stanowisko, a tym samym uruchomiłam łańcuch wydarzeń, które po piętnastu latach wiodą mnie z powrotem do rodzinnego miasta. Może powinnam być rozsądniejsza, powinnam wyzbyć się złudzeń.

Przed nami leży Lichota, brzydka i odstręczająca, tak jak sugeruje jej nazwa, nędzna i chuderława. Przywodzi na myśl salę luster; każdy kąt jest koślawy i zdeformowany, nie ma znaczenia, z jakiego miejsca się na nią spojrzy, coś zawsze jest nie tak. Domy o szaroburych frontach stoją porzucone i opustoszałe. Populacja topnieje.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że Lichota była niegdyś wspaniałym miastem; uchwycony w przelocie fragment majestatycznego budynku lub uderzająco piękna rzeźba może nasunąć myśl, że ktoś kiedyś wiązał z tym miejscem wielkie plany, lecz dawno je porzucił. Nawet gdy byłam dzieckiem, rodzinne miasto budziło we mnie w tej samej mierze fascynację, co wstręt. Ta sama

magnetyczna siła przyciągała tu deweloperów oraz firmy budowlane i ten sam niewyjaśniony lęk i przecucie grozy wyganiały ich stąd z opowieściami o nieużytkach i uciążliwej gospodarce przestrzennej na ustach. Bo kto chciałby się przyznać, że zrezygnował z obiecującego interesu i stracił nawet dziesiątki tysięcy dolarów z powodu odczuć?

Prawie o nich zapomniałam. Tyle czasu spędziłam bezpiecznie otulona oparami miejskiej doczesności, świadomie spychając w niepamięć całe swoje dzieciństwo, że teraz, nawet kiedy zaciskam oczy i próbuję ze wszystkich sił, aż zaczyna mnie boleć głowa, z trudem udaje mi się przywołać wspomnienia dawnego życia.

Mimo że słońce świeci oślepiająco, panuje dotkliwy chłód. „Nowy dzień na nowy początek”, powiedział dziś rano Dan. To dobry omen, znak, że postępujemy właściwie.

– Nie wierzę w znaki i omeny. – Uśmiechnęłam się, lecz twarz musiała mnie zdradzić, bo mąż położył mi delikatnie dłoń na łokciu i powiedział:

– Będzie wspaniale. Jak wakacje na wsi. Oboje zyskamy przestrzeń do życia, będziemy mogli odetchnąć pełną piersią.

Nie wspomniał tego, o czym naprawdę myślał – o rodzinie – i byłam mu za to wdzięczna.

– Wakacje? Nie sądziłam, że pisarze miewają coś takiego jak wakacje. Ja w każdym razie nie mam. Za cztery dni zaczynam nową pracę.

– Wiesz, o czym mówię. O wakacjach od tego wszystkiego.

Wskazał gestem w stronę okna i falujących tłumów, ludzi spieszących zwinnie ulicą, chociaż nie podnosili wzroku znad smartfonów; na mężczyznę w kolorowej pelerynie rozdającego puste koperty, które, jak wiedziałam z doświadczenia, zawierają „dobre wibracje”; na kierowców naciskających klaksony nasadą dłoni, jeśli

samochód przed nimi zwolnił poniżej pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

– Od ludzi. Od pośpiechu. Od codziennego młyna. Tego nam trzeba po tym gównie, przez które przesłaś.

Gówno, przez które przesłałam. Jakby to, co się wydarzyło w Londynie, można było zbyć jak zwyczajny pech.

Pojawiają się pierwsze zabudowania – stodoły przerobione na domy, nowe rezydencje, które wyrosły, kiedy przemysł budowlany znowu poczuł grunt pod nogami. Kiedy byłam tu ostatnio, w tym miejscu rozciągało się szczere pole. Okolica wygląda tak, jakby ktoś chciał dać Lichocie drugą szansę. Dan trąca mnie łokciem i wskazuje okno.

– Widzisz je? Kiedy sprzedamy dom twojej mamy, możemy kupić sobie coś takiego. Albo wybudować.

Uśmiecham się szeroko.

– A co ty wiesz o budowaniu domów? Mówię o prawdziwych domach, nie tych twoich fikcyjnych światach. Budowanie ich nie jest takie proste jak tworzenie ich na papierze.

– Tak może powiedzieć tylko ktoś, kto nigdy nie próbował opisać zamku na pustyni widzianego oczami orka. – Przez chwilę udaje urażonego, po czym odpowiada takim samym, łobuzerskim uśmiechem. – Dobrze, więc na razie pozostanmy przy opcji kupienia gotowego domu. Dużego, z przestronnym wnętrzem.

– I z basenem oraz naszymi inicjałami wyrytymi na marmurowej podłodze w holu – uzupełniam ze śmiechem. – Masz rozbuchane wyobrażenia o domu starej babci Tandy. O jego wartości najlepiej świadczy fakt, że mamie nigdy nie przyszło do głowy, aby go sprzedać.

Na słowo „mama” ścisną mnie w żołądku. Ona nie żyje, Imogen.

Drogi wjazdowej do miasta nie spowijają pełznące obłoki szarej mgły; na poboczu nie stoi wysuszona starucha ostrzegająca nas

z wyciągniętym sękatym palcem, abyśmy nie wjeżdżali dalej; na tablicy głoszącej *Witamy w Lichocie* nie siedzi czarny kruk, kraczący „Nigdy więcej”, mimo to groza zaciska lodowate szpony wokół mojej piersi i przez chwilę nie mogę złapać oddechu. Tablica jest zniszczona i zmurszała, napis tak spłowiały, że u nikogo nie może wzbudzić myśli o ciepłym powitaniu; kiedy na niego patrzę, litery ciemnieją, jakby na moich oczach pokrywały się czarną pleśnią. Kilka metrów dalej skręca w lewo droga prowadząca do domu mojej mamy. Czuję w piersi ucisk, jezdnia rozmywa mi się przed oczami. Wyciągam rękę i chwytam Dana za ramię.

– Nie jedź tam. – Z mojego gardła wydobywa ledwo słyszalne charczenie.

Dan zerka na mnie z ukosa; na jego twarzy maluje się troska. Zwalnia.

– Im, co się stało? Mam się zatrzymać?

Zerkam ponownie na tablicę – nadal nie wygląda zachęcająco, ale nie widzę już czarnej pleśni na literach, a na moje policzki powracają kolory, ponieważ rumienię się ze wstydu. Co się ze mną dzieje?

Przed nami leży Lichota, obserwuje, czeka.

– Nie, nie. Nic mi nie jest – kłamię. – Pomyślałam tylko, że zanim pojedziemy do domu, moglibyśmy wpaść do miasta i kupić coś do zjedzenia na wynos. Nie wiem, czy włączyli już prąd.

Dan kiwa lekko głową, ale z jego czoła nie znikają zmarszczki zatroskania. Ostatnio ciągle się o mnie martwi.

– Dobry pomysł – zgadza się, spoglądając przez ramię. – Mogłem to wcześniej zaproponować. Chociaż uważam, że powinniśmy zrobić zakupy, bo wątpię, żeby restauracje w twoim rodzinnym mieście miały zbyt bogatą ofertę.

– To nie jest moje... – zaczynam, po czym wzruszam ramionami. Przynajmniej przestało mi walić w piersi. – Tam jest frytkarnia...

Przynajmniej kiedyś była.

Dan mija drogę do domu i jedzie prosto do głównej ulicy miasta półtora kilometra dalej. Przypominam sobie, jak chodziłyśmy z Pammy długimi, wąskimi uliczkami do sklepu, jak przekonywałyśmy starszych chłopców, żeby nam kupili alkohol, a w zamian obiecywałyśmy się z nimi podzielić; jak ubiegałam się o weekendową pracę w sklepie, chociaż nie wierzyłam, że uda mi się wygrać rywalizację z Michelle Hoffman czy Theresą Johnson. Zastanawiam się, co teraz robią te dziewczyny; mam małoduszną nadzieję, że nadal sprzedają za ladą na rogu ulicy.

– Podoba mi się to, że będziemy mieli wszystko co najlepsze z obydwu światów. – Dan przerywa pełne zadumy milczenie, które zapanowało w samochodzie. – Piękny i cichy wiejski krajobraz oraz śródmiejską ulicę ze sklepami kilometr od domu. Nadal będę mógł biegać rano po świeże bułeczki i kawę...

– „Nadal”? – Wybucham śmiechem na myśl o moim mężu w białym fartuszkach z falbankami, biegnącym po świeży chleb do piekarni. – A kiedy ty robiłaś takie rzeczy? Przyznaję, że gdy wyobrażałam sobie, jak to jest mieć męża w domu, bardziej myślałam o kimś w rodzaju gosposi niż przerośniętego nastolatka oglądającego Netflixa i wyjadającego najlepsze smakołyki.

– Nie jestem „mężem w domu”, tylko artystą.

– No cóż, panie Bestseller, więc w czasie, kiedy ja osuwam ze szkołą wszystkie te dzieciaki, które dzięki tobie bujają w chmurach, mógłbyś przynajmniej zorganizować rano świeży chleb i kawę.

Dan uśmiecha się promiennie, a ja natychmiast żałuję swojej beztroskiej nonszalancji. Nie wolno mi zapominać, że każda tego typu uwaga podsycza tylko jego pragnienie, aby jak najszybciej założyć rodzinę. Nie rozumie, że na dźwięk słowa „dziecko” ściska mnie

w żołądku. Odwracam głowę i wyglądam przez okno z nadzieją, że mój mąż odbierze to jako sygnał końca rozmowy.

W sobotnie popołudnie główna ulica miasta przypomina godziny świtu w Londynie. Moją uwagę przyciągają dwie dziewczynki stojące na chodniku twarzami do siebie. Jedna ma długie, ciemne włosy zasłaniające twarz. Wygląda, jakby wrosła w ziemię, podczas gdy druga – atrakcyjna blondynka, ubrana zbyt dorośle – pochyla się i coś do niej mówi. Może w coś grają, lecz odnoszę wrażenie, że jest w tej scenie coś dziwnego. Właśnie przejeżdżamy obok nich i zamierzam zwrócić na nie uwagę Danowi, lecz w tym samym momencie blondynka cofa się kilka kroków w kierunku ulicy.

– Uważaj! – wołam ostrzegawczo. – Ona wygląda, jakby...

Moje słowa zamieniają się w krzyk. Dziewczyna wypada na jezdnię prosto pod nasz samochód, a ja zaciskam oczy. Słyszę pisk hamulców, a po sekundzie głuchy łoskot.

3

Ellie

Dzień ciągnął się chyba dłużej niż całe wakacje. Chociaż rok szkolny zaczął się sześć tygodni temu, Sara dopiero teraz zabiera je do sklepu, bo Mary chyba dosłownie z dnia na dzień urosły cycki i trzeba jej kupić nowe bluzki. Ellie pewnie odziedziczy stare workowate, spłowiałe ubrania po przybranej siostrze.

Sara w nieskończoność biadoliła nad cenami. Ma jedną z tych swoich list i ustalony budżet, chociaż biedna, młoda sprzedawczyni w nieskończoność tłumaczyła jej, że są jedynym dystrybutorem w mieście i w całej okolicy nie znajdzie nic tańszego.

Ellie kopie z nudów w regał na stoisku, Mary rzuca jej od czasu do czasu współczujące spojrzenie i wtedy wchodzi ona – Naomi Harper. Jakby mało było nieprzyjemności jak na jeden dzień. Matka Naomi wita się z Sarą niczym stara przyjaciółka, chociaż Ellie nigdy nie widziała, żeby zamieniły ze sobą choćby słowo. Wybuchają chóralnym „Co za niespodzianka, wy też tutaj!” i „Co tam u was?”. Następnie mama Naomi posyła córce czułe spojrzenie i oznajmia, że dziewczyna dosłownie wystrzeliła w ciągu ostatnich tygodni. I nie ma pojęcia, że choćby kupiła swojej drogiej latorośli najdłuższe spódnice, Naomi i tak podciągnie je, gdy tylko wyjdzie za próg domu, myśli Ellie. Mary, która jest cztery lata starsza od obu dziewczynek i prawie nie zna Naomi Harper, rzuca Ellie pytające spojrzenie, lecz ta tylko wzrusza obojętnie ramionami.

– Boże, co za koszmar! Nie sądziłam, że nawet w weekend będę musiała oglądać twoją paskudną gębę – syczy Naomi ze złośliwością godną dużo starszej dziewczyny.

Ellie wyobraża sobie strzałę wylatującą znad jej ramienia i przebijającą lewe oko Naomi, widzi krew i ropę sączącą się ze zmasakrowanego oczodołu, ale nie odzywa się ani słowem.

– Język połknęłaś czy co? – Naomi marszczy brwi, widząc, że Ellie nie reaguje na prowokacje. Zachowuje się trochę jak małe dziecko, które trąca patykiem gniazdo os i niecierpliwi się, że nic ze środka nie wylatuje. – No dalej, Ellie od Śmierdzieli, powiedz coś.

Ellie zaciska pięści, aż bieleją jej kłykcie. Nie może się rozgniewać, ale to takie trudne, kiedy policzki aż palą, a serce wali w piersi coraz szybciej. Patrzy na Mary, lecz chociaż skupia się ze wszystkich sił, nie potrafi nakłonić swojej przybranej siostry, żeby się odwróciła i grzmotnęła Naomi w twarz. Pragnie, aby Sara oznajmiła, że to miejsce jest za tanie na ich gust, pragnie zobaczyć, jak rzędną uśmiechy na twarzach tej okropnej dziewczuchy i jej podłej matki. Niestety, nic takiego się nie dzieje.

Dzieje się natomiast coś innego. Naomi Harper bez najmniejszego ostrzeżenia wyciąga rękę i strąca z regału cały rząd tenisówek, tuż za plecami Ellie, po czym błyskawicznie odskakuje, żeby nikt nie zdążył zauważyć.

– Ellie! – wykrzykuje Sara i purpurowiejąc na twarzy, rzuca się, żeby posprzątać bałagan. – Czemu to zrobiłaś?

Nie ma sensu protestować, Sara i tak nie słucha, a Naomi i jej matka wymieniają spojrzenia, jakby Naomi mówiła: „A nie mówiłam?”. Tylko Mary przygląda się podejrzliwie Ellie i jej koleżance ze szkoły.

– Czy mogę zaczekać na dworze? – pyta Ellie.

Wie, co się stanie, jeśli wpadnie w złość. Choć w tej chwili nienawidzi Naomi z całego serca, zdaje sobie sprawę, że może zrobić tylko jedno, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli: wycofać się.

– Pójdę z tobą – proponuje Mary, ale Sara kręci głową.

– Musisz przymierzyć bluzkę. Ellie jest dużą dziewczynką i może poczekać pięć minut przed sklepem.

To prawda i gdyby sprawa się na tym zakończyła, wszystko byłoby dobrze. Gdyby tylko Naomi została w środku.

Niestety, kilka minut później dziewczyna stoi tuż koło Ellie i znowu sący z ust jadowitą żółć.

– Wszyscy w szkole się zastanawiają, dlaczego jesteś takim dziwolągiem, wiesz o tym?

– Zostaw mnie w spokoju, Naomi – ostrzega Ellie.

– A ja wiem – ciągnie dziewczyna, nie zwracając na nią uwagi. Cofa się o krok; prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, że tym, co zamierza powiedzieć, nie trąci patykiem gniazda os, tylko roztrzaska je, rozerwie na strzępy i zajrzy do środka. – Chcesz usłyszeć, co ja wiem?

– Nie – odpowiada Ellie. Jej serce kołacze niespokojnie w piersi, zaczynają ją mrowić ręce. Wie, że coś się za chwilę stanie, ale jest bezsilna, nie może tego powstrzymać. Może tylko patrzeć jak przypadkowy obserwator na rozgrywającą się scenę. – Zamknij się.

– Coś ty powiedziała? „Zamknij się”? Do mnie?

Naomi wytrzeszcza na nią oczy z niedowierzaniem. Nie ma o niczym pojęcia. Jeszcze.

– Po prostu przestań i wróć do środka – ostrzega Ellie. Gniew wzbiera w niej jak mały kłębek wełny, który rośnie i rośnie, i robi się coraz twardszy.

– Myślisz, że mnie przestraszysz? Wyglądam, jakbym się bała?

Ellie wbija w nią wzrok, jej oczy jeszcze bardziej ciemnieją z wściekłości.

A powinnaś się bać, Naomi Harper. Powinnaś.

– Idź stąd. Musisz odejść. Idź stąd – mamrocze. – Zanim coś ci się stanie.

– W co ty pogrywasz? – pyta Naomi. Jej głos jest tak samo arogancki jak przed chwilą, tak samo rozkazujący, lecz teraz pobrzmiwa w nim jakaś nuta niepewności, może nawet strachu. – Rety, ale z ciebie szajbuska.

Robi krok naprzód, wyciąga rękę, żeby popchnąć ją w ramię.

– Idź stąd – nakazuje Ellie, tym razem głośniej.

Dłoń Naomi opada, nie dosięgnąwszy celu. Ellie zaciska pięści i zamyka oczy. Panuj nad sobą. Panuj nad sobą.

– Co ty robisz? – Naomi, cofa się o krok. – Co ty tam mamroczesz? Przestań. Przestań natychmiast! – Cofa się jeszcze bardziej, krzywo stawia nogę i potyka się.

Słowa Ellie nabierają mocy; nadal nie otwiera oczu, a jej wargi powtarzają w kółko:

– Idź stąd, idź stąd, idź stąd...

Naomi prawie nie zauważa, że jej pięta trafia na krawężnik, ale serce wyczuwa okropny moment, kiedy traci równowagę, młóci ramionami powietrze i wypada na ruchliwą jezdnię. I chociaż za jej plecami trąbi klakson, piszcza hamulce i krzyczą ludzie, Naomi Harper słyszy tylko te słowa:

– Idź stąd, idź stąd, idź stąd...

4

Imogen

Gwałtowne hamowanie rzuca mną do przodu. Przerazona odrywam dłonie od oczu, spodziewając się widoku zwiniętego dziecięcego ciała, lecz zamiast tego widzę oszołomioną dziewczynkę siedzącą na jezdni, a przed nami samochód, w który Dan uderzył, aby ją ominąć. Rzucam się do drzwi i kiedy klękam obok dziewczynki, z najbliższego sklepu wypadają dwie kobiety, a zaraz za nimi nastolatka, starsza od dziewczynek, które widziałam na ulicy. Wrzask pierwszej kobiety przeszywa powietrze niczym gorący nóż rozcinający masło.

– Naomi! – Przypada do oszołomionego dziecka na jezdni i przyciska je do piersi. – Niech ktoś wezwie pogotowie! Co się stało, kochanie?

Naomi rozgląda się w szoku, przenosi wzrok z samochodu na drugą dziewczynkę.

– Wypadła nam prosto pod koła – wyjaśniam, pragnąc jak najszybciej oczyścić nas z winy, ale kobieta nawet na mnie nie patrzy.

– To ona ci to zrobiła? – Wskazuje palcem dziewczynkę stojącą na chodniku i Naomi kiwa głową. Jej matka wstaje i odwraca się z wściekłością wyrytą na twarzy. – Coś ty jej zrobiła?

Druga kobieta i nastoletnia dziewczyna stają przed oskarżoną, jakby ją osłaniały.

– Ellie, co się stało? – pyta gorączkowo ta pierwsza. Czyżby matka?
– Co zrobiłaś Naomi?

Ellie nie odpowiada, tylko bez słowa wpatruje się w Naomi. Czy to gniew płonie w jej oczach? Czy strach?

– Mogłaś ją zabić! – wrzeszczy matka Naomi. – Ona próbowała zabić moją córkę!

– Chwileczkę – wtrącam się. Wyciągam rękę, aby uspokoić sytuację, zanim wymknie się spod kontroli. Jak ona może tak wrzeszczeć na wstrząśnięte dziecko? – Wiem, że denerwuje się pani o córkę, ale to nie powód, żeby od razu rzucać oskarżenia.

– Przepraszam, a kim pani jest?

Matka Naomi piorunuje mnie wzrokiem, a ja już wiem, że nie znoszę tej kobiety.

– Wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która widziała, co tu zaszło. Ta dziewczynka... Masz na imię Ellie, tak? – Odwracam się do dziecka, lecz ono milczy. Jej mama odpowiada skinieniem głowy. – Ellie nawet nie dotknęła Naomi. Myślę, że powinna się pani nieco uspokoić.

– Uspokoić się? Czy pani ma dzieci? – Matka Naomi nie czeka na moją odpowiedź. – Gdyby pani miała dzieci, wiedziałyby pani, jakie to uczucie, kiedy ktoś je wpycha pod samochód.

– Ona nie...

– Co się dzieje? – Obok mnie zjawia się Dan i opiekuńczo kładzie mi dłoń na ramieniu. – Nic jej się nie stało? A tobie?

Blady ze zdenerwowania patrzy na Naomi, która stoi na brzegu ulicy.

Krzyżuję ramiona na piersi. Tylko spokojnie, Imogen. Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Dan i tak już wystarczająco się o ciebie martwi.

– Nic jej nie jest, Dan, nie potrąciliśmy jej. – Staram się mówić cicho i spokojnie, nie okazywać zdenerwowania. – Ze mną też wszystko w porządku. A z tobą? Nie uderzyłeś się? Chyba ktoś już zadzwonił po pogotowie. Może powinniśmy wezwać policję? Nie chcę, żeby ktoś nas oskarżył o ucieczkę z miejsca wypadku.

Milknę raptownie, uprzytomniwszy sobie, że moja paplanina jest efektem szoku, który właśnie dochodzi do głosu. Przez chwilę byłam pewna, że ją uderzyliśmy. Że ją zabiliśmy.

Dan przyciąga mnie do siebie i przytula, a ja poddaję się uspokajającemu objęciu jego mocnych ramion.

– Już wezwałem policję – oznajmia. – Rozmawiałem też z kierowcą tego samochodu. Wygląda na to, że wszyscy są cali i zdrowi. Poza samochodami. Diabli wezmą ubezpieczenie.

– Nie wszyscy są cali i zdrowi – warczy matka Naomi, która najwyraźniej nie ma najmniejszego zamiaru się uspokoić. – Moja córka... – Jej słowa toną w odgłosach podjeżdżającej karetki i wozu policyjnego. – Och, chwała Bogu, nareszcie.

– Dostaliśmy zgłoszenie, że potrącono dziewczynkę – mówi ratownik z pogotowia, patrząc na przemian na Naomi i Ellie. – Kazaliśmy nikogo nie ruszać.

– Samochód jej nawet nie dotknął – odzywamy się jednocześnie z Danem. – Sama się od razu podniosła.

Policjant odwraca się do mojego męża.

– Czy to pan prowadził pojazd?

Dan kiwa głową, a wtedy funkcjonariusz wyjmuje długopis i notatnik.

– W takim razie proszę opowiedzieć, co się stało.

– Co się stało? – naskakuje na niego matka Naomi. – Powiem panu, co się stało. Ona próbowała zabić moją córkę! – Wyciąga palec

w stronę Ellie, która nadal stoi bez ruchu, z twarzą jakby obleczoną maską. – Popchnęła ją...

– Zaraz, zaraz – przerywam jej. Czuję, jak twarz czerwienieje mi z gniewu. – Ellie stała daleko od pani córki, kiedy ta upadła. Widzieliśmy je. Dzielilo je co najmniej pół metra. Naomi cofnęła się i przewróciła na jezdnię.

– To prawda – odzywa się nastolatka stojąca obok roztrzęsionej kobiety. – Widziałam ze sklepu, mamusiu. Ellie jej nie dotknęła.

Podchodzi i obejmuje Ellie, na co dziewczynka wtula twarz w jej ramię.

– Czy pan również to widział? – pyta policjant, patrząc na Dana.

– Na pewno tak. – Dan zerka na mnie, jakby szukał potwierdzenia. – Tak... to znaczy... to się wydarzyło tak szybko... ale z całą pewnością nie widziałem, żeby ktoś kogoś popychał.

– Chcecie komuś wmówić, że moja córka sama przewróciła się na ulicę? – pyta matka Naomi, jeszcze bardziej rozwścieczona. – Ona ma dwanaście lat, nigdy się nie przewraca. Powiedz im, Naomi, powtórz to, co mi powiedziałaś.

– Ja... – Naomi wygląda jak zając złapany w reflektory samochodu. – Ona... ja... ja upadłam – kończy cicho.

Jej matka wygląda, jakby ją spoliczkowano. Trochę mi wstyd, ale zalewa mnie fala triumfalnej radości, kiedy jej policzki oblewa rumieniec.

– Przecież powiedziałaś...

– Pomyliłam się. To był wypadek, w porządku?

Czyżby to strach przemknął po jej twarzy? Jeśli tak, to chyba nikt poza mną tego nie zauważył.

– Widzę, że nikt tu nic nie robi – fuka jej matka. – Chodź, Naomi. – Chwyta córkę za ramię, lecz ratownik wyciąga rękę, żeby ją powstrzymać.

– Przepraszam, ale skoro tu przyjechaliśmy, to musimy zbadać pani córkę.

– Przecież pan słyszał, co powiedziała. Przewróciła się! Samochód jej nawet nie dotknął!

– Nie szkodzi, trzeba to sprawdzić. – Mężczyzna uśmiecha się przepraszająco. – Nie dopełniłbym obowiązków, gdybym tego nie zrobił.

– A ja muszę zebrać od państwa zeznania – informuje policjant. – To nie potrwa długo. Chyba że chce pani złożyć oskarżenie o usiłowanie zabójstwa.

Z przyjemnością patrzę, jak twarz matki Naomi po raz drugi oblewa się rumieńcem. Dobrze jej tak.

– Nie, wygląda na to, że to nie będzie konieczne.

Patrząc na obie dziewczynki, trudno ocenić, co naprawdę między nimi zaszło. Przez cały czas trwania dyskusji Ellie ani razu nie próbowała się bronić, prawdopodobnie sparaliżowana despotycznym zachowaniem matki Naomi. Dopiero teraz mogę jej się przyjrzeć. Jest blada jak prześcieradło, wzrok ma martwy, ale trudno się dziwić dziecku, które przed chwilą przeżyło słowną napaść dorosłej kobiety. Próbuję uchwycić jej spojrzenie, żeby ją pocieszyć, lecz nie patrzy w moją stronę.

– Czy możemy poczekać w samochodzie? – pytam policjanta.

Pragnę jak najszybciej odciąć się od tej klaustrofobicznej sceny. Na szczęście policjant kiwa głową.

– Jeśli nic się państwu nie stało i z samochodem wszystko w porządku, to możecie zjechać tutaj. – Wskazuje krawężnik. – Jeśli nie, możemy poprosić lekarza, żeby najpierw zajął się wami.

– Nie, nie, nic nam nie jest – odpowiada Dan. – Zjedziemy na bok i poczekamy.

Wracamy do samochodu i sprawdzamy maskę. Kierowca drugiego pojazdu wysiadł i rozmawia z policjantem. Ciekawa jestem, co mu mówi. Czy on również widział dziewczynki na chodniku przed wypadkiem? Uszkodzenia naszego wozu nie wyglądają tak źle, jak można by sądzić po odgłosie uderzenia, i na szczęście silnik odpala bez problemu. Danowi lekko drżą dłonie na kierownicy.

– Chryste, to się nazywa wjazd do miasta – mówi. – Wszystko w porządku?

Kładzie mi dłoń na udzie. Jest ciepła i działa uspokajająco. Po dziesięciu latach wspólnego życia nadal czerpię siłę z jego dotyku, niczym sukkub; wysysam z niego spokój i wchłaniam w swoje ciało. Zawsze tak na mnie działał. Kiedy się poznaliśmy, miałam ochotę leżeć z głową na jego piersi i oddychać jego ciepłym, pokrzepiającym oddechem.

Z roztargnieniem kiwam głową.

– Tak, wszystko w porządku – mamroczę.

Przyglądam się dziewczynkom stojącym w towarzystwie policjanta i ratownika, kobiecie, która tak pochopnie oskarżała dziecko o usiłowanie zabójstwa, i drugiej, która nie zrobiła nic, by bronić córki przed oszczerstwami.

Gdzie ja nas przywiozłam?

5

Imogen

Jedyna frytkarnia na głównej ulicy miasta rzuca się w oczy jak zakonnica w klubie nocnym. Chromowane drzwi, szyld z LED-owym napisem *O Sola Mio* oraz srebrnym kształtem, który miał być zapewne migoczącą rybą, w niczym nie przypominają lokalu, który pamiętam z dzieciństwa – poszarzałej białej farby, łuszczącej się i odpadającej płatami od drewnianego szyldu ze spłowiałym niebieskim napisem niechętnie ogłaszającym: *Frytkarnia*. Zastanawiam się, kto stoi za tym liftingiem i modną zmianą nazwy, bo na pewno nie galaretowaty Roy o nalanej twarzy, który za moich czasów był tu kierownikiem. Uśmiecham się, wyobrażając sobie niesmak, który musiał odmalować się na jego ponurym obliczu, kiedy zobaczył migoczącą rybę wciągana na honorowe miejsce jego ostentacyjnie nieatrakcyjnego lokalu.

Jednak ku memu zdumieniu za ladą stoi ten sam Roy i nie wygląda nawet o jeden dzień starzej niż piętnaście lat temu, jakby przyszedł na ten świat jako w pełni uformowany pięćdziesięciolatek i od tej pory ze stoickim spokojem odmawia poddania się działaniu upływającego czasu.

– Paskudna historia.

Drgam na dźwięk głosu dochodzącego zza moich pleców. Odwracam się i na jednym z czterech błyszczących srebrnych krzeseł widzę siwiutką kobiecinę, która prawie całą swoją postacią wtapia się w tło ściany w modnym gołębi kolorze. Twarz, włosy, ubranie –

wszystko wydaje się kompletnie pozbawione barwy. Uśmiecham się niepewnie, aby pokryć zaskoczenie.

– Mogło się skończyć dużo gorzej. – Uprzedzając moją odpowiedź, Dan zdobywa się na swój najbardziej jowialny ton. Ściska mi szybko dłoń. Zastanawiam się, czy czuje, że cały czas się lekko trzęsę. – Na szczęście skończyło się na zdartym kolanie i wgniecionej masce.

– O tak, synu, to było awaryjne hamowanie, co się zowie – wtrąca swoje trzy grosze Roy. W jego głosie dźwięczy życzliwość, której nie pamiętam z czasów dzieciństwa. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek w tym mieście przejawiał zbyt wiele życzliwości, poza Pammy i jej rodziną. – Mogło dojść do prawdziwego nieszczęścia.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – podsumowuję, żeby uciąć rozmowę na ten temat.

Siwa kobieta jednak nie zwraca uwagi na moją aluzję.

– Młoda Harperówna ma szczęście, że trafiło na was. Mało kto w tych okolicach umiałby tak szybko zareagować. Ale w końcu – w jej oczach zapala się lodowaty błysk – kto by się spodziewał, że dziewczyna w tym wieku może wypchnąć na ulicę drugie dziecko, prawda?

Dan rzuca mi znaczące spojrzenie, wyczytuję w nim milczącą prośbę, żebym nie dała się wciągnąć w dyskusję. Nie gryź, Immy. To nie twoja broszka.

– Ona jej nie wypchnęła – oznajmiam i słyszę, jak mój mąż wypuszcza z piersi powietrze. Domyślał się, że się nie powstrzymam. – Widzieliśmy to oboje, prawda, Dan?

Mój mąż przytakuje skinieniem głowy.

– Tak. Ta dziewczynka jej nie popchnęła.

– I tu się mylicie. – Kobieta uśmiecha się przebiegle. – Ta dziewczyna nie musi nikogo dotykać, żeby zrobić to, co chce. Siedziałam tu i widziałam, co zrobiła.

Unoszę brwi.

– Nie rozumiem. Chce pani powiedzieć, że wypchnęła ją, chociaż jej nie dotknęła? To jakiś obłąd. – Oglądam się na Roya; czekam, aż się roześmieje albo przewróci oczami, może zakręci palcem przy skroni na znak, że starucha jest szurnięta. Ale Roy stoi jak słup soli, unika mojego wzroku i w kółko przerzuca rybę na płycie grzejnej. – Kim jest ta dziewczynka? – zwracam się wprost do niego, żeby nie mógł zignorować mojego pytania. – Ma na imię Ellie, prawda? Kim ona jest?

– Ellie Atkinson – odpowiada kobieta, tłumiąc chichot. – Sierota z rodziny zastępczej.

– Ach, i pewnie to wystarcza, żeby... – Urywam, bo czuję, że Dan ostrzegawczo pociąga mnie za rękaw. Właśnie otwierają się drzwi i do baru wchodzi Ellie ze swoją opiekunką oraz nastoletnią dziewczyną, która na ulicy stanęła w obronie dziewczynki.

Ciszę przerywa chichot starej kobiety, potem odzywa się Dan:

– Dwa małe zestawy z dużymi frytkami proszę – zwraca się do Roya, a ten odpowiada skinieniem głowy, jakby ostatej rozmowy w ogóle nie było.

– Za pięć minut – rzuca.

Siadamy w drugim końcu baru, jak najdalej od starej kobiety. Przybrana matka Ellie zamawia jedzenie i podchodzi do nas.

– Chciałam państwu podziękować za to, że stanęliście w obronie Ellie przed tą okropną kobietą. – Wygląda na zmęczoną i przybitą. Ma mysioszare włosy zebrane niedbale w kucyk, lecz w różnych miejscach kosmyki sterczą na wszystkie strony, jakby to ona przed chwilą prawie wpadła pod samochód. – No i oczywiście za to, że nie potraciliście jej córki – dodaje jakby po namyśle.

– Proszę się nie przejmować. – Próbuję ją pocieszyć uśmiechem, który, mam nadzieję, wyraża współczucie i troskę, a nie nawiedzone obłąkanie. Czy one wiedzą, co ludzie mówią na temat Ellie? *Ta*

dziewczyna nie musi nikogo dotykać, żeby zrobić to, co chce. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

Kieruję swoje pytanie do Ellie, która stoi bez ruchu ze spuszczoną głową i wbija wzrok w podłogę. Starsza dziewczyna trąca ją w bok, a kiedy Ellie nadal nie daje znaku życia, bąka:

– Nic jej nie jest, dziękujemy.

Dan prycha obok mnie, a ja rzucam mu gniewne spojrzenie. Siwa kobieta w kącie baru wstaje od stolika, nie spuszczając z nas wzroku.

Ellie podnosi wzrok i zwraca się do wychodzącej kobiety cichym, lecz czystym głosem:

– Pani Evans.

Pierwszy raz słyszę, jak się odzywa, i nie brzmi to naturalnie.

Kobieta zatrzymuje się niepewnie, jakby nie chciała patrzeć na dziewczynkę. W końcu się odwraca.

– Słucham?

– Onegdaj obcięliby pani język za kłamstwa.

6

Idą ulicą, oddalone od siebie o kilka małych kroczków, lecz równie dobrze mogłyby je dzielić setki kilometrów. Zerka w górę na dłoń kobiety kołyszącą się przy boku, pragnie wyciągnąć rączkę i wsunąć palce w tę dłoń. Tylko żeby się przekonać, jakie to uczucie – widywała mnóstwo dzieci, które to robiły: trzymały mamę za rękę, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie – sięgnąć i połączyć się z osobą, którą kochają. A Imogen kocha swoją mamę, nawet jeśli ona nie potrafi tego odwzajemnić.

Mama – nie znosi słowa „mamusia”, bo tylko małe beksy tak mówią – patrzy w dół i chyba odgaduje, o czym Imogen myśli, ponieważ zabiera dłoń i wsuwa ją do kieszeni płaszcza. I tak dziewczynka straciła swoją szansę.

– Rusz się trochę – warczy Carla Tandy, odwracając głowę od swego jedyne dziecko. – Nie możemy się wlec cały dzień.

7

Imogen

Stoję i patrzę na dom, w którym dorastałam. Mam wrażenie, jakby dwadzieścia ostatnich lat mojego życia stopniało i znikło. Ciężkie drewniane drzwi okala walijski kamień, po ścianach pełźnie bluszcz niczym obcy oplatający ciało gospodarza, na którym pasożytuje. Odgłos tych samych drzwi zamykających się z hukiem za moim piętnastoletnim wcieleniem nadal przypomina trzaśnięcie bicia, wystrzał z pistoletu, a kiedy w tej samej chwili dobiega mnie łoskot zatraskiwanego bagażnika, podskakuję przestraszona, aż wszystko we mnie dygocze. Dan zjawia się obok mnie kilka sekund później. Pewnie myśli, że w dalszym ciągu nie mogę się otrząsnąć po tym, co się wydarzyło w mieście, i ma rację: myślę o kobiecie wrzeszczącej na biedną Ellie, o zmartwiałym obliczu dziewczynki, która wyglądała, jakby nie miała pojęcia, co się stało. Ale to nie dlatego nie potrafię się zmusić do wyciągnięcia ręki i otworzenia drzwi domu, który zostawiłam za sobą jako nastolatka.

– Nie musisz się spieszyć – odzywa się łagodnie Dan. – Wiem, że to dla ciebie trudne.

Rozumie mnie bardziej, niż byłam gotowa to przyznać. Nigdy go wystarczająco nie doceniałam.

– Nic mi nie jest. – Potrząsam głową, aby wyrzucić z niej wspomnienia. – Wejdźmy do środka.

W końcu udaje nam się otworzyć ociężałe drzwi frontowe, lecz musimy tak mocno na nie naprzeć, że prawie wpadamy do środka, kiedy ustępują. Przygotowuję się na zalew wspomnień, jakbym czekała na zderzenie z pociągiem towarowym, ale przedpokój tak bardzo się różni od tego, co pamiętam, że przez chwilę się zastanawiam, czy trafiliśmy do właściwego domu. Śmierdzący stęchlizną czerwony dywan w złote esy-floresy zniknął i widać lakierowaną drewnianą podłogę; tylko na schodach leży beżowy bieżnik w granatowe pasy. Brudne szarobrązowe ściany zostały przemalowane na świeży, jasnożółty kolor. Całość sprawia wrażenie, jakby nowy dom przebrał się za stary, który tak dobrze pamiętam. Ale mimo całego liftingu i makijażu kości pozostały te same. Świeża farba nie zdołała zakryć pęknięć na murze osiadającego budynku. Tych samych, po których wodziłam palcem, siedząc na schodach i czekając na powrót mamy. Czasami siedziałam tak długo, że pęknięcia zamieniały się w głębokie cienie, które straszyły, że wciągną mnie do środka. I niekiedy pragnęłam, żeby tak się stało.

– Ładnie tu – zauważyła Dan, wnosząc nasze torby przez próg. – Mówiłaś, że to kompletna nora.

– Musiała go odremontować – odpowiadam.

Oczywiście mam na myśli moją matkę. Czuję jednocześnie ulgę, że dom nie przypomina tego z moich wspomnień, i gniew, że włożyła tyle trudu, by mieć przyzwoite mieszkanie, dopiero po moim odejściu. Przez te wszystkie lata mieszkaliśmy wśród łuszczącej się farby i wykwitów czarnej pleśni, podczas gdy ona snuła się po domu niczym duch, udając, że nie zauważa, jak dom i nasze życie ulegają rozkładowi.

– To zaoszczędzi nam pracy. – Dan uśmiecha się szeroko i idzie otworzyć drzwi do salonu.

To dla mnie za szybko. Nie chcę się zachowywać jak roztrzęsiona histeryczka, ale miałam nadzieję przejść przez ten etap trochę wolniej. Może gdybym zdradziła Danowi choćby cząstkę tego, jak wyglądało moje życie w tym domu, zrozumiałby tę powściągliwość. Na razie, aby odwlec moment wejścia w głąb mieszkania, udaję, że przeglądam stertę korespondencji piętrzącą się na drewnianej podłodze. Większość to rachunki. Rachunki i kolejne rachunki. Mama zostawiła pieniądze na pokrycie kosztów pogrzebu, więc zorganizowałam odpowiednią ceremonię, ale na nią nie poszłam. Czuję łagodną mieszaninę żalu i wstydu z powodu tego ostentacyjnego gestu, tego ostatniego „Pieprzę cię”, ale ta kobieta przez całe życie miała mnie w nosie i nie kiwnęła nawet palcem, kiedy odchodziłam.

– Przyszło coś do nas – mówię.

Lecz Dan tłucze już w kuchni szafkami, mamrocząc od czasu do czasu coś w rodzaju: „Do czego to może służyć?”. Zważywszy na to, że przez ostatnie pięć lat prawie nie wchodził do pomieszczenia, w którym przygotowuje się jedzenie, nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie odkrył piecyk.

Różowa koperta zaadresowana do mnie i Dana raczej wyklucza prawników i urząd skarbowy. Rozdzieram ją i twarz mi się rozjaśnia na widok podpisu nadawcy.

Cześć, mieszcuchy. Zostawiłam Wam dobroczynny pakiet powitalny na podwórku za węglarką (to ten ciemny cynowy gadżet, na wypadek gdyby mieszkanie w wielkim smogu osłabiło wam pamięć). Odwiedźcie nas, kiedy będziecie mogli. Weźcie ze sobą wino. Mam nadzieję, że nie uznacie tego za dziwactwo.

Pam xx

– To bardzo miłe z jej strony. – Dan zjawia się z powrotem przy mnie. – Szkoda, że nie miała kluczy, żeby wejść i trochę posprzątać. Wszędzie leży przynajmniej centymetr kurzu.

– Będziesz miał co robić, czekając na wenę. – Uśmiecham się i całuję go w czubek nosa. – Nie obraż się, ale chciałabym rozejrzeć się trochę sama. Czuję się nieco przytłoczona tym powrotem do domu, w którym nie ma już mamy.

– Oczywiście. – Ruchem głowy Dan wskazuje drzwi frontowe. – Przyniosę resztę rzeczy z samochodu.

Przez następną godzinę wędruję po odległych wspomnieniach wypełniających mój dom rodzinny. Tyle rzeczy się zmieniło; pomału zaczynam dochodzić do wniosku, że to nie będzie jednak takie trudne, jak sądziłam, gdy na drewnianej półce dostrzegam zegar, który kiedyś stał na kominku w salonie. Ukryty relikwiarz tylko czekał, aby wypchnąć mnie w podróż do przeszłości. Ze ściśniętym gardłem przypominam sobie, ile godzin spędzałam, wpatrując się w ten zegar, z mieszaniną trwogi i podniecenia czekając na powrót mamy, zastanawiając się, czy dzisiaj będzie ten dzień, kiedy ze mną porozmawia, kiedy przyniesie nam coś do jedzenia z frytkarni, i wiedząc, że tak się nie stanie.

Zdejmuję zegar z półki i obracam go w dłoniach. W tym cyferblacie odbija się całe przepełnione rozpaczą życie. Wskazówki zatrzymały się w czasie, a mnie uderza dziwne wrażenie, że stanęły dokładnie w chwili, kiedy zmarła moja matka. Nie bądź śmieszna, mówię sobie, ale nie mogę się pozbyć tego uczucia. Zegar wiedział, że jego zadanie dobiegło końca; nie musiał już liczyć godzin do powrotu mamy, ponieważ ona nigdy nie wróci.

Odstawiam go i mrugam powiekami, żeby zdusić łzy, które nagle napłynęły z niepowstrzymaną siłą. Płacz niczego nie rozwiązuje,

Imogen. To jedna z niewielu rad, jakich mi w życiu udzieliła. W dodatku nie miała racji. W dniu, kiedy odeszłam, czekałam, aż znajdę się bezpiecznie w obskurnym akademiku, po czym wybuchłam okropnym głośnym szlochem, aż płuca mi omal nie eksplodowały. Kiedy zbudziłam się nazajutrz ze spuchniętymi oczami i głową pękającą, jakbym wypila duszkiem ćwiartkę wódki, czułam się zaskakująco oczyszczona. I przyrzekłam sobie, że nigdy więcej nie uronię łzy przez kobietę, która ani razu przez piętnaście lat nie powiedziała, że mnie kocha.

8

Słońce wyciekło ze świata i podwórze przybrało ponure liliowoszare odcienie, lecz niebo nie zamierza się poddać ciemności. Sara tak długo siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami, przeglądając w telefonie Facebooka, że prawie nie zauważa, jak wokół niej gromadzą się cienie, jak pomалу ucieka ciepło, wygonione przez wieczorny chłód; dopiero gdy po jej gołych ramionach prześlizguje się łagodny wietrzyk, podnosi głowę i mruga zaskoczona.

– Psiakrew – mamrocze. – Która to godzina?

Spogląda z powrotem na komórkę. Dziesięć po szóstej. Dziewczęta i Billy powinni już przyjść na jedzenie. Dziwne, że jeszcze nie zaczęli marudzić. Nauczyła się już, że dzieci są ciągle głodne. Oczywiście poza Ellie, ale Ellie jest wyjątkiem prawie pod każdym względem.

A skoro mowa o dzieciach, to gdzie one są? Kręciły się w głębi ogrodu wokół domku do zabaw. Jak dawno temu? Pół godziny? Czterdzieści minut? Stanowczo za dużo czasu straciła na kłótnię z kuzynką Marka, Tiną, na temat artykułu, który zamieściła na profilu. Autorzy głosili, że kobieta, która po czterdziestce chce mieć dziecko, jest zwyczajną egoistką. Tina doskonale wiedziała, że Sara go przeczyta, a mimo to odegrała swoje „Sorki, słonko, nie wiedziałam, że cię to tak rozdrażni xx”. Głupia jęzda zrobiła to z wyrachowaniem.

W każdym razie zwykle Sara przynajmniej słyszała dzieci bawiące się gdzieś w pobliżu, jeśli nawet ich nie widziała. Tymczasem teraz w ogrodzie zalega cisza.

– Mary?! Billy?! Ellie?!

Żadnej odpowiedzi. Na wszelki wypadek zagląda za domek, ale nie ma tam żywej duszy. Wraca do domu i woła, lecz i tutaj odpowiada jej milczenie. Gdzie oni się podziali?

Stara się nie panikować; szybko wychodzi z powrotem do ogrodu i gorączkowo przeczesuje wzrokiem podwórze. Jest małe: na środku jedno drzewo, pod płotem domek do zabaw, a dalej niewielka połać nieużytków...

Nieużytki. Czemu od razu nie pomyślała, żeby tam sprawdzić? Dzieci zawsze przekradają się przez dziurę w płocie, chociaż zwykle słyszy, jak myszkują między krzakami, śmieją się i krzyczą. Tym razem jednak w nieruchomym powietrzu panuje cisza.

– Mary! – woła, podchodząc do połamanych desek. – Billy?! Ellie?!

Przez dziurę trzeba się przeciskać, ale Sara nie jest gruba, więc bez trudu udaje jej się przejść na drugą stronę, chociaż zahacza koszulką o sterczące drzazgi, a włosy zaczepiają się o gałęzie niestrzyżonego żywopłotu rosnącego wzdłuż ogrodzenia.

Zarośnięty krzakami i pokrzywami plac oddziela posesję Sary i Marka od dwóch sąsiednich. Nikt tak naprawdę nie wie, do kogo należy ten teren; leży osierocony i zaniedbany, od kiedy Jeffersonowie mieszkają przy Alei Akacjowej. Marka i Sarę brzydki, zaniedbany ugór kłuje w oczy, dla dzieci to prawdziwy przygodowy raj.

Dostrzega je natychmiast; klęczą na jedynym skrawku gołej ziemi.

Cała trójka zaciska mocno oczy, a Mary i Billy kołyszą się lekko w przód i w tył. Ellie siedzi nieruchomo jak posąg, tylko jej usta poruszają się szaleńczo w cichej inkantacji.

Sarę przechodzą ciarki, włosy jeżą jej się na karku. Znalazła dzieci i wygląda na to, że nic im nie jest, więc dlaczego czuje na ramionach gęsią skórkę?

– Dzieci!

Podchodzi bliżej. Nie mogli jej nie słyszeć, mimo to żadne nawet nie poruszyło powieką. Przeciska się przez gąszcz krzaków, kolców i gałęzi, a po wyjściu na polankę staje obok Ellie.

– Dzieci! – woła.

Wyciąga rękę, żeby chwycić Ellie za ramię, lecz w tym samym momencie usta dziewczynki nieruchomieją i cała trójka jednocześnie otwiera oczy. Później Sara powie Markowi, że wyglądali, jakby zdjęto z nich zaklęcie.

– Co się stało, mamusiu? – pyta Mary z rozszerzonymi oczami. – Co ty tu robisz?

– Wołałam was z podwórka. Nie odpowiadaliście. Co wy tu robicie? Co się tu wyprawia?

– Bawimy się, pani Jefferson. – Ellie podnosi wzrok; ciemne oczy wpijają się w twarz Sary. Tylko ona z całej trójki nie wygląda na oszołomioną ani zdezorientowaną.

Billy patrzy to na Ellie, to na otaczające ich krzaki, jakby się zastanawiał, skąd się tu wziął.

– Billy?

– Tylko się bawimy, pani Jefferson.

– Więc dlaczego mnie nie słyszeliście? Stałam tuż obok.

Ellie ani na moment nie odrywa wzroku od Sary. Nie wygląda na skruszoną, przeciwnie, zaciska wyzywająco zęby.

– Rany, czy to takie ważne? – Mary przerywa milczenie warknięciem. – Znalazłaś nas. Chodźcie – zwraca się do pozostałej dwójki.

Ellie i Billy podnoszą się i w ślad za Mary opuszczają polankę, po czym przechodzą przez płot z dużo większą łatwością niż Sara.

Dopiero po powrocie do domu, kiedy zamyka się w łazience, Sara wybucha przerażonym szlochem, który od dłuższego czasu tłumiała.

9

Imogen

Patrzę w ogień, obserwuję, jak płomienie podnoszą się i przygasają, trzaskają i syczą. Uśmiecham się do Dana, który wręcza mi kubek gorącej czekolady z piętzącą się bitą śmietaną.

– Dziękuję.

– Jak to dobrze, że Pammy wykazała się taką troskliwością.

Prawie się roześmiałam, kiedy po otwarciu pudełka od mojej starej przyjaciółki znalazłam w nim wino, herbatniki, prażynki krewetkowe, czekoladę pitną oraz bitą śmietaną, a obok worek z polanami do kominka, wiązkę szczap z przyczepioną karteczką *Na rozpałkę* oraz paczkę podpałki.

– Chyba nas uważa za parę wielkomiejskich kretynów – zażartował Dan.

W głębi ducha jednak cieszy się, że ktoś wykonał za niego tę robotę – ma to wypisane na twarzy. Już się nie mogę doczekać, kiedy jutro pokażę mu drewnutnię i siekierę.

Chodziłam po domu jak ślepiec, dotykałam ścian, mebli, próbowałam wykrzesać z siebie jakieś uczucia, ale za dużo się tu zmieniło. I ja się zmieniłam. Nie jestem już tą nieszczęśliwą dziewczynką, która klęczała w sypialni, modląc się do Boga, w którego nie wierzyła, aby mama, której prawie nie znała, otworzyła drzwi i wzięła ją w ramiona. Najdziwniej się czułam, gdy otworzyłam drzwi do pokoju mamy, gdzie mieliśmy spać. Kiedy byłam dzieckiem, nie

wolno mi było tu wchodzić, więc miałam bardzo mgliste wspomnienie tego, jak wyglądał, nawet jeśli zakaz nie zawsze mnie powstrzymywał. Gdy tylko przeszłam przez próg, zmroziła mnie odruchowa myśl, że mama się wścieknie, jeśli mnie tu zobaczy. Nie bądź śmieszna, Imogen. Nie jesteś już dzieckiem. Mimo to wyszłam stamtąd jak najszybciej. Lecz za żadne skarby świata nie potrafiłam się zmusić do otwarcia drzwi własnego dawnego pokoju.

– Jesteś dziwnie milcząca – zauważa Dan, biorąc w palce kosmyk opadający mi na twarz i zakładając go za ucho. – Cały czas myślisz o tym dzisiejszym wypadku czy chodzi o coś innego?

– O wypadku – kłamię. To łatwiejszy temat niż fakt, że nie jestem w stanie otworzyć drzwi do pokoju nastoletniej Imogen Tandy ze strachu, że otworzę w ten sposób inne drzwi, których nie będę umiała potem zamknąć. – Szczerze mówiąc, cały czas chodzi mi po głowie, jak te kobiety zachowywały się wobec dziewczynki. Czy ona ci wyglądała na kogoś, kto może wypchnąć drugie dziecko na ulicę?

Mówiąc to, zdaję sobie jednak sprawę, że nikt nie potrafi zdefiniować, jaki człowiek jest zdolny do przemocy, a jaki nie. A już na pewno nie ty, szepcze mi do ucha złośliwy, cichy głos. Twoja kartoteka nie zasługuje pod tym względem na medal, prawda?

– Była dziwna – zauważa Dan. – Aż mnie ciarki przeszły w tym barze. Ile znasz dzieci, które potrafiłyby komuś grozić obcięciem języka? I skąd wiedziała, że ta kobieta mówiła akurat o niej? Nie było jej w barze, kiedy toczyła się rozmowa.

Macham lekceważąco ręką.

– Ona jej nie groziła obcięciem języka, tylko powtarzała coś, co usłyszała w szkole albo gdzieś indziej. Odnoszę wrażenie, że ta pani Evans nie pierwszy raz rozsiewała swoje idiotyczne teorie. Może dziewczynka mówiła o innych kłamstwach? Jej przybrana matka

okropnie się zawstydziła, chociaż nie wiem, czy bardziej tym, co powiedziała Ellie, czy tym, że się roześmiałaś.

– Wiem. To się nazywa genialne wyczucie chwili, nie sądzisz? Może nie powinienem się śmiać, ale przynajmniej rozładowałem napięcie.

– Ona nie dotknęła tej dziewczynki – myślę na głos, ignorując zadowolony uśmiech na jego twarzy. Mój mąż nie potrzebuje zachęty, żeby obrócić w żart każdą sytuację. – Widziałeś to, prawda? Stały prawie pół metra od siebie. Zauważylibyśmy, gdyby ją popchnęła.

– Szczerze mówiąc, ja niczego nie widziałem – przyznaje Dan z zakłopotaniem. – Zarejestrowałem tylko, że stoją na chodniku, ale nie zwracałem uwagi, co robią.

– Ale przecież powiedziałeś policjantowi...

– Wiem. – Kuli się lekko. – Nie złość się na mnie. Potwierdziłem po prostu twoją wersję. Ta baba była okropna, chciałem cię wesprzeć. Kiedy policjant spisywał moje zeznania, powiedziałem, że widziałem dziewczynki, ale nie zauważyłem, żeby któraś którąś popchnęła. Co jest zgodne z prawdą – dodaje szybko, kiedy otwieram usta. – Nie widziałem żadnego popychania. Ale nie mógłbym również przysiąc, że tego nie zrobiła. Nie przyglądałem im się.

Wracam myślami do tamtej chwili, do tych kilku sekund sprzed zderzenia. Tuż po wypadku nie miałam żadnych wątpliwości, że dziewczęta stały od siebie w pewnej odległości, lecz to było wtedy, kiedy Dan mnie popierał, kiedy potwierdził, że widział to samo co ja. Czy naprawdę mogłabym przysiąc, że nie odwróciłam na sekundę wzroku? Czy zeznałabym w sądzie, że Naomi sama się przewróciła? Próbuję odtworzyć w umyśle ten moment niczym film wideo, ale nie potrafię zobaczyć, co się stało.

– Im, zapomnij o tym. Nikomu nic się nie stało i nie wygląda na to, żeby ta wariatka chciała wnosić pozew przeciwko dziecku. Więc nie psujmy sobie pierwszego wieczoru w nowym domu.

To jest właśnie u niego takie piękne. Omal nie przejechaliśmy dzisiaj dziecka, ale przecież nie powinniśmy psuć sobie wieczoru, prawda? Ma rację, zawsze ma rację. Co dobrego przyjdzie z zadreczania się myśleniem? Nikomu nic się nie stało. Obie matki wróciły do domu z dziećmi i jest to najlepsze zakończenie, jakiego można pragnąć. Więc czemu ta sprawa nie daje mi spokoju?

10

Apel całej szkoły wydaje się doskonałą okazją. Kiedy już podjęła decyzję, kiedy już uporała się w myślach z problemem oszustwa, uznając, że po prostu daje Yasmin największą szansę zdania egzaminu, jaką może mieć, reszta była już prosta. Znacznie prostsza, niż sądziłaby Florence. Wadą dyrektorskich zabezpieczeń jest to, że oni wszyscy właściwie nie wierzą, aby ktokolwiek próbował oszukiwać, więc niewiele uwagi przykładają do wymyślania środków zapobiegawczych. Pragną wierzyć, że oszustwa są niemożliwe – zamknięte szuflady, zapieczętowane dokumenty – a tymczasem trzech nauczycieli ma klucze do szafy z dokumentacją i każdy z nich chętnie pożyczy koleżance klucz do magazynu z zaopatrzeniem, a przecież wiszą one na tym samym kółku. Uczynnemu strażnikowi nie przejdzie nawet przez myśl, że Hannah może zdjąć ten drugi, aby się nim posłużyć kilka dni później. Nawet jeśli zauważą, że zniknął, pomyślą raczej, że odpadł z kółka. Bo przecież żaden nauczyciel w szkole nie kradnie, nie kłamie ani nie oszukuje. Problem z Florence polega na tym, że wolałaby podejrzewać swoich podwładnych o niekompetencję i gapiowatość niż o przebiegłość i kradzież.

Ma co najmniej dwadzieścia minut, zanim skończy się apel i zaczną się normalne lekcje. To wystarczy, żeby pstryknąć zdjęcie egzaminów poprawkowych z matematyki, które jej siostrzenica ma zdawać w przyszłym miesiącu. Yasmin była załamana, kiedy oblała w zeszłym roku. Hannah chce się tylko upewnić, że dziewczyna

powtarza właściwe partie materiału, nie zamierza jej pokazywać konkretnych zadań – to by było niemoralne – wskaże jej tylko odpowiednie działą i równania, które powinna przećwiczyć, a to przecież nie jest tak naprawdę oszustwem. Yasmin ma cztery tygodnie do egzaminu, zdąży się nauczyć, czego trzeba.

Hannah rozgląda się po korytarzu. Nie jest zupełnie pusto, od czasu do czasu wychodzi z klasy jakiś nauczyciel, któremu udało się znaleźć pretekst, żeby się wymigać od apelu, albo z sali wybiega gorączkowo uczeń, który rozpaczliwie potrzebował do łazienki. To nieważne; Hannah nie popełnia przestępstwa, wchodząc do magazynu, a to, co zamierza tam zrobić, zajmie tylko kilka sekund. Nawet gdyby zabłąkało się tu jakieś dziecko, nie zorientuje się, że ona robi coś niewłaściwego – z oczywistych powodów uczniom nie mówi się, gdzie są przechowywane dokumenty egzaminacyjne.

Magazyn jest słabo oświetlony i wygląda jak chlew. Hannah nigdy nawet nie próbowała tu sprzątać, ale zna nauczycieli, którzy spędzali w wakacje całe dni, usiłując zaprowadzić tu jakiś porządek. Na próżno. Ona nie zamierza poświęcać swoich wolnych dni na porządkowanie cudzego bałaganu. Niektórzy nauczyciele są gorsi niż cholerne dzieciaki. Szafa, w której przechowywane są testy egzaminacyjne, stoi w głębi i jest tak niska, że Hannah musi przykucnąć, aby do niej zajrzeć. Mocuje się z cieniutkim kluczykiem, aż w końcu po chwili, która trwa całą wieczność, udaje jej się otworzyć drzwiczki.

Dokumenty w zassanej folii leżą ułożone w porządku alfabetycznym, więc znalezienie partii z poprawką GCSE z matematyki zajmuje kilka sekund. Otwarcie plastikowego opakowania również nie nastęcza problemu – Hannah wyciąga nożyk introligatorski, który ukryła wczoraj w skrzynce z narzędziami za opakowaniem temperówek, i robi wąskie nacięcie w miejscu

zgrzewania folii. Chociaż przekonywała siebie, że wszystko pójdzie jak z płatka, że to tylko proste, dwuminutowe zadanie, serce jej wali jak oszalałe. Uspokój się, do cholery, beszta się w duchu. Co będzie, jak dostaniesz zawału i znajdą cię tu z arkuszem egzaminacyjnym w dłoni? Pozwala sobie na dyskretny uśmiech, kiedy wyciąga jeden z testów i pstryka zdjęcia komórką. Rany, zadania wyglądają na trudniejsze niż na pierwszym egzaminie, całe szczęście, że do nich zajrzała. Yasmin na pewno by nie powtórzyła nawet połowy tego materiału.

Wsusza arkusz z powrotem do plastikowego opakowania i odkłada je na miejsce. Nie przejmuje się nacięciem. Zrobiła je w takim miejscu, że nikt nie zauważy, kiedy będą otwierać dokumenty. Dla pewności zgłosi się na ochotnika do komisji egzaminacyjnej w czasie poprawek i osobiście rozpakuje testy.

Obrzuca spojrzeniem szafę i gratuluje sobie w duchu dobrze wykonanej roboty. Nie ma wyrzutów sumienia; gdyby naprawdę nie chcieli, żeby nikt tu nie zaglądał, zadbaliby o lepsze zabezpieczenia. Prawdopodobnie połowa tych paczek z arkuszami ma nacięcia wykonane przez innych nauczycieli, którzy w nich węszyli. Wrzuca nóż introligatorski do pudełka z narzędziami do plastyki porozstawianymi na podłodze i odwraca się, żeby wrócić do klasy. I wtedy serce podchodzi jej do gardła. W drzwiach stoi w milczeniu Ellie Atkinson.

– Ellie.

Hannah przykleja na twarz sztywny uśmiech przeznaczony dla młodszych dzieci. Ta dziewczyna potrafi przyprawić o gęsią skórkę. Hannah nasłuchiwała się różnych opowieści o tym, jak jej rodzice i brat zginęli w pożarze domu i tylko Ellie wyszła z niego cała. Była w dwóch rodzinach zastępczych, zanim wzięli ją Jeffersonowie, a kobieta z Place2Be, która miała jej pomóc się zaadaptować, odeszła

w tajemniczych okolicznościach zaledwie trzy tygodnie po pierwszym spotkaniu z dziewczynką. To tylko dziecko, powtarza sobie Hannah. Co mi może zrobić?

– Czemu nie jesteś na apelu?

Ellie nie odpowiada, tylko patrzy na nią tym swoim cynicznym wzrokiem, jakby ją taksowała i ocena wypadła bardzo niezadowolająco.

– Powinnaś być na apelu – powtarza Hannah.

Lecz nawet ona słyszy w swoim głosie znacznie mniej pewności. Wydaje jej się, że Ellie mamrocze coś pod nosem.

– Słucham? Co mówiłaś?

Cisza. Ellie ma czekoladowobrązowe oczy, które wydają się bezdenne i teraz świdrują ją na wylot, aż Hannah ma uczucie, jakby wrosła w ziemię.

Nagle w holu wybucha kakofonia głosów. Apel się skończył, uczniowie wysypali się na korytarz i Hannah uwalnia się od tego dziwnego uroku. Prycha z niesmakiem, łapie z półki pierwszą lepszą paczkę i macha nią w stronę dziewczynki.

– Przyszłam po linijki – oznajmia.

Po czym przeciska się obok niej do wyjścia. Ellie odwraca się i wtapia w tłum dzieci, podczas gdy Hannah drżącymi palcami próbuje zamknąć drzwi magazynu.

11

Imogen

– Wyglądasz oszalamiająco.

Dan wydaje ciche gwizdnięcie i szczypie mnie lekko w pośladek. Od kiedy kilka miesięcy temu zwolniono mnie z pracy, mąż widywał mnie jedynie w piżamie albo sportowych legginsach. Co nie znaczy, że uprawiałam jakiś sport; przeciwnie, całe dni spędzałam na kanapie i tylko zmieniałam pozycje, kiedy przynosił mi posiłki. Miło znowu się poczuć jak człowiek.

– Denerwujesz się? – pyta.

– Trochę – przyznaję. – To dziwne uczucie wrócić tu po tylu latach, do tego nowa praca... Tym razem tego nie schrzanię. Nie obawiaj się: to co się stało w Morgan and Astley, więcej się nie powtórzy.

– Nie martwię się o to – mówi Dan, mimo to zauważam na jego twarzy przelotny wyraz ulgi. – Niepokoję się tym, jaki wpływ ma na ciebie to miejsce. Od przyjazdu jesteś dziwnie cicha. Wczoraj przez pół nocy krążyłaś po domu, byle tylko nie położyć się do łóżka w pokoju swojej mamy. Przecież wiesz, że mogliśmy sprzedać ten dom i zostać w Londynie.

– Jak długo? Nie stać nas było na czynsz, od kiedy przestałam pracować. Wykrwawialiśmy się. Trudno żyć ze świadomością, że przeze mnie topnieją nasze skromne oszczędności. Babcia zostawiła mamie ten dom bez długu hipotecznego, teraz należy do nas.

Złożyłam chyba czterdzieści podań o pracę i wszędzie indziej mnie odrzucono. Nie mieliśmy wyboru, wiesz o tym.

– Mieliśmy wybór – prostuje Dan łagodnie.

Wiem, co ma na myśli.

– Nie chcę brać pieniędzy od twoich rodziców – odpowiadam bardziej szorstko, niż zamierzałam, ale Dan tylko wzrusza ramionami.

– Oni nie mieliby nic przeciwko.

– Ale ja bym miała. – Z wielkim wysiłkiem staram się łagodzić głos.

Wiem, że jego rodzice nie mieliby nam tego za złe. Dan jest jedynakiem, więc starali się... ściślej mówiąc, jego mama zawsze bardzo się starała mnie zadowolić, żebym się na nich nie wypięła i nie zabrała ze sobą swoich jajników. Kiedy nas odwiedzają, zawsze przywozi ze sobą kwiaty i wino, a ostatnio przyjechała z wydzierganym piórniczkiem – brzoskwiniową rurą, która wyglądała tak obscenicznie, że kiedy Dan uchwycił moje spojrzenie, musiałam przeprosić i wyjść do kuchni, gdzie popłakałam się ze śmiechu do lodówki.

– Sam powiedziałaś: to ma być nasz nowy początek. Zostawiamy za sobą etap bezrobocia i wynajmowanego mieszkania, na które nie było nas stać, i zaczynamy życie we własnym domu, a ja nową pracę. To dla nas bardzo ważne.

– Dla ciebie – poprawia mnie Dan. – Dla mnie to ty jesteś ważna. Wiem, że nie chcesz rozmawiać o swojej mamie. – Zauważa mój wzrok i podnosi rękę na znak kapitulacji. – W porządku. Znasz mnie, Im, nie chcę cię naciskać, ale mam nadzieję, że pewnego dnia zostawisz za sobą to, co się wydarzyło. Dla dobra naszej rodziny.

Nagle moje usta zamieniają się w pustynię. Kiwam głową i odwracam wzrok.

– Muszę już iść – mówię. – Nie powinnam spóźnić się pierwszego dnia do pracy.

12

W klasie panuje cisza, wszystkie dzieci pracują, więc Hannah wyjmuje iPada – ma co najmniej pół godziny na Facebooka. Może kupić sobie nowe buty, coś na weekend.

Mija zaledwie pięć minut samodzielnej pracy, kiedy Ellie podnosi rękę. Hannah powstrzymuje chęć, aby głośno westchnąć.

– Słucham, Ellie?

– Proszę pani, chciałabym o coś zapytać. W sprawie moralności.

W piersi Hannah wzbiera groza. Czuje się jak zwierzę w potrzasku.

– Słucham.

Dziewczynka uśmiecha się prawie niedostrzegalnie, lecz na widok tego uśmiešku Hannah dostaje gęsiej skórki.

– Chciałam zapytać, co według pani powinna zrobić osoba, która widziała, jak ktoś oszukuje?

Niech to szlag! Wiedziała, że ta mała zauważyła ją w magazynie, ale jak mogła się domyślić, co tam robiła? Chyba że wie, gdzie są przechowywane testy, lecz to mało prawdopodobne. Ellie chodzi dopiero do siódmej klasy; takie rzeczy nie powinny jej nawet interesować. Dla niej Hannah musiała wyglądać, jakby przyszła po zapas przyborów do lekcji.

– Myślę, że powinna się upewnić, czy dobrze widziała.

– Ale uważa pani, że taka osoba powinna o tym komuś powiedzieć?

– naciska dziewczynka. – Na przykład pani dyrektor?

Hannah się krzywi.

– Nie mając dowodu, byłabym ostrożna. Mogłoby to wyglądać, jakby chciała komuś narobić kłopotów. Możesz przyjść do mnie, żeby porozmawiać po lekcjach, jeśli chcesz.

Ellie znowu się uśmiecha, tak samo nieznacznie jak poprzednio.

– Myślę, że to niepotrzebne, proszę pani. Dziękuję bardzo.

13

Imogen

Moje nowe biuro tak bardzo się różni od starego, że równie dobrze mogłoby się mieścić na innej planecie. Duża otwarta przestrzeń z biurkami odgrodzonymi od siebie płytą korkową, sięgającą niewiele ponad głowy siedzących osób, nawet nie próbuje stwarzać złudzenia prywatności. Przy pełnej frekwencji urzęduje tu dwunastu pracowników – tak mnie w każdym razie poinformowano dziś rano – ale większość spędza połowę czasu w terenie, więc sala rzadko jest pełna. Mimo to różnica między tym miejscem a moim dawnym prywatnym gabinetem – elegancko urządzone, a przede wszystkim cichym – jest tak ogromna, że już czuję, jakbym z trudem mogła oddychać. Dzisiaj siedzi tu siedem osób, co wystarcza, by w powietrzu unosił się ciągły gwar rozmów, niczym warkot zepsutej klimatyzacji.

– Dobrze, że nareszcie z nami jesteś.

Lucy dostała zadanie oprowadzenia mnie po firmie, wyjaśnienia najważniejszych spraw i generalnie przeprowadzenia inicjacji w działanie sektora publicznego. Jak dotąd omówiła kwestie składek na herbatę, ciastka i urodziny oraz szafek pracowniczych. Uśmiecha się, kładąc nacisk na słowo „nareszcie”, aby zaznaczyć, że to nie ja jestem adresatem tej złośliwej aluzji.

– Niedługo sama się przekonasz, jak to jest. Po co robić coś w tydzień, skoro można to przeciągnąć na trzy miesiące? Nawet nie zauważyliśmy, że zwolniła się posada, cały miesiąc się ociągali, żeby

dać ogłoszenie. Dlatego porobiły się zaległości – wyjaśnia. – Ale się nie przerażaj – dodaje, spostrzegłszy moją minę. – W sumie nie jest aż tak źle, wszędzie tak wygląda budżetówka. Ostatnio pracowałam w prywatnej firmie, prawda? Nie mam pojęcia, czemu rzuciłaś taką robotę, żeby przejść na państwową posadę.

Chichocze nerwowo, a ja staram się zamienić odruchowy grymas w uśmiech. Czy wszyscy tu są tacy jak ona? Nie przywykłam do takiego jaskrawego rozgraniczenia na „my i oni”. Ani do kolegów, którzy opowiadają ci cały swój życiorys, zanim zdążysz usiąść za biurkiem. Pracowałam w Morgan and Astley sześć lat i naprawdę niewiele wiedziałam o prywatnym życiu moich współpracowników.

Wbijam paznokcie w dłoń między palcem wskazującym a kciukiem, żeby powstrzymać mdłości. Co ja narobiłam? Czy naprawdę porzuciłam błyskotliwą karierę zawodową, by wylądować w takim miejscu? Cały ten pomysł wydaje mi się teraz idiotyczny, jakbym się upiła i nie pamiętała, co robiłam ani dlaczego.

Masz szczęście, że w ogóle dostałaś pracę, mówię sobie, a ta jest bardzo dobra. Place2Be jest wspaniałą instytucją, wspierającą system pomocy psychologicznej w szkołach w całym kraju. Pomaga dzieciom, które naprawdę tego potrzebują, a nie wykolejonej młodzieży z bogatych rodzin. Takiej jak... nie, nie wolno ci o nim myśleć.

– Szafa z artykułami biurowymi jest na korytarzu, obok gabinetu dyrektora. Joy ma klucze, ale są tylko po to, żeby ludzie nie wrzucali tam swoich maneli. Zaraz cię tam zaprowadzę, żeby przygotować ci biurko. Wygląda na to, że po odejściu Em wszystko zostało wyszabrowane. – Patrzy przepraszająco na goły blat pokryty dębowym laminatem z wielkim odpryskiem na rogu i śladem wielkości filiżanki na brzegu.

Moje dawne biurko miało... Nieważne. Teraz należy prawdopodobnie do kogoś innego. Pewnie do Grubego Matta – od lat

ostrzył sobie zęby na mój gabinet. Marszczę mimowolnie brwi na myśl o tłustych pośladkach wycierających mój skórzany fotel i zjełczalym smrodzie ciała wypełniającym gabinet zamiast delikatnych zapachów kadzidełka.

– Później przyjdą informatycy, żeby ci podłączyć komputer – dodaje Lucy.

Jasne, najlepiej zostawić to na ostatnią chwilę, myślę w duchu, ale nic nie mówię. Od kilku tygodni wiedzieli, że dzisiaj zaczynam pracę, ale nie chcę narzekać już pierwszego dnia.

Joy jest życzliwą, uśmiechniętą kobietą, jedną z osób, przy których człowiek natychmiast czuje się lepiej.

– Cześć, kochanie – mówi, kiedy Lucy wprowadza mnie do biura. To dziwne uczucie: przedstawiają cię wszystkim niczym nową uczennicę w szkole. – Miło cię mieć na pokładzie. Czy Lucy dobrze się z tobą obchodziła?

Uśmiecha się przy tym do niej tak ciepło, że czuję się jeszcze bardziej wyobcowana.

– O tak, była kochana, dziękuję – odpowiadam.

– Przyszliśmy po twój tajemny klucz – oznajmia Lucy i Joy robi przerażoną minę. – Nie obawiaj się, nie będziemy nielegalnie zwałować śmieci.

– Nie mam jeszcze czego zwałować. – Uśmiecham się. – Zdaje się, że Emily zabrała wszystko ze sobą – mówię i natychmiast żałuję tych słów, bo zabrzmiało to, jakbym oskarżała swoją poprzedniczkę o kradzież.

Lucy i Joy wymieniają spojrzenia.

– No tak, ale nie możemy już jej za to zwolnić, prawda? – żartuje Joy. – Proszę, oto klucz, weź sobie wszystko co trzeba.

Przez większą część ranka siedzę przy swoim nowym biurku i patrzę, jak informatyk podłącza i odłącza kolejne elementy sprzętu

komputerowego i daremnie usiłuje się zalogować. W pewnej chwili, kiedy mężczyzna odsuwa biurko od ścianki, na podłogę upada fotografia. Podnoszę ją. Zdjęcie przedstawia młodą uśmiechniętą kobietę mniej więcej w moim wieku, obejmującą przystojnego mężczyznę. Odsłonięte ramiona, świeża opalenizna – wyglądają, jakby byli na wakacjach.

– Czy to Emily? – pytam, odwracając się na krześle i pokazując Lucy zdjęcie.

Odwraca się i wyciąga szyję.

– Tak. Ładna, prawda? A to Jamie... odeszła z pracy, żeby za niego wyjść. Prawdziwe ciacho.

– I chyba musi być nadziany, co?

Aż mnie skręca w środku, kiedy słyszę ten plotkarski ton własnego głosu. Rany, pierwszy dzień pracy w państwowej instytucji, a już gadam jak zupełnie inny człowiek.

Zafrapowana Lucy marszczy czoło.

– Nie sądzę. Czemu tak uważasz?

– No bo kto w dzisiejszych czasach rzuca pracę, żeby wyjść za mąż? Chyba że wyprowadziła się do innego miasta.

Lucy kręci głową.

– Nic o tym nie wiem. Szczerze mówiąc, też byłam zdziwiona, ale nawet nie miałam okazji jej zapytać. Zachorowała, poszła na zwolnienie i już nie wróciła. – Zniża głos. – Wszyscy tu tak robią, jeśli szukają nowej pracy. Przez sześć miesięcy dostajemy pełne wynagrodzenie.

Kiwam głową, jakby to było doskonale logiczne, chociaż dawno już porzuciłam próby zrozumienia, jak działają umysły dorosłych ludzi. Dlaczego nie można szukać nowej pracy, chodząc nadal do starej?

– Skąd w takim razie wiesz, że wyszła za mąż?

– Powiedzieli nam ludzie z kadr. Ale to dziwne, bo nie zmieniła nazwiska na Facebooku i wszystkich nas usunęła z grona znajomych. Mam to gdzieś, ale sądziłam, że byłyśmy dobrymi koleżankami, przynajmniej w pracy.

– Wszystko gotowe – oznajmia informatyk, klepiąc pokrywę komputera.

– Dziękuję – odpowiadam i uśmiecham się. – No to chyba czas w końcu wziąć się do pracy.

Spoglądam na zegar – mam pół godziny na przygotowanie się do pierwszego spotkania z moim nowym szefem, więc na razie plotki muszą poczekać.

14

Ellie

W domu panuje nienaturalna cisza i Ellie jest zadowolona. W swoim nowym życiu tak rzadko ma okazję rozkoszować się ciszą, że do tej pory nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo ją kiedyś lubiła. A może nie? Może po prostu teraz wszystko wydaje jej się tak hałaśliwe, jaskrawe i zatłoczone, że nauczyła się cenić spokój.

Jej rodzice zastępczy, Sara i Mark Jeffersonowie, pojechali ze Wstrętnym Bilym na zebranie do szkoły i Ellie została sama z Mary. Mary ma piętnaście lat, więc wolno jej przez kilka godzin opiekować się Ellie, tak przynajmniej twierdzi Sara, chociaż na pewno nie wspomina o tym podczas wizyty pracownika opieki społecznej. Billy jest podstępny i mściwy, a w dodatku uważa, że powinien dostać w szkole najlepszą opinię. Wszyscy oni – Sara, Mark, nauczyciele – są zbyt głupi, żeby go przejrzeć na wylot i zobaczyć, jak się zachowuje, kiedy nikt z dorosłych nie patrzy. Tylko Ellie wie, jaki jest naprawdę, nawet Mary uważa go za nieszkodliwego – zagubionego i smutnego, ale Mary zawsze widzi w ludziach to co najlepsze.

Stuk.

Stuk.

Stuk.

Kiedy słyszy ostre uderzenia o szybę, nie boi się. Najgorsze już ją w życiu spotkało, niełatwo ją przestraszyć. Wyobraża sobie, że to

długie, zakrzywione szpony demona o czarnych ślepiach i ciele pokrytym łuskami brzdąkają rytmicznie w jej okno.

Wpuść mnie, wpuść mnie, mała Ellie, mówi. Wpuść mnie, a zostanę twoim najlepszym przyjacielem. Wpuść mnie, a sprawię, że nikt cię więcej nie skrzywdzi.

Czemu mam ci wierzyć?

A komu innemu możesz zaufać?

Dopiero kiedy słyszy głosy, zdaje sobie sprawę, że to nie pazury demona stukają w szybę, tylko drobne kamyczki. Wstaje z łóżka, podchodzi do okna i uchyla zasłony.

Na chodniku pod latarnią stoi siedem dziewczynek. Jest za ciemno, żeby Ellie mogła je rozpoznać – dopiero od niedawna chodzi do nowej szkoły i właściwie nikogo jeszcze nie zna, ponieważ prawie nikt z nią nie rozmawia. Mimo to wie, że te dziewczyny nie przyszły tu, żeby się z nią zaprzyjaźnić.

Jedna podnosi głowę, zauważa jej twarz w oknie i wyciąga rękę. Ellie słyszy przez szybę jej syczący głos:

– Tam jest! Wiedzma!

Pozostałe równocześnie podnoszą głowy, a druga woła:

– Zejdź na dół, wiedzmo!

I wszystkie wybuchają hałaśliwym śmiechem. Wszystkie poza jedną, która patrzy w okno z kamiennym, nieprzeniknionym obliczem. Teraz Ellie ją rozpoznaje. Naomi Harper. Ze wszystkich dziewcząt, które się tu zebrały, tylko ona sprawia, że przechodzą ją ciarki. W oczach Naomi płonie prawdziwa nikczemność, podobna do tej, jakiej namiastkę widywała u Billy’ego. Nawet z tej odległości Ellie wie, że Naomi przyszła tu, żeby ją skrzywdzić.

Nie zejdzie na dół, nie da im satysfakcji. Lecz co będzie, jeśli one wejdą na górę? Czy Sara i Mark, wychodząc na zebranie, na pewno zamknęli drzwi na klucz?

Naomi zaczyna skandować, z początku cicho, a po chwili coraz głośniej; dołączają do niej inne dziewczęta i wszystkie patrzą w jej okno.

– Raz, dwa, trzy, Ellie ostrzy kły. Cztery, pięć, sześć, lepiej w norę wleźć.

Ellie rozpoznaje rytm i słowa z przerażającego filmu, który oglądała dawno temu, w swoim poprzednim życiu. Jessica George zaprosiła ją kiedyś, żeby u niej przenocowała, i razem wykradły z kolekcji filmów jej taty *Koszmar z ulicy Wiązów*. Nie obejrzały nawet połowy, kiedy Jessica z krzykiem wyciągnęła płytę z odtwarzacza i wyrzuciła ją za okno do ogrodu. Od tej pory minęły całe wieki, tamten strach wydaje się teraz taki dziecinny i niewinny.

Ellie wali dłonią w okno, żeby przestały, a wtedy jedna z dziewczyn zaczyna krzyczeć, jakby ją coś uderzyło. Na ten odgłos ze swojego pokoju wychodzi Mary. Podbiega do okna i wygląda na ulicę.

– Ellie, co tu się dzieje? – pyta, patrząc w dół. – Do kurwy nędzy.

Wypada na korytarz równie szybko, jak się zjawiała, a Ellie zastanawia się, czy wyjdzie na ulicę. Modli się w duchu, żeby Mary nie zrobiła głupstwa w jej obronie. Niech już sobie lepiej te dzieciaki sterczą tu całą noc i śpiewają głupie piosenki, byle Mary nic się nie stało. Jest cztery lata starsza, ale niektóre z tych dziewczyn też nie wyglądają na rówieśniczki Ellie. W dodatku mają przewagę liczebną.

Drzwi jednak się nie otwierają i Mary nie wychodzi na ulicę. Wraca do pokoju z miednicą do zmywania naczyń, z której woda wychlapuje się na dywan.

– Co robisz? – pyta Ellie, patrząc na nią z zaciekawieniem.

– Już one mnie popamiętają – rzuca Mary. – Odechce im się ci dokuczać. Jak nie dostaną nauczki, to nie dadzą ci spokoju przez cały rok.

Stawia chybczącą się miednicę na parapecie, a kiedy uprzytamnia sobie, że nie może jej puścić, żeby otworzyć okno, wskazuje uchwyt głową.

– Otwórz mi.

Ellie szamocze się z klamką i wreszcie otwiera skrzydło najszerszej, jak się da. Jednym szybkim chluśnięciem Mary opróżnia miednicę prosto na stojące na ulicy dzieciaki. Rozlegają się krzyki, jedna z dziewczyn ocieka wodą, inne stoją zachlapane. Mary i Ellie uśmiechają się do siebie zadowolone.

– A teraz spadajcie stąd! – woła Mary przez okno. – Bo wyleję na was coś gorszego, gówniary!

Dziewczyny pierzchają na wszystkie strony i uciekają, wołając przez ramię:

– Wiedźma!

Naomi zatrzymuje się w połowie ulicy i ogląda na otwarte okno, w którym stoi Ellie. Jej twarz nie jest już nieprzenikniona, teraz krzywi się z wściekłości.

– To jeszcze nie koniec, wiedźmo! – wrzeszczy.

Ellie przykłada dłoń do zimnej szyby. Ma uczucie, jakby jej rysy zostały wykute w kamieniu. Patrzy na Naomi Harper i widzi, jak wyraz twarzy dziewczyny zmienia się z prześladowczyni w ofiarę. Oczy jej się rozszerzają, maluje się w nich szok; zatacza się w tył tak samo jak w mieście. Ellie robi ruch do przodu, jakby miała zaatakować, a wtedy Naomi odwraca się i ucieka w ciemność.

Mary kładzie pustą miednicę na podłodze i otacza Ellie ramionami.

– Zachowują się tak okropnie, bo jesteś inna. – Ścisła ją lekko. – Rzadko się odzywasz, a twoja przeszłość skrywa tajemnice. Kiedy ludzie nie znają faktów, zaczynają je wymyślać, a to, co wymyślą, jest dużo bardziej fantastyczne niż prawda.

– Nazywały mnie wiedźmą – mówi Ellie głucho.

Jej głos jest daleki, jakby wychwytywała tylko urywki rozmowy przez zamknięte drzwi.

– Wystarczy, że trafi się jedna wredna wydra – tłumaczy Mary. – Taka jak Naomi Harper. Zacznie rozpuszczać plotki i cała szkoła zamienia się w głuchy telefon. Tak to działa. Banda idiotek. Usłyszały, że przeżyłaś pożar, w którym zginęła cała twoja rodzina. A kto potrafi przetrwać ogień? Czarownice. Tyle im wystarczy, żeby dopowiedzieć sobie niestworzone historie. Są żalosne.

– Są głupie – prycha Ellie. Mówi bardziej do siebie niż do Mary. – Czarownice giną w płomieniach. Palono je na stosach, kiedy nie tonęły.

– Widzisz? Właśnie o to mi chodziło, kiedy mówiłam, że jesteś inna. Zwykle jedenastoletnie dzieci nie opowiadają historii o paleniu ludzi żywcem. Te dziewczyny usłyszały, że przeżyłaś pożar, i skojarzyły to z czarownicami, ale nie mają pojęcia o szczegółach ani o procesach w Salem.

– Mama mi o nich opowiadała – wyjaśnia Ellie. – Mówiła, że wiele lat temu jakaś nasza praprababka spłonęła na stosie. Wieśniacy jej nie ufali, bo leczyła ludzi ziołami. To wystarczyło, żeby ją uznali za czarownicę.

– A ponieważ ty jesteś małomówna i ludzie mało o tobie wiedzą, biorą cię za jedną z nich. – Mary wzrusza ramionami. – Niewiele się zmieniło, prawda?

Ellie zastanawia się nad tym, myśli o kobietach, o których opowiadała jej mama: oskarżonych o czary tylko dlatego, że były inne. Nawet przez chwilę nie sądziła, że dzisiaj ludzie mogą być tacy sami. A tym bardziej, że to ją oskarżą o czary.

Mary głaszcze Ellie po włosach, potem ujmuje ją pod brodę i unosi, aby na nią spojrzeć.

– Nie przejmuj się tym. Może kiedy wrócą do domów przemoczone i przemyślą sobie to, co się dzisiaj wydarzyło, zrozumieją, jakie były głupie. A przynajmniej dowiedzą się, że masz kogoś, kto nie pozwoli cię tak traktować. A jeśli ktoś spróbuje w szkole pisnąć o tym słówko, to osobiście skopię mu tyłek. Nie pozwolę, żeby cię tak traktowały, Ellie. Jesteś teraz moją młodszą siostrą i będę się tobą opiekować.

Ellie próbuje się uśmiechnąć, ale za bardzo kipi w niej gniew.

– Mam nadzieję, że będzie tak, jak powiedziałaś – mamrocze. – W końcu się tym znudzą i upatrzą sobie kogoś innego.

Jeśli wiedzą, co dla nich dobre.

– A jeżeli nadal będą ci się naprzykrzać – dodaje Mary – a mnie nie będzie w pobliżu, postaraj się stawić im czoło. Wiesz, że potrafisz. Potem mi o wszystkim opowiesz i ja zrobię z tym porządek.

– Czy mam powiedzieć Sarze o tym, co się dzisiaj stało?

– Na razie nie. Najpierw spróbujmy uporać się z Naomi same, dobra? Kiedy wtrącają się dorośli, robi się tylko wielki bałagan.

Kiedy Ellie była mała, dostała od mamy potworka-zgryzotka. Miała spisywać na karteczce rzeczy, które ją smuciły, i wkładać mu do buzi, a potem rano wszystkie troski znikają. Szkoda, że nie ma teraz swojego potworka-zgryzotka. Wyobraża sobie, jak jego spiczaste filcowe zęby zamieniają się w lśniące kły, jak zatapiają się w gardło Naomi Harper, a z przekłutego ciała kapie jaskrawoczerwona krew. Wie, że dzisiejszej nocy przyśni jej się Naomi.

15

Imogen

– Bardzo cię przepraszam za spóźnienie, Imogen.

Czekam od dziesięciu minut, kiedy w końcu do sali konferencyjnej wpada Edward Tanners z wysłużonym notatnikiem i kubkiem parującego napoju. Ja nie miałam czasu, żeby kupić sobie coś do picia. Bałam się, że nie znajdę pokoju i spóźnię się na spotkanie, więc wolałam nie ryzykować wchodzenia do bufetu. Muszę przyznać, że Edward wykazuje się spostrzegawczością i zauważa moje spojrzenie.

– Och, chcesz się czegoś napić? Czy ktoś ci pokazał bufet? Przepraszam cię, nie było mnie przez cały rano, od dziewiątej siedzę na kolejnych zebraniach zarządu, nie miałem nawet chwili przerwy. Za to „wyznaczonych celów” mam po dziurki w nosie.

Uśmiecham się grzecznie.

– Niczego mi nie trzeba, dziękuję. Lucy mi wszystko pokazała, informatyk już zainstalował sprzęt i wszystko jest gotowe.

– Chryste, to chyba musiałaś ich zaczarować! Zwykle komputerowiec zjawia się czwartego albo piątego dnia. – Uśmiecha się z lekkim przekąsem. – To dobrze, że Lucy pomaga ci się zagospodarować, będziesz dość ściśle współpracować nie tylko z nią, lecz także z resztą zespołu. Każdy ma tu przydzielane własne sprawy, ale działamy inaczej niż w sektorze prywatnym, cztery osoby wykonują pracę sześciu, a przez jakiś czas była tylko trójka. Musimy być zgraną drużyną i na szczęście jesteśmy.

Tym razem uśmiecha się szczerze, a ja dochodzę do wniosku, że to przynajmniej jest prawdą. Ze wszystkich różnic, do których przyjdzie mi się tu przyzwyczaić, życzliwa i swobodna atmosfera w zespole będzie jedną z przyjemniejszych.

– To super. Już się nie mogę doczekać współpracy z takim zespołem.

– A skoro mowa o pracy... – Edward otwiera swój zeszyt i odnotowuje na górze datę. Ja robię to samo. – Przyjmujemy zgłoszenia od kilku szkół spoza miasta, nie tylko z Lichoty. Ty i Lucy weźmiecie szkoły, a Jemma i Charlie nieprzystosowanych dorosłych, ale przygotuj się, że będziecie się zastępować i wymieniać, kiedy to będzie konieczne. Może być?

– Świetnie. Jak przydzielamy sprawy?

– Co drugi wtorek robimy zebranie, na którym rozdzielamy robotę, a jeśli pojawiają się pilne sytuacje, działamy *ad hoc*, czyli sprawę bierze ktoś, kto jest akurat wolny.

Czyli ten, kto odbierze telefon, domyślam się i kiwam głową.

– Rozumiem. Czy są jakieś szczególne sprawy, które mam przejąć po swojej poprzedniczce?

Edward waha się przez moment.

– Owszem, jest kilka skierowań, których nie udało nam się nigdzie wcisnąć. Prześlę ci szczegóły mailem. Każdy członek zespołu prowadzi własny dziennik, ale zapoznamy cię też z programem do prowadzenia kartoteki, którego używamy, aby wszyscy mogli być na bieżąco, na wypadek gdyby ktoś wygrał w totolotka i nagle wyjechał.

Uśmiecham się; staram się wyglądać na gorliwą pracownicę.

– Przynajmniej nie musicie się martwić, że ucieknę, aby wyjść za mąż. – Podnoszę dłoń. – Mam już męża i wciąż tu jestem.

Edward patrzy na mnie skonsternowany.

– Czemu miałabyś uciekać, aby wyjść za mąż? Nie utrudniamy kobietom zakładania rodzin.

– Och, przepraszam... – Zacinam się. – Zdawało mi się, że z tego powodu odeszła Emily. To był żart...

Edward z zapalem kiwa głową.

– Ach, rozumiem, oczywiście. To trochę dziwne, prawda? Prawie o tym zapomniałem. – Odsuwa się na krzesło. – No tak, przepraszam, że to takie krótkie spotkanie wprowadzające, ale po południu mam kolejne, jedno po drugim. Zbliży się koniec miesiąca – dodaje, jakby to wszystko wyjaśniało. – Tammy z kadr zapozna cię po południu ze wszystkimi nudnymi szczegółami BHP. Zarządziłem, żebyś w tym tygodniu pojechała z Lucy na kilka spotkań, przyślę ci opis tych spraw, żebyś mogła się z nimi zapoznać. W razie dodatkowych pytań lub wątpliwości dzwoń albo wysyłaj maile.

Wstaje, ja również się podnoszę, trochę zaskoczona tak nagłym zakończeniem spotkania.

– Miło cię mieć w zespole. Ogromnie się cieszymy, że dołączył do nas ktoś z takim doświadczeniem i dorobkiem.

– Dziękuję – odpowiadam do jego wychodzących pleców. – Ja też się cieszę, że mogę tu pracować.

16

Imogen

– I jak było? – Dan wręcza mi kubek z herbatą i usadawia się obok mnie na kanapie. – Nikt ci nie nasypał soli do herbaty? Nie zakleił folią deski sedesowej?

Szczerzę do niego zęby.

– To był pierwszy dzień w pracy, a nie w szkole, Dan. Wszyscy byli bardzo mili. – Udaję, że oglądam się przez ramię. – Chyba że przykleili mi na plecach kartkę *Kopnij mnie*, a ja tego nie zauważyłam.

– Zdjąłem ją, jak weszłaś do domu – mówi żartem. – Kiedy tam wisiała, za bardzo mnie kusiło.

Wymierzam mu solidnego kuksańca ręką, w której nie trzymam kubka.

– A co u ciebie? Jak tam „inspirująca zmiana otoczenia”? Napisałeś dzisiaj jakieś bestsellery?

– Dwa. – Wyciąga rękę, kładzie sobie moje stopy na kolanach i zaczyna je masować. Mruczę zadowolona i układam się wygodniej. – Miałaś rację co do tego miejsca, to wzorcowe małe miasteczko.

Krzywię się w duchu, na pewno nigdy nie użyłam słowa „wzorcowe” w odniesieniu do swojego rodzinnego miasta. Przypominam sobie, jak często czułam się tu wyobcowana, ile razy marzyłam, żeby się wyrwać z Lichoty na dobre. A kiedy mi się w końcu udało, coś mnie tu przyciągnęło z powrotem niczym ćmę do płomienia świecy. Powtarzam sobie, że to była konieczność – w końcu

kto by płacił czynsz za wynajmowane mieszkanie, skoro odziedziczył dom na wsi? Teraz jednak zaczynam się zastanawiać, czy nie tkwi w tym coś więcej. Jakaś niezamknięta sprawa.

– I wspaniałe miejsce na założenie rodziny – dodaje Dan, kiedy nie odpowiadam. – Sprawdziałaś, jakie mają ulgi rodzinne dla matek?

– Jasne. – Nie próbuję nawet maskować sarkazmu. – Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, kiedy usiadłam za biurkiem, było wydrukowanie całego kodeksu pracy i podkreślenie na czerwono wszystkich ulg rodzinnych.

– Dobrze już, dobrze, bardzo zabawne.

Dan bierze moją drugą nogę i naciska kciukiem podeszwę. Masaż zmęczonych stóp czyni cuda. Ta przeprowadzka mnie wykończyła. Bóg raczy wiedzieć, jak bym się czuła, gdyby przyszło mi to wszystko robić z całą rodziną na karku. Byłam rano chora ze zdenerwowania i już mi się zamykają oczy, a jest dopiero ósma.

– Może rzeczywiście poczekać ze dwa tygodnie, zanim im opowiesz, jaki wylęg planujesz.

Mówi to niby żartem, ale mnie nagle staje przed oczami przerażający obraz siebie w niechlujnym fartuchu, otoczonej siedmiorgiem czy ośmiorgiem umorusanych paplających dzieciaków, wsadzających sobie nawzajem palce do oczu i szczypiących się w pulchne ciała. Aż wstrząsa mną dreszcz.

– Zimno ci? – pyta Dan, podnosząc się z kanapy. Bije się komicznie w piersi. – Ja rozpalić ogień.

– Nie, dziękuję. Jeśli nie masz nic przeciwko, to dokończę herbatę i położę się do łóżka. Wiesz, jak to jest... pierwszy dzień i tak dalej.

– Oczywiście, rozumiem. – Błyskawicznie reaguje na sygnał. – Chcesz, żebym poszedł z tobą na górę?

Kręcę głową trochę zbyt szybko. Wiem, co Dan ma na myśli, mówiąc o pójściu ze mną na górę, i to nie ma nic wspólnego ze snem.

– Nie dzisiaj, kochanie. Jeśli pójdziesz tak wcześnie spać, to poderwiesz się przed świtem. Wyśpię się porządnie i jutro poczuję się lepiej, gotowa do boju.

17

Ellie

Ellie zamyka oczy i przypomina sobie swój pierwszy pobyt w tym miejscu, dokładnie w tym samym gabinecie. Miała na sobie czyjeś ubranie, które na niej wisiało i przypominało, że na nią nie pasuje, a ona nie pasuje teraz do żadnego miejsca na ziemi. Po pożarze umieszczono ją w ośrodku pomocy społecznej dla dzieci w kryzysowych sytuacjach. Z Francji przyleciała jej babcia i siedziała za tymi drzwiami z napisem *Nie wchodzić*, ale Ellie słyszała każde słowo: „...nieodpowiednie okoliczności dla dziecka... lepiej będzie, jeśli zostanie w swoim kraju... ciocią i wujkiem... już trójkę dzieci...”.

Teraz znowu tu siedzi, tylko tym razem nie jest sama. Tym razem milczą we troje – ona, Billy i Mary – i razem natężają słuch, aby uchwycić jakiś strzępek rozmowy toczącej się za szybą.

– Czy ona powiedziała: „stopy i alkohol”? – pyta Ellie.

Mary krzywi się z powątpiewaniem.

– Nie, to nie ma sensu. – Marszczy brwi i kładzie palec na ustach, żeby uciszyć Ellie, bo głosy znów się odzywają. – Jestem pewna, że to było „sprawa sądowa”.

Ellie przyciska ucho do ściany najmocniej, jak się da bez przeniknięcia jej na wskroś. Oboje z Billym w nieskończoność wypytywali Sarę i Marka o to spotkanie – po co jadą do ośrodka pomocy społecznej, czy to ma jakiś związek z Ellie i jak długo u nich

zostanie. Ale oni milczeli, spoglądali tylko na siebie i od czasu do czasu się uśmiechali.

– Poczekajcie, to zobaczycie – powtarzali.

Mary nie odzywała się ani słowem.

Z sąsiedniego gabinetu wychodzi kobieta.

– Chcecie czegoś do picia? – pyta.

Jest wysoka i szczupła, ma surowe rysy twarzy, ale uśmiecha się szeroko. Przypomina te kobiety, które ze wszystkich sił starają się być miłe, ale zawsze sprawiają wrażenie, jakby wołały być zupełnie gdzie indziej.

– Ja chcę – burczy Billy.

– Nie, dziękuję – odpowiada Ellie.

– Ćśśś – ucisza ich Mary, nie zwracając najmniejszej uwagi na kobietę. – Tak, to była na pewno „sprawa sądowa”. I „sześć miesięcy”. Może zostaniesz u nas na następne pół roku, Ellie, a może... – Kręci głową. – Nie, nie powinnam tego mówić, to okrutne podsycać twoje nadzieje.

– A może chodzi o mnie – wtrąca się Billy. – Może ja tu zostanę. Może twoja mama mnie adoptuje, Mary?

– Nie powinniście podsłuchiwać – upomina ich kobieta, wskazując zamknięte drzwi. – To sprawy dorosłych. Gdyby sobie życzyli, żebyście o nich wiedzieli, wpuszczono by was do środka.

Mary wygląda, jakby chciała uderzyć ją w twarz.

– Tak, a może nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ich decyzja dotyka wszystkich w rodzinie – zauważa, rzucając kobiecie wściekłe spojrzenie. – To zawsze są „rozmowy dorosłych”, „sprawy dorosłych”, tylko że w końcu to dzieci za nie płacą.

Kobieta sprawia wrażenie, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale po namyśle rezygnuje. Poprzestaje na lekkim skinieniu głową, odwraca się i wychodzi, mrużąc pod nosem:

– Lepiej pójdę po picie.

– Co chciałaś powiedzieć, Mary? – pyta Ellie, kiedy kobieta nie może już ich usłyszeć.

– Tylko tyle, że może rozmawiają o zaadoptowaniu cię.

Ellie milczy.

– Chciałabyś tego? – zwraca się do niej Mary. – Chciałabyś na zawsze zostać w naszej rodzinie?

– Ona? – Billy patrzy na nią z niedowierzaniem. – Kto by chciał adoptować takiego odmieńca. Na pewno chodzi o mnie.

Mary rzuca mu takie spojrzenie, że zamyka się, jakby dostał pięścią w usta.

– Ellie?

Dziewczynka wzrusza ramionami. Nie znosi Lichoty, nie znosi szkoły i chodzących do niej dzieciaków, ale kto może zagwarantować, że w innej szkole czy w innym mieście byłoby lepiej? Nie wie, czemu Jeffersonowie mieliby ją adoptować; nie wierzy, że Sara ją lubi, a Markowi chyba jest wszystko jedno, ale przynajmniej żadne z nich nigdy nie było dla niej podłe, a Mark... no cóż, woli, żeby był obojętny niż taki jak ojciec w poprzedniej rodzinie zastępczej, z tymi żarłocznymi, zachłannymi oczami, które śledziły każdy jej krok. Który chodził za nią do łazienki, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje świeżego ręcznika, głaskał ją po buzi, kiedy układał ją do łóżka, i całował na dobranoc.

O tak, mogłaby trafić znacznie gorzej. Jak to mówią? Lepszy znany diabeł niż nieznany. Ellie nie jest pewna, co to znaczy; jej mama powtarzała to za każdym razem, kiedy się pokłóciła z tatą. Generalnie zdaniem Ellie znaczy to tyle, że lepiej zostać tam, gdzie się jest, niż trafić w gorsze miejsce. Poza tym ma przynajmniej Mary. W innej rodzinie może być zdana tylko na siebie. Może trafić do szkoły, w której każą jej jeść robaki, jeśli nie dostanie samych piątek na

klasówkach, albo robić pompki za każde spóźnienie i stać w kącie na jednej nodze, jeśli zapomni pracy domowej. Jedna nauczycielka w starej szkole opowiedziała im o tych okropnościach, kiedy przyszli się poskarżyć, że cała klasa dostała karę, a w jej głosie słychać było wtedy prawdziwą rozkosz.

– Hej, Ziemia do Ellie. – Mary trąca ją lekko łokciem. – Pytałam, czy chciałabyś, żeby moi rodzice cię adoptowali? Chciałabyś zostać u nas na zawsze czy nie? – Bierze ją za rękę. – Byłybyśmy prawdziwymi siostrami.

– Chyba tak – odpowiada Ellie.

Prawda jest taka, że nie wyobraża sobie dorastania w tym dziwnym, obcym miejscu, w otoczeniu tych ludzi, z przybraną siostrą jako jedyną prawdziwą sojuzniczką, ale nie wyobraża sobie również dorastania w żadnym innym miejscu. Jeśli ta próba się nie powiedzie, jeśli Jeffersonowie nie będą chcieli jej zatrzymać, to czy wyślą ją w końcu do Francji, żeby zamieszkała z babcią? Czy może nakłonią ciotkę Pauline, żeby ją przyjęła, i Ellie będzie musiała pojechać do Derbyshire i zamieszkać z trójką okropnych kuzynów – Ikiem, Tristanem i Wagnerem czy jak się tam nazywają, w każdym razie równie głupio. Wyślą ją na lekcje gry na pianinie i zamieni się w rozpuszczonego gnojka – tak przynajmniej wyraził się kiedyś jej tata w rozmowie z mamą, kiedy myśleli, że Ellie nie słyszy: „Te dzieciaki to zepsute małe gnojki”. Nie wyobrażała sobie swojego prawdziwego życia w żadnym z tych miejsc. Jakby mogły to być tylko przelotne, tymczasowe egzystencje, dopóki nie odnajdą jej prawdziwych rodziców. Dopóki jakimś sposobem nie sprowadzą ich z powrotem i będzie mogła na nowo rozpocząć normalne życie z mamą, tatą i swoim małym braciszkiem.

– Och, nie musisz tak skakać z radości – mówi ponuro Mary i puszcza jej rękę. Znudzona i zniecierpliwiona kopie w nogę krzesła. –

Za kilka lat i tak mnie tu nie będzie – dodaje, spoglądając na reakcję Ellie. – Wyniosę się z tego miasta, jak tylko dorosnę, i więcej mnie tu nie zobaczysz.

– I dokąd pojedziesz? – pyta Billy, rzucając w nią zgniecioną ulotką, którą wziął ze stolika.

Mary marszczy czoło.

– Nie twoja sprawa.

– Ale chyba mogłabyś zabrać mnie ze sobą? – mówi Ellie z nadzieją.

Mary wybucha śmiechem.

– A co ja bym z tobą zrobiła? Nie będziesz miała nawet szesnastu lat. Nie mogłabyś pracować, zarabiać na siebie. No i nie skończysz jeszcze szkoły. Nie. – Wpatruje się uważnie w swoje paznokcie. – Nie możesz pojechać ze mną tam, dokąd się wybieram. Ale to nie potrwa długo, tylko jakieś siedem lat, potem sama do mnie przyjedziesz, jeśli będziesz chciała. Sześć, jeśli dorośniesz na tyle, żeby sama o siebie zadbać przed siedemnastką.

– Siedem lat to cała wieczność – jęczy Ellie. – Prawie całe moje życie. Nie wytrzymam tu tyle czasu bez ciebie.

Mary patrzy i wydaje się, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie rozlega się skrzypnięcie i otwierają się drzwi. Billy w mgnieniu oka siada przy stole wyprostowany jak gdyby nigdy nic.

– Podśłuchiwaliście? – pyta Sara, ale w jej głosie nie słyhać gniewu ani nagany. Jest rozpromieniona. – No to co usłyszeliście?

– Nic – przyznaje Mary. – Powiecie nam, co się dzieje?

– Wejdźcie.

Sara zaprasza ich gestem do gabinetu, gdzie za biurkiem siedzi kobieta z opieki społecznej, a na krześle naprzeciwko niej Mark.

– Czy chodzi o Ellie? – pyta Mary.

– Dowiecie się, jeśli zechcecie wejść do środka.

Billy wpada do pokoju i siada na krześle, zanim Mary i Ellie podniosą się z miejsca. Mary ściska ramię Ellie, po czym razem wchodzi do gabinetu.

– Na pewno się zastanawiacie, po co tu przyjechaliście – mówi pracownica opieki społecznej, składając dłonie w piramidkę. Przygląda się całej trójce po kolei. – Mamy dobre wieści dla waszej rodziny.

– Jakie? – pyta niecierpliwie Billy.

Ellie chciałaby, żeby Mary kazała mu się zamknąć. Zastanawia się, czy jej przybrana siostra naprawdę by chciała, żeby na stole leżały gotowe papiery adopcyjne Ellie. Czy aż tak bardzo pragnie, aby zostały rodziną?

– Zamierzaliśmy powiedzieć wam to w domu, ale Sandra uznała, że lepiej będzie, jeśli przekazemy wam tę wiadomość tutaj, na wypadek gdybyście mieli jakieś pytania albo wątpliwości.

Sandra potwierdza skinieniem głowy.

– Wiecie wszyscy, jak bardzo tata i ja chcieliśmy mieć małe dziecko, prawda, Mary?

Ten wstęp zbija Ellie z tropu. Do czego oni zmierzają? Małe dziecko? Czyżby Sara była w ciąży? Mary kiwa głową, ale i na jej twarzy radość ustępuje miejsca oszołomieniu.

– Nadarza nam się okazja, aby wziąć na wychowanie półroczną dziewczynkę. Jeśli wszystko się powiedzie, zamierzamy ją adoptować. Tak więc w naszym domu pojawi się dzidzius. Czy to nie wspaniale?

Sara uśmiecha się promiennie i obie dziewczynki mechanicznie kiwają głowami, lecz Ellie czuje, że coś ją ściska w piersi, jakby nagle spuszczone z niej całe powietrze.

– O tak, cudownie – mówi Billy, marszcząc nos. – Rozkoszne, wrzeszczące, rzygające, brzydkie i pomarszczone niemowlę, którym trzeba się zajmować.

Sara patrzy na niego zaszokowana. Oho, myśli Ellie, Wstrętny Billy pokazał swoje prawdziwe oblicze.

– Myślałam, że już nie będziecie brać więcej dzieci – mówi cicho Mary. – Zdawało mi się, że po Ellie...

Jej matka wyrozumiale przekrzywia głowę.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, skarbie. Ale jeśli adoptujemy to dziecko, to nie będzie już potrzeby brać więcej dzieci na wychowanie. A przecież tego właśnie chcesz, prawda? Stabilnej rodziny.

– A co z Ellie? – wybucha Mary. – Co się z nią stanie? Gdzie będzie jej miejsce w naszej doskonałej rodzinie?

Sara zerka zakłopotana na Marka, szukając u niego pomocy.

– No cóż, Ellie wiedziała, że to tylko tymczasowe rozwiązanie – mówi. – I tak nie wierzę, żeby chciała z nami zostać. – Patrzy na Ellie, żeby ją poparła. – Na pewno ona również pragnie mieć bardziej ustabilizowane życie, rodzinę, która ją adoptuje i zapewni jej troskę i opiekę, na jaką zasługuje.

– No jasne – prychna zjadliwie Mary. – Jestem pewna, że tego właśnie pragnie najbardziej na świecie: żeby ją odsyłano z miejsca na miejsce i nigdzie nie mogła zostać na stałe, wymieniana na jakieś cholerne półrocze bachory. Założę się, że właśnie o takim życiu marzyła.

Oczy Sary robią się okrągłe.

– Nie odsyłamy nikogo z powodu dziecka, Mary. Chyba powinnaś się zastanowić nad swoim zachowaniem. Od dawna rozmawialiśmy o tym, żeby mieć małe dziecko, a Ellie może u nas zostać tak długo, jak będzie trzeba. Mogłabyś przynajmniej udawać, że się cieszysz z powiększenia naszej rodziny. Możesz mieć nową siostrzyczkę.

– No to gdzie jest ta mała gówniara? – pyta Mary, a Ellie słyszy, jak obok niej Billy'ego aż zatyka.

Sara wygląda, jakby miała za chwilę eksplodować.

– Mary! Nie wychowywałam cię po to, żebyś zwracała się w ten sposób do swoich rodziców. A jeśli uważasz, że ujdzie ci to na sucho, ponieważ jesteśmy w towarzystwie, to srodze się mylisz. Dziecko może do nas trafić dopiero za sześć tygodni, ponieważ jest mnóstwo formalności do załatwienia, zanim opuści swoją biologiczną mamę.

Mary patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Sześć tygodni? Przecież my nigdy dotąd nie mieliśmy niemowlęcia! Takie dzieci potrzebują mnóstwa rzeczy. Lola mówiła, że po urodzeniu jej siostry w całym domu było pełno śpiochów, łóżeczek i fotelików, a my niczego takiego nie mamy.

– Te sprawy załatwia się często znacznie szybciej, prawie z dnia na dzień – wtrąca się spokojnie opiekunka społeczna. – Nie jest to idealna sytuacja dla rodzin zastępczych, które nigdy nie wychowywały niemowląt, ale tym razem nie mamy nikogo innego. Niestety, w tej sprawie wszystko działa się w pośpiechu.

– Pod jednym względem na pewno ma pani rację: to nie jest idealna sytuacja. Dla nikogo, a najmniej dla tego dziecka.

18

Imogen

Jest dopiero wczesne popołudnie, a mnie już wszystko boli, a oczy same mi się zamykają. W biurze panuje niezwykły spokój, ale na pewno ktoś by zauważył, gdybym się zdrzemnęła pod biurkiem. Lepiej odłożę tę przyjemność do następnego tygodnia. Tłumię ziewnięcie i otwieram maila, którego Edward przysłał mi po wczorajszym spotkaniu.

**Cześć, Imogen,
mam nadzieję, że się zadomawiasz. Wysyłam Ci sprawy, przy
których pracowała przed odejściem Emily. Jeśli przejrzysz
dokumenty i umówisz spotkania z klientami na tydzień lub
dwa, to będziesz miała zajęcie do najbliższego zebrania
w przyszły wtorek. W razie problemów możesz mnie złapać
przez Skype'a jutro albo w piątek (w pozostałe dni mam
zebrania – brrr!). W pilnych sytuacjach wysyłaj maila –
przeczytam go, stawiając pasjansa na szkoleniu (żart!).
Pozdrawiam
Ted**

Klikam na załącznik i otwiera mi się arkusz Excela, zabezpieczony hasłem. Klnę głośno pod nosem.

– Coś się stało? – pyta Lucy, odwracając się do mnie.

Wskazuję ekran, a ona okręca się z fotelem.

– Edward przysłał mi do przejrzania sprawy, nad którymi pracowała Emily, ale plik jest zabezpieczony – wyjaśniam.

– Och, wszędzie jest „PSYCH#22”. Zdaje się, że to miał być dowcip, aluzja do *Paragrafu 22*, ale chyba nikt tego nie zrozumiał.

Pochyla się, wpisuje hasło i plik się otwiera. Rzuca okiem na listę i twarz jej pochmurnieje.

– Co? O co chodzi? – pytam. Spostrzegam jej minę, którą szybko maskuje i obojętnie przegląda spis. – Dostałam jakąś sprawę, nad którą chciałaś pracować? Mogę się z tobą zamienić, jeśli chcesz.

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Uśmiecha się sztywno. – Myślałam tylko, że kilka weźmie Ted. – Waha się, jakby się zastanawiała, czy powiedzieć to, o czym myśli. – Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, przyjdź najpierw do mnie, dobrze? Pomogę ci wypracować strategię.

Żołądek wywraca mi się do góry nogami.

– Lucy, czy jest coś, co powinnam wiedzieć o tych sprawach?

Potrząsa głową, ale robi to trochę zbyt szybko.

– Ależ nie, głuptasie. Mówiłam ogólnie, gdybyś w ogóle potrzebowała pomocy. Po to tu jestem.

– To zabrzmiało trochę inaczej. – Zniżam głos. – Czy chodzi o coś, co ma związek z odejściem Emily?

Na policzki Lucy występują rumieńce.

– Emily odeszła, żeby wyjść za mąż. Posłuchaj, wiem, że to nudna praca, ale jeśli szukasz tajemnic, to źle trafiłaś.

Odwraca się na krześle do swojego komputera i więcej na mnie nie patrzy.

19

Ellie

Pierwsze tygodnie roku szkolnego w nowej szkole minęły niezbyt przyjemnie, a wypadek z Naomi jeszcze bardziej pogorszył sytuację. Wszyscy już wiedzą, że matka Naomi oskarżyła ją o próbę zamordowania jej córki, i dzieciaki w szkole zaczęły jej unikać. Próbuje nie myśleć o gimnazjum, które właśnie by zaczynała w swoim dawnym życiu, gdzie w długich korytarzach i przestronnych klasach zostały jej koleżanki z podstawówki. W wakacje pozwolono jej spotkać się z kilkoma starymi przyjaciółkami, ale wszystkie skutecznie wypełniły już w swoim życiu lukę, jaką po sobie pozostawiła, i nie odważy się więcej do nich zadzwonić.

– Młode dziewczęta są bardzo odporne – tłumaczyła jej łagodnie Sara. – Szybko się przystosowują do zmian. Nie powinnaś mieć do nich żalu.

Lecz Ellie wcale nie czuje się odporna, raczej otępiała, jakby w miejsce serca włożono jej zgniłego ziemniaka.

Dzisiaj szkolny korytarz tętni życiem, lecz równie dobrze mógłby świecić pustkami, ponieważ i tak nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Zwykle woli pozostawać niezauważona, wędrować po korytarzach niczym duch, przezroczysta i bez znaczenia. Dzisiaj jednak czuje się tak nieszczęśliwa, że oddałaby wszystko, byle ktoś podniósł na nią wzrok, uśmiechnął się, pomachał jej ręką, powiedział „Cześć” i zapytał, jak jej leci. Lecz ona nie pasuje do tej szkoły, do tego

miasta, a myśl o tym, co się wydarzyło dwa dni temu przed domem jej rodziny zastępczej, nie opuszcza jej nawet na krok. Ellie wydaje się, że zauważyła jedną z tamtych dziewcząt przed salą angielskiego, zanim ich wypuszczono po lekcji. Uśmiechała się złośliwie, patrząc na nią przez szybę w drzwiach. Lecz kiedy wyszli na korytarz, dziewczyna znikła, a Ellie zastanawiała się, czy jej się nie przywidziało.

Następną ma historię w maleńkiej klasie pod schodami prowadzącymi do pracowni plastycznej i biblioteki. Nauczyciel od historii jest żywym, niskim mężczyzną, który zawsze nosi za ciasne kamizelki, opinające mu się na brzuchu, i odchrząkuje co dwa słowa. Ale jest miły. W tym semestrze uczą się o faszystowskich Niemczech; niepokoi ją ten temat, ale i fascynuje. Na ścianie wisi wiersz, którego nauczyła się na pamięć; napisał go poeta, którego nazwiska nie potrafi wymówić. Powtarza go teraz w głowie, snując się po korytarzu niczym duch.

*Najpierw przyszli po komunistów, nie protestowałem,
Nie byłem przecież komunistą.*

*Potem przyszli po związkowców, nie protestowałem,
Nie byłem przecież związkowcem.*

*Potem przyszli po Żydów, nie protestowałem,
Nie byłem przecież Żydem.*

*Potem przyszli po mnie, ale nie było już nikogo, kto mógłby
protestować.*

Wiersz jest ostrzeżeniem powieszonym na ścianie, aby wszyscy mogli go przeczytać, ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Jest taki sam jak Ellie – ludzie go widzą i natychmiast wyrzucają z pamięci, jakby nie zasługiwał nawet na chwilę uwagi.

Kiedy podchodzi do drzwi sali historycznej, uświadamia sobie, jak bardzo pragnie, aby ją zauważono. Uważaj, czego pragniesz, Ellie Atkinson.

Przed nią stoi Naomi Harper, zagraadza jej drogę. Zjawia się tak niespodziewanie, że Ellie nie zdążyła jej zauważyć i potyka się o jej nogę.

– Au! – wrzeszczy Naomi, jakby Ellie podpaliła jej włosy. – Zrobiłaś to specjalnie!

– Nieprawda, przepraszam.

Nienawidzi siebie za ten żałosny, błagalny ton, za to, że jęczy jak ostatnia ofiara. Pragnęłaby wrzasnąć na Naomi, żeby się odpierdoliła, i wbić tej małej zdzirze w ramię ostrze cyrkla, który trzyma w dłoni. Ale obiecała Sarze, że będzie się trzymać z dala od kłopotów. Jeśli chce tu zostać, musi mieć czyste ręce.

Naomi zaczyna ją przedrzeźniać – beczy i pociąga nosem.

– „Przepraszam”, „przepraszam” – skamle.

Potem, równie błyskawicznie jak tamtego dnia w sklepie z ubraniami szkolnymi, strąciła z regału tenisówki, chwytając Ellie za rękę i wciąga w ciemną wnękę pod schodami. Klasa jest tylko kilka metrów dalej; gdyby Ellie zaczęła krzyczeć, pan od historii na pewno by ją usłyszał. Właśnie otwierają się drzwi i uczniowie wchodzą do środka, lecz nie patrzą w ich stronę. Ellie szarpie się i wykręca, ale Naomi mocno zaciska dłoń na jej ramieniu. Zresztą napastniczka nie jest tu sama. Brutalnie wpycha ją w objęcia starszej dziewczyny – jednej z tych, które wyrzaskiwały i śpiewały pod oknami jej sypialni. Tamta chwytając ją za nadgarstki i syczy prosto do ucha. Ellie czuje na policzku jej ciepły oddech.

– Cześć, Ellie, pamiętasz nas? – To mówiąc, skinieniem głowy daje znak innej dziewczynie czekającej pod schodami, tej, która kilka

minut temu obserwowala ją w sali do angielskiego. Musiała stać na czatach.

– Spróbuj krzyknąć, a złamię ci ten śliczny nosek.

Na korytarzu nie ma już nikogo, zaczęła się lekcja; Ellie rozpaczliwie pragnie, żeby nauczyciel wyszedł jej poszukać, lecz drzwi pozostają zdradziecko zamknięte.

– Masz przesrane, wiedźmo – szydzi Naomi.

Ellie jest pewna, że ta druga widzi, jak się trzęsie, słyszy, jak wali jej serce, i czuje smród potu, który spływa jej po plecach.

– Wyglądasz, jakbyś się miała zeszczuć.

Trójka dziewcząt rechoce, jakby Naomi powiedziała dowcip tylko dla wtajemniczonych.

– Na co czekasz? – Naomi ogląda się na trzecią współniczkę. – Zaczynaj.

Dziewczyna, która trzyma Ellie za ramiona, ścisza ją mocniej, jakby wiedziała, że to, co ma nastąpić, wywoła jeszcze gwałtowniejsze protesty ofiary. I ma rację. Ellie wierzga i skręca się jak piskorz, ale dziewczyna jest za silna.

– Co wy robicie?!

– Dajemy ci lekcję. Wiesz, co mi mama zrobiła za to, że skłamałam na temat twoich pieprzonych kuglarskich sztuczek w mieście? Dała mi szlaban na dwa tygodnie. Przez ciebie nie będę mogła w sobotę zostać na noc u Tanyi. No, dawaj! – warczy.

Tym razem druga dziewczyna się nie waha. Ellie czuje, jak brutalne dłonie szarpia ją za pasek od spodni, pociągają za gumkę od majtek i po chwili zimna ciecz rozpryskuje jej się na pośladkach, przesiąka przez nogawki i spływa w dół. Z gardła wyrywa jej się pisk; w korytarzu rozchodzi się ostry smród moczu. Dziewczyna ją puszcza i Ellie osuwa się na podłogę, obejmuje ramionami mokre kolana. Oczy pieką ją od łez.

Naomi promienieje triumfalnie. Jej koleżanka wkłada do plastikowej torebki pojemnik po moczu i chowa go do szkolnego plecaka.

– Wstawaj – rozkazuje Naomi.

Z rosnącą paniką Ellie uprzytamnia sobie, że to nie koniec pokuty. Dziewczyny nie pozwolą jej wymknąć się do domu.

– Proszę – chlipie.

Naomi wymierza jej kopniaka w nogę, aż Ellie krzywi się z bólu.

– Wstawaj – rozkazuje.

Ellie nadal się nie rusza, więc starsza dziewczyna chwytą ją za obie ręce, podciąga na nogi i popycha w stronę Naomi.

– Faj! – prychna Naomi i zaczyna rzeć ze śmiechu. – Nie dotykaj mnie tymi zaszczanymi majtkami!

Chwyta Ellie za ramię i ciągnie w stronę sali historycznej. Pozostałe dziewczęta machają na pożegnanie, a tymczasem Naomi otwiera drzwi i wciąga ją za sobą do klasy.

– Przepraszamy za spóźnienie, panie profesorze – mówi grzecznie, kiedy kierują się na nie oczy wszystkich osób obecnych w sali. – Zamierzałyśmy iść do toalety, ale Ellie nie chciała się jeszcze bardziej spóźnić na lekcję, więc powiedziała, że wytrzyma. Och... – Oczy jej się rozszerzają z udawanym zdziwieniem, jakby dopiero teraz zauważyła plamę na spodniach koleżanki. – Chyba jednak nie wytrzymała.

Ellie zaciska oczy. Klasa wybucha grzmiącym śmiechem, po czym salę wypełnia gwar podekscytowanych rozmów i chór okrzyków:

– Zsikała się!

– Obrzydliwe! Rety! Faj!

– O Boże...

Kiedy otwiera oczy, obok niej stoi zakłopotany pan Harris.

– Ellie, idź i doprowadź się do porządku. Dość tego! – wrzeszczy na rozhisteryzowaną klasę.

Naomi dołączyła do koleżanek i śmieje się, trzymając się za nos.

Ellie nie trzeba powtarzać dwa razy, okręca się na pięcie i wybiega z sali; serce wali jej w piersi jak wściekły werbel.

20

Imogen

W biurze robi się ciemno. Ponieważ jestem sama, tylko ja mogę, poruszając się, uruchamiać czujniki światła, więc w całej sali pali się tylko żarówka nad moim biurkiem. Od kilku godzin ślęczę nad raportami ze spraw: niektóre historie wyssały mój czas niczym gąbka. Tyle skrzywdzonych dzieci, a prawdopodobnie znacznie więcej jest takich, o których nie wiemy. W poprzedniej firmie pracowałam jako psycholog dziecięcy w środowiskach ludzi uprzywilejowanych; przez mój gabinet przewijały się dziesiątki rozpieszczonych księżniczek i rozkapryszonych maminsynków, w ślad za którymi wiernie podążały matki, jakby żywcem wyjęte z katalogu Boden – o starannie ufryzowanych włosach, w ciuchach w marynarskie paski, bezrękawnikach i skórzanych brązowych butach do połowy łydki. Za każdym razem, kiedy zobaczyłam na skierowaniu imię Portia lub Sebastian, wiedziałam, czego się spodziewać. Aż do ostatniego przypadku. Brałiśmy pewną ilość spraw *pro bono* i moja ostatnia bardzo przypominała te, na które teraz patrzę. To była moja jedyna szansa, aby pomóc dziecku, które naprawdę tego potrzebowało. I wszystko potoczyło się fatalnie. Tym razem do tego nie dopuszczę.

Spoglądam ponownie na maila z listą spraw, które przydzielił mi Edward. Jedna wyróżnia się wśród nich już na pierwszy rzut oka. Nazwisko i wiek pasują do dziewczynki, która rzekomo wypchnęła koleżankę na ulicę, kiedy tu przyjechaliśmy.

Ellie Atkinson. Jedenaście lat, obecnie – po śmierci rodziny, która zginęła w pożarze domu – w rodzinie zastępczej. Pamiętam przestraszony i niepewny wyraz twarzy jej opiekunki. Matki, z którymi miałam w przeszłości do czynienia, zawsze broniły swoich dzieci, gotowe skoczyć do oczu każdemu, kto ośmielił się sugerować, że ich najdroższy Tyler czy słodka Isabelle może być nad wiek rozwiniętym bezczelnym gówniarzem. Ta kobieta była inna; nie chciała albo nie umiała zamanifestować swojego stanowiska.

Otwieram plik ze sprawą, którą Emily rozpoczęła kilka miesięcy temu. Szkoła stanęła na wysokości zadania; zadzwonili do Place2Be, gdy tylko się dowiedzieli, że Ellie przyjdzie do nich po wakacjach. Emily trzykrotnie zabrała dziewczynkę na rekonesans do gimnazjum w Lichocie i wydaje się, że wizyty poszły dobrze. Kilkakrotnie spotkała się z jej rodziną zastępczą i odnotowała, że Ellie zaadoptowała się „na tyle, na ile można było tego oczekiwać”. Sara i Mark Jeffersonowie wyrazili troskę o to, że dziewczynka jest milcząca i zamknięta w sobie, i martwili się, że doszło do kilku gniewnych wybuchów w następstwie kłótni z innymi dziećmi znajdującymi się pod ich opieką. Emily zanotowała, żeby zapytać Ellie o jej stosunki z chłopcem o imieniu Billy, ale nie wpisała wyniku rozmowy.

Więc jakim sposobem Ellie Atkinson ewoluowała od milczącej i zamkniętej w sobie dziewczynki do zwyrodnialca oskarżonego o próbę zamordowania koleżanki na ulicy? Już wiem, że wezmę się za tę sprawę w pierwszej kolejności. W końcu czemu nie? Dobra jak każda inna, żeby wyjść z biura, prawda? Oczywiście, że nie ma nic wspólnego z tym, co gadała ta stara dziwaczka we frytkarni, ani z udręczonym wyrazem na twarzy dziewczynki. Czy to jest dziecko, dla którego mogę zrobić coś dobrego? Czy Ellie Atkinson jest moim odkupieniem? Klikam na zakładkę „Kontakty” i zapisuję sobie telefon do dyrektorki, Florence Maxwell. O kurczę, dwadzieścia lat temu

Florence Maxwell była świeżo upieczoną, dwudziestokilkuletnią nauczycielką wuefu, zawsze promiennie uśmiechniętą, jakby nakłanianie trzydziścioro nachmurzonych nastolatków do polubienia siatkówki było najwspanialszą rzeczą w jej życiu. Teraz kieruje szkołą, a ja, podnosząc słuchawkę, zastanawiam się, czy nadal się tak promiennie uśmiecha.

21

Ellie

Po incydencie z Naomi Ellie nie wróciła do szkoły. Pobiegnęła prosto do domu Jeffersonów, odczekała, aż Sara zajmie się czymś w gabinecie – pewnie zamawianiem kolejnych niemowlęcych śmieci – i jak najciszej wśliznęła się domu tylnym wejściem. Przebrała się w czyste spodnie, stare włożyła do plastikowej torby z supermarketu i wcisnęła za łóżko. Szybko psiknęła się dezodorantem, po czym zeszła na dół, aby ponownie wejść do domu, tym razem robiąc dużo hałasu. Kiedy Sara wyszła zobaczyć, co się stało, że jej podopieczna tak wcześnie wróciła ze szkoły, Ellie wybuchła płaczem. Nie miała tego w planie, po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, piekł ją pod powiekami obraz śmiejących się i szydzących dzieciaków.

Mary oczywiście o wszystkim słyszała, chociaż nie miała pojęcia, co się naprawdę wydarzyło. Wszyscy w szkole wiedzieli tyle, że Ellie Atkinson jest siusiumajtką.

– Och, Ellie! – zawołała po powrocie do domu i porwała ją w takie czułe, macierzyńskie objęcia, że dziewczynka znów wybuchła płaczem. – Za kilka dni wszyscy o tym zapomną.

Obie jednak wiedziały, że to nieprawda. Takie zdarzenia działają jak kokaina na gnojki, którzy lubią się znęcać nad innymi, a przecież robienie w majtki bawi nawet zwyczajne, miłe dzieciaki.

Ellie oznajmiła, że już nigdy nie wróci do szkoły, że opowie Sarze, co się stało, i będą musieli jej znaleźć nową szkołę, a jeśli nie, to poprosi o nową rodzinę zastępczą.

Mary ścisnęła ją za ramię.

– Och, El, naprawdę myślisz, że pomoc społeczna nie ma co robić, tylko wozić cię po całym kraju, aż znajdziesz szkołę, w której zostaniesz gwiazdą towarzystwa? Nie chcę być dla ciebie podła – dodaje szybko, widząc, że twarz dziewczynki tężeje – ale co będzie, jeśli to samo powtórzy się gdzie indziej? Znajdziesz się dokładnie w takiej samej sytuacji jak teraz, tylko beze mnie. Nie, musisz tam pójść z wysoko uniesioną głową, a jeśli ktoś coś powie, to po prostu nie zwracaj na niego uwagi. Słyszysz? Żadnego uciekania ani szlochów. Rzucisz coś błyskotliwego, jeśli przyjdzie ci do głowy, chociaż trudno wymyślić coś, na poczekaniu, ale musisz wywalczyć sobie drogę powrotną, nawet jeśli będziesz musiała ich po prostu zignorować i przeżyć tak do końca semestru. Dzieciaki nie znoszą, kiedy nie zwraca się na nich uwagi, wkurza ich to jak diabli, nudzą się i rezygnują. Musisz im pokazać, że cię to nie obchodzi, Ellie. Musisz stawić im czoło.

Te cztery słowa – *Musisz stawić im czoło* – nie odstępują jej tego dnia w szkole. To dzień PHSE¹ i chociaż Ellie nie ma nawet pojęcia, co to znaczy – i nie bardzo jej zależy, żeby się dowiedzieć – włożyła mnóstwo wysiłku w swoją pracę na temat „Nasze zwierzątka domowe”. Dawna Ellie byłaby z niej naprawdę dumna. Niosąc swój arkusz A2, uśmiecha się najszerszej, jak potrafi, tak jak ją pouczała Mary, i nie zważa na chichoty i uśmieszki kolegów z klasy. Przekonała się, że potrafi całkiem skutecznie nie dopuszczać do siebie rzuconych

szeptem docinków – od dłuższego czasu odcinała się w ten sposób od prawdziwego życia.

– Przygotowałam... – Chociaż własny głos dźwięczy jej w głowie głośnie i wyraźnie, wydobywa się z ust niczym skrzek. Kilku uczniów znowu zaczyna chichotać. Ellie odchrząkuje, nie dlatego, żeby miała coś w gardle, lecz ponieważ widziała, jak robią to dorośli, kiedy mają wygłosić ważną mowę. – Przygotowałam pracę o pająkach – oznajmia. – Wbrew temu, co uważa wielu ludzi, pająki nie są owadami, lecz pajęczakami. Na świecie żyje około trzydziestu ośmiu tysięcy gatunków pajaków, ale naukowcy...

Nauczycielka, pani Gilbert, uśmiecha się do niej, ale jest to uśmiech napięty i powściągliwy, taki, który wielu dorosłych uważa za wyraz cierpliwości, ale tak naprawdę wygląda, jakby mieli zaparcie. Pani Gilbert jej nienawidzi. W przeciwieństwie do wielu dzieci, które świeżo opuściły opiekuńcze środowisko szkoły podstawowej i mają podobne odczucia, Ellie po prostu wie, że tak jest. I wzajemnie jej nie znosi. Hannah Gilbert kłamie i oszukuje.

– To bardzo interesujące, Ellie – mówi, jak gdyby jej wiadomości o pająkach były najmniej interesującą rzeczą na świecie. – Ale pająki nie są zwierzętami domowymi, prawda?

– Są. Dużo ludzi hoduje pająki. Jedna dziewczynka w mojej poprzedniej szkole miała...

– Ale to nie są zwyczajne zwierzątka domowe. Nie są naszymi pupilami.

Wtedy odzywa się chłopiec siedzący na końcu klasy. Ellie nie pamięta jego imienia.

– Właśnie że są, proszę pani. Mój brat hoduje pająka i uważa go za swojego pupila. Jest czadowy!

Policzki pani Gilbert pokrywają się rumieńcem.

– Możliwe, Harry, ale pająki, o których mowa w tej pracy – wskazuje arkusz Ellie – są zwykłymi, powszechnie spotykanymi gatunkami i nie trzymałbyś ich jako zwierząt domowych, prawda? Uciekłyby z klatki.

W sali rozlegają się chichoty. Ellie czerwienieje na twarzy; szyja aż ją piecze.

– Mam też inne zdjęcia...

– Bardzo dobrze, Ellie. Przejdźmy do następnej pracy. Och, dzięki Bogu, Emma ma papugi, przynajmniej jakieś normalne zwierzątka. Już myślałam, że nikt w klasie nie zrozumiał prostego polecenia.

Ellie siada na miejscu z uczuciem, jakby z jej piersi uszło powietrze niczym z przekłutego balonu. Tak bardzo się starała, żeby przygotować tę pracę, i wszystko na próżno.

Słyszy słowa Mary, tak wyraźnie, jakby siedziała obok niej. *Musisz wywalczyć sobie drogę powrotną. Musisz stawić im czoło.* Przypomina jej się tamten dzień w mieście – kiedy wypchnęła Naomi Harper na ulicę samym życzeniem, aby od niej odeszła, i wie, że jej siostra ma rację. Musi walczyć.

22

Imogen

Aż mi dech zapiera na widok domu Pammy, który przerobiono ze starej stodoły stojącej na peryferiach Lichoty, tak daleko, że właściwie trudno to miejsce uważać za część miasta. Czy to był Pammy pomysł na ucieczkę? Czy to tylko ja widzę Lichotę w ten sposób?

Drzwi się otwierają i w progu staje Pammy w legginsach i workowatym T-shircie, ze ściereczką w dłoni. Wygląda wspaniale. Na widok jej lśniących jasnych włosów ze świeżo zrobionymi pasemkami zakłopotana podnoszę dłoń do swojej mysioszarej szopy i ze wstydem uprzytamniam sobie, jak bardzo się zaniedbałam.

– Immy! – Skacze przez próg i zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku. – Już się zastanawiałam, kiedy się w końcu wybierzesz, żeby mnie odwiedzić. Ależ cudownie wyglądasz!

Cofam się, nieco przytłoczona jej reakcją. Widziałyśmy się kilka miesięcy temu, wkrótce po śmierci mojej matki. Pammy przyjechała do Londynu, żeby mnie wesprzeć. Była jedyną osobą, która знаła skomplikowane stosunki między mną i mamą, i jej obecność znaczyła dla mnie więcej, niż Pammy mogła się domyślać. Naturalnie doszła do wniosku, że to z powodu żałoby byłam w takim fatalnym stanie; nie miała pojęcia o moim załamaniu i jego przyczynach. Zapewne w porównaniu z tamtą Imogen ta dzisiejsza rzeczywiście wygląda znacznie lepiej.

– Nieprawda – mówię ze śmiechem, kiedy odsuwa się, żeby mnie wpuścić do środka. – Nie musisz przede mną udawać. Nie bez powodu od lat nie opublikowałam żadnego zdjęcia na Facebooku.

– Ja uważam, że wyglądasz świetnie, zwłaszcza jeśli zważy się wszystkie okoliczności. Jak się czujesz?

– Doskonale, dzięki. – Rozglądam się i szybko zmieniam temat. Wiem, że spodziewa się rozmowy o mojej mamie. – Ależ tu przepięknie! Chociaż nigdy nie brałaś pod uwagę, że możesz zostać na stałe w Lichocie.

– Ha! Nigdy też nie przypuszczałam, że wyjdę za mąż za Richarda Lewisa. – Uśmiecha się szeroko. – Pamiętasz, jak go nie znosiłam?

– Kutas bez kutasa?

Nie mogę się powstrzymać i odpowiadam takim samym szerokim uśmiechem. Z Pammy wszystko było zawsze takie proste. Jak to mówią o przyjaciółkach? To ktoś, kto wie o tobie wszystko i nadal cię lubi. Chociaż ona od pewnego czasu nie wie o mnie wszystkiego. Kiedyś jej opowiem o tym, co wydarzyło się w Londynie; dobrze będzie mieć kogoś poza Danem, z kim mogłabym o tym porozmawiać, a wiem, że poczuję ogromną ulgę, kiedy zrzucę z piersi ten ciężar. Ale dzisiaj nie po to tu przyszłam, dzisiaj muszę z kimś pogadać o czymś innym, zanim do reszty oszaleję.

– Chodź, naleję ci wina – mówi Pammy, prowadząc mnie przez wielki, biały hol.

Teraz. Powiedz jej to teraz!

– Co u Dana? – pyta.

Dan i Pammy spotkali się tylko kilka razy i ucieszyło mnie, że się polubili. Mam nadzieję, że odświeżymy naszą przyjaźń; nie mówię o tej znajomości na odległość, którą uprawiałyśmy do tej pory, rozmawiając ze sobą tylko wtedy, gdy druga osoba znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tak naprawdę nie znam

doroślego Richarda – muszę pamiętać, żeby nie usłyszał, jak nazywam go Bezkutasem – ale skoro Pammy jest z nim dobrze, to ja i Dan też się z nim dogadamy.

– Jest kochany, zachowuje się jak dzieciak przeżywający przygody na wielkiej eskapadzie. To mieszcuch do szpiku kości, dla kogoś takiego jak on przeprowadzka do Lichoty przypomina historie z książek Enid Blyton, chociaż przysięgał, że żadnej nie czytał.

Pammy otwiera drzwi wielkiej srebrnej lodówki, a ja z tęsknotą myślę o naszej londyńskiej skarbonce Smeg z kostkarką do lodu w drzwiach.

– Nie jestem pewna, czy naprawdę do niego dociera, że przyjechaliśmy zamieszkać tu na stałe. Nadal zdarza mu się łąpać do ręki telefon, żeby ustawić centralne ogrzewanie.

Moja przyjaciółka wybucha śmiechem.

– Szczerze mówiąc, dziwię się, że ten wasz dom ma w ogóle centralne ogrzewanie. Naprawdę chcesz tu zostać na stałe? To niemała rewolucja w porównaniu z penthouse'em.

Trącam ją w ramię.

– To nie był żaden penthouse i w dodatku nie nasz. Tyle pieniędzy i nawet nie ma się czym pochwalić. Ale pomieszkamy jakiś czas w domu babci Tandy, spróbujemy go trochę odpacykować przed sprzedażą.

Pammy pytająco pokazuje mi kieliszek do wina. Potrząsam głową.

– Nie, dzięki, dla mnie to trochę za wcześnie.

Wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. Już chyba piąta. – Nalewa sobie do pełna. – Wstawić wodę na herbatę?

– Ja to zrobię.

Napełniam przezroczysty futurystyczny czajnik.

– Nadal usiłuje cię namówić do założenia domowego przedszkola?
– pyta Pammy.

– Tak. Brakuje mi już dowcipnych replik. Doszło do tego, że odkręcam kran na cały regulator, wyjmując tabletkę z listka.

Pammy wciąga powietrze przez zęby.

– „Jakąż zawikłaną tkamy pajęczynę”.

Siada przy stoliku kuchennym i gestem zachęca mnie, żebym poszła za jej przykładem.

– Nie pozwól mu rozmawiać z Richardem – radzi. – Naopowiada mu o luźnych spodniach i chłodnych kąpielach. – Uśmiecha się, widząc moje uniesione brwi. – Żeby dbać o plemniki. Mają tylko jedno zadanie, ale okazuje się, że są trochę jak mężczyźni: muszą mieć idealne warunki, bo inaczej ni chuja.

Patrzę na nią ze współczuciem.

– Więc nadal u was nie działa?

– Nie. – Krzywi się. – Za niskie zagęszczenie plemników.

Nie wiem, czy to dlatego, że czuję się trochę jak nastolatka siedząca z najlepszą przyjaciółką, czy podziałał tak na mnie sposób, w jaki to powiedziała, w każdym razie wymyka mi się niekontrolowane parsknięcie, a chwilę potem rumienię się ze wstydu.

– Ojej, Pammy, przepraszam.

– Śmieje się, zarazo. – Szczerzy zęby i ciska we mnie zwiniętym kawałkiem ręcznika papierowego. – Richard jest ogromnie czuły na punkcie swoich osłabionych pływaków.

– Przepraszam, Pam, ja się nie śmiałam, ja tylko...

– Och, nie musisz przeproszać – mówi ze śmiechem. – Nie możemy nawet wymówić słowa „sperma”, żeby się nie pokłócić. To okropne. Nawet nie wiem, czy któreś z nas tak bardzo chciało mieć dzieci, dopóki się nie dowiedzieliśmy, że nie możemy ich mieć. Teraz nawet temat cudzych potomków wywołuje awanturę.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Myśl o tym, co we mnie rośnie, piecze jak grzeszny sekret. Jak mogłabym odmówić Danowi rodziny, wiedząc, że są tacy ludzie jak Pammy i Richard, którzy pragną ją mieć, a nie mogą. Powtarzałam sobie w nieskończoność, że mam na względzie dobro dziecka – wiem z doświadczenia, co to znaczy czuć się niechcianą i niekochaną. Bo jeśli będę dla mojego dziecka taka sama jak moja mama dla mnie? Czekać i mieć nadzieję? Trudno to uznać za idealne rozwiązanie.

– Hej, a co u ciebie? – Pammy pochyła się i dotyka mojej dłoni. – U was z Danem wszystko w porządku, prawda?

– Tak, w porządku. – Czuję, jak zbiera mi się na płacz. Przeklęte hormony; nigdy przedtem nie byłam taka uczuciowa. – Chodzi o to, że...

Wzdycham. W świetle tego, co mi przed chwilą wyznała moja przyjaciółka, to jest ostatnia rzecz, jaką chciałabym powiedzieć. Ale muszę się z kimś podzielić tą wiadomością. Słowa we mnie wzbierają, mam wrażenie, że się udławiam, jeśli ich z siebie nie wyrzucę.

– Jestem w ciąży – oznajmiam.

– O w mordę jeża! – woła Pammy. – Ale wszystko w porządku?

Jej pytanie działa jak zamek śluzy, która zwalnia tamę dla łez. Tłumiłam je od rana, od kiedy zrobiłam próbę ciążową. Jak mogłam być taka głupia? Brałam tabletkę z nabożną skrupulatnością każdego wieczoru, ale kilka tygodni temu złapałam jakiś wirus pokarmowy, a przecież nie mogłam poprosić Dana o dodatkowe zabezpieczenie. Jak by to wyglądało, skoro podobno mamy w planach dziecko?

– Nie – odpowiadam szeptem. – Raczej nie.

Pammy otacza mnie ramionami, a ja wreszcie wybucham płaczem. Kiedy zaczynam chrypieć, odsuwam się i wycieram oczy w rękaw.

– Przepraszam – mówię, kiedy Pammy wstaje, żeby ponownie włączyć czajnik. – Przed chwilą mi powiedziałaś, jak bardzo chcecie

mieć z Richardem dziecko, a ja ryczę ci w rękaw, że mam wpadkę. Pewnie żałujesz, że tu wróciłam.

– Nie bądź głupia. – Zaparza herbatę i stawia przede mną kubek. – Bezkofeinowa, z dwiema łyżeczkami cukru. Każdy ma swoje problemy. Moje nie umniejszają twoich. Zastanawiałaś się już, co zrobisz?

– Dopiero dzisiaj rano się dowiedziałam. To najwyżej kilka tygodni. Ciągłe kręciło mi się w głowie i bez powodu robiło mi się niedobrze. Składałam to na stres z powodu przeprowadzki. Po drodze prawie mieliśmy wypadek... – Machnięciem ręki zbywam jej zaniepokojoną minę. – Nic się nie stało, ale kiedy zrobiło mi się słabo, uznałam, że to skutek szoku. W końcu kilka dni temu zdałam sobie sprawę, że nie dostałam okresu. No i dzisiaj zebrałam się na odwagę, żeby zrobić próbę.

Pammy bierze mnie za rękę i czuję ciepło płynące z jej ciała. Jak to dobrze, że mam się przed kim wygadać. Przez cały ranek odchodziłam od zmysłów, podczas gdy Dan stukał na swoim laptopie, nieświadomy tego, co się właśnie stało i co odmieni nasze życie. W czasie tworzenia pierwszego szkicu zwykle nie wie nawet, jaki jest dzień tygodnia. Kiedy zawołałam, że idę odwiedzić Pammy, wydawał się zaskoczony, że nie jestem w pracy.

– To pewnie głupie pytanie, ale czy powiedziałaś już Danowi?

Wybucham śmiechem.

– Masz rację, to głupie pytanie. Gdybym mu powiedziała, nie wyściubiłabym nosa ze zwojów folii bąbelkowej. – Upijam łyk herbaty i wykrzywiam twarz. – Naprawdę tak smakuje herbata bezkofeinowa? Czy kobieta nie może już dostać normalnej herbaty, bo jest w ciąży? Przeklęty pętał nie ma nawet dziesięciu tygodni, a ja już muszę ponosić ofiary.

– Czy to ci czegoś nie mówi?

– Nie – odpowiadam stanowczo. – Niczego mi to nie mówi. Wiem tylko, że mam w zanadrzu wiadomość, na którą mój mąż czekał ponad rok, jedyną rzecz, która uczyni mojego ukochanego mężczyznę najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, a wolałabym wbić sobie szpilki w oczy, niż mu o tym powiedzieć.

– Ale przecież nie możesz się pozbyć tego dziecka. To by mu złamało serce.

– Nawet by się o tym nie dowiedział – mówię cicho. – Jeśli zdecyduję się usunąć ciążę, Dan nie będzie mógł się o tym dowiedzieć nigdy w życiu. To by mu złamało serce i obawiam się, że nasze małżeństwo by tego nie przetrwało. Przepraszam, Pam, czuję się okropnie, mówiąc tak otwarcie o aborcji komuś, kto rozpaczliwie pragnie mieć dziecko, ale nikomu innemu nie mogę się zwierzyć. Wiem, że to brzmi samolubnie, i pewnie tak jest naprawdę.

– A jeśli go okłamiesz i usuniesz ciążę, to będziesz mogła z tym żyć? Czy twoje małżeństwo przetrwa taką tajemnicę?

– Nie wiem. – Wzdycham. – A jeśli urodzę dziecko, którego nie chcę, tylko po to, żeby zadowolić męża? Czy nasze małżeństwo przetrwa coś takiego? Mam wrażenie, że bez względu na to, co zrobię, i tak jesteśmy skazani na przegraną. Tajemnica przynajmniej nie zmarnuje życia jakiemuś biednemu dziecku.

– Na tym polega twój problem, Im. Masz obsesję, że nie będziesz doskonałą mamą. Nikt nie jest doskonałym rodzicem. Każdy popełnia błędy, traci cierpliwość, mówi rzeczy, których nie chce powiedzieć, i nieuchronnie wypacza charakter swoich dzieci. Ale pomyśl, co by się stało, gdyby wszyscy ludzie z tego powodu postanowili nie mieć dzieci? W jednym pokoleniu cała ludzkość by wymarła.

– Większość ludzi nie ma genetycznej skłonności do krzywdzenia swojego potomstwa – protestuję. – Większość ludzi nie...

– Bla, bla, bla, dzieciństwo, bla, bla, bla, zaniedbująca matka, bla, bla, bla, złe geny... – Pammy wygląda, jakby sama miała się za chwilę rozplakać. – Zrozum wreszcie, że nie jesteś swoją matką. Dokonujesz własnych wyborów i jeśli postanowisz, że będziesz kochać swoje dziecko, i zrobisz co w twojej mocy, to będziesz wystarczająco dobrym rodzicem. Nikt nie może zrobić więcej. Mamy być wystarczająco dobrzy, nie doskonali.

– Skąd możesz wiedzieć, jaką bym była matką? – wybucham i natychmiast tego żałuję.

Ale ona naprawdę nie wie, jaka byłaby ze mnie matka, jakie niebezpieczeństwo mogłabym przedstawiać. Ostatnie dziecko, które próbowałam chronić, nie żyje.

23

Imogen

Szkoła pachnie dokładnie tak samo jak dwadzieścia pięć lat temu i gdy tylko przekraczam próg, jej nieokreślony zapach dotyka we mnie jakiegoś czułego punktu. Jak to możliwe, żeby przez dziesiątki lat utrzymywała się w murach ta sama woń? Stare dywany wymieniono na nowe, ściany świeżo odmalowano, a mimo to lęk oraz poczucie niższości, którymi napawały mnie zawsze te długie korytarze, pozostały nietknięte. W mgnieniu oka zamieniam się w jedenastoletnią dziewczynkę, która wędrowała tu codziennie z klasy do klasy.

Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś przejdę przez te drzwi. Reakcja jest taka fizyczna – jakby wyssano stąd nagle całe powietrze. Mam uczucie, jakbym pływała w melasie.

Oddaję długopis sekretarce, lecz ona prawie nie podnosi na mnie wzroku, tylko rzuca:

- Po schodach na górę i w lewo.
- Wiem. Uczyłam się tu.

Uśmiecham się, ale niepotrzebnie, bo pulchna siwowłosa kobieta za szybą odwróciła się już z powrotem do swojego komputera.

To też jest tu nowe, ten bankowy system ochrony, który odgradza pracowników od konieczności kontaktu z odwiedzającymi, chociaż to akurat doskonale rozumiem. Otoczenie szkoły zmieniło się od czasów mojego dzieciństwa; wszystkie unowocześnienia mają na celu

zwiększenie bezpieczeństwa na wypadek najgorszego. To ciągle memento, że świat, w którym żyjemy, nieustannie ewoluuje ku lepszemu lub gorszemu.

Wbiegając po dwa stopnie naraz, dławie w piersi wzbierającą grozę. Nie bądź śmieszna, powtarzam sobie. Jesteś dorosłą kobietą, profesjonalistką, a nie krnąbrną nastolatką wezwaną do gabinetu dyrektora.

Chociaż nigdy nie byłam krnąbrną nastolatką, sama myśl, że mogłabym nią być, wywołuje uśmiech na moich ustach. Ilekroć wchodziłam po tych schodach, to tylko po to, by rozmawiać o innych dziewczętach. O dziewczętach, które mnie popchnęły, szarpały za fartuszek lub mijając mnie, udawały, że łapią pchły. Te schody prowadzą nie tylko do gabinetu dyrekcji, lecz także do pielęgniarki.

Staję przed drzwiami w kolorze czerwonego wina i opieram się dłonią o futrynę, żeby się uspokoić. Trudno oczekiwać, żeby Florence Maxwell uwierzyła w moje kompetencje, jeśli wejść do gabinetu czerwona jak purpurowy kłębek nerwów. Liczę wstecz od dziesięciu – tej sztuczki nauczyła mnie kiedyś szkolna pielęgniarka – i zanim dojdę do trzech, już czuję się lepiej. Pukając, odsuwam sprzed oczu obraz swego jedenastoletniego wcielenia robiącego dokładnie to samo.

– Proszę wejść.

Kobieta za biurkiem wstaje, kiedy wchodzę, pochyla się i wyciąga rękę.

– Florence Maxwell. Pani musi być Imogen.

W niczym nie przypomina swojego poprzednika. Pan Thorne był szorstkim, tyczkowanym mężczyzną, skonstruowanym z cienkich kresek i ostrych kantów. Tylko raz widziałam go uśmiechniętego – kiedy szkolna drużyna rugby zdobyła puchar; byłam wtedy w ostatniej klasie. Dla kontrastu pani Maxwell wygląda dokładnie jak

nauczycielka wuefu, którą pamiętam i która przypadkowo znalazła się za biurkiem dyrektora, chociaż nadal nie wie, jak to się stało. Jest dobrze zbudowana, ma jasne, piaskowe, krótko ostrzyżone włosy i lekko zaróżowione policzki, jakby właśnie wróciła po biegu. Brakuje tylko dresu. Zamiast niego nosi czarno-czerwoną bluzkę w kwiaty i gładkie, czarne spodnie, które potęgują wrażenie, że nie pasuje do tego gabinetu. Nie daje żadnego znaku, że mnie pamięta.

– Dziękuję, że pani przyszła. Napije się pani czegoś? – Wskazuje głową smukły, błyszczący ekspres do kawy.

– Chętnie, dziękuję.

Wygląda na to, że próbę czasu przetrwały tu tylko drzwi oraz ogromne biurko. Ściany przemalowano na pastelowe odcienie żółci i jasnego błękitu, na każdej wolnej powierzchni wiszą zdjęcia Florence i innych nauczycieli, a obok certyfikaty Ofsted informujące, że szkoła spełnia wymagania w stopniu satysfakcjonującym. Trochę się dziwię, że szkoła poczytuje sobie za powód do dumy to podsumowanie niejako wzruszeniem ramion z komentarzem „może być”, lecz widocznie dla Ofsted „satysfakcjonujący” oznacza coś innego niż dla mnie.

Florence podaje mi parujący kubek z kawą i siada za biurkiem.

– Przechodząc do rzeczy... Och, zaraz, gdzieś tu miałam notatki.

Otwiera szufladę i zaczyna szperać w środku, a ja znów się zastanawiam, jakim cudem znalazła się na stanowisku dyrektora szkoły. Może jestem niesprawiedliwa, ludzie na wysokich stanowiskach nie muszą wyglądać na surowych i nieustępliwych, aby skutecznie pełnić funkcję przywódcy, a jak dotąd szkoła jakoś nie spłonęła do fundamentów, co oznacza, że Florence staje na wysokości zadania. Wyjmuję własny notes.

– O, jest, dobrze. Przepraszam. – Kładzie na biurku cienki, brązowy skoroszyt. W środku znajduje się zaledwie kilkanaście kartek. – Więc

tak: Ellie jest u nas od kilku tygodni. Jej rodzice i brat zginęli w pożarze domu. Nawet się nie obudzili, w całym budynku nie działał ani jeden czujnik dymu. Gdyby Ellie nie wstała do łazienki, też by nie przeżyła. Strażacy usłyszeli, jak krzyczy z okna na piętrze. Udało jej się otworzyć lufcik i wykorzystać zasłonę jako ochronę przed dymem.

– Czy były z nią dotąd jakieś problemy?

– No cóż, nie aklimatyzuje się tak dobrze, jak byśmy tego chcieli, ale minęło na razie niewiele czasu. Szkoda, że pani poprzedniczka z Place2Be zrezygnowała w takim pośpiechu. Mamy nadzieję, że adaptacja Ellie przebiegnie łagodniej z pani pomocą.

Rumienię się na policzkach.

– Ale zakładam, że miała opiekę psychologiczną po śmierci rodziców?

– Oczywiście.

– Czy nadal ją ma?

Florence marszczy czoło.

– Niestety, nie. Funduszy wystarczyło na sześć miesięcy sesji z dalszą kontrolą, jeśli zaistnieje potrzeba. Psycholog, który ją prowadził w okresie żałoby, stwierdził, że Ellie radzi sobie bardzo dobrze, zważywszy na okoliczności. Zrozumiałam, że po ośmiu miesiącach sesje stopniowo się kończy.

– A jak jej idzie nauka? Jakie ma wyniki?

– Na ten temat więcej pani powie Hannah Gilbert. Poprosiłam ją, żeby poświęciła nam dzisiaj trochę czasu. Ma właśnie lekcję w klasie Ellie. W takim razie może zejdziemy na dół?

Dyrektorka prowadzi mnie korytarzami, które sprawiają wrażenie znacznie mniejszych niż dwadzieścia lat temu. Krzesła, drzwi – wszystko wydawało się wtedy takie wielkie. Teraz jest to po prostu szkoła jakich wiele w każdym innym mieście, tak więc powtarzam

sobie, że wszystko się ułoży. Mogę tu przychodzić i wypełniać swoje obowiązki jako dorosła kobieta, stać mnie na to.

Kiedy zbliżamy się do klasy, ze środka dochodzi wrzask.

24

Ellie

Tydzień po niefortunnym zdarzeniu z samochodem do domu rodziny zastępczej Ellie przyjechał policjant, by poinformować Sarę i Marka, że sprawa Naomi Harper zostaje zamknięta i Ellie nie grozi już żaden pozew sądowy.

– Nie wiem, czemu przyjeżdżał tu specjalnie, żeby o tym powiedzieć – syknęła Mary. Siedziały na szczycie schodów i trzymała Ellie za rękę. – Nie zrobiłaś nic złego. Ta kobieta z samochodu sama to przyznała, a ona wszystko widziała. Naomi jest podłą zmiją, jeśli powiedziała, że przez ciebie wypadła na ulicę. Jakbyś mogła ją wypchnąć słowami.

– Ty też to widziałaś – syknęła Ellie. – Widziałaś, że jej nie wypchnęłam. Tak mówiłaś.

– No... właściwie to nie widziałam dokładnie, co się stało. – Mary patrzy na Ellie ze skruchą i otacza ją ramieniem. – Powiedziałam tak tylko, żeby ta okropna baba przestała na ciebie wrzeszczeć. Nic dziwnego, że Naomi jest wredną małpą, skoro ma taką matkę.

– Więc skąd wiesz, że jej nie wypchnęłam?

– Żartujesz sobie? – Mary odsunęła ją od siebie na odległość ramienia i popatrzyła jej prosto w oczy. – Nie musiałam widzieć, co się stało. Wiem, że byś tego nie zrobiła, i kropka.

– Mogę się założyć, że jesteś jedyna – mruknęła Ellie.

Pani Gilbert siada przy biurku i rozgląda się za swoim nieodstępnym terminarzem.

Ellie słyszy, jak mruczy:

– Jestem pewna, że był tu przed przerwą.

Wysuwa szufladę biurka.

I wtedy z otwartych ust nauczycielki wydobywa się mrozący krew w żyłach wrzask. Cała klasa podnosi przestraszona oczy i w ciągu kilku sekund w sali rozpętuje się piekło. Ellie wyciąga szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje, i mimowolnie uśmiecha się złowieszczo. W szufladzie pani Gilbert kłębi się czarna masa setek pajaków, które przepychają się jeden przez drugiego, żeby wydostać się z drewnianego więzienia. Tłuste czarne tułowia i złowrogie cienkie odnóża próbują dosięgnąć dłoni nauczycielki.

W mgnieniu oka w klasie wybucha histeria. Pani Gilbert stoi jak słup soli, a tymczasem wrzeszczące dzieci wskakują na krzesła, jakby podłoga zaroiła się nagle od myszy. Dziewczynki przytulają się do siebie, chłopcy podchodzą ostrożnie do biurka, podjudzając się nawzajem, kto odważy się włożyć rękę w odrażające kłębowisko.

Jeden z pajaków upada na podłogę i ta ucieczka wyrzywa panią Gilbert z odrętwienia.

– Spokój! – woła i obchodzi biurko, nie zwracając uwagi na rozbiegające się pajęczaki. – Na miłość boską, dziewczyny, to nie są jadowite węże.

Waha się przez moment, jakby rozważała myśl, czy na pewno nie są jadowite, po czym wskazuje drzwi.

– Proszę się ustawić w rzędzie. Wyjdziecie na wcześniejszy obiad.

Dzieci biegną do drzwi, wszystkie z wyjątkiem Ellie, która pakuje swoje rzeczy powoli, świadoma, że oczy każdego ucznia oraz pani Gilbert są skierowane na nią. Ścisza ją w żołądku. Już wie, że wina spadnie na nią.

– Ellie, ty zostań. Pójdiesz ze mną.

25

Imogen

– Tam nie było nawet stu pajaków – stwierdza Florence rzeczowo.
– Ale z pewnością dzieciom mogło się wydawać, że jest ich znacznie więcej. – Pociera dłonią twarz i wzdycha ciężko. – Pani Gilbert była bardzo oburzona. Nie chce więcej uczyć Ellie, co jest absurdalne, ponieważ nie ma absolutnie żadnych przesłanek, by twierdzić, że to była jej sprawka. Lecz pani Gilbert uważa, że ponieważ nie podobała jej się praca Ellie na temat pajaków, dziewczynka podłożyła je do szuflady biurka, żeby się na niej zemścić.

– A jakie jest pani zdanie? – pytam, starając się powstrzymać wyraz niedowierzania na twarzy.

Kiedy dotarliśmy do pracowni Hannah Gilbert, wrzaski ucichły, a po chwili zastąpiła je kakofonia podnieconych głosów dzieci wybiegających na korytarz. Hannah półgłosem zaczęła rozmawiać z Florence, a ta gestem zaprosiła mnie do opustoszałej sali. Siedziałam w ławce, zastanawiając się, co się dzieje.

– Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, co o tym sądzić. Ellie tyle przeszła, że nawet najdziwniejsze zachowania w takiej sytuacji by mnie nie zdziwiły. – Kończąc zdanie, podnosi lekko głos, co sprawia, że całość brzmi bardziej jak pytanie niż stwierdzenie. – Nie podoba mi się myśl, że któreś z nich mogło coś takiego zrobić, ale niestety, to raczej oczywiste. Te pajaki nie weszły do szuflady same. Faktem jest również, że Ellie napisała pracę o tych stworzeniach. Czy to tylko

niefortunny zbieg okoliczności, czy coś znacznie bardziej ponurego? Skąd w ogóle jedenastoletnia dziewczynka miałaby wziąć tyle pajaków? I jak mogła je tam wpuścić, skoro nikt tego nie zauważył?

Nie jestem pewna, czy Florence zadaje to pytanie mnie, czy sobie, ale nawet nie próbuję odpowiadać.

– Co zamierza pani zrobić w tej sprawie?

– No cóż, niewiele mogę zdziałać, nie mając żadnych dowodów. Porozmawiam z całą klasą, powiem im, że to, co się dzisiaj wydarzyło, jest karygodne i jeśli coś podobnego się powtórzy, będę musiała wyciągnąć surowe konsekwencje. Nic więcej nie wskóram. Uważam, że nie powinno się mieszać w to policji. – Potrząsa głową. – Nie, nie róbmy z tego większej sensacji niż trzeba.

Patrzy na mnie, a ja widzę w jej oczach strach. Florence Maxwell się boi, tylko czy jest to obawa przed popełnieniem błędu pedagogicznego, czy przed czymś znacznie gorszym?

26

Imogen

Kiedy wchodzimy z Florence do pokoju nauczycielskiego, zastajemy w środku tylko Hannah Gilbert, która krąży niespokojnie tam i z powrotem. Na odgłos otwieranych drzwi podskakuje przestraszona i błyskawicznie obraca się na pięcie. Na nasz widok zwiesza ramiona.

– Florence, chwała Bogu, że tu jesteś, nie wiedziałam, co robić. – Dłoń jej drży, kiedy pociera twarz. – To okropne, wszędzie ich było pełno. Musiałam zachować zimną krew przy dzieciach, nie mam pojęcia, jakim cudem mi się to udało, bo byłam przerażona. Ja... – Usiłuje zdusić szloch.

– Proszę, Hannah, usiądź. To jest Imogen Reid z Place2Be. – Florence łagodnie kładzie dłoń na ramieniu nauczycielki i prowadzi ją do kanapy. – Czy mogę wam podać coś do picia?

Odpowiadamy z Hannah jednocześnie.

– Kawę poproszę – mówi nauczycielka.

– Poproszę wodę.

Siadam na drugiej kanapie naprzeciwko Hannah i obie czekamy w krępującym milczeniu, aż dyrektorka postawi przed nami zamówione napoje. Żadna z nas nie spodziewała się, że nasze pierwsze spotkanie może przebiec w ten sposób.

– Co się stało? – pytam.

– Wszędzie były pająki. W moim biurku. Włożyłam tam rękę, dotknęłam ich. – Aż się wstrząsa. – Ellie Atkinson je tam wpuściła.

Otwieram usta, lecz Florence mnie uprzedza.

– Skąd wiesz, że to Ellie?

Hannah marszczy brwi i jej ładna twarz w mgnieniu oka traci cały urok.

– Zadałam klasie pracę na temat zwierząt domowych. Ellie napisała o pająkach. – Wymawia to słowo ze wzdrygnięciem, jakby strząsała z siebie wspomnienie ośmionożnych stworzeń kłębiących się w jej szufladzie.

– Czy jej praca wywołała jakiś problem? – pytam.

– Pająki nie są zwierzętami domowymi – stwierdza stanowczo pani Gilbert.

Sprawia wrażenie, jakby przygotowywała się do odparcia ataku, jakby spodziewała się z mojej strony protestów, a ja się zastanawiam, czemu się tak najeżyła.

Wzdycham. Ta kobieta jest skończoną idiotką; niemal mam nadzieję, że Ellie Atkinson naprawdę podłożyła jej do biurka te stworzenia. Należało jej się za taką gruboskórność. Przeczytałam w klasie całą dokumentację na temat dziewczynki i zdążyłam się dowiedzieć czegoś, czego ta kobieta najwyraźniej nie zauważyła, chociaż uczy ją od kilku tygodni.

– Czy Ellie ma jakieś zwierzę, o którym mogłaby napisać, pani Gilbert?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Proszę do mnie mówić Hannah. A skąd ja mam wiedzieć? Taki był właśnie cel tej pracy: poznać prywatne życie dzieci. One to zwykle uwielbiają.

Walczę ze sobą ze wszystkich sił, żeby nie wybuchnąć gniewem na tę bezmyślną kobietę.

– Ale zna pani sytuację rodzinną Ellie? Chyba pani wie, że mieszka z rodziną zastępczą, więc jest raczej mało prawdopodobne, żeby miała swoje zwierzę. A z akt, które tu przede mną leżą i które dostałam od pani Maxwell niecałą godzinę temu, mogła się pani dowiedzieć, że zwierzątka, które Ellie hodowała w swoim rodzinnym domu, czyli jej pies i chomik, zginęły w pożarze razem z całą jej rodziną. Tak więc każdemu, kto zadałby sobie trud, aby to sprawdzić, wyda się oczywiste, że Ellie miała wszelkie prawo nie chcieć pisać o zwyczajnych zwierzętach, które hodują zwykle dzieci, ponieważ nie chciała wspominać własnych martwych ulubieńców.

– Ale... – Hannah Gilbert zacina się, oszołomiona gniewem, którego nie udało mi się całkiem ukryć. – To nie usprawiedliwia tego, co zrobiła! I skąd ona wiedziała, że boję się pajaków? Ta dziewczyna... – zgrzyta zębami – ta dziewczyna wie różne rzeczy. Wie rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

– Och, proszę przestać. – Kręcę głową. – Załóżmy na chwilę, że to rzeczywiście ona podłożyła pajaki do szuflady, chociaż nie ma pani na to dowodu. To i tak nie znaczy, że wiedziała o pani fobii. Wielu ludzi boi się pajaków. Trudno to uznać za dowód nadprzyrodzonych zdolności, nie sądzi pani?

Hannah sprawia wrażenie, jakby zamierzała się z tym nie zgodzić, ale przerywa jej dyrektorka.

– Drogie panie, myślę, że ta dyskusja donikąd nas nie zaprowadzi.

– To prawda – przyznaję. Nie zamierzałam się wdawać w kłótnie z nauczycielami podczas swojej pierwszej wizyty w szkole, ale czasem nie potrafię się powstrzymać. Dan nazywa to pasją. – Przepraszam panią.

Hannah przyjmuje przeprosiny skinieniem głowy.

– Ja również. Przeżyłam mały szok. Naturalnie nie miałam zamiaru sugerować, że...

Nie kończy zdania. Najwyraźniej to, czego nie miała zamiaru sugerować, nie chciało jej przejść przez gardło. Wygląda na zakłopotaną, jakby nie utrzymała języka za zębami i teraz tego żałowała. Mimo wszystko cieszę się, że mówiła otwarcie; dzięki temu mogę ocenić, z czym Ellie musi się borykać w tej szkole. Czy Florence Maxwell słyszała o naszym wypadku samochodowym i incydencie z Naomi i jej matką? A Hannah Gilbert? Powinnam o tym wspomnieć; moje nazwisko figuruje w raporcie policyjnym, więc jeśli do szkoły przyjedzie ktoś z policji, zobaczy je przynajmniej dyrektorka. Obawiam się jednak, że po tym, co się stało, nie przysporzy to Ellie sympatii.

– No dobrze, więc jak możemy ugryźć sprawę Ellie? – pyta Florence z wyraźną ulgą, że konflikt się nie zaostrzył.

– Oczywiście chciałabym z nią porozmawiać, tak jak planowałam – mówię. – Ale to chyba nie jest najlepszy moment. Jeśli powiąże mnie z dzisiejszym incydentem, może dojść do wniosku, że moja wizyta jest jakąś formą kary. Wolałabym, żeby nasze pierwsze spotkanie przebiegło w mniej stresujących okolicznościach, o ile to nie sprawi paniom kłopotu.

Florence kręci głową.

– Naturalnie, że nie. Zapewne ma pani rację. Powinnam zadzwonić do jej opiekunów i poprosić, żeby po nią przyjechali, a do sprawy wrócimy na nowo jutro.

Patrzy na mnie, jakby oczekiwała rozstrzygnięcia, a ja po raz kolejny odnoszę wrażenie, że pani dyrektor nie ma bladego pojęcia, jak sobie radzić z podobnymi okolicznościami. I rzeczywiście, jeśli miałabym wysnuć wniosek na podstawie swoich własnych doświadczeń w tej szkole, to najprawdopodobniej tak właśnie jest. W takiej małej miejscinie jak Lichota niewiele zdarza się dzieci z problemami, jeśli nie liczyć zastraszania, na które zwykle przymyka

się oko albo zamiata sprawę pod dywan. Po jakimś czasie przestałam zauważać, jak ludzie traktują mnie i moją matkę w sklepach czy na ulicy. Patrzyli przez nas na wskroś, jakby nas tam w ogóle nie było, tak jak się ignoruje dziecko, które dostało napadu hysterii albo czyjeś pierdnięcie w windzie.

– Czy mogę o coś spytać? – odzywa się Hannah.

– Oczywiście – odpowiada Florence, patrząc na nią ze współczuciem.

Co łączy te dwie kobiety? Jak dobrze się znają?

– Tak jak powiedziała Imogen, jeśli wyślemy teraz Ellie do domu, to czy nie wyjdzie na to, że ją dyskryminujemy? Nie mamy dowodu, że to była jej sprawka, chociaż ja nadal jestem przekonana, że była – dodaje szybko. – Ale jeśli nie chcemy, żeby poczuła się prześladowana, to nie powinniśmy traktować jej inaczej niż pozostałych.

– Tak, rozumiem, do czego zmierzasz. – Florence szybko kiwa głową. – Nie chciałam, żeby się czuła nieswojo, jeśli zostanie w szkole, ale masz rację, Hannah. Zobaczmy, co się dalej wydarzy. Pójdę z nią porozmawiać. Niech idzie na obiad, a potem wróci na lekcje.

To mówiąc, wstaje, lecz w tym momencie szybko podnosi się Hannah.

– To może ja do niej pójde – proponuje, rumieniąc się. – Byłam dla niej trochę szorstka... to przez ten wstrząs... chciałabym ją przeprosić.

Florence dosłownie promienieje, a ja staram się nie okazywać podejrzliwości. Hannah Gilbert była taka wściekła, kiedy weszłyśmy, tak pewna, że to Ellie splątała jej figła, który przeraził ją do nieprzytomności i ośmieszył przed całą klasą. Była na tyle wściekła, że praktycznie nazwała dziewczynkę czarownicą, na miłość boską! A teraz chce się wymknąć i z podwiniętym ogonem ją przeproszać, chociaż nadal uważa ją za winną?

– Cudowny pomysł, Hannah – mówi dyrektorka. – Ellie na pewno poczuje się znacznie lepiej, wiedząc, że nie będziecie chować do siebie urazy.

Jesteś paranoiczką, Reid, besztam się w duchu. Z pani Gilbert taka sama Lady Makbet jak z Ellie Sabrina, nastoletnia czarownica. Staram się uśmiechnąć życzliwie, aby zamaskować podejrzliwość. Hannah żegna się skinieniem głowy.

– Miło było panią poznać, Imogen – mówi. – Szkoda, że stało się to w takich okolicznościach. Cieszę się, że będziemy współpracować.

– Ja również – kłamię.

Kiedy zamykają się za nią drzwi, dyrektorka odwraca się do mnie.

– Przykro mi z powodu tego, co zaszło. Hannah jest życzliwą kobietą i dobrze uczy, tylko jeśli chodzi o Ellie Atkinson, wydaje się trochę... przesądna. Nie wiem, co między nimi zaszło, ale Hannah od początku utrzymywała, że Ellie wykazuje niewłaściwą postawę. Na szczęście chyba udało się pani nawiązać z nią nic porozumienia. Cieszę się.

Szczerze wątpię, aby to była prawda, ale nie chcę, aby Florence uznała, że jestem obłudna. Poza tym łatwiej mi będzie mieć Hannah Gilbert na oku, jeśli uzna mnie za sojuszniczkę, nie za wroga.

– Tak, no cóż, w chwili szoku wszystkim nam zdarza się reagować zbyt emocjonalnie. To miło z jej strony, że postanowiła pójść i porozmawiać z Ellie. – Wstaję. – Muszę wracać do biura. To mój pierwszy tydzień w Place2Be, mam mnóstwo pracy, żeby się wdrożyć.

Florence kiwa głową.

– Oczywiście. – Wyciąga dłoń. – Ogromnie miło było mi panią poznać, Imogen. Dziękuję, że pani przyszła. Czy mam wysłać maila, aby umówić panią na spotkanie z Ellie?

– O tak, byłoby dobrze, dziękuję.

Przyglądam się badawczo jej twarzy, szukając znaków, że rozpoznała we mnie chudą, zaniedbaną dziewczynkę, która kiedyś unikała jej lekcji wuefu, lecz upewniam się po raz kolejny, że nikt w szkole, a możliwe, że i w całym mieście, nie pamięta Imogen Tandy. Ze zdziwieniem obserwuję u siebie nagłe ukłucie smutku wywołane tą myślą. Czyżby naprawdę tak mnie poruszył fakt, że zapomniało o mnie znienawidzone miasto? Czy to żal, że piętnaście lat życia dziecka może tak niewiele znaczyć?

– Ach, jeszcze jedno – odzywa się Florence Maxwell, kiedy przechodzę przez próg.

Odwracam się.

– Czy Emily mówiła przed odejściem coś o Ellie? Kiedy przekazywała pani jej sprawę?

W jej głosie słyszę wysiloną niedbałość.

– Emily nie przekazywała mi żadnej sprawy – odpowiadam. – Odeszła, zanim zaczęłam pracę w Place2Be. Chyba się spieszyła z powodu ślubu. Mam jej notatki, lecz szczerze mówiąc, nic nie wskazuje na to, żeby zaszła daleko w sprawie Ellie.

Czy tylko mi się zdaje, czy przez jej twarz naprawdę przebiega cień ulgi? Jeśli tak, to kiedy się odzywa, nie zostaje po nim nawet ślad.

– Rozumiem, miejmy nadzieję, że pani uda się więcej działać.

– Jestem prawie pewna, że mi się uda – odpowiadam.

Tyle że w obecnej chwili niczego nie jestem pewna. Szczerze mówiąc, od kiedy przyjechałam do tego miasta, niczego nie jestem pewna.

27

Ellie

Kiedy otwierają się drzwi do klasy, Ellie podnosi wzrok i na widok pani Gilbert ściska ją w żołądku. Zrywa się na równe nogi, słowa ulatują jej z ust, zanim udaje jej się jej powstrzymać.

– Ja tego nie zrobiłam, w porządku? Niech pani...

– Posłuchaj mnie. – Pani Gilbert podchodzi do niej i przysiada na brzegu ławki. – Wiem, że to była twoja sprawka. – Mówi cicho i spokojnie, jakby informowała ją o zmianie planu lekcji albo o tym, co dzisiaj jest na obiad. – Nie mogę tego udowodnić, więc nikt nie wyciągnie wobec ciebie konsekwencji. Ale pamiętaj, że jeśli wywiniesz mi jeszcze jeden taki numer, to dopilnuję, żebyś wyleciała z tej szkoły i żeby ci twoi rodzice zastępczy odesłali cię z powrotem do opieki społecznej.

Ellie wysuwa brodę.

– Mówię pani, że ja tego nie zrobiłam. To nie była moja...

– Nie twoja wina? Wygląda na to, że przytrafia ci się dużo rzeczy, które nie są twoją winą. – Pani Gilbert zawiesza głos po ostatnim zdaniu i Ellie natychmiast odgaduje, co ma na myśli. Pożar. – Tylko że ja nie jestem ani tak ślepa, ani naiwna jak niektórzy inni nauczyciele w tej szkole. Pani dyrektor nie chce wierzyć, że pech, który cię prześladowa, jest czymś więcej, ale ja znam prawdę. Złe rzeczy przytrafiają się złym ludziom i pamiętaj, że mnie nie oszukasz. Nie wiem, jak ci się udała ta sztuczka z pajakami, ale od tej pory będę cię

mieć na oku każdego dnia, dopóki nie odejdiesz z tej szkoły. I mam nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej.

Ellie wpija w nią ciemne oczy i kiedy się odzywa, wkłada w swoje słowa całą nienawiść, jaką czuje w tej chwili do tej kobiety.

– Świetnie, proszę bardzo. Tylko radzę być ostrożną, bo mam przeczucie, że spędzę w tej szkole dużo więcej czasu niż pani.

28

Imogen

– Jak ci dzisiaj poszło?

– Boże, Dan, to okropne, jak oni traktują tę dziewczynkę.

Dreszcz mnie przechodzi na myśl o tym, czego byłam dzisiaj świadkiem. Jest siódma wieczorem, przed chwilą weszłam do domu i wszystko mnie boli. Słyszałam, że pierwsze tygodnie ciąży mogą być męczące, ale to jest czysty absurd. Czy naprawdę rosnące dziecko musi przyprawiać człowieka o płacz z powodu braku mydła w łazience? Dan wręcza mi kubek z zieloną herbatą i na jej widok żołądek wywraca mi się na drugą stronę. W tej chwili wszystko bym oddała za kieliszek wina.

– Jej nauczycielka, Hannah Gilbert, ma kompletnego fioła – mówię, stawiając herbatę na blacie. – Jest uprzedzona do jedenastoletniej dziewczynki. W życiu czegoś podobnego nie widziałam. – Twarz mi się kurczy, bo chce mi się płakać ze zmęczenia.

– Hej, uspokój się. Chodź do mnie.

Dan obejmuje mnie i przytula do piersi, a ja bez ostrzeżenia zaczynam szlochać. Kilka minut później odsuwam się i wycieram oczy w rękaw.

– W notatkach jest jeden wielki bajzel, a ta Emily to jakaś popieprzona ekscentryczka, w dodatku leniwa. Robiła chyba najmniej, jak się dało, po czym uciekła, żeby wyjść za mąż, a całą głównianą robotę zostawiła innym. Zresztą ta jej historia jest jakaś pokręcona...

wszyscy się dziwnie zachowują, kiedy o niej mowa. Kto rzuca pracę, żeby wyjść za mąż? Myślę, że ją zwolnili, tylko nabrali wody w usta. Co jest dość zaskakujące, bo o innych rzeczach gadają bez przerwy. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno pracować w otwartej przestrzeni biurowej. – Wzdycham. – Nie wiem, czy nie popełniłam fatalnego błędu.

Dan kręci głową.

– Oczywiście, że nie. Musisz tylko podbudować trochę wiarę w siebie. Myślisz, że możesz pomóc tej małej? Tej Ellie?

– Nie miałam nawet okazji z nią porozmawiać – przyznaję. – Ale na pewno zrobię co w mojej mocy.

– W takim razie to nie był błąd, prawda? Nawet gdybyś w tej pracy zdołała pomóc jednemu dziecku, to podjęcie jej nie może być błędem.

Przypominam sobie własne dzieciństwo w tej szkole. Jakże inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby ktoś udzielił mi takiej pomocy, jaką ja mogę zaoferować Ellie.

– Masz rację. Zawsze masz rację. – Uśmiecham się i staję na palcach, żeby go pocałować. – Dziękuję.

– Po to tu jestem. Wypij herbatę, to pomasuję ci stopy. Przyjechaliśmy tu po to, żebyś się odprężyła, a nie wpędzała w jeszcze większy stres niż w poprzedniej pracy.

Opuszczam ramiona i wzdycham.

– Wiem. Przepraszam. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze, kiedy się pozbieram. To stanowisko było wolne przez jakiś czas i jak widzę, nikt się nie zajmował tymi sprawami. – Podnoszę rękę, kiedy Dan próbuje mi wcisnąć kubek z pachnącą siuszkami pokrzywą. – Nie, błagam, nie chcę tej cholernej herbaty. Jutro wrócę do roli grzecznego automatu.

To sprawia mu przykrość. Natychmiast załuję swojego ostrego tonu, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, żeby go przeprosić.

Mogłabym mu wyjawić prawdziwą przyczynę swojego zrzędlivego zachowania, powiedzieć o hormonach, przez które tak się czuję, a on wpadłby w taki zachwyty, że w mgnieniu oka wybaczyłby mi wszystkie humory, ale nie potrafię się na to zdobyć.

Do diabła, Imogen, besztam się w myślach, kiedy Dan wychodzi z pokoju, skinąwszy głową. Łupie mnie w skroniach. Jak to możliwe, że spędzasz tyle czasu, naprawiając innych ludzi, a nie potrafisz się zmusić do tego, by dać swemu mężowi to, czego pragnie?

29

Ellie

Ellie siada na ławce w dalekim kącie boiska i wyjmuje notes. Przerwy obiadowe są prawdziwą udręką, chyba jeszcze gorsze niż lekcje, bo na lekcjach może sobie przynajmniej wyobrazić, że siedzi w swojej starej szkole, ze swoimi starymi koleżankami i wymienia z nimi liściki, ozdobione imionami sympatii, otoczone wianuszkami serduszek i gryzmołów.

Patrzy na boisko, gdzie chłopcy grają w piłkę, a dziewczęta siedzą w grupkach, obserwują ich i chichoczą. Dlaczego ona nie ma żadnych koleżanek? Czemu to nie jest już takie łatwe jak kiedyś? Przed pożarem, przed... tym wszystkim. Może to, co mówią, co szepczą do siebie, kiedy sądzą, że ich nie słyszy, jest prawdą? Może naprawdę jest zła? Czy da się sprawić, aby coś się stało, tylko tego pragnąc? A jeśli tak, to czy chciała, żeby jej rodzice zginęli? Była na nich wściekła, to prawda, ale nie wyobrażała sobie życia bez nich.

Myśl, że wszystko stało się z jej winy, jest prawie nie do zniesienia. A jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście jest jakimś złym odmieńcem, to już nigdy w życiu z nikim się nie zaprzyjaźni. Bo przecież może skrzywdzić każdego, zanim zdąży go polubić? Nie, lepiej trzymać się z dala od ludzi, nie szukać przyjaciół, a już na pewno nikogo nie kochać. Dopóki to wszystko się nie wyjaśni. Chyba nie na zawsze, tak sądzi, ale nie ma bladego pojęcia, jak długo to może potrwać. Ani jak siebie naprawić.

30

Imogen

Wyglądam przez lustro weneckie w drzwiach gabinetu. Na krześle przed wejściem siedzi ta sama dziewczynka, którą tydzień temu oskarżono o wypchnięcie na ulicę koleżanki. Jest niższa od większości swoich rówieśniczek i chudsza, chociaż nie trafiła do opieki społecznej wskutek braku opieki rodzicielskiej i z tego, co zdołałam wyczytać z notatek i dokumentów, które przysłała mi Florence Maxwell, nie stwierdzono w jej przypadku żadnych aktów zaniedbania ani przed pożarem, ani później. Jej długie ciemne włosy są czyste, paznokcie wyglądają na wypielęgnowane, nie widać śladów brudu czy niedomycia, a mimo to wygląda jakoś mizernie.

Otwieram drzwi i uśmiecham się do niej najserdeczniej, jak mogę.

– Ellie? Wejdz, proszę.

Dziewczynka zachowuje się, jakby wchodziła do dentysty lub zmuszono ją do równie nieprzyjemnej czynności. Przywykłam do tego. Dzieci traktują psychologów jak lekarzy, nauczycieli i policjantów: należy się ich bać, dopóki się nie upewnisz, że nie masz kłopotów.

Dopiero kiedy przyglądam się jej uważniej, odkrywam, czemu sprawia wrażenie mniejszej: ma na sobie mundurek szkolny co najmniej o jeden rozmiar za duży, nie na tyle, żeby w nim tonęła, nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale wystarcza, by w podświadomości powstało złudzenie, że jest drobniejsza od innych dzieci. Serce mi się

kraje na myśl o tak młodej osobce, która straciła wszystko i wszystkich, których kochała, wszystko, co w tym wieku daje poczucie bezpieczeństwa: dom, rodzinę, ubrania. Żadne dziecko w tym wieku nie jest przygotowane na tak okrutną krzywdę.

– Wolisz usiąść na kanapie czy przy biurku?

Ellie ruchem głowy wskazuje biurko. Odpowiadam również skinieniem głowy.

– Dobrze. Proszę, usiądź. Chcesz się czegoś napić?

Dziewczynka wbija wzrok w swoje kolana i nie odpowiada. Przypominam sobie coś, co powiedziała po wypadku w mieście: *Onegdaj obcięliby pani język za kłamstwa*. Kiedy teraz na nią patrzę, przechodzi mnie ten sam lodowaty dreszcz, który poczułam tamtego popołudnia. Nalewam sobie wody do szklanki i wracam do biurka, aby usiąść naprzeciwko niej.

– Pamiętasz mnie, Ellie? Pamiętasz ten wypadek, który miała twoja koleżanka?

Ellie kiwa głową.

– Ona nie jest moją koleżanką.

– Jak się teraz czujesz w związku z tamtą sprawą? Jak ci się układało od tamtej pory?

Cisza. Postanawiam nie naciskać. Możemy wrócić do tej sprawy kiedy indziej.

– Czy wiesz, dlaczego chciałam się z tobą spotkać?

– Przez pająki.

– Nie. Poproszono mnie, abym z tobą porozmawiała, przed historią z pająkami. Rozmawiałaś już kiedyś z psychologami, prawda?

Odpowiada skinieniem głowy.

– Wszyscy chcieli tylko wiedzieć, co czuję.

– No cóż, ja mam nadzieję, że w końcu sama zechcesz mi o tym opowiedzieć. – Uśmiecham się, staram się, aby wypadło to

zachęcająco, lecz Ellie nie reaguje. – Chcę, byś wiedziała, że nie zamierzam cię zmuszać do rozmowy o niczym, co cię krępuje. Nie jestem tu po to, żeby potem relacjonować coś twoim nauczycielom czy rodzicom zastępczym. Te sesje mają ci stworzyć okazję do swobodnego wyrażenia tego, co czujesz, bez obawy, że narobisz sobie kłopotów. Nie chodzi o szukanie winnych za różne rzeczy, nie jestem nauczycielką. Ani policjantką – dodaję.

Dziewczynka patrzy na mnie pustym wzrokiem, nie daje żadnych sygnałów, czy mi wierzy, czy nie.

– Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać, Ellie? – kontynuuję niezrażona.

Długo nie odpowiada ani nawet nie porusza głową, mówię więc jeszcze łagodniej:

– To może zaczniemy od szkoły? Lubisz szkołę?

– Kiedyś lubiłam. – Jej głos brzmi cicho, jakby go testowała po raz pierwszy.

Czekam kilka sekund.

– A teraz już przestałaś?

Wzrusza ramionami. W końcu po długiej przerwie mówi:

– To oni mnie tu nie lubią.

– Dzieci?

– Nauczyciele.

Pochyliłam się nieco do niej.

– Czemu uważasz, że cię nie lubią?

– Bo nie jestem taka głupia jak inne dzieciaki w szkole.

Powoli kiwam głową, starając się nie pokazać po sobie szoku. To smutne, ale ona może mieć rację. Często najinteligentniejsze dzieci spotykają się z brakiem zrozumienia.

– Czy możesz pomyśleć o jakimś nauczycielu, który twoim zdaniem cię nie lubi? Nie musisz mi mówić, kto to jest, chciałabym tylko, żebyś

pomyślała o tym, jak się zachowuje, kiedy odnosisz takie wrażenie.

– To, jak na mnie patrzy... jakbym była inna. Jakby... się mnie bała.

Domyślam się, kogo ma na myśli. Nadal pamiętam lęk malujący się na twarzy Hannah Gilbert, kiedy mówiła o dziewczynce, a także swoje wrażenie, że jest coś, o czym nie chce powiedzieć.

– A jak myślisz, dlaczego nauczycielka miałaby się ciebie bać?

– Ludzie zawsze się boją rzeczy, których nie rozumieją. To nie moja wina, tylko ich.

– To prawda, Ellie, to nie jest twoja wina i powinnaś o tym pamiętać. Możesz mi teraz opowiedzieć, jak układają się sprawy w domu?

Ellie się nachmurza.

– Nie mam już domu. Nikt mnie nie chciał.

Tego się obawiałam. Po pożarze opieka społeczna próbowała ulokować Ellie u któregoś z krewnych, lecz okazało się, że w Anglii ma ich bardzo niewiele i żaden nie pali się do opieki nad jedenastoletnią dziewczynką. Jedyna żyjąca babka, matka jej ojca, mieszka we Francji i dużo podróżuje, co nie jest, jak zauważyła, idealnym rozwiązaniem dla dziecka, które potrzebuje stabilizacji; z kolei wuj mieszka w Nowej Zelandii z własną rodziną. Nigdy nie widział na oczy swojej siostrzenicy, nie przyjechał nawet na pogrzeb siostry. Rodzice Ellie mieli wielu znajomych, lecz bardzo mało prawdziwych przyjaciół i żaden z nich nie dysponował warunkami umożliwiającymi wzięcie dziecka. Siostra jej matki ma trójkę własnych dzieci i nie chciała opiekować się czwartym, którego zresztą prawie nie знаła. To zdumiewające, jak często dzieci trafiają do domów dziecka, ponieważ ludzie z ich otoczenia uważają, że to ktoś inny powinien wziąć na siebie ten obowiązek.

– Ja wiem, że to nieprawda – mówię. – To sprawy znacznie bardziej skomplikowane, niż możemy sobie wyobrazić. Ani ty, ani ja nie

potrafimy ich zrozumieć. – Pochyliam się do niej konspiracyjnie. – Nie jestem nawet pewna, czy ludzie, którzy ustalają zasady, rozumieją je choć w połowie.

– Obawiam się, że nie ma pani pojęcia, ile ja potrafię zrozumieć.

Znowu zmuszam się do uśmiechu; uświadamiam sobie, jaka musiała się czuć opuszczona, kiedy nikt dookoła nie chciał jej do siebie przyjąć. Jaka samotna. Nic dziwnego, że okazuje tyle wrogości.

– Jak wygląda sytuacja tam, gdzie teraz mieszkasz? Jak cię traktuje twoja rodzina zastępcza?

– Jak jadowitego węża – odpowiada Ellie. Świdruje mnie ciemnymi oczami. Poruszam się niespokojnie pod tym przenikliwym spojrzeniem. – Jakby się mną interesowali, ale nie chcieli podchodzić zbyt blisko. Tak samo jak pani Gilbert, tylko oni nie są tacy wredni.

Przypominam sobie dzień wypadku w mieście. Opiekunka Ellie nie kwapiła się zanadto, żeby jej bronić. *Co zrobiłaś Naomi?* – spytała. Nie broniła jej, ponieważ wierzyła, że Ellie rzeczywiście popchnęła tę dziewczynę. To by tłumaczyło, czemu na jej twarzy odmalowała się taka ulga, kiedy zapewniłam policjantów, że między dziewczynkami nie doszło do żadnej przepychanki. I kiedy poparła mnie starsza towarzyszka Ellie.

– Kim była ta druga dziewczynka? Czy to...? – Zerkam w notatki. – Mary?

Ellie kiwa głową.

– Jak ci się układają stosunki z Mary?

– Ona jest jedyną osobą, która mnie nie traktuje jak idiotkę. – Wzrusza ramionami. – I nie znosi Billy’ego tak samo jak ja.

– Billy’ego?

Marszczy czoło.

– On też z nami mieszka, ale nie jest prawdziwym bratem Mary, tylko tak jak ja. Jego mama jest do niczego i nikt go nie chce wziąć, tak

samo jak mnie. Ale on jest okropny, więc wcale im się nie dziwię.

Urywa nagle, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała coś, czego nie powinna.

– W porządku – uspokajam ją. – Nie musisz się przejmować. Zapewniłam cię, że nikt się nie dowie, o czym tu rozmawiamy. Nawet nie wolno by mi było nikomu tego wyjawić, bo narobiłabym sobie kłopotów.

– Zawsze tak powtarzacie, a ja i tak wiem, że to nieprawda. Musielibyście komuś powiedzieć, gdybym wyznała, że zrobiłam coś złego.

– Ellie, posłuchaj mnie. Jeśli chodzi o złe rzeczy, to jestem jak ksiądz na spowiedzi. Spotkałaś kiedyś księdza?

– Nie wolno mi wchodzić do kościoła, bo mogę stanąć w płomieniach.

Aż mnie zatyka; głośno wstrzymuję powietrze, zanim udaje mi się nad sobą zapanować. Potem zauważam błysk w oczach Ellie i szczeka mi opada.

– Ellie Atkinson, czy to był dowcip?

Wzrusza ramionami, ale przez jej twarz przebiega cień figlarnego uśmiechu. Tak naprawdę jest ładną dziewczyną, kiedy nie jest taka spięta.

– Wracając do sprawy, jestem trochę jak ksiądz, tylko młodsza i trochę atrakcyjniejsza...

– I nie taka łyśa – dodaje Ellie.

Wybucham śmiechem.

– Tak, z całą pewnością nie taka łyśa. I tak jak księdzu możesz mi powiedzieć nawet o złych rzeczach, bez obaw przed konsekwencjami. Chociaż gdyby było to coś naprawdę złego, gdybym doszła do wniosku, że mogłaś kogoś skrzywdzić lub mogłabyś to zrobić w przyszłości, to musiałabym o tym powiedzieć swojemu szefowi. Bo

niektóre rzeczy są zbyt ważne, żeby je zachować w tajemnicy, prawda?

Ellie nie odpowiada. Wygląda, jakby się uważnie zastanawiała nad tym, co usłyszała, jakby obracała to w myślach niczym umowę, którą ma podpisać.

– Ale gdybyś na przykład miała mi powiedzieć – ciągnę – że podłożyłaś pająki pani Gilbert...

– Czego nie zrobiłam – wtrąca z godnością.

– To tylko przykład – zaznaczam, podnosząc rękę. – Dobrze, w takim razie, powiedzmy, że wsypałaś za spodnie pani Gilbert proszek powodujący swędzenie...

Ellie przewraca oczami.

– Albo wrzuciła ślimaki do kaloszy pana Harrisa...

– To pewnie by mu się spodobało. Powiedzmy, że zamieniłam cukier w pokoju nauczycielskim na sól...

Krzywię się.

– To koniecznie musiałabyś mi o tym powiedzieć, bo sama używam cukru do herbaty! Gdybyś jednak wyznała mi w tajemnicy tę historię o proszku w spodniach pani Gilbert, to nie mogłabym przysiąc, że nie wybuchłabym śmiechem, ale przyrzekam, że nikomu bym o tym nie powiedziała. Natomiast gdybyś wyznała, że wykopałaś w jej ogrodzie dół i zasłoniłaś go liśćmi...

– ...to musiałaby pani zgłosić to policji – dopowiada Ellie.

Kiwam głową.

– Albo przynajmniej pani Gilbert i jej kotu.

– Dobrze – odpowiada Ellie ze skinieniem głowy. – Zastanowię się nad tym.

– Tylko o to mi chodzi: żebyś się nad tym zastanowiła. – Uśmiecham się. – Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, zanim wrócisz na lekcję?

Wzrusza nieznacznie ramionami, ale na jej twarz powraca nieufność.

– Powiedziałaś, że Mary jest dla ciebie miła, tak?

Ponownie potwierdza ruchem głowy.

– Czy rozmawiasz z nią czasem o rzeczach, które się dzieją w szkole? Gdybyś zapragnęła z kimś pogadać, a nie miałabyś okazji spotkać się ze mną, to mogłabyś porozmawiać z nią, nie sądzisz?

– Mogłabym – przyznaje. – Ale po co?

– Czasem dobrze mieć kogoś, przed kim można się wygadać, nawet jeśli to niczego od razu nie zmieni. Może to brzmi niewiarygodnie, ale nieraz wystarczy powiedzieć komuś, jak się czujesz, żeby poczuć się lepiej.

– Ja wiem, co by mi pomogło poczuć się lepiej – oznajmia Ellie, jakby miała gotową odpowiedź od zawsze. – Gdyby ich wszystkich spotkała kara.

31

Imogen

Podjeżdżam pod jeden z szeregowych domów i gaszę silnik. Przez chwilę siedzę w samochodzie i przyglądam się zarośniętemu ogródkowi, gdzie pod białym plastikowym oknem leży porzucona spłowiała do białości zabawka. Biorę kilka głębokich oddechów i usiłuję sobie wyobrazić ludzi, których zastanę w środku. Potem wysiadam z auta, wchodzę na krótką ścieżkę prowadzącą do drzwi i głośno pukam.

Przez kilka minut nic się nie dzieje, więc próbuję drugi raz, a potem trzeci. W końcu drzwi otwiera dziewczyna, którą po raz pierwszy widziałam w dniu przyjazdu na ulicy. Uśmiecha się na mój widok. Czy rozpoznała we mnie kobietę, która tamtego dnia stanęła w obronie Ellie? Teraz się cieszę, że wtedy to zrobiłam, chociaż Dan ciągle mi powtarza, że powinnam częściej trzymać język za zębami.

– Cześć, ty jesteś Mary? Mam na imię Imogen, przyszłam porozmawiać z twoją mamą.

Dziewczyna kiwa głową i otwiera szerzej drzwi.

– Jasne, proszę, mama jest w domu. Otworzyłaby sama, ale... no, nieważne, proszę wejść.

Odwraca się i prowadzi mnie przez przedpokój do kuchni, gdzie Sara Jefferson z zapamiętaniem wyciera szafki. Odwraca się zarumieniona, z udręką na twarzy.

– Dzień dobry. – Wyciera ręce o dzinsy i ściska mi dłoń. – Bardzo przepraszam, ale mieliśmy mały wypadek.

Jak dla mnie, ostry zapach spalenizny i stopionego plastiku instalacji elektrycznej wskazuje na coś więcej niż mały wypadek, ale nie przyszedłem po to, żeby oceniać sytuację. Nigdy nie musiałam się opiekować nawet jednym dzieckiem, a co dopiero trójką, z których co najmniej dwoje musi przedstawiać spore wyzwanie. O ile wiem, tego rodzaju wypadki są chlebem powszednim w każdej rodzinie. Sara musiała zauważyć moje zmarszczone czoło, ponieważ szybko wyjaśnia:

– Przepalił się bezpiecznik. – Uśmiecha się blado.

– Jestem Imogen Reid – przedstawiam się łagodnym głosem.

Biedaczka sprawia wrażenie, jakby wizyta psychologa była ostatnią rzeczą, jakiej jej było teraz trzeba.

– Sara Jefferson. – Wskazuje nieduży stół w kącie kuchni. – Proszę, niech pani usiądzie. Napije się pani czegoś?

– Chętnie kawy. A może ma pani bezkofeinową?

Sądząc po jej minie, równie dobrze mogłabym poprosić o wino jabłkowe.

– Nie, niestety, przykro mi. Mogę wysłać Mary do sklepu.

Szybo potrząsam głową.

– Nie, nie, w takim razie wystarczy herbata.

Woda w czajniku już się gotuje i mam wrażenie, że Sara była całkowicie przygotowana na moją wizytę, zanim doszło do tajemniczego wypadku. Obserwuję ją, kiedy przyrządza dwa kubki z herbatą – zadbana, lecz nie przesadnie, czyste paznokcie, starannie spięte włosy. Jeśli nie liczyć świeżych plam na ścianie, kuchnia jest czysta i zadbana, wszystko prezentuje się bez zarzutu – zwyczajny dom rodzinny, taki, w jakim dorastała Pammy, i nieskończenie daleki od tego, w którym ja sama się wychowywałam.

– Już się spotkałyśmy – mówię, kiedy Sara przynosi kubki z herbatą i stawia je na stole. – W mieście, pamięta pani? Mój mąż o włos uniknął potrącenia samochodem koleżanki Ellie.

Dopiero teraz mnie rozpoznaje i rumieni się na twarzy.

– Oczywiście, przepraszam. W pierwszej chwili nie poznałam, ale pani twarz od razu wydała mi się znajoma. No cóż... okoliczności były dosyć... – Przerywa, szukając odpowiedniego słowa.

– Burzliwe? – podsuwam. – To prawda. Czułam się fatalnie po tym, co się stało.

– To nie była państwa wina. – Sara marszczy brwi. – Ta kobieta...

– Pani Harper?

– Tak. Rozdmuchała sprawę ponad miarę. Po wszystkim przyjechała tu policja, żeby nas powiadomić, że rozmawiali jeszcze raz z Naomi i dziewczynka wyraźnie przyznała, że straciła równowagę na krawężniku. Pewnie się wygłupiała... wie pani, jakie są dzieci. Uważam, że Madeline zachowała się karygodnie. – Trochę się peszy, jakby się przestraszyła, że zabrzmiało to zbyt obcesowo. – To znaczy oczywiście miała prawo się zdenerwować, Bóg wie, co by się mogło zdarzyć, gdyby pani mąż nie zareagował tak szybko. Pewnie każdy na jej miejscu zachowałby się tak samo.

Nie każdy oskarżyłby jedenastoletnią dziewczynkę o próbę zabójstwa, myślę, lecz tylko przytakuję skinieniem głowy.

– Tak, wszystkich nas poniosły nerwy. Czy od tamtej pory z Ellie wszystko w porządku?

Przez dłuższą chwilę Sara milczy z wahaniem.

– Po wypadku była bardzo milcząca – odpowiada w końcu. – Nie chciała o tym rozmawiać. Ale ona taka już jest, wszystko w sobie tłumi, aż... No, nie lubi rozmawiać o tym, co czuje.

– Aż co? – naciskam. – Powiedziała pani, że tłumi w sobie rzeczy, aż...?

Sara potrząsa głową.

– Och, nieważne. Ma swoje małe wybuchy, ale można to było przewidzieć, zważywszy na to, co przeszła.

– Czy zdarzały jej się akty przemocy?

– Nie – odpowiada szybko. Dochodzę do wniosku, że zbyt szybko. – Nigdy nie widziałam, żeby zachowywała się agresywnie.

Odnotowuję jej staranny dobór słów, ale nie komentuję.

– Wie pani, dlaczego tu jestem, pani Jefferson? Nauczyciele uważają, że Ellie dobrze by zrobiło, gdyby porozmawiała z psychologiem. W szkole doszło do pewnych incydentów...

– Proszę mówić do mnie Sara. Domyślam się, że chodzi o tę historię z pajakami. – Prycha. – To absurd podejrzewać Ellie o coś takiego. Skąd miałyby wziąć tyle pajaków? Nie da się tak po prostu wejść do sklepu zoologicznego i kupić kilkaset pajaków. Czy może uważają, że je przywołała niczym jakiś flecista z Hameln? Czy teraz z kolei ta kobieta twierdzi, że Ellie jest zaklinaczem pajaków?

– Czemu powiedziałaś „z kolei”?

Sara wygląda na trochę oszołomioną.

– Bo to raczej z tą nauczycielką ktoś powinien porozmawiać, z Hannah Gilbert. Próbuje wszystkim wmówić, że Ellie jest młodocianą przestępczynią. Rozpowiada po mieście, że jest dziwadłem i zmyśla. A Ellie nigdy niczego o niej nie powiedziała. Bóg raczy wiedzieć, co to biedactwo zrobiło, że tak jej zalazło za skórę. Tyle przeszła... To okrutne piętnować ją jako trudne dziecko raptem po kilku tygodniach w nowej szkole.

– Jak jej się układają stosunki z pozostałymi dziećmi w domu? Z Mary i Billym?

Przypomina mi się, jak Ellie opisała Billy'ego podczas naszej pierwszej rozmowy – *nikt go nie chce wziąć, tak samo jak mnie. Ale on jest okropny, więc wcale im się nie dziwię.*

– Dobrze – odpowiada Sara, ale widocznie zauważa wyraz niedowierzania na mojej twarzy. – To znaczy oczywiście czasem się sprzeczą, ale przecież to normalne, prawda? Dzieci zawsze ze sobą rywalizują, usiłują ściągnąć na siebie więcej uwagi i tak dalej.

– Czy miałaś wcześniej dużo dzieci z opieki społecznej?

– O tak – odpowiada z dumą. – W ciągu pięciu lat opiekowaliśmy się ponad dwadzieścioro dzieci. Niektóre zostają dłużej, inne krócej, ale kiedy u nas są, wszystkie traktujemy jak swoje. Zdarzały nam się dużo trudniejsze przypadki niż Ellie. Dlatego się zdziwiłam, kiedy szkoła zadzwoniła do Place2Be. Wiele razy radziłyśmy sobie z wybuchami gniewu u naszych podopiecznych.

– W tym wypadku mamy do czynienia z czymś więcej niż wybuch gniewu – zwracam jej uwagę. – Sytuacja Ellie jest trochę inna niż dzieci, które odebrano rodzicom. Po rozmowie z nią i nauczycielami dochodzę do wniosku, że Ellie nie otrzymała odpowiedniej opieki psychologicznej tuż po śmierci rodziców. To nie twoja wina – dodaję szybko na widok przygnębienia malującego się na twarzy kobiety. – Powinna dostać większe wsparcie, jeszcze zanim do was trafiła. Sprawdziłam jej dokumenty i wydaje mi się, że w jakiś sposób prześliznęła się przez sito.

Nie dodaję, że zdarza się to częściej, niż można by sobie wyobrazić. Przy tak uszczuplonej państwowej opiece medycznej dziur jest więcej niż kiedykolwiek przedtem, tak więc łatwo spokojnej dziewczynce bez odnotowanych przypadków molestowania, przemocy czy kłopotów wychowawczych przemknąć się przez jedną z nich.

– Przede wszystkim zaleciłabym, aby Ellie otrzymała indywidualną pomoc, która ułatwi jej uporanie się z żałobą po śmierci rodziców.

– Czy możesz jej to zapewnić?

– No cóż, wprawdzie mam odpowiednie kwalifikacje, ale nie wchodzi to w zakres obowiązków przewidzianych dla stanowiska,

które obecnie zajmuję. Poprzednio pracowałam w prywatnej poradni psychologicznej – dodaję i aż się krzywię w duchu zażenowana, czując, jakie to dla mnie ważne, aby ta kobieta poznała moje pełne kwalifikacje. I mam pełną świadomość, że nie powiedziałam jej, dlaczego już tego nie robię. – Jestem tu tylko po to, by przedstawić swoje rekomendacje i skierować was w odpowiednie miejsce. – To brzmi żałościwie, nawet ja to słyszę. Tak bardzo mi zależy, aby pomóc tej rodzinie. Nie chcę wpisywać nazwiska Ellie na listę skierowań na dalsze porady psychologiczne tylko po to, żeby ją w nieskończoność odsyłać, ponieważ inne dzieci więcej przeszły lub stanowią większe zagrożenie. – Dopilnuję, żeby otrzymała pomoc, jakiej potrzebuje – dodaję bez przekonania. – Przyrzekam.

– Ale Ellie powiedziała nam, że już z tobą rozmawiała i obiecałaś jej, że się jeszcze spotkacie. Myślę, że cię polubiła, chociaż ona jest bardzo skryta.

Jak na kogoś, kto uważa, że dziewczynce nie grozi niebezpieczeństwo, i kto rzekomo widział trudniejsze przypadki, Sara Jefferson dziwnie mocno nalega na natychmiastową pomoc dla Ellie. W poprzedniej pracy każdą sprawę traktowałam długofalowo, nie przywykłam do pełnienia funkcji taśmy transportowej, więc złożyłam obietnicę prawie machinalnie.

Nieprawda, szepcze mi w głowie cichy, przebiegły głosik, doskonale wiedziałaś, co robisz. W tej dziewczynce jest coś, co sprawia, że chcesz jej pomóc, i złożyłaś tę obietnicę całkiem świadomie.

– Oczywiście mogę z nią jeszcze raz porozmawiać w ramach obecnych obowiązków, jeśli sobie tego życzysz – mówię.

Mam już wystarczająco dużo informacji, żeby przedstawić swoje zalecenia i skierować Ellie w odpowiednie miejsce, nie muszę z nią więcej rozmawiać. Ale wiem również, że nikt nie uniesie brwi ze

zdziwienia, jeśli wpiszę do terminarza jeszcze jedno spotkanie z numerem referencyjnym jej sprawy. W Place2Be nie sprawdza się, ile sesji potrzeba do zamknięcia sprawy, nie rozlicza się minut ani nawet notatek ze spotkania, ale nie mogę zajmować się Ellie tak, jak bym to zrobiła w swojej poprzedniej pracy. Którą koncertowo spieprzyłaś, przypominam sobie. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy stać mnie jeszcze na oglądanie tej strony życia – tych zwyczajnych, miłych ludzi, którzy bardziej niż inni potrzebują pomocy, lecz prawdopodobnie nigdy jej nie otrzymają, ponieważ saldo ich konta bankowego jest o kilka zer za krótkie, by mogli za nią zapłacić, a kartoteka zbyt uboga w akty podpalenia, aby państwo uznało ich za sprawę priorytetową. Poza tym nie stać nas na kolejną przeprowadzkę i wynajęcie domu; dlatego tu jesteśmy. Muszę utrzymać tę pracę.

– To byłoby wspaniałe. – Głos Sary przywołuje mnie z powrotem do rzeczywistości i kuchennego stołu. – Jeśli nie masz nic przeciwko. Między nami mówiąc – rozgląda się, jakby sprawdzała, czy nikt nas nie podsłuchuje – mam uczucie, jakbym ją trochę zawiodła. Tak się ucieszyłam, kiedy usłyszałam, że bierzemy następną dziewczynkę, siostrzyczkę dla Mary. Zawsze tego pragnęliśmy... Nawet kiedyś mieliśmy...

Sięga do lodówki za plecami i bierze do ręki fotografię. Widać na niej malutkie dziecko – prawdopodobnie kilkudniowego noworodka – owinięte w różowy kocyk.

– To Mia. – Podaje mi zdjęcie i niepotrzebnie wskazuje palcem niemowlę. – Była naszym drugim dzieckiem. Urodziła się, kiedy Mary miała trzy latka. Straciliśmy ją kilka dni potem. Małeństwo złapało jakąś infekcję, z którą nie umiało sobie poradzić.

– Tak mi przykro.

Oddaję zdjęcie jak najszybciej, starając się, by nie wypadło to niegrzecznie czy bezdusznie. Kolejna rodzina, która straciła coś, co ja zamierzam odrzucić, a w każdym razie poważnie biorę pod uwagę... nazwijmy to po imieniu: pozbycie się dziecka. Moja dłoń odruchowo wędruje do brzucha, lecz szybko cofam rękę i mam nadzieję, że Sara nie zwróciła na to uwagi.

– Miałaby teraz mniej więcej tyle samo lat co Ellie – ciągnie ze smutkiem – więc sama rozumiesz, czemu widziałam w Ellie swoją drugą córkę. Ale ona od początku była taka zimna, taka wyobcowana.

– Dużo przeszła – zauważam cicho.

– Oczywiście – zgadza się Sara. – Nie spodziewałam się, że to się stanie od razu. Ale sądziłam, że w końcu... – Wzdycha, podnosi kubek i wysącza resztkę herbaty z fusów. – Ale ona w niczym nie przypomina tego, jak wyobrażałam sobie Mię. Jest taka cicha, niekiedy taka dziwna. Czasami, patrząc na nią, chciałabym usłyszeć, o czym myśli, lecz potem nagle zmienia się na twarzy, a ja się cieszę, że jednak tego nie słyszałam.

– Co to znaczy?

Sara pochyla się nad stołem.

– To, że ona mnie przeraża. Tylko czasami – dodaje szybko. – Mieliśmy tu dużo dzieci – powtarza. – Niektóre chore. – Pokazuje głowę. – Inne ze skłonnościami do agresji, a jeszcze inne takie jak Billy: trochę cwaniackie. To kwestia nie tego, jak je wychowywano, ale raczej tego, że ich w ogóle nie wychowywano. Zostawiono je, żeby same sobie radziły i same się broniły, a w ostateczności liczyły na starsze rodzeństwo, że je nakarmi i zaprowadzi do szkoły. Przychodzą tu i nie wiedzą, co mają robić w normalnym domu z normalnymi rodzicami. Ale Ellie jest inna. Sprawia wrażenie, jakby na zewnątrz doskonale wiedziała, jak się zachowywać, lecz w środku nie ma nic.

Wydaje się pusta, wydrążona. A to, co czasem mówi... jakby była starsza ode mnie.

Kiwam zachęcająco głową, lecz ze zgrozą stwierdzam, że w ustach mam pełno śliny, a żołądek podchodzi mi do gardła. O Boże, tylko nie to, nie chcę tu wymiotować!

– I męczą ją jakieś przerażające koszmary – ciągnie Sara, nieświadoma tego, co przeżywam. – Krzyczy i krzyczy, i nawet kiedy ją budzimy, krzyczy dalej, jakby cały czas widziała to, co ją przeraziło we śnie. I to właśnie po tych koszmarach dzieją się te rzeczy.

– Jakie rzeczy?

Przełykam ślinę, starając się ze wszystkich sił powstrzymać nudności. W końcu właśnie po to tu przyszłam – aby usłyszeć tę trudną prawdę, a nie urządzać sobie towarzyskie pogawędki, do których z pewnością przyzwyczała ludzi moja poprzedniczka. Aby dotrzeć do istoty tego, co się naprawdę dzieje w tym domu i w szkole.

– Różne złe rzeczy. Za każdym razem co innego: martwy ptak na werandzie, awaria elektryczności, zepsuta suszarka do włosów, mikser... – Wskazuje gestem urządzenie stojące na blacie. – W zeszłym tygodniu poprosiłam Billy’ego, żeby mi podał z szafki patelnię, a kiedy ją wyjął, w środku kłębiło się pełno dżdżownic. Dżdżownice! – Zniża głos i nachyla się do mnie. – No, sama powiedz, jakim cudem dżdżownice dostały się do patelni, do diabła?! To nie są robaki, które wchodzą do domu i zagnieżdżają się w szafkach, prawda?

– Czemu uważasz, że Ellie miała z tym coś wspólnego? Skoro to Billy znalazł te... to coś... – Staram się nie wyobrażać sobie patelni pełnej śliskich pulsujących robaków pełzających jeden po drugim... – Przepraszam, jest mi... Ja... Czy mogłabym skorzystać z łazienki?

– Na górze naprzeciwko schodów – odpowiada zdziwiona Sara.

Ja jednak nie mam czasu na tłumaczenie. Odpycham krzesło, na którym siedziałam, i wybiegam z kuchni.

Imogen

Odsuwam się od toalety, przysiadam na piętach i wycieram usta w rękaw. Odgarniam grzywkę z oczu i zaciskam powieki, żeby powstrzymać łzy. Istny koszmar. Nie dość, że nigdy nie znosiłam wymiotów, to jeszcze musiałam wywołać fatalne wrażenie tym nieprofesjonalnym zachowaniem, a w dodatku zaprzepaściłam szansę odkrycia, co się dzieje z Ellie. Sporo czasu upłynęło, zanim Sara zaczęła obarczać dziewczynkę winą za każdy najdrobniejszy wypadek w domu – bezceremonialna Hannah Gilbert zrobiła to już dawno – ale w końcu i ona uległa. Widzę całkiem wyraźnie, na czym polega problem i nie ma on nic wspólnego z Ellie Atkinson.

Wstaję i przeglądam się w lustrze. Próbuję szybko wymyślić kolejny ruch. Jeśli chcę zachować możliwość widywania się z Ellie, muszę zaskarbić sobie życzliwość tej kobiety, trochę jej pochlebić, nie okazywać niedowierzania, kiedy zrzuca winę za wybuchający mikser na koszmary senne Ellie. Uśmiecham się na tę myśl, ale w rzeczywistości to wcale nie jest śmieszne. To właśnie takie drobiazgi – kiedy ludzie dodają dwa do dwóch i wychodzi im pięć – potrafią wyrządzić długofalowe szkody, czasem poważnie kogoś skrzywdzić. Najwyraźniej postanowili oskarżać Ellie o wszystko, co złego się dzieje w domu, nie zważając na to, że mieszka tu dwójka innych dzieci, tak samo zdolnych do psucia mikserów siłą umysłu. Postawiłabym sporą sumę, że to Billy podłożył dżdżownicę na patelnię – dzieci lubią być na

miejscu przestępstwa, aby na własne oczy widzieć efekty swojej ciężkiej pracy.

Otwieram drzwi łazienki i zaglądam do sąsiedniego pokoju, licząc, że zobaczę Ellie, lecz zamiast niej przy biurku zasypanym ozdobną papeterią siedzi dziewczyna, która otworzyła mi drzwi; zapisuje coś na kolorowych samoprzylepnych karteczkach w kształcie jabłuszka.

– Cześć – mówię, zerkając na dół, by sprawdzić, czy nie szuka mnie Sara. – Mogę wejść?

Mary podnosi wzrok i kiwa głową.

– Przyszła pani w sprawie Ellie?

– Tak. Wasi nauczyciele uważają, że ma kłopoty z przystosowaniem się. Odnoszę wrażenie, że ty ją znasz najlepiej ze wszystkich. Co o tym myślisz?

Dziewczyna wydaje się zaszokowana, że ktoś dorosły zapytał ją o zdanie; po chwili marszczy brwi.

– Myślę, że gdyby dali jej na jakiś czas spokój i przestali ją obwiniać o całe zło świata, to może trochę więcej by z nimi rozmawiała.

Robi mi się smutno, ale wcale mnie nie dziwi, że piętnastolatka wykazuje najbardziej dojrzały pogląd.

– Więc uważasz, że Ellie nie ma nic wspólnego z incydentami, do których doszło? Z pajakami w biurku nauczycielki? Z popsutym mikserem? Z dżdżownicami na patelni?

Mary prychna.

– Naprawdę uważa pani, że gdyby Ellie chciała się odegrać na Gilbert za zjechanie jej pracy, to posłużyłaby się tym, o czym tam pisała? Jest młoda, ale na pewno zbyt mądra, żeby zrobić coś takiego. I obie wiemy, że dżdżownice podłożył Billy, tylko jesteśmy zbyt dyskretne, żeby na niego naskarżyć. Widziałyśmy go z Ellie wysmarowanego ziemią dzień przed tym, jak rzekomo odkrył robaki na patelni.

– A mikser?

Mary patrzy na mnie z politowaniem.

– Chyba pani nie wierzy, że Ellie potrafi wysadzać w powietrze sprzęt elektryczny siłą umysłu? Owszem, wysiadło nam kilka bezpieczników, ale nie dlatego, że moja przybrana siostra miała złe sny. To żałosne... te wszystkie szept i przerażone spojrzenia ludzi, którzy rzekomo są dorośli. A teraz widzę, że i moja mama do nich dołączyła, skoro opowiada pani o każdym problemie z elektrycznością, jaki mieliśmy w domu w ciągu ostatniego roku. Powinna zadzwonić do psychologa, a nie do opieki społecznej.

Uśmiecham się i kładę jej dłoń na ramieniu.

– Dziękuję ci, że poświęciłaś mi czas. Widzę, że jesteś dla Ellie prawdziwą przyjaciółką. To dobrze, że ma po swojej stronie kogoś takiego.

Odwracam się do wyjścia.

– A pani? – pyta Mary cicho. – Czy pani również jest po jej stronie? Nie opuści jej pani?

Odwracam się i patrzę dziewczynie w oczy. Widzę w nich milczące błaganie. To dorastające dziecko widziało zdecydowanie zbyt wielu pracowników opieki społecznej, zbyt wielu urzędników państwowych, którzy przychodzili i odchodzili, i odwracali się plecami, nie oglądając się za siebie.

– Nie – odpowiadam i mam nadzieję, że nie pożałuję swoich słów. – Nigdzie się nie wybieram.

33

Ellie

Ellie biegnie korytarzem najszybciej, jak może, macha ramionami ze wszystkich sił, torba obija jej się o bok. Cały czas ich słyszy. Ich śmiechy i szyderstwa... a potem krzyki.

Do tej pory nie wie, co się właściwie stało. Tom Harris nabijał się z jej zdartych butów i zniszczonej torby, a po chwili leżał na ziemi i zwijał się z bólu. Pod świeżo pomalowaną ścianą stał wielki, ciężki obraz przygotowany do ponownego powieszenia; kiedy wezbrał w niej gniew, kiedy syczał i wrzał, i piekł jej wnętrzności, obraz spadł Harrisowi na głowę. Czy to możliwe, że stało się to przez nią? Nawet teraz słyszy w głowie jego szyderczy, złośliwy głos. A kiedy zapytał, czy zanim umarli jej rodzice, była cyganicą, nie wytrzymała. Zaczęła się drzeć, a jej zawodzący niczym syrena wrzask odbijał się od ścian korytarza, aż po chwili zdała sobie sprawę, że to, co słyszy, nie jest echem jej głosu, tylko krzykiem innych.

Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła, co się stało, rzuciła się do ucieczki. A teraz wpada na szklane drzwi na końcu korytarza i wybiega na świeże powietrze. Schyla się, opiera dłonie na kolanach i ciężko dyszy. No to teraz się doigrała.

Nie ma pojęcia, jak długo siedzi skulona na zimnej, mokrej trawie pod drzewem. Kiedy przestała uciekać i ochłonęła, z przerażającą

jasnością zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd iść. Znalazła się na dziko zarośniętym terenie, gdzie dzieci z młodszych klas zbierają owady i robią odciski kory drzew. Pośród tych gęstych chaszczy Ellie czuje się naprawdę spokojna, chociaż oficjalnie nie wolno tu wchodzić starszym uczniom. Dochodzi do wniosku, że dzisiaj to najmniejsze z jej zmartwień.

W końcu znajduje ją pani Maxwell. Ellie zmarzła na kość, trzęsie się jak galareta, a po policzkach płyną jej łzy niczym sople lodu. Nie mogło upłynąć dużo czasu, ale ma uczucie, jakby siedziała tu całą wieczność. Dyrektorka klęka obok niej na mokrej trawie, kładzie jej dłoń na ramieniu i mówi łagodnie:

– Ellie, czas wracać do szkoły.

Ellie gwałtownie potrząsa głową. Nie wróci tam. Nigdy, przenigdy.

– Oni mnie nienawidzą – mówi. – Wszyscy. – A ja chciałabym ich wszystkich skrzywdzić, dodaje w myślach.

Pani Maxwell kręci głową.

– To nieprawda. – Mówi powoli, cicho, jak do malutkiego dziecka. – Chcemy ci pomóc.

– Nie zrobiłam nic Tomowi! – woła Ellie, chociaż w tej samej chwili uprzytamnia sobie, że nie wie, czy to prawda. – Tak mi się przynajmniej wydaje. W każdym razie nie chciałam mu zrobić nic złego. – Zdaje sobie sprawę, że to brzmi jak tłumaczenie się winowajcy. Trzeba być świrem, żeby nie wiedzieć, czy się zepchnęło komuś na głowę płótno w drewnianej ramie. – Nic mu się nie stało?

– Chodź, porozmawiamy o tym w środku – nalega pani Maxwell. – Proszę cię, Ellie, tu jest zimno. Obiecuję, że nie będziesz musiała się z nikim widzieć, pójdziemy prosto do mojego gabinetu.

Ellie znowu kręci głową, tym razem bardziej stanowczo.

– Nie chcę z panią rozmawiać. Z żadnym z was. Wiem, co wszyscy o mnie myślicie. Chcę rozmawiać z Imogen.

Pani Maxwell prawie oddycha z ulgą.

– Jeśli chcesz, to zaraz do niej zadzwonię, tylko wejdźmy do środka. Jesteś w samej koszulce, zamarzniesz tu na śmierć.

Zamarznięte dziecko rodziców, którzy spłonęli w pożarze, myśli Ellie. Ogień i lód. Może tak powinno być. Może jej serce zamieniło się w sopel lodu i powinna zostać tutaj, na mokrej trawie, dopóki nie zjawią się rodzice, żeby ją zabrać ze sobą.

Wtedy jednak rozlega się szkolny dzwonek i pani Maxwell wstaje.

– Chodź, Ellie, pora wrócić do środka. Wejdziemy bocznymi drzwiami do pokoju nauczycielskiego. Chyba nie chcesz, żeby inne dzieci zobaczyły cię siedzącą na trawie, prawda?

Ellie podnosi się ze ściśniętym sercem. Nie dzisiaj, mamusiu. Wiem, że niedługo do ciebie przyjdę, ale nie dzisiaj.

34

Imogen

– Mamy mały problem. – Chodząc po gabinecie tam i z powrotem, Florence Maxwell przygryza policzek i od czasu do czasu kręci głową. Jest bledsza niż wtedy, kiedy ją ostatnio widziałam, i wydaje się jeszcze bardziej udręczona, jeśli to w ogóle możliwe. – Rodzice Toma Harrisa pojechali z nim na pogotowie, na wszelki wypadek. Opiekunka Ellie jest już w drodze. Naprawdę doceniam, że przyjechała pani tak szybko. Ona chce rozmawiać tylko z panią.

– Nie ma problemu – odpowiadam.

Zastanawiam się, czy rzeczywiście nie ma problemu. Kiedy zadzwoniła Florence, zdążyłam tylko wyłączyć komputer, złapałam torebkę i wybiegłam na ulicę. Jestem prawie pewna, że Edward nie będzie miał do mnie pretensji, że zostawiłam biuro bez opieki, żeby pojechać do szkoły – z rozmowy z Florence wywnioskowałam, że sytuacja jest alarmująca.

– Co się stało? – pytam.

– Trudno powiedzieć, dzieci są w szoku i każde mówi co innego. Jedyne, co udało nam się ustalić ponad wszelką wątpliwość, to że Tom dokuczał Ellie. Wygląda na to, że zachowywał się naprawdę skandalicznie, chociaż nikt nie chciał mi zdradzić, co dokładnie mówił. W każdym razie Ellie się wściekła i spadł na niego obraz. Wiesz, jakie są dzieci... niektóre przysięgają, że Ellie popchnęła drewnianą ramę, inne, że sama się przewróciła. Nie ma między nimi

zgody nawet co do tego, gdzie wtedy była, te, które się upierają, że potrafiła obraz celowo, twierdzą jednocześnie, że stała po drugiej stronie korytarza. Tak czy inaczej, dla szkoły to prawdziwy koszmar, bo obraz nie powinien stać oparty o ścianę w miejscu, gdzie mógł upaść na dzieci.

– Dla tego chłopca to też mała frajda – zauważam.

Florence najwyraźniej się peszy.

– Tak, oczywiście.

Przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Mam nadzieję, że nie zadzwoniła pani do mnie, żebym wydobyła od Ellie przyznanie się do winy. Wie pani, że nie na tym polega moje zadanie.

Odnoszę wrażenie, że owszem, ta myśl przeszła jej przez głowę, ale domyśliła się, że tak właśnie zareaguję.

– Tak, rozumiem – rzuca dyrektorka. – Wobec braku dowodów, że było to celowe działanie, postanowiłam potraktować całe zdarzenie jako wypadek, chyba że rozmowa z Tomem nas oświeci. – Wzdycha. – Chcę się upewnić, że na Ellie ta historia nie wywrze negatywnego wpływu, chociaż szczerze mówiąc, w tej chwili nie jestem pewna, czy bardziej powinnam się martwić o nią, czy o wszystkich innych wokół niej.

35

Imogen

– Ja tego nie zrobiłam.

To pierwsze słowa, jakie padają z ust Ellie, kiedy wchodzę do gabinetu. Podrywa się na nogi i stoi z ramionami skrzyżowanymi wyzywająco na piersi. Lecz nawet w tej buntowniczej postawie wygląda tak drobniutko, że mam ochotę ją uściskać. Wiem, jak to jest żyć całe dni, tygodnie, a nawet miesiące bez czegoś tak oczywistego jak objęcie dorosłego człowieka. Normalne dzieci w normalnych rodzinach traktują przytulanie jak coś najzwyklejszego pod słońcem. Zasady są po to, aby ich przestrzegać, Imogen, ostrzega mnie głos w mojej głowie. Po czym wbrew rozsądkowi – obawiam się, że nie mam go obecnie zbyt dużo – podchodzę do Ellie, chwytam ją w ramiona i przyciskam do piersi tak mocno, że czuję, jak jej małe ciało drży.

– Wiem, Ellie. – Odsuwam ją od siebie na odległość wyprostowanych ramion. – To nie była twoja wina. Ten obraz nie powinien tam stać. To był wypadek. Zwyczajny wypadek.

– Skąd pani wie?

– Stąd, że tak mi powiedziałaś. Mnie to wystarczy. Słowo daję, Ellie, co mogę zrobić, abyś zrozumiała, że ci wierzę?

– Po prostu nie wiem dlaczego. – Wysuwa brodę i kogoś mi przypomina. Mnie samą. – Czemu miałyby pani mi ufać? Nikt poza

panią mi nie wierzy. Może oni mają rację, a pani nie? Może pani też nie powinna mi ufać?

Jest ostrożna, sprawdza mnie, moją lojalność. Ale chociaż to wiem, jej słowa brzmią bardziej jak groźba niż dziecięce dąsy, i po plecach przechodzą mi ciarki.

– No cóż, zamierzam zaryzykować – mówię powoli, obserwując jej twarz.

Nie zdradza żadnym gestem, o czym myśli; odwzajemnia moje spojrzenie bez mrugnięcia powieką i to ja muszę w końcu zerwać kontakt wzrokowy. Podchodzę do biurka i przysiadam na brzegu. Ellie zaczyna oglądać grzbiety książek stojących za nią na półce. Kiedy się znowu odzywa, mówi tak niedbałym tonem, że w pierwszej chwili nie rozumiem, co ma na myśli.

– To duże ryzyko w odmiennym stanie.

Jeśli to możliwe, żeby serce naprawdę stanęło w piersi, moje właśnie to robi.

– Co powiedziałaś?

Ellie odwraca się i patrzy na mnie z tak niewinnym wyrazem twarzy, że nie potrafię ocenić, czy jest autentyczny.

– Powiedziałam, że to duże ryzyko mieć odmienne zdanie.

Kiwam głową, zawstydzona swoją impulsywną reakcją. Oczywiście, że się przesłyszałam, nie mogła powiedzieć „w odmiennym stanie”, bo to by znaczyło, że wie o dziecku, a to przecież niemożliwe.

36

Ellie

Ellie patrzy, jak ćma tłucze skrzydłami o szkło, i zastanawia się, jak długo to potrwa, zanim owad umrze. W wieku jedenastu lat doświadczyła więcej śmierci niż wszyscy rówieśnicy, których zna, ale nie boi się jej. Rodzice nie żyją i przestali już cierpieć, prawda? Albo są w niebie razem z jej braciszkiem, albo są niczym, prochem, popiołem, pyłem. Nawet nicość musi być lepsza od tego, co ona teraz przeżywa. Ogarnia ją gniew. Czuje się jak ta ćma waląca skrzydłami o szklane ścianki. A wszyscy po drugiej stronie szkła tylko patrzą z ciekawością, co zrobi dalej. Podczas gdy ona nawet nie wie, kim jest.

Unosi lekko szkło, tylko tyle, żeby wpuścić nieco powietrza, tylko tyle, żeby ćma mogła trochę oddychać. Nie wypuści na wolność jedynej rzeczy, która nie może jej zostawić. Choć tak naprawdę wie, że prędzej lub później będzie musiała to zrobić. To nie będzie łatwe – patrzeć, jak ćma zatrzepoce szczęśliwie skrzydłami w kierunku okna, podczas gdy ona tkwi uwięziona w tym życiu. Nie potrafiłaby jednak zostawić owada w szklance, żeby się udusił. W końcu nigdy nikogo ani niczego nie zabiła. Jak dotąd.

Przypomina jej się dzisiejsza kolacja. Wstrętny Billy przez cały czas dźgał ją widelcem, licząc, że mu odda i wpakuje się w kłopoty. Ten chłopak nie wysiedzi spokojnie, dopóki ktoś nie napyta sobie biedy, czasem nawet jest mu chyba wszystko jedno, czy to nie będzie on. Dzisiaj był tylko trochę dokuczliwy, jak Riley, który płakał, zamiast

zasnąć, chociaż był śpiący. Kiedy jednak ignorowała jego głupie, szczeniackie zachowanie, zaczął podkręcać stawkę. Najpierw tylko syczał po cichu: że Ellie nie ma rodziny, przyjaciół, w sumie nic gorszego niż to, co gadały dzieciaki w szkole. Mary szturchnęła go łokciem w ramię i spiorunowała ostrzegawczo wzrokiem. Dobrze, że chociaż ona zdaje sobie sprawę, jaki jest naprawdę; Sara myśli, że Billy jest aniołkiem.

Potem, kiedy kolacja minęła spokojnie, odwrócił się do Sary i powiedział przymilnie:

– Czy chciałaby pani, żebym powkładał naczynia do zmywarki?

Rozpromieniła się, jakby zaproponował, że przez tydzień będzie sprzątał całe mieszkanie.

– Dziękuję, Billy, szkoda, że dziewczęta nie są takie uczynne!

Roześmiała się, jakby to był żart, a Mary odwróciła się do Ellie i przewróciła oczami. Ellie uśmiechnęła się zadowolona z ich konspiracyjnego sojuszu, zadowolona, że może się poczuć członkiem rodziny, dopóki Billy, przechodząc obok niej, nie syknął:

– Lepiej, żeby Ellie tego nie robiła, bo jeśli jest taka głupia jak jej matka, to rano już by było po nas.

Gniew mało nie zwałił jej z nóg. Nawet nie wiedziała, że można czuć taką złość, nigdy w życiu nie była taka wściekła. Rzuciła się na niego, zanim pomyślała, co robi, jakby jej ciało należało do innej osoby; zacisnęła mu palce na gardle i popchnęła go na stół, aż cały mebel zadygotał. Nieważne, że jest dwa lata młodsza ani że waży dwa razy mniej, w tamtej chwili miała w sobie siłę dorosłego mężczyzny. Billy'emu ze strachu oczy wyszły na wierzch; zrozumiał, że posunął się za daleko.

– Zamknij swoją parszywą gębę – warknęła Ellie. Schyliła się nad nim tak nisko, że ślina kapnęła mu na policzek. Jej głos brzmiał obco; czuła, że ta nowa Ellie, ta druga Ellie mogłaby zmiażdżyć mu

tchawicę, gdyby tylko o tym pomyślała. – Bo ktoś ci ją zamknie na dobre.

Na sekundę wszyscy przy stole zamarli, po czym poderwali się jak oparzeni.

– Ellie, przestań! – zawołała Mary.

Sara krzyczała, żeby puściła Billy'ego, a Mark rzucił się do niej i zaczął siłą odrywać jej palce od szyi chłopaka. Billy osunął się na podłogę i głośno chwycił powietrze, Sara przypadła do niego i przycisnęła jego głowę do piersi, jakby był niemowlęciem. Ellie zamrugła i rozejrzała się wstrząśnięta. Co się stało? Skąd jej się to wzięło? Spojrzała na swoje dłonie, które kilka sekund temu były takie silne, a teraz drżały z wściekłości.

– Pójdiesz do swojego pokoju, młoda damo! – wrzasnęła do niej Sara. – I nie wyjdiesz stamtąd do rana!

Ellie przepchnęła się obok Mary stojącej w drzwiach z wyrazem szoku i przerażenia na twarzy, po czym wybiegła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Billy otwiera oczy i przez sekundę zastanawia się, co go tak gwałtownie wyrwało ze snu. Odgłos zamykanych drzwi jego pokoju? Pewnie pani Jefferson przyszła mu życzyć dobrej nocy, pocałować ostatni raz przed snem. Zawsze to robi; to nawet trochę dziwaczne, myśli Billy. Nie jest pewien, czy mu się to podoba. Jego mama nigdy czegoś takiego nie robiła, po prostu zostawiała go, żeby się położył spać po zrobieniu herbaty dla siebie i swoich braci. To dziwne mieć wokół siebie ludzi, którzy nie oczekują, że sam wszystko sobie zrobi, zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Wie, że to nie potrwa długo, nigdy nie trwa. Wkrótce, kiedy ci ludzie będą mieli go dosyć, przeniosą go gdzie indziej.

Zupełnie jakby nigdy nie potrafił zrobić nic jak należy, wpasować się tak jak inne dzieciaki. Nie uczono go, jak żyć w normalnej rodzinie. Chciałby, żeby wszystko było tak jak dawniej, kiedy droczyli się z braćmi, czasem bili, czasem sobie dokuczali, niekiedy nawet bardzo złośliwie, ale naprawdę się kochali i każdy z nich wiedział, że gdyby któryś naprawdę potrzebował pomocy, mógłby liczyć na pozostałych. Ci dziwni ludzie, u których go ulokowano, są mili, dają mu wszystko, czego potrzebuje – gorące jedzenie, wygodne, ciepłe łóżko – i nigdy nie musi leżeć w śmierdzącej pościeli ani spać na podłodze za karę, że nie wyniósł śmieci. Więc dlaczego tak strasznie tęskni za swoją mamą? Skoro to jest idealne życie, to czemu pragnie wrócić do domu? I wróci. Jeśli im odpowiednio dokuczy, dojdą do wniosku, że nikt go nie chce

i że lepiej mu będzie ze swoją rodziną. Jego mama może się do niczego nie nadaje, ale przynajmniej ją zna i w jakiś sposób czuje się przy niej bezpiecznie. W domu nigdy nie czuł się obco.

Która to godzina? Zaszło mu w ustach, jakby się przeziębził. Próbuje oblizać wargi, ale nie może wysunąć języka. Niekiedy rano ma tak zaspane oczy, że nie chcą się otworzyć. Tylko że tym razem nie może otworzyć ust. Pociąga palcami wargi i krzywi się z bólu. I nagle wpada w panikę, bo w palcach zostają mu maleńkie skrawki skóry. Usiłuje krzyknąć, zawołać o pomoc, ale ponieważ nie może otworzyć ust, nie wydobywa się z nich żaden odgłos. Robi mu się gorąco, łzy napływają mu do oczu. Wyskakuje z łóżka, biegnie do drzwi i wypada na korytarz.

W domu panuje cisza, tylko z salonu na dole dobiega stłumiony odgłos telewizora. Państwo Jeffersonowie nie śpią. Biegnie do schodów, wciąga powietrze przez nos, ale i tak ma uczucie, jakby się dusił. Jeśli nie otworzy ust, to na pewno umrze. Na trzecim stopniu potyka się i spada na sam dół; uderza głową o ścianę. Ból rozsadza mu czaszkę. Billy czuje, że z ust sączy się ciepła strużka krwi. Otwierają się drzwi do salonu i w progu staje pani Jefferson.

– Billy! – krzyczy. – Co, do...? – Klęka obok niego, patrzy na jego wystraszoną minę. – Czemu masz usta...?

Przeciąga palcem po zakrwawionym podbródku i nagle zmienia się na twarzy. Groza w jej oczach przeraża Billy'ego bardziej niż wszystko inne. Kiedy dorośli mają ten wzrok, to znaczy, że masz prawdziwe kłopoty.

– Mark! – wrzeszczy Sara. – Mark, chodź tu natychmiast! Wezwij pogotowie! Zrób coś!

38

Imogen

Umówiłam się z Sarą w jedynej kawiarni w miasteczku. Było to taktyczne posunięcie, ponieważ gdy tylko odebrałam telefon, doskonale wiedziałam, co zamierza mi powiedzieć. Niczym talizman ściskam w dłoni kubek kawy bezkofeinowej, równie mdłej i nijakiej jak wytarta cerata w kratkę leżąca na stole.

– To była jej sprawka, jestem tego pewna. – Zmęczonym gestem przeciera dłońią oczy. – Nie wierzysz mi, prawda?

– Jakie to ma dla ciebie znaczenie, czy ci wierzę, czy nie? – Patrząc przez okno na dwie dziewczynki z żałosnymi minami czekające na Sarę w samochodzie. – Jeśli masz powody uważać, że zrobiła to Ellie, powinnaś porozmawiać z opieką społeczną i być może z policją.

Szczerze mówiąc, to prawda, że jej nie wierzę. Ellie, którą znam, nie skleiałaby chłopcu ust.

– Prawie jej nie znasz – rzuca oskarżycielsko Sara. – Niczego ci nie mówi, prawda? Nie masz pojęcia, jaka jest naprawdę. Po co w ogóle dyrektorka szkoły was angażowała?

Wzdycham. Incydenty z Ellie zdarzają się coraz częściej; już wiem, że będę musiała przekazać jej sprawę w inne ręce – ten nowy zarzut wykracza poza cele, do jakich powołano Place2Be. Ale obiecałam sobie, że jej pomogę, a jak dotąd mam uczucie, że niczego dla niej nie zrobiłam.

– Florence Maxwell zgłosiła sprawę Ellie do Place2Be za radą opieki społecznej. Chciała zapewnić jej wsparcie i pomoc, której mogłaby nie otrzymać nigdzie indziej.

Jeśli Sara zauważyła dyskretną szpilkę, to jej nie komentuje; mam wrażenie, że jest tak pochłonięta własnymi problemami, że mogłabym oskarżyć ją wprost o zaniedbywanie Ellie, a ona odpowiedziałaby tylko „mhmm”.

– To nie w porządku. Coś trzeba zrobić z tą dziewczyną i jeśli nikt z osób upoważnionych nie kiwnie palcem, to... – Urywa.

Podnoszę dłoń.

– Nie dopowiadaj przy mnie tego zdania do końca. – Ponownie wzdygam. – Sara, według informacji, jakich udzielił szpital, Billy bawił się wieczorem super glue. Miał ślady na palcach i sam przyznał, że nie jest pewny, czy nie dotknął dłonią ust. Chociaż może trudno ci to zaakceptować, zwłaszcza że Billy nie powinien się bawić klejem bez nadzoru...

– Czy ty nie słyszałaś, co Ellie powiedziała do niego przy kolacji? – Sara ignoruje insynuację, że wypadek Billy’ego był skutkiem jej zaniedbania. Najwyraźniej nic, co powiem, nie skłoni jej do przyjęcia odpowiedzialności za zdarzenie sprzed dwóch dni. – Spytałaś ją o to?

– Powiedziała, że się pokłócili...

– Tak, kazała mu zamknąć buzię, bo jak nie, to ona mu ją zamknie na dobre. A tej samej nocy chłopiec obudził się z zaklejonymi ustami! I chcesz mi powiedzieć, że to był przypadek?

– Z pewnością był to niefortunny dobór słów...

– Och, daj spokój, zapomnij, że cię prosiłam o rozmowę. – Sara chwyta ze stolika swój telefon i zrywa się tak szybko, że o mało nie przewraca krzesła. Czerwienieje na twarzy, zaciska zęby, jakby siłą powstrzymywała słowa cisnące jej się na usta. – Widzę, że trzymasz stronę tej dziewczyny.

– Niczyjej strony nie trzymam, pani Jefferson – mówię, zadowolona, że tym razem udało mi się zachować zimną krew. – Tu nie ma żadnych stron. Moim zadaniem jest zapewnienie Ellie wsparcia, jakiego potrzebuje.

– A co ze wsparciem, którego my potrzebujemy?

– Nie powtórzę opiece społecznej tego, co mi dzisiaj powiedziałaś – oznajmiam. – Widzę, że jesteś bardzo wzburzona. Ale pisząc raport, zalecę zmianę rodziny zastępczej dla Ellie. Po tym, co dzisiaj od ciebie usłyszałam, nie mam stuprocentowej pewności, że powinna nadal pozostawać pod waszą opieką.

Sara patrzy na mnie wstrząśnięta.

– Chcesz powiedzieć, że nie jest u nas bezpieczna? Sugerujesz, że moglibyśmy ją skrzywdzić?

Przeszywam ją surowym, kamiennym spojrzeniem.

– Powiedziałaś dokładnie: „Coś trzeba zrobić z tą dziewczyną i jeśli nikt z osób upoważnionych nie kiwnie palcem, to...”.

Urywam tak samo jak Sara kilka minut temu. Tym razem trafiam w dziesiątkę.

– Nie miałam na myśli... Nie sugerowałam, że... – Zacina się. – Przecież to oczywiste, że bym jej nie skrzywdziła.

– Odnoszę wrażenie, że byłabyś zadowolona z mojego zalecenia, by przenieść Ellie do innej rodziny zastępczej. Czy nie tego chcesz?

Wydaje mi się, że dostrzegam w jej oczach strach.

– Chodzi o to, że ostatnio ludzie, którzy ją rozgniewali...

– Chyba nie sugerujesz, że Ellie was skrzywdzi, jeśli zostanie przeniesiona? Czy zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi? Na miłość boską, to jest jedenastoletnie dziecko.

Sara wymierza we mnie palec.

– Nie próbuj mi mówić, co jest absurdalne, a co nie. Nie widziałaś tego na własne oczy. Nie było cię tam.

Uśmiecham się i zamierzam powiedzieć coś protekcjonalnego.

– Przestań się uśmiechać tak ironicznie! – krzyczy Sara. Ludzie w kawiarni odwracają głowy w naszą stronę. – Siedzisz tu i uśmiechasz się, jakbyś pozjadała wszystkie rozumy, chociaż masz mleko pod nosem. Któregoś dnia sama się przekonasz, co z niej za ziółko, i przyjdiesz mnie przeproszać. Mam tylko nadzieję, że nie będzie dla ciebie za późno.

Odwraca się na pięcie i zostawia mnie oszołomioną i skonsternowaną.

39

Ellie

Ellie siedzi z głową opartą o chłodną szybę samochodu. Obserwuje, jak Sara Jefferson rozmawia w kawiarni z Imogen, i czuje, że wymyka się jej resztką nadziei, zupełnie jakby z jej ciała wycięto guz. Zastanawia się, co Sara mówi tej kobiecie; to nie może być nic dobrego. Cały czas obwinia ją o to, co się przytrafiło Billy'emu, mimo wszystkiego, co powiedział w szpitalu lekarz.

– Teraz już mi na pewno nie pomoże – mruczy Ellie.

Mary, która siedzi z przodu ze słuchawkami na uszach, odwraca do niej głowę.

– Mówiłaś coś? – pyta.

Ellie kręci głową.

– Nic takiego – odpowiada żalonym tonem. – Nieważne.

Ale to było ważne. Kiedy rozmawiała z Imogen, w jej życie powróciła nadzieja, że ktoś wreszcie stanął po jej stronie. Przy niej czuła, jakby z barków zdjęto odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło, od kiedy przyjechała do miasta, jakby nie istniało zło, a niedobre myśli nie czyniły cię od razu złym człowiekiem. Teraz przez Sarę jej szanse przepadły i wszyscy ludzie, na których jej zależy, uważają, że jest zepsuta do szpiku kości. Znowu zostanie porzucona, nie ma już dla niej nadziei w tym miejscu. Gniew podnosi łeb niczym wąż wijący się w jej ciele i skręcający swe wielkie cielsko.

40

Imogen

Wokół mnie zamyka się ciemność, a z nią przejmujące zimno. Przechodzi mnie mimowolny dreszcz, opatulam się szczelniej płaszczem i przyspieszam kroku. Drzewa i krzewy rosnące wzdłuż ścieżki sprawiają, że zmierzch wydaje się środkiem nocy, a ja znowu żałuję, że nie wybrałam lepiej oświetlonej drogi. Nadłożyłabym dziesięć minut, ale przynajmniej oszczędziłabym sobie groźby ponurych istot czających się za krzakami lub niebezpieczeństwa, że się pośliznę i skończę w starym kanale, który teraz bardziej przypomina zarośnięte bagnisko. Wpatruję się w połyskujące zielone glony unoszące się na powierzchni czarnej wody i obiecuję sobie, że od tej pory nie będę taka niecierpliwa tylko po to, żeby szybciej wyciągnąć nogi w górę przy filiżance herbaty. Po dzisiejszym spotkaniu z Sarą Jefferson bardziej niż zwykle żałuję, że nie mogę sobie nalać pełnego kieliszka wina. Kolejna rzecz, za którą mogę podziękować dziecku rosnącemu w moim brzuchu.

Ciszę, która zgęstniała, gdy tylko ją sobie uświadomiłam, przerywa nagle trzask dochodzący z krzaków rosnących po lewej stronie. Przystaję, zerkam ukradkiem w kierunku, skąd dobiegł odgłos, lecz nie widzę niczego, co mogłoby zwiastować niebezpieczeństwo, ruszam więc dalej przed siebie. Stopy mi ścierpły w niewygodnych butach na wysokich obcasach, mimo to próbuję je zmusić do

szybszego kroku. Nie ma się czego bać, powtarzam sobie. Po prostu nigdy więcej tędy nie chodź.

Znowu trzaska gałązka i zapiera mi dech w piersiach. Zawsze mnie fascynowało, jak łatwo umysł człowieka ulega wpływom otoczenia; staram się skoncentrować na psychologii tego zjawiska. Myśl o odruchu lękowym instynktu przetrwania pomaga mi się skupić i uspokoić walące serce. To jednak nie pomaga, kiedy dochodzi mnie głos.

– Imogen.

To cichy szept, który rozlega się zza mojego lewego ramienia. Obracam się na pięcie z ulgą, że będę miała towarzystwo na resztę drogi do domu, lecz ścieżka za mną jest pusta. Z walącym sercem oglądam krzaki, wypatrując kogoś, kto mi płata głupie figle, lecz cisza wydaje się jeszcze gęstsza niż przed chwilą i wszędzie panuje absolutny bezruch. Głupia jesteś, klnę na siebie. Masz omamy słuchowe.

Mimo to sięgam ręką do kieszeni, oplatom palce krótkim łańcuszkiem od kluczyków samochodowych. Żałuję w duchu, że nie przyjechałam samochodem, tylko kazałam się Danowi podwieźć rano do kawiarni. Ściskając w dłoni tę prowizoryczną broń, odwracam się i ruszam stanowczym krokiem przed siebie, zażenowana tym, jak bardzo strach dodaje mi sił.

– Pomóż mi. Proszę, pomóż mi.

Dziecięcy głosik brzmi cicho i bezradnie między czarnymi drzewami. Czy to też rozlegało się tylko w mojej głowie? Strach walczy we mnie ze świadomością, że jeśli ten głos nie jest przywidzeniem, jeśli jakieś dziecko ma kłopoty, a ja nic nie zrobię, to nigdy sobie tego nie wybaczę.

Przystaję i czekam, czy głos się jeszcze raz odezwie, aby ocenić, z którego kierunku dochodzi. Tymczasem wydaję komórkę

z kieszeni płaszcza i wybieram numer Dana. Trzymam ją daleko od ucha, dopóki nie rozlega się głos w mojej dłoni.

– Halo? Immy?

– Dan. – Przykładałam telefon do ucha i wymawiam szeptem imię męża. – Idę do domu ścieżką nad kanałem...

– Cholera, Im, mówiłem ci, żebyś tamtędy nie chodziła. Pamiętasz tę kobietę, której ukradli torebkę...

– Wiem, ale uszłam już połowę drogi – przerywam mu.

Jestem na siebie zła, że tędy poszłam, chociaż Dan surowo mi tego zakazał, ale złość się też na niego. Gdyby nie gadał mi w kółko, co mam robić, prawdopodobnie sama bym uznała, że ten skrót to kiepski pomysł. Moja decyzja była po części podyktowana chęcią udowodnienia mu, że nie jestem dzieckiem. No i popatrz, jak to się skończyło, myślę z żalem.

– Posłuchaj – ciągnę. – Słyszałam tu między drzewami głos jakiegoś dziecka. Wołało o pomoc. Muszę tam wejść i sprawdzić, ale chciałam, żeby ktoś wiedział, gdzie...

– Absolutnie nie wolno ci tam wchodzić, Imogen – mówi Dan wściekłym głosem. Wyobrażam sobie jego poczerwieniałą twarz. – Nie zatrzymuj się. Wkładam płaszcz i idę po ciebie.

Pieką mnie policzki.

– Nie potrzebuję, żebyś po mnie przychodził, Dan. Mam trzydzieści dwa lata. Mama przestała mnie odprowadzać do szkoły, kiedy skończyłam dziesięć.

Na dźwięk głosu męża wyparowała resztką strachu, jaki czułam jeszcze minutę temu. Teraz jestem tylko rozdrażniona.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że są gangi, które wykorzystują dzieci właśnie po to, żeby zwabić kobiety do lasu, a potem je okraść i... Idź dalej, Imogen, proszę cię.

Teraz jego głos brzmi tak błagalnie, że nie mogę nie ustąpić.

– Dobrze, i tak już nic nie słyszę. To pewnie jakieś miejscowe dzieciaki bawiły się w chowanego albo coś w tym rodzaju.

Wiem jednak, że to mało prawdopodobne. Dzieci bawią się hałaśliwie, biegają, krzyczą, ganiają się, a nie błagają cichutko o pomoc. Mimo to, kiedy Dan się odzywa, słyszę w jego głosie taką ulgę, że pozbywam się wszelkich wątpliwości.

– Dziękuję. Może jednak po ciebie wyjdę? Moglibyśmy wpaść po drodze na frytki.

– Mmm, zanosi się na ucztę.

Ruszam przed siebie. Głos Dana podnosi mnie na duchu.

– Dobrze, już wychodzę. Gdzie dokładnie jesteś?

Rozglądam się.

– Za starą ławką. Dochodzę do...

Słowa więzną mi w gardle, a potężny cios w plecy aż dudni mi w piersi i zwała mnie z nóg w brudną, lodowatą wodę starego kanału.

41

Imogen

Kaszlę gwałtownie i odpycham się dłońmi od ziemi, żeby się dźwignąć na nogi. Pieką mnie płuca, próbuję wciągnąć w piersi świeże, czyste powietrze, ale tonę w brudnej stojącej wodzie. Glony dostają mi się do gardła, oklejają tchawicę i wciągają głębiej pod wodę. Nie mogę otworzyć powiek, bo do oczu dostaje mi się gęsty muł; rozpaczliwie drapię palcami twarz, żeby się go pozbyć, ale za każdym razem, kiedy go ścieram, w jego miejsce napływa jeszcze więcej błota. Czuję, jak z ust uchodzi mi resztkę powietrza, i w tej samej chwili wiem, że umieram. Podczas gdy moje ciało walczy ostatkiem sił, słyszę głos, który wciąga mnie w głębinę, głos małej dziewczynki. „Ja tylko szukałam pomocy” – intonuje, a ja już nie potrafię rozróżnić, czy to głos dziewczynki, czy chłopca. Tego chłopca... „Ja tylko chciałem, żeby ktoś mi pomógł...”

– Imogen!

Otaczają mnie czyjeś mocne ramiona. Znowu kaszlę. Wyciągam dłonie i próbuję się ich uchwycić, zaciskam na nich palce, żeby nie zatonać w mętnej głębinie nieużywanego kanału.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że wcale nie jestem mokra, a oczu nie zakleja mi gęsty muł. W piersi nadal czuję ogień, ale nie wypełnia ich woda, tylko czyste powietrze.

– Imogen, słyszysz mnie?

Otwieram oczy, ale natychmiast zamykam je z powrotem przed rażącym białym światłem. Przytulam głowę do piersi Dana i pozwalam mu się delikatnie kołysać, dopóki nie ustaje pulsowanie w oczach i nie uspokaja mi się oddech. Po kilku minutach odzywa się inny głos, tym razem kobiecy.

– Imogen? Imogen, jestem doktor Harding. Czy pani mnie słyszy? Czy może pani otworzyć oczy?

42

Imogen

Przewracam się na drugi bok i próbuję się wygodnie ułożyć. Poprawiam sobie poduszkę, wgniataam w środku wgłębienie i zanurzam się w nim. Zamykam oczy i odpływam myślami; staram się oderwać je od powierzchni, lecz gdy tylko zaczynają opadać głębiej, kiedy blakną i rozpływają się w mętny, monotonny szmer, z pamięci znów wypływają na powierzchnię tamte słowa: *Ja tylko szukałam pomocy*. I znów przytomnieję, słyszę je tak wyraźnie, jakby ktoś wyszeptał mi je do ucha. Ale w pokoju nikogo poza mną nie ma, nie mam co do tego wątpliwości, a te słowa wryły się w moją podświadomość razem z odczuciem zatykającej mi gardło gęstej, brudnej wody, która jest tylko wspomnieniem snu, a mimo to mogłabym przysiąc, że czuję zimny, wilgotny muł i wodorosty pełznące niczym wąż przez moją tchawicę, oplatające płuca, aż ledwo oddycham.

Wysuwam nogi spod ciepłej kołdry, wstaję i wkładam szlafrok. Kiedy mija ucisk w piersi i oddech powraca do normy, wychodzę na korytarz, a po drodze zapalam światło.

Zegar na dole pokazuje dziewiątą piętnaście, to znaczy, że udało mi się przespać kilka godzin, ale nie mam pojęcia, co mnie tak nagle wyrwało ze snu. Dan wyszedł o siódmej do pubu na spotkanie z wydawcą miejscowej gazety, który zaproponował mu wprowadzenie

stałej rubryki o wspaniałym życiu powieściopisarza. Okazało się, że facet czytał kilka książek Dana i jest jego miłośnikiem.

– Myślałam, że nie musimy się martwić o pieniądze, skoro zaczęłam znowu pracować? – zapytałam, kiedy powiedział mi o jego propozycji.

To nie znaczy, że sprzeciwiam się jego nowym pomysłom – powinien mieć coś, na czym może się skupić, a ta praca może otworzyć przed nim jakieś nowe drzwi – ale od wypadku nad kanałem mrozi mnie nieco myśl, że mam zostać w domu sama.

– Nie chodzi o pieniądze, kochanie, tylko... no cóż, czuję się trochę samotny, siedząc przez cały dzień w domu, kiedy ty chodzisz do pracy – odparł trochę zawstydzony, jakby wyznanie, że potrzebuje towarzystwa, było przejawem niemądrej słabości. – Dzięki temu miałbym od czasu do czasu jakiś kontakt z ludźmi.

Poczułam się samolubna i zepsuta, kiedy szybko dodał, że oczywiście, jeśli wolałabym, żeby został w domu, to zostanie – ja jestem ważniejsza, tamten projekt może poczekać na inną okazję. Ale ja wiem wystarczająco dużo na temat dziennikarstwa, by zdawać sobie sprawę, że „inna okazja” jest równie prawdopodobna jak „kiedyś w przyszłości”.

– Nie, nie, oczywiście, że musisz tam pójść – zapewniłam go z nadzieją, że mój uśmiech nie wyglądał tak sztucznie, jak mi się zdawało. – Nic mi nie jest. Za kilka dni wrócę do pracy i przestanę robić tyle zamieszania, więc dobrze ci zrobi jakieś zajęcie.

Muszę przyznać, że z Dana byłaby doskonała pielęgniarka. Od mojego wyjścia ze szpitala zajmował się mną niezmordowanie. Zatrzymali mnie na noc, rzekomo na obserwację, lecz ja wiedziałam, że tak naprawdę nie było komu o tej porze sporządzić wypisu. Rano orzekli, że mogę wrócić do domu, jeśli będę miała opiekę. Na szczęście, kiedy mnie informowali, że dziecku nic się nie stało, Dan

wyszedł właśnie zadzwonić. Za to w domu omal mnie nie zadusił swoją nadopiekuńczością, zupełnie jakby podpisał zobowiązanie własną krwią.

Zapalam w kuchni światło i rozglądam się, mrugając. Wszystko wygląda normalnie, dokładnie tak jak było, zanim poszłam na górę, żeby się zdrzemnąć. Więc czemu czuję się tak nieswojo? Nie widzę niczego, co by mnie mogło obudzić – żadnych naczyń, które ześliznęły się do zlewu, czy przewróconego worka z plastikowymi śmieciami. Nie pociesza mnie myśl, że obudziły mnie własne koszmary.

Ze stoickim spokojem ignoruję ciemność za oknem kuchni i odnotowując w pamięci, żebym przy najbliższej okazji kupiła żaluzje, otwieram lodówkę i biorę do ręki sok pomarańczowy, który Dan kupił specjalnie dla mnie – pełen witaminy C, jak oznajmił z dumą. Piję z pudełka i chichoczę w duchu z własnej niesubordynacji. Dan zatrzęsłby się z oburzenia na ten widok; jeśli idę na górę się przespać, to muszę sobie nalać soku do szklanki, żeby nie dostać bury.

Zamykam łokciem lodówkę, a kiedy podnoszę głowę, kartonowe pudełko wyslizguje mi się z rąk. Zimny lepki sok rozpryskuje mi się na stopy, lecz prawie tego nie zauważam, bo z gardła wyrywa mi się rozdzierający wrzask na widok bladej twarzy przyciśniętej do kuchennego okna.

43

Imogen

Twarz odwraca się od okna i rusza w stronę wejścia do domu. Z krzykiem rzucam się do drzwi i szarpię za klamkę. Zamknięte na klucz. Biegnę do jadalni. Podwójne okna balkonowe do ogrodu są zasłonięte; nie wiem, czy Dan je zamknął przed wyjściem, ale nie potrafię się zdobyć na uchylenie zasłon i spojrzenie w twarz intruzowi, który się tam czai. Łapię ze stołu w jadalni torebkę z komórką i zatraskuję za sobą drzwi. W salonie rozglądam się za czymś, czym mogłabym się zabarykadować.

Kto się tam czai? Usiłuję odtworzyć w pamięci bladą jak ściana twarz z zapadniętymi czarnymi oczami, chociaż tu mogła zadziałać moja wyobraźnia albo szyba i oświetlenie. Nagle aż podskakuję – intruz wali do drzwi balkonowych. Serce mi łomocze, próbuję przeciągnąć pod drzwi wielką mahoniową komodę, ale mebel wypełniony bibelotami po babci nie chce nawet drgnąć z miejsca. Skoro jednak ktoś puka w szybę, to musi znaczyć, że drzwi do ogrodu są zamknięte. Kiedy stukanie milknie, biegnę sprawdzić główne wejście. Na szczęście są zamknięte na klucz.

Na dworze panuje cisza, ale to wydaje mi się jeszcze gorsze niż walenie w szybę. Skoro nic nie słyszę, nie mam pojęcia, gdzie jest intruz i co mam robić. Wyjmuję z torebki telefon, przewijam ostatnie połączenia, aż znajduję Dana, i wybieram jego numer. Serce mi się

ściska, bo w głośniku kobiecy głos proponuje mi nagranie wiadomości po sygnale.

– Dan, to ja. Nie wpadaj w panikę, ale czy możesz do mnie zadzwonić, kiedy to odsłuchasz?

Rozłączam się i patrzę na telefon. Zadzwonić na policję?

Ale co im właściwie powiem? Że ktoś puka do moich drzwi? Już sobie wyobrażam to upokorzenie, kiedy zjawia się policja i zastaje Dana, który zapomniał zabrać kluczy z domu i rozładowała mu się komórka. Albo Pammy. Albo Lucy, która przyjechała, żeby podrzucić mi sweter lub torbę, bo zostawiłam je w pracy, albo coś równie niewinnego. Biorę kilka głębokich oddechów. Muszę sprawdzić, kto się tam kręci, zanim zadzwonię po pomoc. Czuję się głupio nawet z powodu tego telefonu do Dana. Niczym bezradna nastolatka z horroru. Biorę się w garść i otwieram drzwi jadalni, spodziewając się po drugiej stronie zbira uzbrojonego w nóż rzeźnicki.

Naoglądałaś się za dużo thrillerów, idiotko.

Tak, i gdybym oglądała teraz siebie w jednym z nich, wrzeszczałabym na siebie, żeby zadzwonić po policję, a nie odsuwać te cholerne zasłony.

Ale to nie jest thriller, prawdopodobieństwo, że zostanę we własnym domu posiekana na drobne kawałki nożem rzeźnickim nawet ja muszę uznać za dość znikome.

W jadalni jest pusto. Zanim zajrzę za zasłony, aby stawić czoło niebezpieczeństwu czyhającemu za oknem, idę najpierw do kuchni i omijając starannie wzrokiem niezasłoniętą szybę, wydaję nóż z drewnianego bloczka. Potem zbieram się na odwagę i rzucam okiem w stronę okna, ale widzę tylko odbicie własnej twarzy w atramentowoczarnym prostokącie. Wracam z nożem do jadalni, a po drodze gaszę wszystkie światła. Po co mam się pokazywać intruzowi, który chodzi po dworze?

Biorę jeszcze kilka głębokich, uspokajających oddechów, po czym trzymając przed sobą nóż, jednym ruchem odsuwam zasłony.

Ogród wygląda na opustoszały. Ani śladu żywej duszy. Przykładam dłoń do szyby, zbliżam twarz i uważnie lustruję ciemność za oknem; wypatruję najmniejszego ruchu, ale niczego nie zauważam. Wypuszczam z piersi wstrzymywane powietrze i zaciągam z powrotem zasłony. Ktokolwiek tam był, musiał sobie pójść.

Nie wypuszczając noża z dłoni, wchodzę do salonu. Moja komórka leży milcząco na komodzie; najwyraźniej Dan nie odsłuchiwał jeszcze mojej wiadomości. Kiedy zamierzam w końcu usiąść na kanapie, rozlega się pukanie do drzwi frontowych.

W jednej chwili znajduję się w przedpokoju. Mam dość tego skradania się ze strachu, chcę się dowiedzieć, kto się kręci o tej porze wokół mojego domu. Czy to jakieś dzieciaki chcą mnie przestraszyć? Wsuwam łańcuch i uchylam drzwi. Na widok osoby stojącej na ganku cofam się o krok.

– Pani Reid? – Z cienia wyłania się Hannah Gilbert. – Przepraszam, że panią przestraszyłam, nie powinnam podchodzić do okna kuchennego, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Prze... przepraszam.

Moje serce pomału się uspokaja i kiedy zamykam drzwi, a następnie zdejmuję łańcuch, robi mi się głupio. Nauczycielka nie wygląda groźnie, a ja po otwarciu drzwi na oścież przypominam sobie, że cały czas trzymam w ręce nóż. Hannah Gilbert zauważa go, zanim udaje mi się go ukryć.

– O Boże, naprawdę panią wystraszyłam – mówi, przykładając dłoń do piersi. – Tak mi przykro.

– Proszę się nie przejmować. – Odkładam nóż na stolik z telefonem.
– Jestem trochę nadpobudliwa, nowy dom w szczerym polu...
Przywykłam do życia w mieście. Czy coś się stało?

Hannah zagląda w głąb korytarza za moimi plecami.

– Miałam nadzieję, że uda mi się z panią porozmawiać. Czy mogę wejść?

– Proszę. – Zapraszam ją gestem do środka, ale nie mogę się powstrzymać i lustruję wzrokiem ciemność w ogrodzie.

Dopiero kiedy zamykam starannie drzwi, zauważam, że Hannah Gilbert jest roztrzęsiona. Nic dziwnego, że jej twarz śmiertelnie mnie przerażała – nawet w jasnym świetle przedpokoju wygląda blado, a pod oczami ma fioletowe sińce. Dwa dni temu o włos uniknęłam utopienia się w kanale, ale Hannah również sprawia wrażenie, jakby cudem uszła skądś z życiem.

– Czy mogę zrobić pani coś do picia? – pytam, aby trochę rozładować niezręczną sytuację. Czuję, że znalazłszy się w środku, Hannah nie ma pojęcia, od czego zacząć. – Herbaty? Kawy? Wina?

Kiwa głową.

– Wino dobrze by mi zrobiło, dziękuję.

Prowadzę ją do kuchni i napełniam jej kieliszek. Kiedy bierze go do ręki, spostrzegam, że drżą jej dłonie.

– A pani? – pyta, upijając łyk.

– Biorę środki przeciwbólowe – wyjaśniam.

– A, tak, słyszałam, co się pani przytrafiło nad kanałem. Nic się pani nie stało?

Kręcę głową.

– Nic, to tylko drobny wypadek – odpowiadam, zastanawiając się, kto jeszcze słyszał o mojej zawstydzającej przygodzie.

– Hm – mruczy Hannah, ale nie drąży tematu.

Idziemy do salonu i wskazuję jej gestem, żeby usiadła.

– Czy pani męża nie ma w domu?

– Nie, ma spotkanie służbowe. O czym chciała pani ze mną porozmawiać?

Teraz, kiedy widzi, że słucham jej uważnie, jest najwyraźniej zbyt zakłopotana, by mówić.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, w jaki sposób to ująć – zaczyna.

– Może spróbujemy rozmawiać otwarcie, Hannah – proponuję. – Mów do mnie Imogen. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli przejdziemy na ty. – Kręci głową. – Zapomnijmy na razie o pracy. Powiedz mi, co cię aż tak trapi, że postanowiłaś przyjść do mnie wieczorem do domu.

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Dobrze – odpowiada z nieznacznym skinieniem głowy. – Przyszłam, ponieważ usłyszałam o twoim wypadku nad kanałem. A także o... hm... dyskusji, jaką odbyłaś kilka godzin wcześniej w kawiarni z Sarą Jefferson.

– No cóż, wieści szybko się tu rozchodzą. – Staram się ukryć uszczypliwość w głosie.

To jedna z rzeczy, z którymi nigdy nie umiałam się pogodzić, kiedy mieszkałam w Lichocie – fakt, że twoje sprawy są sprawami wszystkich innych. Nie to co w Londynie, gdzie możesz zastrzelić człowieka przed drzwiami jego domu i jeśli nie zachlapiesz krwią okien sąsiadów, to nikt tego nie zauważy.

Hannah ma dość przyzwoitości, aby okazać zakłopotanie.

– Znam wielu ludzi w mieście.

Czy mi się wydaje, czy zawarła w tych słowach coś więcej niż tylko odpowiedź na moją uwagę? Nie trzeba mi przypominać, że zna tu więcej ludzi niż ja – ci, których kiedyś znałam, nie wiedzą, że wróciłam do Lichoty, a nawet gdyby wiedzieli, mieliby to w nosie.

– Co ma wspólnego rozmowa z Sarą Jefferson z moim upadkiem do kanału?

Przygotowując się do tego, co zamierza powiedzieć, Hannah bierze łyk wina. W końcu, po długiej, pełnej napięcia chwili milczenia, mówi:

– Czy jesteś pewna, że to był upadek?

Spodziewałam się tego, a mimo to robię się czerwona, słysząc tak otwartą sugestię.

– Zachowałam się lekkomyślnie, chodząc tam po ciemku. Nie znam zbyt dobrze tej okolicy, nie zdawałam sobie sprawy, że kanał biegnie tak blisko ścieżki. W dodatku jest gęsto zarośnięty trawą i chaszczami...

– Czy wiesz, ile osób wpadło przypadkiem do tego kanału w ciągu ostatnich ośmiu lat? Jedna: dzieciak, który w głupiej zabawie uparł się, że go przeskoczy. A ty próbujesz sobie wmówić, że wpadłaś tam całkiem trzeźwa tuż po kłótni z opiekunką Ellie Atkinson?

– Sugerujesz, że Sara Jefferson wepchnęła mnie do kanału? Że podkradła się do mnie tak, że tego nie słyszałam ani nie widziałam, i popchnęła mnie, ponieważ nie chciałam orzec, że jej podopieczna jest obłąkana?

– Nie, nie twierdzę, że to zrobiła Sara – odpowiada spokojnie Hannah i wpija we mnie mętne brązowe oczy.

– Słucham? – prychem drwięco. – Zatem masz na myśli Ellie? Więc teraz dziewczyna nie tylko czyta w myślach, ale umie się stawać niewidzialna?

Nie wspominam o głosie, który słyszałam tuż przed upadkiem. Później, kiedy leżałam w szpitalu, a także po powrocie do domu, zdałam sobie sprawę, że to było głupie złudzenie, sztuczki umysłu owładniętego lękiem przed ciemną, nieznaną drogą.

– Wiem, że lubisz Ellie – mówi Hannah, nie zważając na drwinę pobrzmiewającą w moich słowach. – Ale nawet ty musiałaś zauważyć, że ludziom, którzy jej weszli w drogę, przytrafiały się złe rzeczy. Doszłam do wniosku, że skoro doświadczyłaś tego na własnej skórze, to zrozumiesz...

– Co zrozumieć? Że jest opętana? Że jest złem wcielonym? Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi. Ellie jest jedenastoletnim dzieckiem! Ludzie, co wy z niej robicie?! I co robicie jej?! To jest nieludzkie! – Gniew i frustracja, tłumione od wielu tygodni, wzbierają we mnie, podnoszą łeb i stają dęba jak dzikie zwierzę. – Ellie naprawdę potrzebuje ratunku: przed wami wszystkimi! Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego!

Hannah wstaje i odstawia kieliszek zbyt gwałtownym gestem; policzki tak jej płoną od gniewu i upokorzenia, że przez głowę przemyka mi myśl, że chce się na mnie rzucić. Niech tylko spróbuje, to rozkwasię jej nos.

– Widzę, że żadnej z nas ta rozmowa nie służy. – Z trudem stara się mówić wyważonym głosem. – Miałam nadzieję na cywilizowaną rozmowę. Sądziłam, że po tym, co przeszłaś, spojrzysz na sprawę z otwartym umysłem, przynajmniej na tyle, by rozważyć możliwość, że mylisz się co do tej dziewczyny. Ale nie – podnosi głos, przegrywając walkę z własnymi emocjami – jak widać, za bardzo zaślepiła cię pycha i ignorancja, aby dostrzec, że dzieją się w tym mieście rzeczy, których nie da się zrozumieć ani dowieść. Rzeczy, w które można uwierzyć, tylko jeśli się chce w nie wierzyć. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Muszę przyznać, że się srodze zawiodłam.

To mówiąc, wychodzi z pokoju, a kiedy otwiera drzwi, na komodzie zaczyna dzwonić mój telefon. Nie zwracam na niego uwagi i idę za nią.

– Srodze się zawiodłaś?! – wrzeszczę. – Rzeczywiście musiałaś się srodze zawieść, skoro sądziłaś, że dołączę do waszego polowania na czarownicę zrobioną z małej dziewczynki, która przeszła już w życiu piekło! Niedobrze mi się robi, jak o was myślę. I dopilnuję, żeby Ellie nie spadł włos z głowy przez wasze średniowieczne przesady!

Hannah zatrzymuje się w połowie podjazdu i odwraca. Żwir chrzęści jej pod stopami. Zawraca w stronę domu i przystaje dopiero, kiedy jej twarz znajduje się kilka centymetrów od mojej. Nie ruszam się z miejsca. Serce mi wali, kiedy Hannah cedzi przez zaciśnięte zęby:

– Żal mi ciebie, Imogen. Żal mi ciebie i twojego małego rozumku. Przyszłam tu, żeby cię ostrzec, że nikt nie jest bezpieczny przed tym, do czego jest zdolne to dziecko, ale widzę, że moja troska pada na grunt ignorancji i obojętności. Powiem ci tyle: bądź ostrożna. Pilnuj się i zabezpieczaj sobie tyły, a przede wszystkim nie drażnij Ellie Atkinson. Bo kiedy ją rozdrażnisz... „kiedy”, nie „jeśli”... twoja ignorancja i ślepotą na wszystko inne poza swoim ciasnym, idealnie zwyczajnym światkiem zemści się na tobie. Módl się, abyś pożyła na tyle długo, by pożałować, że mnie nie słuchałaś.

Zanim udaje mi się sformułować jakąś odpowiedź, Hannah Gilbert znika w ciemności.

44

Ellie

Ellie widzi, że Mary jest niespokojna i krąży niecierpliwie po pokoju. Przenosi się z podłogi na łóżko, z łóżka na krzesło i z powrotem na podłogę, bierze do ręki swoje zdjęcie, na którym jest z rodzicami, i bez żadnego konkretnego powodu przestawia je z jednego końca biurka na drugi. Pokój Mary jest porządkowy i wysprzątnięty, wszystko stoi na swoim miejscu i zdjęcie na nowym miejscu wygląda dziwnie.

– Co się z tobą dzieje? – pyta w końcu Ellie i spostrzega, jak Mary kuli się na dźwięk, który przerywa ciszę. – Zachowujesz się, jakbyś była psychiczna.

Mary wydaje piskliwy dźwięk, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że Ellie nazywa ją wariatką.

– Nic – odpowiada chrypliwie. – Wszystko w porządku.

Ellie już to słyszała: jej mama używała tego samego sztywnego tonu, ilekroć tata powiedział coś bez sensu. *Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Daj spokój, Martin.* Tata dobrze wiedział, że w takich chwilach lepiej odpuścić, a teraz Ellie wie to samo. Kiedy posiedzą jeszcze trochę w gęstym, mętym milczeniu, Mary sama zacznie mówić, jakby słowa kap-kap-kapały do zapchanego zlewu, aż w końcu, jeśli nikt go nie odblokuje, zaczną się przelewać. I rzeczywiście popłynęły.

– Słyszałam, jak mama mówiła o tej kobiecie z pomocy społecznej.
– I tak jak woda, słowa nie dały się już zatrzymać ani cofnąć z powrotem do zlewu. – Tej, która u nas była, Imogen. Miała wypadek.

Ellie prostuje się, jakby połknęła kij. A więc to dlatego Mary jest taka podenerwowana.

– Jaki wypadek? Kiedy?

Mary odwraca się do niej twarzą, jakby to była najtrudniejsza rzecz pod słońcem i przygotowowała się do niej przez cały wieczór. Świdruje Ellie wzrokiem, a gdy się odzywa, nie mówi tak jak zwykle ona, tylko jak pani Gilbert albo Sara, kiedy myślą, że nikt ich nie słyszy.

– Ellie, czy miałaś znowu te sny? Czy śniła ci się Imogen?

– Nie – odpowiada bez zastanowienia.

Jeśli ma być szczerą, to nigdy nie pamięta swoich snów, budzi się zrana zimnym potem i dyszy chrapliwie po walce o każdy oddech w tumanach gęstego dymu, ale niekiedy jest jeszcze coś. Czasem z płomieni wyłaniają się twarze ludzi, których zna, ludzi, którzy ją źle traktowali albo zdenerwowali, którzy powinni za to cierpieć, tak przynajmniej czuje we śnie. Ale w prawdziwym życiu? Nie potrafiła nawet zabić ćmy, tylko szłochała, otwierając okno i wypuszczając ją na wolność.

Nie widzi płomieni, ale to nie znaczy, że nie grozi jej niebezpieczeństwo. Gęste kłęby dymu dławią ją i kłują w oczy, jakby chciały ją połknąć, wziąć we władanie. Próbuje krzyknąć, zawołać mamę na pomoc, ale głos więźnie jej w gardle. Powietrze jest gorące, piekące, każdy skrawek jej ciała sprawia wrażenie, jakby cała zamieniła się w ogień.

Gdzie są wszyscy? Czy mama i tata uciekli? I Riley, i Plum? Czy rodzice w ogóle próbowali jej szukać? Czy myśleli tylko o sobie i małym dziecku, które tak bardzo kochali?

Nic już nie widzi. Ani łóżka z turkusowo-różowo-liliową pościelą, ani biurka, które tata wyszlifował i pomalował na białe. Wszystko zasłania dym, ukrywa tak przemyślnie, jakby ktoś wziął szary marker i zamazał nim świat. Zataczając się do przodu, wyciąga rękę, żeby się czegoś przytrzymać, i chwyta palcami materiał. Okno! Udało jej się dojść do okna! Odsuwa zasłonę i patrzy na tonący w ciemności ogród. Wygląda tak normalnie, czarny jak smoła i nieruchomy niczym obraz. Jak to możliwe, żeby na zewnątrz świat był taki zwyczajny, podczas gdy w środku wszystko się kończy?

Ellie wali w okno, chociaż wie, że to na nic. W ogrodzie nikogo nie ma, ani tłumu gapiów, ani straży pożarnej, która przyjechała, żeby ich uratować. Zupełnie jakby była ostatnim człowiekiem na ziemi.

Z każdym oddechem dym wypełnia jej płuca. Gdyby tylko mogła zasłonić sobie usta... Wkrótce palące powietrze tak ją wypełni, że nie

będzie miała miejsca na oddech. Jest inteligentną dziewczyną, ma jedenaście lat i wie, co się dzieje, kiedy w płucach brakuje miejsca na powietrze. Szarpie zasłonę, przykłada ją sobie do ust i nosa, żeby powstrzymać dym, i znowu wali w szybę.

Nie wie, która jest godzina; obudziła się w nocy, żeby wyjść do łazienki, i zdziwiła się, czemu w pokoju jest tak ciepło, aż w końcu zobaczyła smużki dymu wijące się spod drzwi. W pierwszej chwili chciała je otworzyć, żeby sprawdzić, skąd się bierze ten dym, ale myśl o tym, że zobaczy za nimi piekielne pomarańczowe płomienie, tak ją przeraziła, że zatoczyła się w tył, potknęła i upadła na łóżko. Teraz już jest za późno; ściana dymu zagroziła jej drogę do drzwi i jedyną nadzieją pozostało okno.

Próbuje je otworzyć, ale spocone dłonie ślizgają się na klamce. Przez chwilę się z nią siłuje, aż w końcu ze zgrozą przypomina sobie, że mama blokuje okna, żeby dzieci nie mogły wdrapać się na parapet, wypaść i zabić się. Teraz Ellie zginie właśnie z tego powodu. Na myśl o mamie zaczyna szlochać, a potem krzyczeć. Dlaczego nie przychodzą? Dlaczego ją opuścili?

Opiera się jedną nogą o półkę z książkami i podskakuje do lufcika, który mama otwiera, kiedy chce wywietrzyć pokój. Jest za mały, żeby precyzyjnie się przez nie dziecko, więc rzadko go blokuje na zamek. Kiedy okienko się otwiera, Ellie o mało znów nie wybucha płaczem. Podciąga się wyżej i łapczywie chwyta w piersi świeże powietrze, ale ma wrażenie, że jej płuca się skurczyły, dym je całkiem wypełnił i zostało w nich mniej miejsca na dobre powietrze. Piecze ją gardło i kiedy próbuje krzyknąć, wydobywa się z niego tylko cichy skrzek, palce ześlizgują się po plastikowej futrynie i lada chwila spadnie z powrotem na środek zadymionego pokoju.

W oddali słyszy zawodzenie syren. Jada! Mama i tata musieli uciec z płonącego domu i podnieśli alarm, a teraz straż pożarna jedzie ją

uratować. Nie dopuszcza do siebie pytań, dlaczego rodzice nie otworzyli po prostu drzwi do jej pokoju, kiedy schodzili na dół, ani dlaczego nie słyszała, żeby ją wołali. Wszystko będzie dobrze, gdy tylko mama ją znowu przytuli; wszystko się wyjaśni w szpitalu, gdzie lekarze zbadają, czy nic jej nie jest, i wymienią złe powietrze na dobre.

Syreny wyją już przed domem i świat znowu ożywa. W sąsiednich domach zapalają się światła, ludzie wyglądają zza zasłon, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kilka sekund po tym, jak milkną syreny, z dołu dochodzi trzask wyważanych drzwi, potem stłumione głosy na schodach. Chce pobiec i otworzyć drzwi pokoju, ale boi się porzucić swoje jedyne źródło świeżego powietrza.

Drżą jej palce, którymi się podpira, wyciągając się w górę; lada chwila omdleją jej ze zmęczenia, ale na razie jeszcze się trzyma. Tylko wąska szczelinka łączy ją z prawdziwym światem i chroni przed koszmarem, który zawładnął domem. Kiedy do pokoju wpada mężczyzna w żółtych spodniach, czarnej kurtce i w masce na twarzy, musi ją siłą odrywać od tej jedynej liny ratunkowej; ona wrywa się i krzyczy, w końcu jednak opada mu na pierś i z całej siły zaciska oczy przed piekłem, które szaleje za drzwiami jej pokoju.

Hannah dygocze z zimna i obciąga rękawy na zlodowaciałe dłonie. Cholera, dlaczego nie wzięła rękawiczek? Tak się spieszyła, żeby wyjść z domu, żeby uciec od męża i jego pieprzonych pytań. Dobrze chociaż, że w tym pośpiechu nie zapomniała włożyć kurtki. Ale bez obaw, wkrótce będzie na miejscu, a w mieszkaniu jest piecyk olejowy i inne sposoby, żeby się rozgrzać.

Jeszcze raz wstrząsa nią dreszcz, lecz tym razem bardziej z niecierpliwości niż z zimna, chociaż wiatr przewiewa nawet przez wierzchnie okrycie. To co ich łączy – Hannah nie znosi słowa „romans”, które jest takie oskarżycielskie – trwa zaledwie kilka miesięcy i za każdym razem, kiedy się spotykają, jest tak upajająco, że zupełnie jej nie przeszkadzają rzeczy, których nigdy by nie zrobiła z mężem, takich jak wkradanie się w środku nocy do opuszczonego budynku. Przeciwnie, te rzeczy są w tym wszystkim najbardziej podniecające. Czuje lekkie wyrzuty sumienia: może gdyby była trochę bardziej otwarta na podobne przygody z Samem, nie doszłoby do tego, ale szybko zbywa tę myśl lekceważeniem – nie pozwoli, żeby mąż popsuł jej zabawę.

Odchyła czarny worek na śmieci, którym ktoś zasłonił stłuczone okno, a następnie zakleił taśmą – taśma się odkleiła na wietrze i uderza o brudną plastikową futrynę – i zagląda do ciemnego pokoju. Kiedy pierwszy raz stawiała stopę na pękniętej rynnie i podciągała się na parapet, była sztywna ze strachu, że rura się pod nią zarwie, a ona

skończy ze złamaną nogą, albo jeszcze gorzej – ktoś ją nakryje tkwiącą w oknie z jedną nogą w środku, a drugą na zewnątrz, niczym groteskową balerinę. Teraz już nabrała wprawy i chociaż parapet jest śliski od deszczu i brudu, wdrapuje się na niego bez większego wysiłku. Za którymś razem pośliznęła się, wchodząc, i uderzyła kolanem o futrynę; do dzisiaj krzywi się na wspomnienie przeszywającego bólu i tępego łupania, które dręczyło ją potem przez kilka dni. Po drugiej stronie okna stoi zakurzony puf – kolejny z jej pomysłów wypracowanych metodą prób i błędów, żeby nie zeskakiwać na podłogę. Jeszcze jeden krótki wysiłek, przerzuca drugą nogę nad parapetem i w końcu z ulgą stawia stopy na solidnym podłożu. Jeśli jest w tych nocnych schadzkach coś, do czego Hannah nie może przywyknąć, to kompletna ciemność, która ją wita w opuszczonym mieszkaniu. Kiedy Evan przychodzi pierwszy, zapala małe lampki na baterie imitujące świece i rozstawia je w różnych miejscach, jeśli zaś pierwsza zjawia się ona, przynosi ze sobą najsilniejszą latarkę, jaką ma w domu, i omiata pomieszczenie snopem światła, szukając elektrycznych świeczek. Zapalając je po kolei, przypomina sobie ze wzruszeniem, jak wyśmiewała się z Evana z powodu jego przeczulenia na punkcie ognia, lecz gdy wszystkie lampki zaczęły migotać jak prawdziwe płomyki, musiała przyznać, że wyglądają całkiem romantycznie. Tym razem jednak z irytacją stwierdza, że działają tylko trzy.

– Pieprzone buble – burczy.

W mgnieniu oka wyparowuje z niej całe wzruszenie. Evan przyniesie swoją latarkę, a jeśli działa światło na górze, nie ma znaczenia, czy na dole jest widno, czy nie.

Gdy Evan pierwszy raz przyprowadził ją do tego opuszczonego bloku mieszkalnego, była nieco zaskoczona jego śmiałością. Nie spodziewała się takich niekonwencjonalnych pomysłów

u nieśmiałego, fajłapowatego nauczyciela matematyki, a tymczasem aż oczy mu błyszczały, kiedy opowiadał o tym, że budynek uznano kiedyś za niebezpieczny i wszystkich mieszkańców wysiedlono praktycznie z dnia na dzień, chociaż większość nie miała dokąd iść ani nawet gdzie przewieźć rzeczy. I teraz stoi niczym statek widmo, makabryczne migawki z życia małych blokowych slumsów.

Hannah podchodzi do drzwi, klnąc pod nosem na kubek stojący na podłodze obok kanapy, który potrąciła nogą. Naczynie toczy się po podłodze z grzechotem, który w kompletnej ciszy wydaje się ogłuszający.

Nagle na korytarzu rozlega się łomot. Hannah podskakuje przestraszona.

– Evan? – Staje w drzwiach mieszkania, nie ma ochoty wychodzić sama na ciemną, zimną klatkę schodową. Patrzy na górę. – Halo?

I znowu kolejny łoskot, a następnie odgłos cicho zamykanych drzwi. A więc Evan jest na górze. Hannah marszczy czoło. Nigdy nie wykazywał upodobania do podobnych gier, ale w końcu kiedyś nie podejrzewała go również o buszowanie po opuszczonych budynkach. Kretyn, mruczy, lecz uśmiecha się przelotnie i idzie do schodów.

Większość mieszkań jest zamknięta, tylko w paru miejscowa młodzież wyważyła drzwi i urządza w nich imprezy albo, sądząc po przyborach porzucanych na podłodze, po prostu bierze narkotyki. Dlatego właśnie Hannah i Evan wybrali mieszkanie na wyższym piętrze – ponieważ nikomu innemu z osób korzystających z tej pustej przestrzeni nie chce się wędrować tak daleko. Któregoś wieczoru usłyszeli, jak grupa dzieciaków wchodzi przez to samo okno, z którego oni skorzystali godzinę wcześniej. Zamarli ze strachu. Gdyby ich nakryto, ucierpiałyby nie tylko ich honor. Pani Gilbert i pan Hawker ukrywają się w zrujnowanym bloku? Aż dreszcz ją przeszedł na myśl o tym, jaka legenda powstałaby w tej zwartej społeczności. Oboje

straciliby pracę, prawdopodobnie rozpadłyby się również ich małżeństwa. Czekali dwie godziny, a w tym czasie głosy dzieciaków – z których wiele rozpoznawała – stawały się coraz bardziej hałaśliwe i zuchwałe, aż w końcu zaczęły buszować po mieszkaniu znajdującym się tuż pod nimi. Hannah wiedziała, że Evan wolałby skoczyć z okna niż zostać tu przyłapanym.

Wychodząc na korytarz, ma wrażenie, jakby przechodziła przez górę lodową. Jak to możliwe, że w budynku jest zimniej niż na dworze? Mrok nie jest tutaj taki gęsty; księżyc rzuca na ścianę snopy zakurzonego światła. Kiedy Hannah idzie po schodach, ciemność zamyka się wokół niej na każdym półpiętrze.

Nagle na schodach przed sobą słyszy kroki i oddech więźnie jej w gardle.

– Przestań się wygłupiać, Evan! – woła w nieruchomy mrok zalegający w górze. – Za dwie sekundy robię w tył zwrot i wracam do domu.

Ma nadzieję, że w jej głosie słyhać groźbę, jakby naprawdę zamierzała to zrobić, chociaż wcale tak nie jest. Czy jej się zdawało, czy ktoś na górze zachichotał? A może prychnął albo kaszlnął? Po raz pierwszy od przejścia przez stłuczone okno Hannah zaczyna się wahać. A jeśli to nie Evan? Może właśnie dlatego to zachowanie jest do niego takie niepodobne: ponieważ to nie on? W końcu lampki się nie paliły, a teraz, gdy się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że czegoś tu jeszcze brakuje – jego zapachu. Kiedy tu przychodzą, zapach Evana rozchodzi się w zatęchłych korytarzach i pozostawia za sobą wyraźny szlak, niczym ścieżkę z okruszków, a tymczasem dzisiaj nie czuła go w ogóle.

– Evan?! – woła go półszepem.

Odpowiada jej cisza. Szuka dłonią poręczy, żeby zejść z powrotem na dół, lecz kiedy się odwraca, na górze rozlega się wyraźny,

dźwięczny głos:

– Hannah.

Nieruchomieje. Co za świnia! Uśmiecha się szeroko i idzie dalej na górę, gdzie najwyraźniej czeka Evan i uśmiecha się drwiąco, widząc, jak ją przed chwilą wystraszył. Co ona wymyślała? Przecież nikt więcej nie wie, że tu jest. A gdyby gdzieś zagnieździli się dzicy lokatorzy, to na pewno zajęliby mieszkanie na niższym piętrze. Komu chciałoby się wdrapywać tak wysoko?

Na najwyższym piętrze panuje martwa cisza. Mieszkanie numer siedemnaście jakby na nią czekało, drzwi są jak zawsze uchylone na kilka centymetrów. Evan pochwalił się, że musiał się włamać do środka, chociaż wizja jej kochanka wyważającego ramieniem drzwi wydała jej się równie zabawna co obraz dzikich lokatorów biegających w lycrze po schodach w ramach rozgrzewki.

– Dobrze, możesz już wyjść.

Hannah czeka i przygotowuje się, aż Evan wyskoczy z ciemności. To byłoby takie żenujące, gdyby zobaczył, że boi się każdego cienia. Stoi przez chwilę przed otwartymi drzwiami, po czym nabiera głęboko powietrza i pchnięciem otwiera je na oścież.

– Ha! – woła w pusty przedpokój. – Do kurwy nędzy, Evan – mruczy pod nosem.

Ma już dosyć tej gry. Po kilku godzinach Sam zacznie się dopytywać, gdzie była, i Evan dobrze o tym wie. Po co marnować drogocenny czas na zabawy w chowanego. Emma na pewno będzie ją kryła i zapewni jej alibi, jeśli Sam zacznie być zbyt dociekliwy, ale Hannah wolałaby tego nie sprawdzać.

Podsłakuje przestraszona na dźwięk głosów dobiegających z pokoju. Nie, to nie głosy, tylko muzyka. Po tym, jak w czasie ich drugiego spotkania budynek ostatecznie odłączono od sieci elektrycznej, Evan przyniósł radio tranzystorowe. Wcześniej czuli się

jak w hotelu, czy może raczej dość obskurnym hostelu. Mieli światło, nie było wprawdzie telewizora, ale w końcu nie przychodzili tu oglądać Netflixa. Muzyka z niewielkiego odbiornika jest cicha i brzękliwa, ale i tak lepsza od kompletnej ciszy. Hannah wchodzi do pokoju, ale w środku nikogo nie ma, tylko z radia płynie cicha ballada. Podchodzi i wyłącza odbiornik. Odwracając się do wyjścia, opiera się pokusie, aby obejrzeć się za siebie. Wraca do domu, niech sobie Evan ulży bez niej. Właśnie ma zamknąć za sobą drzwi do mieszkania, kiedy za jej plecami znowu włącza się radio.

47

Imogen

Wycieram kąciki ust i odgarniam włosy z oczu. Wkładam dłonie pod strumień zimnej wody lecącej z kranu, ochlapuję twarz, po czym zdejmuję ręcznik z podgrzewanego wieszaka i otulam nim twarz. Stoję tak przez chwilę, opierając się o ścianę, i wreszcie wracam do Dana czekającego na mnie w salonie. W kominku płonie jasny ogień – mój mąż naprawdę szybko adaptuje się do życia na wsi – i od gorąca prawie mnie zatyka.

– Wszystko w porządku? – pyta, kiedy zwijam się obok niego w kłębek.

– Tak, tylko strasznie tu gorąco. W Londynie przyzwyczaiałam się do noszenia kilku warstw ubrań.

– Wiem. – Uśmiecha się z dumą. – W tym roku będziemy mieć minimalne opłaty za ogrzewanie. Chyba mógłbym przywyknąć do takiego życia, a ty?

– Będę musiała, prawda? – odpowiadam z roztargnieniem. – Mam tu teraz pracę. Niech chociaż jedno z nas doceni to miejsce.

Może na tym polega mój problem, myślę, obserwując, jak bierze do ręki pilota i zaczyna skakać po kanałach. Może wpędza mnie w stres myśl o sprzedaży domu i wszystkich tych radykalnych posunięciach. Widząc, z jaką łatwością Dan wdrożył się w życie na wsi, zaczynam oswajać się z myślą, że to nie jest już żadna jazda próbna; podoba mu się tutaj i chce tu zamieszkać na stałe. Może to stres wywołany ciążą,

o której nie mogę mu powiedzieć? Może dlatego słyszę głosy i wpadam do kanałów?

Oboje aż podskakujemy, kiedy w głębi domu rozlega się dzwonek. Dan unosi brwi.

– To u nas? Trochę późno na telemarketing. Podawałaś w pracy numer domowy?

– Nawet go nie pamiętam. – Podnoszę się z kanapy. – Nie wiem, gdzie jest ten przeklęty telefon. Skąd dochodzi dzwonek?

– Jakby z holu.

Otwieram drzwi do przedpokoju i ze ściśniętym sercem przypominam sobie, że gniazdko telefoniczne znajduje się w schowku pod schodami.

Pod schodami w moim domu jest schowek. Ma nawet oświetlenie – zakurzoną słabą żarówkę, która ledwo rozprasza mrok. Są w nim dwie wytarte poduszki, które znalazłam w kontenerze na gruz na naszej ulicy, cztery książki oraz gruba narzuta robiona na szydełku, którą dała mi mama. Ale największym skarbem w mojej kryjówce jest zdjęcie.

Siedzą na starej drewnianej ławce z łuszczącą się farbą w spłowiałym niebieskim kolorze. On obejmuje ją ramieniem tak swobodnie, że nie mogę uwierzyć, że to ta sama kobieta, która wzdraga się przed dotknięciem własnej córki. Oboje mają na sobie krótkie spodenki, ona łososioworóżową koszulkę bez rękawów; trzymają wielkie lody, z których sterczą czekoladowe pałeczki niczym małe maszki. Za każdym razem, kiedy patrzę na to zdjęcie, czuję na plecach ciepło słońca, zapach morza, smak lodów. Wiatr delikatnie rozwiewa mamie włosy na plecach, lecz ona albo tego nie zauważa, albo nie zwraca na to uwagi, ponieważ się uśmiecha, wręcz

promienieje, i właśnie z tego powodu to zdjęcie jest moim najcenniejszym dobytkiem. Chociaż mam niewiele lat, smuci mnie, że moja ulubiona rzecz nawet do mnie nie należy. Znalazłam ją między fotografiami w ukrytym w garderobie pudełku i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wsunąć go po cichu w spodnie.

– Halo?

W telefonie panuje cisza. Klnę w duchu na cholerny telemarketing i ich automatyczne połączenia. Na wspomnienie czasów, kiedy jako mała dziewczynka chowałam się pod tymi schodami, drży mi dłoń ściskająca słuchawkę i nogi uginają się pode mną, jakby były z waty. Już zamierzam się rozłączyć, gdy nagle słyszę w słuchawce cichy, płaczliwy głosik.

– Imogen?

Zaczyna mi walić serce.

– Tak? Halo? Kto mówi? – Lecz z powodów, których nie umiem wyjaśnić, wiem, że to Ellie Atkinson. – Ellie?

– Tam jest dziewczynka. Ucieka. Boi się, tak bardzo się boi. – Mówi chrypliwym, urywanym głosem, szybkim jak wystrzał z karabinu.

– Kto ucieka, Ellie? Czy to ktoś, kogo widzisz? Gdzie jesteś?

Nie pytam, jak zdobyła mój numer ani dlaczego dzwoni do mnie, a nie na policję; to teraz nieważne. Przeraża mnie jej rozgorączkowany głos.

– Goni ją człowiek w masce. Widzę schody. Widzę schody, ale ona nie wierzy, że jej się uda. Ona umrze. Ona umrze!

– Kto, Ellie? Kto uważa, że ona umrze? Gdzie jesteś? – Nie wiem, co robić. Nie mogę odłożyć słuchawki, ale ponieważ to linia stacjonarna, nie mogę się również rozłączyć, żeby pójść na pomoc. Muszę ją

uspokoić, doprowadzić w bezpieczne miejsce, zanim się rozłączę i pojedę jej szukać.

– Jestem na dworze. Jej tu nie ma, ona jest gdzie indziej. W ciemnym miejscu. Nie widzę swojej twarzy. Boję się.

Gdzie indziej?

– Więc jak ją możesz widzieć, Ellie? Gdzie jesteś?

– Nie wiem. To dom. Widzę ją w mojej głowie. – Mówi teraz spokojniej, monotonnym głosem, jakby wpadła w jakiś trans.

Moje walące serce trochę zwalnia. Czy ona śni? Czyżby obudziła się z jakiegoś koszmaru?

– Czy ktoś z tobą jest, Ellie? Czy w pobliżu jest ktoś, kto mógłby ci pomóc?

– Muszę wracać do domu – intonuje, a ja słyszę teraz w jej głosie oszołomienie. – Muszę wracać, muszę już stąd iść.

– Dobrze – mówię zachęcająco. – Gdzie teraz jesteś? Blisko domu?

– Drzewo. Chyba jestem w ogródku za domem. W domu Sary. Już dobrze, oni po mnie przyjdą. Są w środku.

– Czy nadal widzisz tę dziewczynkę? I mężczyznę w masce?

– Nie. – Przerywa, jakby się rozglądała. – Chyba już znikli. Musiałam tym razem uciec.

– Tym razem? Widziałaś ją już wcześniej?

– Chyba tak. Tak mi się wydaje.

Słyszę w słuchawce daleki głos. Ktoś woła Ellie po imieniu. To głos dziewczyny. Mary? Oddycham z ulgą. Jeśli Mary tam jest, zadba o jej bezpieczeństwo.

– Muszę już iść – szepcze Ellie. – Nie mów im, że widziałam tę dziewczynkę. Pomyślą, że jestem wariatką. Już uważają mnie za stukniętą.

– Nie jesteś wariatką, Ellie. Musisz powiedzieć Sarze, co widziałaś. Ja ci pomogę. Oni zorganizują ci pomoc.

Dziewczynka milczy, już mi się wydaje, że upuściła telefon albo się rozłączyła, lecz po chwili znów się odzywa:

– Nie potrzebuję pomocy. Mam ciebie.

Potem w słuchawce zapada cisza.

Hannah słyszy za plecami cichy tupot, kroki są zbyt lekkie, żeby to mógł być dorosły mężczyzna. Obraca się na pięcie i zauważa mignięcie; ktoś biegnie korytarzem w przeciwnym kierunku. Cholerna dzieciarnia! Rzuca się do drzwi, ma nadzieję, że zobaczy, kto zbiega po schodach, lecz półpiętro jest puste. Pieprzy to, nie pozwoli robić z siebie idiotki; Evan dostanie nauczkę, żeby na przyszłość nie urządzać głupich zabaw.

Kiedy stoi na szczycie schodów, zza drzwi jednego z mieszkań dochodzi cichy syk, lecz nie udaje jej się obejrzeć, bo czyjeś ramię wali ją w sam środek pleców i Hannah stacza się po schodach na półpiętro. Uderza głową o ostatni schodek i jej czaszkę przeszywa paraliżujący ból. Leży na zimnym podeście, w uszach czuje głucho dudnienie krwi, ale nie może się podnieść. Rusz się, ponagla się niecierpliwie. Kurwa mać, rusz się! Ci ludzie nie zamierzają cię zwyczajnie przestraszyć, oni chcą ci zrobić krzywdę.

Podpierając się o stopnie, dźwiga się niepewnie na nogi i śliskimi, spoconymi dłońmi chwyta się poręczy. W porządku, nikogo już tam nie ma, w każdym razie nikogo, kto chciałby ryzykować, że Hannah go zobaczy. Chwiejnym krokiem schodzi kilka stopni w kierunku niższego piętra, gdzie czają się uśpione następne mieszkania. Nagle wpada jej do głowy myśl, od której żołądek wywraca jej się na drugą stronę: a jeśli jest ich tu więcej? Jeśli i na tym piętrze ktoś na nią czyha?

Zatacza się, przytrzymuje ściany i pokonuje jeszcze kilka schodków. Tu panuje kompletny mrok; wszystkie drzwi są zamknięte, znikąd nie przedostaje się nawet najbledszy promień księżyca, który mógłby jej oświetlić drogę. Tym razem nawet nie słyszy napastnika, czuje tylko na ramionach dłonie, które popychają ją do przodu. Potyka się o stopień, leci przed siebie i w żaden sposób nie może powstrzymać własnego ciężaru, który ciągnie ją w dół. Wymachuje ramionami, szukając poręczy, która gdzieś tu musi być, lecz kiedy jej dłoń trafia na gładką powierzchnię, nie może już powstrzymać upadku. Spada zbyt szybko. Koziółkując, uderza o każdy stopień – barkiem, łydką, twarzą. Czuje eksplozję bólu, kiedy trafia nosem na krawędź schodka; ramię pęka, wykręcone i przygwożdżone nienaturalnie pod ciężarem ciała.

Przez chwilę wydaje jej się, że przestała spadać, że udało jej się złapać oparcie dla stóp i stoi bezpiecznie na nogach. Całe ciało ją łupie i na pewno potrzebuje pomocy, ale przynajmniej żyje! Czas jakby się zatrzymał i Hannah już myśli, że wszystko będzie dobrze, lecz wtedy jej plecy przeszywa taki ból, jaki nie wydawał jej się nawet możliwy. Nie patrzy w dół, nie widzi miedzianej rury sterczącej z jej piersi ani rdzawej krwi kapiącej z końcówki i zbierającej się pod stopami, które wiszą kilka centymetrów nad podłogą. Krew zbiera się również w ustach i ścieka po brodzie; oczy zachodzą mgłą, kończyny zwisają bezwładnie.

Trzy minuty później ciało Hannah Gilbert ulega porażeniu, po kolejnych dwustu sekundach serce przestaje pompować krew na podłogę, w sumie w ciągu sześciu minut i dwudziestu sekund trzydziestosiedmioletnie życie ostatecznie gaśnie.

49

Imogen

Kiedy wchodzę z powrotem do salonu, mam już na sobie płaszcz. Dan podnosi głowę i unosi brwi.

– Dokąd wychodzisz? – pyta, wstając. – Kto dzwonił?

Wkładając buty, relacjonuję mu pokrótce rozmowę z Ellie.

– I ty tam jedziesz?

– Oczywiście. – Czy on udaje głupiego? Czy nie słyszał, co powiedziałam? – Przecież nie mogę nie pojechać.

– Jakaś jedenastoletnia Carrie White dzwoni do ciebie w środku nocy i mówi, że widzi, jak mężczyzna goni w jej głowie dziewczynkę, a ty uważasz, że musisz natychmiast jechać do jej domu? – Dan chwyta mnie za rękę. – Powtarzaj za mną: to nie moja broszka.

Wyrywam mu się ze złością.

– Ona była przerażona, Dan, i nie wie, gdzie chodziła. Co będzie, jeśli ją zostawię i coś się stanie? Jeśli nie wróci do domu, pójdzie gdzieś i zabłądzi? Jak by to wyglądało w mojej pracy? Jak mogłabym ze sobą żyć?

– Dobrze – odpowiada, podchodząc do drzwi. – Ale jadę z tobą. A w ogóle to skąd wzięła ten numer? Podawałaś jej?

– Nie. Nie mam pojęcia, skąd go wzięła – przyznaję. – Nie dostała go ode mnie. Powiedziałabym, że z internetu albo z książki telefonicznej, ale ja jej nawet nie mówiłam, gdzie mieszkam.

Kiedy kończę wypowiadać to zdanie, w mojej głowie rozbrzmiewają słowa Hannah Gilbert i aż mnie ciarki przechodzą. *Ta dziewczyna wie różne rzeczy. Wie rzeczy, których nie powinna wiedzieć.*

– Chodź. – Wyjmuję szybko kluczyki do samochodu, żeby Dan nie zdążył zaprotestować i nie zaczął mnie przekonywać, bym została w domu. – Jeśli upierasz się, żeby ze mną jechać, to możesz poprowadzić.

50

Ellie

Kiedy Ellie otwiera oczy, jej ciało sztywnieje z przerażenia. Nie czuje rąk ani nóg; gdyby nie widziała ich konturów w atramentowej ciemności, pomyślałaby, że znikły. Zaciska mocno powieki, żeby odgonić obrazy, które przelatują jej przez głowę, ale nie może się ich pozbyć, podobnie jak nie może zasłonić uszu, by nie słyszeć tych krzyków. Czy to ona krzyczy, czy ktoś inny?

Co to za miejsce? Opiera się plecami o coś szorstkiego i trzęsie się z zimna. Porusza palcami, które chwytają mokrą trawę i ześlizgują się w grząskie błoto. Kiedy znowu otwiera oczy, obrazy znikają, a zamiast nich widzi rząd światła w oknach domów po drugiej stronie ulicy. W końcu jej wzrok przyzwyczaja się do ciemności i może zobaczyć, że leży w ogrodzie swoich opiekunów. Tylko jak się tu znalazła? Ma na sobie spodnie od dresu, koszulkę bez rękawów i bluzę z kapturem, a w kieszeni komórkę. W tym ubraniu zasnęła wieczorem na łóżku. Kiedy ostatnio patrzyła przez okno, zapadał dopiero zmierzch – od tamtej pory musiało minąć kilka godzin, ale co się przez ten czas działo? Ma w pamięci czarną dziurę. Wydaje jej się, że jakby przez mgłę pamięta dźwięk własnego głosu.

Musi wstać i wrócić do domu, gdzie jest ciepło i bezpiecznie, ale złodowaciałe nogi nie mają siły jej podnieść i szczerze mówiąc, brak jej motywacji, żeby szukać ratunku. Może by tu zostać i po prostu osunąć się w nicość? Może nikt jej nie znajdzie, a potem będzie za

późno; jej ciało osunie się w błoto i duch porzuci je na dobre. Właśnie kiedy sobie myśli, że tego najbardziej w tej chwili pragnie – przestać istnieć, wybrać łatwą drogę i leżeć tu, dopóki to wszystko się nie skończy – słyszy delikatny zgrzyt zamykanych drzwi.

– Ellie? – w ciszę wdziera się głos Mary.

Nie odpowiada. Leży na środku trawnika, Mary niedługo sama ją znajdzie, ale może do tej pory jej serce przestanie już bić. Albo może jej siostra wróci do środka, kiedy nie usłyszy odzewu.

– Ellie, co ty tu robisz?

Głos jej przybranej siostry rozbrzmiewa teraz blisko i słyhać w nim panikę. Mary klęka obok i kładzie jej na ramieniu ciepłą dłoń. Ellie odwraca głowę.

– Co się dzieje? – pyta Mary. – Skąd się tu wzięłaś?

– Nie wiem – odpowiada szeptem Ellie. Gardło ją pali, mówienie sprawia jej ogromny problem. – Nie wiem, Mary. – Z piersi wyrywa jej się szloch. – Nie wiem, czemu tu przyszłam, nie pamiętam. Boję się.

Mary obejmuje ją i przytula.

– Możesz wejść ze mną do środka? Chodź, musisz wrócić do domu, bo dostaniesz zapalenia płuc.

– Chcę tu zostać. Mama i tata po mnie przyjdą. Powiedzieli, żebym tu na nich zaczekała; jeśli gdzieś pójdę, mogą mnie nie znaleźć.

Nawet po ciemku Ellie widzi zakłopotanie na twarzy Mary. Dziewczyna nie rozumie, a ona nie ma do niej żalu. Jak może zrozumieć, skoro ma blisko siebie oboje rodziców, skoro wszystko w jej życiu jest na swoim miejscu?

– Posłuchaj, Ellie, musisz wejść do środka. Twoi rodzice... – Mary przerywa z wahaniem – będą wiedzieć, gdzie jesteś. Oni cię widzą cały czas, pamiętasz? A jeśli tu zostaniesz, będę musiała pójść po mamę i ona pewnie zawiezie cię do szpitala. Chyba nie chcesz jechać do szpitala, co?

Ellie kręci głową. Po pożarze spędziła w szpitalu tyle czasu, że do końca życia nie będzie chciała tam wrócić.

– Nie musisz mówić mamie – odpowiada szeptem. – Możesz wrócić do łóżka i zapomnieć, że mnie widziałaś. Zostaw mnie tu, Mary, nie boję się. Nie musisz mieć wyrzutów sumienia, ja sama tego chcę.

Mary wstaje i na moment serce Ellie podskakuje z radości. Zrozumiała! Zamyka oczy i osuwa się z powrotem na drzewo. Wtedy słyszy głos siostry:

– Idę po mamę.

– Nie! – Ellie błyskawicznie otwiera oczy.

Mary obraca się na pięcie.

– Więc musisz wstać i wrócić ze mną do domu. Zabiorę cię do swojego pokoju i pomogę ci się przebrać. Rozgrzejesz się i będziesz spała ze mną. A jeśli usłyszę choćby jedno słowo sprzeciwu, zawołam mamę, a ona zawiezie cię prosto do szpitala.

Ellie wzdycha i kiwa głową. Jest zmęczona, przerażona i zrezygnowana, lecz mimo wszystko jakoś jej cieplej na sercu z powodu troski, jaką jej okazuje Mary. Wyciąga drobną rączkę i czuje uścisk dłoni, która jest niewiele większa, lecz dużo, dużo silniejsza, i kiedy Mary podciąga ją do góry, udaje jej się ustać na nogach i razem ruszają w stronę domu.

51

Imogen

Jedziemy krętą wiejską drogą w ciszy, która aż iskrzy od napięcia. Widzimy przed sobą tylko kilka metrów asfaltu oświetlonych reflektorami. Dan jest zły, że wyciągnęłam go w nocy z przytulnego, ciepłego domu; mruknął tylko „Pewnie jakiś dziecięcy psikus” na temat telefonu Ellie, ale wiem, że nie będzie chował urazy, stopnieje, zanim wrócimy do domu. Za nic nie puściłby mnie samej.

To jedna z rzeczy, które mnie u niego drażnią: lubię od czasu do czasu rozpętać drobną awanturę, a tymczasem Dan unika konfliktów niczym negocjator walczący z porywaczami o życie zakładników. Nie tylko ze mną; jest jednym z najbardziej wyluzowanych ludzi, jakich znam. Kiedy się poznaliśmy, byłam zafascynowana tym, jak uspokajająco na mnie działa. Nie można pokłócić się z kimś, kto nie daje się sprowokować, jednak tym razem zamiast sprawdzać, jak daleko mogę się posunąć, tak jak to robiłam w swoich poprzednich związkach, zaczęłam dostrajać się do jego sposobu bycia, a mój płomień nie tyle przygasł, ile znalazł inne ujście. Przeniosłam swoją namiętność do porządnej kłótni – krzyków, wyzwisk, ostrych słów, których nie da się cofnąć – na pracę. I prawdę mówiąc, chociaż Dan nie rozumie mojej potrzeby uratowania Ellie Atkinson, nie potępi jej i nie będzie mnie próbował powstrzymywać. Nie wymknie mu się nawet żadne „A nie mówiłem?”, jeśli cała sprawa obróci się przeciwko mnie. Tak jak nie zrobił tego poprzednim razem.

Ale ta sytuacja w niczym nie przypomina poprzedniego razu, mówię sobie. Ellie do mnie zadzwoniła. Prosiła o pomoc. Gdybym nie odpowiedziała na to wezwanie, byłabym winna karygodnego zaniedbania. Powtarzając to sobie w głowie, zastanawiam się, czy próbuję w ten sposób przekonać samą siebie, czy może tylko ćwiczę, jak przekonać Edwarda, jeśli o moim wypadzie dowiedzą się ludzie w pracy.

– Tutaj w lewo. – Wskazuję wyłaniający się z ciemności skręt i pięć minut później wjeżdżamy w ulicę z latarniami oświetlającymi tabliczkę Aleja Akacyjowa. – Jeszcze raz w lewo.

– To nie wygląda tak źle.

W głosie Dana dźwięczy zdziwienie, jakby się spodziewał, że Ellie i jej rodzina zastępcza mieszkają w jakichś miejskich slumsach.

– Ellie jest normalną, kulturalną dziewczynką.

Mówię to bardziej stanowczym tonem, niż zamierzałam, ponieważ cały czas boli mnie jego uwaga na temat Carrie White. Nie powiedziałam mu o wizycie Hannah Gilbert ani o jej zwariowanych opowieściach na temat Ellie. Kiedy mnie wypytywał o tajemniczą wiadomość, którą mu nagrałam na pocztce głosowej, odparłam, że usłyszałam jakieś hałasy w ogrodzie, ale okazało się, że to kot. Zastanawiam się, czy wiózłby mnie teraz do domu Jeffersonów, gdybym mu wyznała prawdę.

– To ostatni dom, o tam.

Kiedy zatrzymujemy się na końcu podjazdu, zerkam w górę, tam gdzie znajduje się pokój Ellie. Jeffersonowie zrobili dobudówkę nad garażem, więc mają cztery sypialnie, w odróżnieniu od sąsiednich domów przy tej samej ulicy, które mają zapewne trzy. Okno Ellie jest zasłonięte, a światło zgaszone, za to w pokoju Mary nad garażem pali się mała lampka, której blask przesącza się przez zasłony. Mam uczucie, jakbym wypłukała usta ryżem; z trudem przełykam ślinę.

Kiedy już tu jestem, nie mam bladego pojęcia, co powiedzieć. Sara pewnie nadal wścieka się na mnie za rozmowę w kawiarni. Czy narobię Ellie kłopotów, jeśli podejść pod drzwi i powiem, że do mnie dzwoniła? Czy Sara może zadzwonić do mojego szefa i oskarżyć mnie o przekroczenie kompetencji zawodowych?

– Hej, wszystko w porządku? – pyta Dan i chociaż nadal jest rozdrażniony, wyciąga dłoń i ściska mnie za ramię. – Jeśli chcesz, mogę zawrócić i pojedziemy...

– Nie. – Odpinam pasy. – Gdyby coś się stało Ellie, nie mogłabym...

Pozwalam, aby moje niedopowiedziane zdanie zawisło w powietrzu, po czym otwieram drzwi. Nieważne, jakie to będzie miało konsekwencje dla mojej kariery w Place2Be, Ellie do mnie zadzwoniła, wyciągnęła rękę po pomoc, nie mogę jej zawieść.

W powietrzu wisi gęsta wilgoć i modlę się do Boga, żeby Ellie była w domu, bezpiecznie otulona w łóżku, a zamiast koszmarów śnili jej się chłopcy ze szkoły albo zespoły muzyczne, których plakaty jej koleżanki rozwieszają nad łózkami.

W przedpokoju jest ciemno, przez zasłony w salonie od frontu nie prześwieca światło. Poza lampką w pokoju Mary w całym domu nie widać śladów życia. Wyjmuję komórkę i sprawdzam godzinę: 22.25. Czy wszyscy już leżą w łóżkach? Dziewczęta na pewno powinny, a Sara i Mark? Może też już śpią? Nieważne, przejechałam kawał drogi i nie wrócę, dopóki nie upewnię się, czy z Ellie wszystko w porządku.

Biorę głęboki oddech i pukam do drzwi. Czekam, ale nic się nie dzieje. I co teraz? Ponieważ dom nadal tonie w ciemności, pukam jeszcze raz, tym razem głośniejszym i bardziej natarczywym. Po krótkiej chwili zapala się światło na schodach i dochodzi mnie tupot kroków, które zbliżają się do drzwi.

Rozbłyska żarówka w holu i za matową szybą pojawia się czyjaś postać.

– Imogen.

Sara wita mnie zapewne z fałszywą serdecznością, bo jak można się ucieszyć na widok psychologa stojącego przed drzwiami domu o wpół do jedenastej w nocy? Zwłaszcza po kłótni, którą zakończyło się nasze ostatnie spotkanie. Mam jedynie nadzieję, że Sara naprawdę ma na względzie dobro Ellie.

– Czy coś się stało?

Przyklejam na twarz uśmiech i staram się zrobić najbardziej przeproszającą minę, na jaką mnie stać.

– Nie, przynajmniej mam taką nadzieję. Jakieś czterdzieści minut temu dzwoniła do mnie Ellie. Zdaje się, że rozmawiała ze swojej komórki. Sprawiała wrażenie, jakby obudziła się z jakiegoś koszmaru, ale połączenie zostało przerwane. Zadzwoiłabym do was, ale zostawiłam wszystkie dokumenty w pracy i nie znam numeru. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co robić, zwłaszcza po naszej ostatniej rozmowie w kawiarni, ale nie mogłabym spać, gdybym się nie upewniła, czy wszystko w porządku...

Sara jest wyraźnie zakłopotana.

– O Boże, tak mi przykro, że sprawiłyśmy ci taki kłopot! Ellie jest w pokoju razem z Mary, słyszałam ich głosy, kiedy szłam otworzyć drzwi. Czasem przekradają się jedna do drugiej. Pozwalam im na to, bo Mary to nie przeszkadza, a Ellie dobrze robi, jeśli ma z kim pogadać. Są...

– Czy mogłabyś do niej zajrzeć? – przerywam jej. – Przepraszam, że się upieram, ale będę mogła spokojnie zasnąć, wiedząc, że wszystko sprawdziłam.

– Naturalnie, rozumiem, co masz na myśli. Nie ma sprawy. Chcesz wejść i z nią porozmawiać?

– Nie – odpowiadam szybko. – Wolałabym, żeby nie wiedziała o mojej wizycie. Może to odebrać jako nadużycie zaufania.

– Rozumiem. W takim razie wsunę tam tylko głowę i zapytam, czy wszystko w porządku, chociaż mogła zobaczyć twój samochód albo usłyszeć pukanie do drzwi.

Odwraca się i wchodzi na górę po dwa stopnie naraz. Słyszę, jak puka cicho do pokoju Mary, a potem dochodzą mnie stłumione głosy.

Rozglądając się po przedpokoju, zauważam przy drzwiach dwie pary dziecięcych tenisówek, na obu widać warstwę świeżego błota. Czy to buty Ellie i Mary? Czy błoto mogło nie wyschnąć od popołudnia? A może to ślady z wieczoru?

Wraca Sara.

– Obie są w pokoju Mary. Wygląda na to, że wszystko w porządku. Powiedziałam, że słyszałam trzaśnięcie drzwi i przyszłam sprawdzić, czy obie są w łóżkach. Ellie ma mokre włosy, ale kiedy ją o to zapytałam, odparła, że brała prysznic. A Mary dodała bezgłośnie, że zamoczyła łóżko. Rzeczywiście zmieniły pościel.

– Czy to się często zdarza?

Sara kręci głową.

– To nie jest coś wyjątkowego, zdarzało się dzieciom, które mieliśmy, ale Ellie przytrafiło się pierwszy raz. Nie chciała za bardzo rozmawiać, więc jej nie naciskałam. Musiałabym zapytać wprost, czy do ciebie dzwoniła, żeby...

– Nie, nie – mówię szybko. – Nie rób tego. Widocznie miała zły sen, wydawała się w rozmowie jakaś daleka, jakby się właśnie zbudziła.

Sara marszczy brwi i zerka na górę w kierunku schodów.

– Dawałaś jej swój numer?

– Nie – przyznaję. – Nie wiem, skąd go wzięła. To był telefon domowy, a ja nie mówiłam jej, gdzie mieszkam, ale z drugiej strony to żadna tajemnica, a w takim małym miasteczku wszyscy się znają.

Kiwa głową.

– No cóż, przykro mi, że musiałaś się tu fatygować o tej porze.

– Och, nieważne, to drobiazg – zapewniam ją.

Kiedy już wiem, że Ellie jest bezpieczna, pragnę jak najszybciej wrócić do domu. Praktycznie słyszę w głowie głos Dana: *Pamiętaj, co się stało, kiedy ostatnio za bardzo się zaangażowałaś*. I dosadne upomnienie Pammy: *Spieprzaj stąd i zajmij się swoją pracą, kretynko!*

– Mimo to dziękuję – mówi Sara. – Na pewno niełatwo angażować się w życie takich dzieci. – Śmieje się, ale bez śladu wesołości. – Kto jak kto, ale ja umiem to docenić. Jestem ci wdzięczna za to, że przyjechałaś. Chciałabym cię też przeprosić za to w kawiarni. Posunęłam się za daleko.

– Nie przejmuj się. Wiem, jak to jest, kiedy emocje wymykają nam się spod kontroli. Nie będę zabierać ci więcej czasu.

Odwracam się do wyjścia, kiedy jednak kładę dłoń na klamce, Sara znów się odzywa:

– Nie musisz nikomu o tym mówić, prawda? – pyta drżącym głosem.

– Nie – odpowiadam i już się zastanawiam, czy tego nie pożałuję. – Dopóki Ellie jest bezpieczna, a ty masz nad nią pieczę, nad jej koszmarami i nocnym moczeniem się, nikt nie musi wiedzieć, że do mnie dzwoniła ani że tu dzisiaj przyjeżdżałam. Była oszołomiona, ale bezpieczna w domu, nic jej nie groziło.

Otwieram drzwi, a Dan uruchamia samochód.

– Dziękuję – mówi Sara, a ja wychodząc, staram się nie patrzeć na zabłocone buty.

52

Ellie

Słyszą ciche trzaśnięcie zamykanych drzwi i kroki Sary na schodach. Ellie wypuszcza z piersi wstrzymywane powietrze.

– Gdzie ty przez ten cały czas byłaś? – pyta Mary.

Ellie kręci głową.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, kiedy wyszłam i gdzie byłam. Jakbym chodziła we śnie albo co. Jak się zorientowałaś, że mnie nie ma?

– Poszłam ci to zanieść. – Mary wskazuje kubek z gorącą czekoladą stojący na stoliku nocnym, tylko czekolada już dawno wystygła. – Kiedy zobaczyłam, że cię nie ma, przeszukałam cały dom, a potem ubrałam się i wybiegłam do ogrodu, ale tam też cię nie było. Wróciłam do środka, a po jakimś czasie czujnik zapalił światło za domem, więc wyszłam znowu i zobaczyłam cię pod drzewem. Tak się przestraszyłam.

– Czego się przestraszyłaś?

– Myślałam, że ktoś ci coś zrobił. Myślałam, że... – Nie kończy zdania. – Kiedy do ciebie podeszłam, zobaczyłam, że masz otwarte oczy, ale jakieś nieobecne. Jakbyś była zupełnie gdzie indziej.

– Bo chyba byłam – mówi Ellie.

Ale tak naprawdę nie wie, co to znaczy. Boi się. Boi się krzyków, które ją obudziły, krzyków, które – teraz to wie – rozbrzmiewały tylko

w jej głowie. Boi się tego, gdzie była, i tego, że nie pamięta, jak wychodziła z łóżka. I boi się, co mogła zrobić.

Imogen

Nad cmentarzem wisi brudne, szare niebo brzemienne deszczem; w powietrzu unosi się wilgoć, tak że twarze żałobników są mokre nie tylko od łez. Ludzie w czerni zbijają się w grupki, kobiety dygoczą, przestępują z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. W powietrzu wisi strach; uwidacznia się na twarzach przechodniów, w oczach zebranych, w przyciszonych głosach. Wszyscy w mieście wiedzą, jak zginęła Hannah, wszyscy słyszeli o oskarżeniach, jakimi obrzucała Ellie. Czy uważają, że dziewczynka ją zabiła? Myślę, że niekoniecznie, ale nie wierzą też, że był to wypadek.

Gdy tylko rozeszła się wieść o jej śmierci, nauczyciel matematyki, Evan Hawker, z którym miała romans, wyznał prawdę o ich spotkaniach w pustym mieszkaniu, ale stanowczo zaprzecza, żeby umówili się tego wieczoru. Policja prowadzi śledztwo, lecz w telefonie Hannah niczego nie znaleziono, jak również w dziupli drzewa na szkolnym boisku, gdzie podobno zostawiali sobie liściki, a jednak według Evana Hannah nie mogła przyjść do mieszkania w opuszczonym bloku w żadnym innym celu. Jej śmierć wstrząsnęła społecznością małego miasteczka. Ludzie są zaszokowani wiadomością o jej romansie, a Evan nie odważył się pokazać na pogrzebie. Sam fakt, że miała kochanka, jest wystarczająco wstrząsający, jeśli do tego dołożyć okoliczności jej śmierci, ludzie nie potrafią sobie z tym poradzić. Florence Maxwell poprosiła mnie

o dodatkowe dyżury w szkole, aby się upewnić, że dzieci uporają się ze wstrząsającą śmiercią nauczycielki, a Edward bez protestu zwolnił mnie na jakiś czas z innych obowiązków.

Starszym dzieciom, które uczyła Hannah, pozwolono wziąć udział w pogrzebie, lecz młodsze zapobiegliwi rodzice postanowili trzymać z dala od tej historii. Wzdłuż krawężnika stoi nastoletnia młodzież z ponurymi minami; wlepiają wzrok w czubki butów, kopią kamyki; tym razem nikt nie opowiada dowcipów, nikt się nie przechwala wyczynami z życia seksualnego. Wszyscy są smutni i zachowują się z godnością, lecz ja zastanawiam się, kto przyczynił się do śmierci Hannah Gilbert. Jej kochanek? Mąż? Któryś z uczniów? Wiem, co powiedzą niektórzy: nauczycielka rozwścieczyła Ellie i zapłaciła najwyższą cenę. Bzdura. Ellie była w domu, kiedy Hannah włóczyła się po pustym bloku mieszkalnym. Nikt nie widział, żeby wychodziła z domu; nie ma powodu podejrzewać, że nie było jej tam, gdzie twierdzi, że była. Hannah zginęła ponoć niedługo przed moim przyjazdem do Jeffersonów, Ellie nie zdążyłaby wrócić z opustoszałego bloku mieszkalnego. Mam nadzieję, że dziewczynka nie stanie się kozłem ofiarnym paranoidalnych lęków małomiasteczkowej mentalności.

Odwracam się na odgłos opon chrzęszczących po żwirze. Przez bramę cmentarza wjeżdża powoli karawan i ludzie zbierają się w rzędzie. Zastanawiam się, ilu z nich w ogóle znało Hannah, ilu ją lubiło. Przyglądam się twarzom w tłumie. Niektóre rozpoznaję, wśród nich Florence Maxwell stojącą w grupie nauczycieli.

Samochód zatrzymuje się przed domem pogrzebowym, za nim dwa następne. Z pierwszego wysiadają mężczyźni we frakach i cylindrach, aby otworzyć drzwi osobom siedzącym na tylnych siedzeniach. Z drugiego samochodu wychodzi mąż Hannah, Sam, z małą dziewczynką, która musi być jej córką. Trzyma dłoń na jej

plecach, jakby pomagał córce utrzymać równowagę, pomagał jej iść. Na jego twarzy maluje się udręka wywołana czymś więcej niż żałobą. Zauważa Florence Maxwell i podchodzi do niej, a dziewczynka rzuca się dyrektorce w ramiona.

Wreszcie z trzeciego samochodu wysiada krucha, słaba staruszka. To widok, którego nie powinien oglądać żaden człowiek: matka chowająca córkę. Smutek ściska mnie za serce; choć miałam o Hannah Gilbert swoje zdanie, jej śmierć wszystko zmieniła. Nie zasłużyła na taki los. Staruszkę na czoło kolumny żałobników prowadzi kobieta w średnim wieku – być może siostra Hannah. Towarzyszy im dyrektorka szkoły. Musiała się przyjaźnić z Hannah, skoro zajmuje miejsce u boku jej najbliższej rodziny. Potwierdza to jej przywitanie z córeczką zmarłej.

Dlaczego Hannah Gilbert tak bardzo nienawidziła Ellie? I skąd to całe gadanie o złych czarownicach? Mimo wszystkich swoich wad Hannah naprawdę wierzyła w to, co mówiła. Postanawiam odkryć prawdę, która się za tym wszystkim kryje. Może nie dzisiaj, ale na pewno dopnę swego. Dzisiaj mamy pogrzeb.

54

Imogen

– Chciałabym porozmawiać z tobą o tym, co spotkało twoją nauczycielkę – zaczynam powoli.

Obserwuję Ellie, aby ocenić jej reakcję. Nie podnosi wzroku, wbija oczy w ziemię pod stopami. Idziemy ścieżką nad kanałem, tym samym, do którego wpadłam nie tak dawno temu, lecz mam wrażenie, jakby wydarzyło się to przed wiekami. Jest dzień; w jasnym świetle to miejsce wcale mnie nie przeraża, jednak po ciemku nie zaryzykowałabym już powrotu do domu tą drogą.

– To znaczy o czym? – pyta Ellie, nie patrząc mi w oczy. – Nie wiem, co się stało.

– Na pewno wiesz – mówię łagodnie. – To małe miasteczko, a ludzie gadają, zwłaszcza w szkole. Zastanawiałam się, czy ktoś ci coś powiedział.

– Nikt mi nic nie mówi – odpowiada ponuro. – W szkole prawie nikt ze mną nie rozmawia, chyba że mnie przezywają. Ale to nie znaczy, że niczego nie słyszę – dodaje. – Słyszę więcej, niż się ludziom wydaje.

Budzą się we mnie złe przecucia.

– I co słyszałaś?

Ellie podnosi na mnie wzrok.

– Że pani Gilbert i pan Hawker mieli romans. Uprawiali po cichu seks.

Słyszałam już dzieci mówiące o tych sprawach, chociaż żadne z nich nie ujmowało tego aż tak bezceremonialnie.

Dziewczynka kopie kamyk leżący na ścieżce.

– Więc skoro zdradzali swoich bliskich, to może zabiło ją któreś z nich. Żeby ich ukarać.

Zatrzymuję się i Ellie w końcu podnosi na mnie wzrok.

– Co?

– Pani Gilbert nikt nie zabił, Ellie. To, co się stało, było tragicznym wypadkiem.

– To nie był wypadek. Została przebita przez pierś...

– Wystarczy – rzucam ostrzej, niż zamierzałam.

Skąd te dzieciaki biorą informacje? I to tak cholernie dokładne? Ja poznałam szczegóły śmierci Hannah Gilbert przez kontakty służbowe; powtarzałam sobie, że to wcale nie wścibstwo – aby pomóc dzieciom przejść przez to, co się wydarzyło, muszę znać szczegóły. Nie mogę w ich obecności okazać szoku czy zdziwienia. Tym razem jednak to nie podziałało; byłam naprawdę wstrząśnięta, kiedy usłyszałam te rzeczy z ust kogoś tak młodego jak Ellie.

– Przepraszam – mówię łagodnie, aby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie mogła odnieść z mojego szorstkiego tonu. – To nieprzyjemny temat do rozmowy. Dzieci w szkole nie znają szczegółów, więc próbują ubarwiać historię.

– Chyba nie wierzy pani, że to, co spotkało panią Gilbert, to był wypadek?

Zbliżamy się do miasta. Widzę szczyty dachów nad drzewami rosnącymi wzdłuż kanału. Ścieżka biegnie zakosami do wielkiego parku, gdzie kanał łączy się z rzeką. Kiedyś latem przychodziło tu mnóstwo dzieciaków; biegały po słońcu i urządzały pikniki, aż trudno było sobie wyobrazić, gdzie one wszystkie podziewają się zimą. Czy naprawdę Lichota i okoliczne wioski mogą je wszystkie pomieścić?

Któregoś roku przyjechało do nas wesołe miasteczko; razem z Pammy wymykałyśmy się do parku po zmierzchu... to znaczy Pammy się wymykała, bo mojej mamy nie obchodziło, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, w dzień czy w nocy. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, kiedy za skrzyżowaniem wychodzimy na wielki zielony trawnik, mogłabym przysiąc, że czuję zapach hamburgerów i pączków, słodczy zmieszanych z olejkami do opalania; słyszę muzykę i krzyki dobiegające z karuzeli i autodromów.

– Słucham?

– Mówię o pani Gilbert – ciągnie Ellie ze zniecierpliwieniem. – Na serio uważa pani, że to był wypadek? Że ktoś nie zrobił tego celowo?

– Owszem, tak uważam – odpowiadam stanowczo. – Nie ma żadnych dowodów, że oprócz niej ktoś tam był.

– No tak, żadnych dowodów. Więc nie wierzy pani, że ktoś mógł to zrobić, nie wiedząc o tym?

Patrzę na nią zdziwiona.

– Cóż to za dziwne pytanie, Ellie? Jak można kogoś skrzywdzić i o tym nie wiedzieć?

– Gdyby na przykład ktoś był w jakimś transie.

– Masz na myśli hipnozę? Doprawdy, Ellie, z taką wyobraźnią powinnaś zostać pisarką. Chodźmy tędy, na skróty.

Wskazuję trawnik. To nam oszczędzi drogi wokół parku. Jest mokro, ale nie ma błota i nasze stopy pozostawiają za sobą ślady na rosie.

– No to może nie w hipnozie, może we śnie, jak lunatyk? – nie ustępuje Ellie.

Wybucham śmiechem.

– A ty znowu o tym samym? Nie. – Patrzę jej prosto w oczy. – Pani Gilbert nikt nie zabił, ani świadomie, ani nieświadomie. Spadła ze

schodów i koniec. Chcesz porozmawiać o tym, co czujesz w związku z jej śmiercią?

– Powiedziała pani, że to nie będzie sesja – przypomina Ellie, wyciągając w moją stronę palec. – Że to jest weekend i że nie muszę rozmawiać o tym, co czuję.

– To prawda – przyznaję. – Tylko sprawdzałam.

Ma rację. Kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Jeffersonów i zapytałam, czy mieliby coś przeciwko, gdybym nazajutrz zabrała Ellie na lunch, Sara zgodziła się prawie natychmiast, nie kryjąc w głosie ulgi. Nie zapytała nawet, czy to stosowne, żebym brała swoją podopieczną do miasta. Bo nie jest. Albo czy wiedzą o tym moi przełożeni. Nie wiedzą. Zadzwoniła do Ellie, a ta zgodziła się prawie równie szybko jak Sara, pod warunkiem że nie będzie musiała rozmawiać „o tym, co czuje, i tak dalej”.

Spędzamy godzinę na włóczeniu się po sklepach, Ellie przymierza ubrania i biżuterię, a ja patrzę z przyjemnością, jak wybiega z kolejnych przymierzalni, jak okręca się przed lustrem. Jest tak zachwycona którymś z najmodniejszych ciuchów, że pod wpływem impulsu proszę ekspedientkę o zapakowanie.

– Jest pani pewna? – pyta Ellie z błyszczącymi oczami.

Uśmiecham się i kiwam głową.

– Nie można nie kupić czegoś tak ładnego. Chodź, pójdziemy ci wybrać jeszcze jakiś wisiołek do kompletu.

Wiem, że nie powinnam tego robić – łamię w ten sposób wszystkie możliwe zasady z nieistniejącego kodeksu w mojej pracy – ale ten zachwyty na twarzy Ellie i to, jak rzuca mi się w objęcia, żeby mnie uściskać... wszystko to jest warte kłopotów, których mogę sobie narobić, jeśli Edward się o tym dowie.

– Będę wyglądać jak wszystkie inne dziewczyny w szkole – zauważa Ellie.

Jakaś nuta brzmiąca w jej głosie sprawia, że ściska mi się serce. Rzecz w tym, że Ellie jest zupełnie inna niż większość dziewcząt w tej szkole. Myśl, że tak rozpaczliwie pragnie się do nich upodobnić, napawa mnie smutkiem.

55

Ellie

Jeśli jest coś dobrego w całej tej aferze z niemowlęciem, to, że za kilka tygodni Billy na dobre odejdzie od Jeffersonów. Oni twierdzą, że to nie przez dziecko, że Billy wraca do swojej mamy. Na te słowa Ellie ściska się serce. Dlaczego taki nieznośny bachor jak Billy może wrócić do domu, do swojej mamy, a ona już nigdy nie będzie mogła? Gdy tylko dostali tę wiadomość, Sara natychmiast zaczęła mierzyć jego pokój i zastanawiać się, gdzie wstawić łóżeczko dziecięce, które leży zapakowane w jadalni.

– A nie mówiłam, że tak będzie? – burczy żałośnie Mary, kołysząc się powoli na starej zardzewiałej huśtawce.

Siedzą we trójkę w ogrodzie, skąd widzą, jak Sara kręci się po pokoju Billy’ego i z głupim uśmiechem przyklejonym do twarzy wnosi i wynosi drobniejsze meble.

– Szczerze mówiąc, mówiłaś, że to mnie się pozbędą – przypomina jej Ellie. – Przynajmniej to się nie sprawdziło. A Billy i tak woli wrócić do mamy, prawda?

– Lepsze to niż zostać tu z wami – prycha chłopak.

Ellie pokazuje mu język, ale nie przejmuje się tym, co powiedział. Billy się wyprowadza i tylko to się liczy.

– Lepiej uważaj – ostrzega chłopiec złowieszczo. – Ty będziesz następna.

– Założę się, że on ma rację – zgadza się Mary. – Mówię ci, gdyby mogli, mnie też kazaliby się spakować i gdzieś by mnie odesłali, żeby sprowadzić sobie cały dom niemowlaków. Ona od dawna ma na tym punkcie świra. – Wskazuje głową okno, gdzie Sara właśnie macha im radośnie ręką. – Od kiedy umarła moja siostra.

– To ty miałaś siostrę? – dziwi się Ellie.

– Tak, ale jej prawie nie znałam. Byłam mała, kiedy się urodziła i zaraz potem umarła. Mama była załamana. Od tamtej pory zachowuje się, jakby ciągle próbowała ją kimś zastąpić. Jakby miała piłę, w której brakuje zęba, i próbowała wziąć sobie inną i wpasować jeden z tych zębów do swojej.

Mary mówi bardzo rzeczowym tonem i według Ellie to wszystko się zgadza. Pani Jefferson zachowuje się, jakby napisała sobie w głowie gotowy scenariusz, a Ellie źle odegrała swoją rolę, ponieważ nigdy go nie widziała. Billy od początku się nie liczył, bo Sara potrzebowała dziewczynki, żeby zastąpić zmarłą córkę.

– To będzie biedne maleństwo – mówi szeptem Ellie.

– Co? – Mary marszczy brwi. – To biedne maleństwo dostanie wszystko, czego tylko zapragnie. Na twoim miejscu wcale bym go nie żałowała.

– Przez całe życie będzie skazane na rywalizację z dzieckiem, które żyło zbyt krótko, aby przestać być ideałem – zauważa Ellie, patrząc w okno.

– Nie pomyślałam o tym. – Mary podąża za jej wzrokiem. – Więc jednak ja i Lily będziemy mieć ze sobą coś wspólnego.

56

Imogen

Wybucham śmiechem, widząc, jak Ellie usiłuje zmieścić w ustach całą piramidę lodów miętowych z czekoladą.

– Jak ci leci w szkole? – pytam, kiedy w końcu udaje jej się wziąć całość do buzi.

Krzywi się z ustami pełnymi miętowej mazi.

– Mmmhm mmm mmhmmm – mówi z zapalem, a ja wybucham śmiechem. W końcu przełyka i uśmiecha się szeroko z górną wargą oraz czubkiem nosa umazanymi mleczną masą. – Zrobiła to pani celowo.

– Naprawdę?

Wspaniale widzieć Ellie od tej strony. Stopniało napięcie, które jej towarzyszyło w czasie naszych poprzednich spotkań, a spod spodu wyłoniła się inteligentna, dowcipna dziewczynka, którą zawsze tam wyczuwałam. Miała rację, mówiąc, że nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ona. Hannah też miała rację, mówiąc, że Ellie wie rzeczy, których nie powinna wiedzieć, ale myliła się, twierdząc, że jest w głębi serca zła – tego jestem pewna. Ellie rzeczywiście wie wiele rzeczy, których nie powinna, ponieważ jest dla ludzi przezroczysta, niewidoczna. Przy takich dzieciach-duchach ludzie się otwierają, uchylają maski, ponieważ prawie nie zauważają ich istnienia. Jeśli dodać do tego nieprzeciętną inteligencję, stanie się oczywiste, że Ellie

będzie widzieć i wiedzieć znacznie więcej niż przeciętne dziecko w jej wieku.

– A na serio, jak leci? Lepiej?

Ellie kiwa głową.

– Odrobinę. Po naszych rozmowach czuję się trochę mniejszym nieudacznikiem. Nie wyróżniam się tak bardzo wśród innych i chyba znudziło im się dokuczanie mi, od kiedy przestałam się pieklić i podpalać ludzi. – Śmieje się na widok mojej zaszokowanej miny. Czy wspominałam o jej szelmowskim poczuciu humoru? Zupełnie jakby się rozmawiało z dziewczyną dwukrotnie od niej starszą. – Ale mówię poważnie: od kiedy zaczęłam trzymać nerwy na wodzy, przestałam być dla nich rozrywką. Oglądałam też te filmy na YouTube, które mi pani pokazywała.

Marszczę czoło.

– Nie pokazywałam ci ich po to, żebyś je wykorzystywała – mówię karcąco.

Zwierzyła mi się kiedyś, że chciałaby być do mnie podobna, umieć się malować i ładnie ubierać. Wyznałam jej, że kiedyś ja też byłam beznadziejna w tych sprawach, dopóki przyjaciółka, Pammy, nie powiedziała mi o samouczkach na YouTube. Od tamtej pory spędzałam wiele godzin, ucząc się kłaść podkład i róż na policzki, jakich szczoteczek używać oraz jaka fryzura najlepiej pasuje do mojego kształtu twarzy. Chciałam jej pokazać, że ta wiedza nie przychodzi spontanicznie, że nikt nie jest „odlotowy” z natury, nawet jeśli niektórzy udają, że są. Poprosiła, żebym jej pokazała, co mam na myśli, a ja, głupia, uległam.

– Ja bym się nie przejmowała. Sarze nie przeszkadza, kiedy się malujemy, bylebyśmy nie wyglądały jak klauny. Jest tak pochłonięta przygotowaniem na przyjście nowego dziecka, że nie zauważyłaby, nawet gdybym wyszła z domu ubrana i umalowana jak RuPaul.

Wybucham śmiechem.

– A skąd jedenastoletnia dziewczynka wie, kim jest RuPaul?

Ellie wzrusza ramionami.

– Słyszałam kiedyś, jak moja mama o nim mówiła, więc wpisałam w Google’u. Ściśle mówiąc, powiedziała, że ciocia Abigail nosi tyle makijażu, że bardziej przypomina RuPaula niż Cindy Crawford. Miała rację – dodaje złośliwie.

– A co słyhać w domu?

Prawie boję się o to pytać. Wygląda jednak na to, że wszyscy zapomnieli o mojej kłótni z Sarą, z wyjątkiem mnie. Kiedy opowiedziałam o niej szefowi, zmartwił się, ale w końcu orzekł, że nie jesteśmy pomocą społeczną i o ile nie podejrzewamy przypadków przemocy i molestowania, to ingerowanie w sprawy rodzin zastępczych nie należy do naszych obowiązków. „Pamiętaj, że niełatwo znaleźć ludzi, którzy są gotowi pełnić funkcję rodziny zastępczej”.

– Sara cieszy się na przyjście dziecka? – pytam, kiedy Ellie nie odpowiada.

Bezwiednie dotykam dłonią brzucha. Jestem pewna, że w zeszłym tygodniu poczułam pierwsze ruchy. Teraz mam nawet wrażenie, że są mocniejsze niż wtedy, chociaż pewnie to tylko moje urojenia, bo ciąża jest zbyt wczesna. Wspomniałam przy Danie, że czuję się napęczniała przed okresem, na wypadek gdyby coś zauważył. Wkładam też do pracy luźniejsze bluzki. Z każdym upływającym dniem słyszę w głowie tykanie zegara. Wiem, że muszę podjąć decyzję w sprawie życia, które we mnie rośnie – powiedz to, Imogen, nazwij to po imieniu: „w sprawie twojego dziecka” – lecz codziennie powtarzam sobie, że zrobię to jutro.

– Jeszcze jak, o niczym innym nie mówi. – Ellie zeskakuje z oparcia ławki i wyrzuca do kosza resztki lodu. Klepię dłonią drewniane

siedzenie i dziewczynka siada na nim bokiem, odwraca się do mnie twarzą, podciąga kolana pod brodę i opiera stopy na ławce. Chyba nigdy nie widziałam jej takiej wyluzowanej. – Mary jest wściekła.

– Dlaczego?

– Nie chce w domu małego dziecka – odpowiada Ellie rzeczowo. – Mówi, że one tylko płaczą i że Sara nie będzie już miała dla nas czasu.

– To zrozumiałe, że Mary tak się czuje. Zawsze musiała się dzielić rodzicami z innymi dziećmi, a niemowlę to zupełnie inna bajka. Czy ciebie też to martwi?

Ellie kręci głową.

– Nie. Tak naprawdę nie chcę ściągać na siebie uwagi Sary. Poza tym wiem, że nie zostanę tu na zawsze, chociaż chciałabym mieć Mary za siostrę. Ale nie czuję się tam jak w domu. Czuję się bardziej jak lokatorka. – Wzrusza ramionami. – Bo pewnie nią jestem.

– Czy uważasz, że to dlatego nie chcesz się przyzwyczajać? Żeby nie było ci przykro, kiedy będziesz się wyprowadzać?

Łypie na mnie podejrzliwie.

– Teraz słyszę w pani głosie psychologa.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– I tak powinno być, Ellie Atkinson. Nie możesz się wymigiwać od rozmowy o swoich uczuciach tylko dlatego, że postawiłaś mi lody.

– To pani mi postawiła lody – przypomina Ellie. – A teraz już wiem dlaczego. – Robi nadąsaną minę. – Pewnie ma pani rację. Nie wiem, po prostu czuję, że mój prawdziwy dom będzie inny. Że od razu poczuje się w nim dobrze. Tak jak wtedy, kiedy jestem z panią.

Ściska mnie w żołądku. Tego się obawiałam. Od początku cichutki głosik w mojej głowie ostrzegał, że za bardzo pozwalam jej się zbliżyć, za bardzo się do mnie przywiązuje. Odsuwałam od siebie tę myśl, ponieważ jestem przekonana, że robię coś dobrego, że Ellie czyni

ogromne postępy. Ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że znowu coś schrzańę.

– Ellie, wiesz, że...

– Och, tak – przerywa mi i oszczędza konieczności szukania słów, które jak najłagodniej rozwieją jej złudzenia. – Wiem, że nie może pani być moją nową mamą czy czymś w tym rodzaju. I bez tego ma pani dosyć spraw na głowie.

Zamierzam właśnie zapytać, co chciała przez to powiedzieć, kiedy jej twarz nagle tężeje. Podążam za jej spojrzeniem i widzę Naomi Harper idącą z dwiema koleżankami w naszą stronę. Chyba nas nie widzą.

– To jest dziewczyna, z którą miałaś wtedy nieporozumienie na ulicy, prawda? – pytam cicho.

Ellie kiwa głową.

– Chcesz, żebyśmy poszły gdzie indziej? Może tam? – Ruchem głowy wskazuję drugi koniec parku, gdzie oddaliłybyśmy się od dziewcząt. Może nawet by nas nie zauważyły.

– Nie. – Ellie stanowczo kręci głową. – Nie boję się jej.

Nie wiem, czy mam być z niej dumna, czy się o nią martwić. Nie obawiałabym się takiej gówniary jak Naomi i szczerze wątpię, żeby próbowała jakichś numerów w mojej obecności, lecz to nie zmienia faktu, że kiedy obserwuję zbliżające się dziewczęta, serce mi wali niebezpiecznie szybko.

Kiedy Naomi nas spostrzega, wydaje się autentycznie zaskoczona. Przez chwilę patrzą sobie z Ellie w oczy i twarz Naomi ciemnieje.

– Dzień dobry pani, cześć Ellie. Cóż to, sesja na świeżym powietrzu?

– Owszem – odpowiada Ellie. W jej głosie słychać lekko wyzywający ton.

Naomi sprawia wrażenie, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle zauważa na ławce płócienną torbę Ellie.

– O, czy to Limitless? Nie wiedziałam, że ktoś ich jeszcze lubi. – W głosie Naomi słysząc niekłamane zdziwienie, a może nawet... szczyptę szacunku? – Nigdy nie spotkałam nikogo, kto w ogóle o nich słyszał.

– Och, mmm... – Ellie najwyraźniej się tego nie spodziewała; prawdopodobnie oczekiwała złośliwego komentarza, a może nawet otwartej napaści. – Moja mama знаła tatę jednego z nich, czasem jeździłyśmy popatrzeć, jak grają.

– To super! – Na ustach Naomi błąka się nieznacznym, lecz chyba szczerym uśmiechem. – Może jednak się co do ciebie myliłam. Masz ładną fryzurę. Całkiem fajnie wyglądasz, jak nie nosisz tych okropnych ubrań o trzy rozmiary za dużych.

Ellie dziękuje jej pozornie niedbałym wzruszeniem ramion i chociaż słowa Naomi trudno uznać za delikatne, chyba nie były obliczone na to, by jej dopiec. Ja również zauważyłam, że w używanych ubraniach odziedziczonych po starszej dziewczynie, z szopą nastroszonych kędzierzawych włosów Ellie odróżnia się od rówieśniczek. Dzisiaj ma na sobie rzeczy, które jej kupiłam, a jej włosy są proste i lśniące. Nawet się leciutko umalowała, chociaż oczywiście daleko jej do RuPaula.

Może jednak ta cała Naomi nie jest taka zła, jak się zdawało; w końcu tamtego dnia mało nie wpadła pod samochód. Poza tym to jej matka zachowywała się wtedy najgorzej; dziewczynka prawie się nie odzywała.

– No to do zobaczenia w szkole. – Naomi podnosi dłoń na pożegnanie i gestem daje znak swoim towarzyszkom, żeby szły za nią.

Ellie wygląda, jakby właśnie ogłoszono ją królową balu.

– Zachowała się całkiem sympatycznie – zauważam, kiedy Naomi oddala się na tyle, by nas nie słyszeć.

– Do tej pory była dla mnie wredna. – Ellie patrzy za odchodzącymi koleżankami. – Ale ma rację, że w szkolnym mundurku wyglądam jak ciemiega. Nic dziwnego, że odstaję od całej reszty. A po tym, co się wydarzyło wtedy pod sklepem...

– Co się wydarzyło, Ellie? – pytam ostrożnie.

Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy na ten temat; postanowiłam zaufać temu, co widziałam na własne oczy albo wydawało mi się, że widzę. Dzisiaj jednak Ellie sprawia wrażenie bardziej otwartej niż zwykle.

– Nie popchnęłam jej. Już pani mówiłam. Podobno sama pani wszystko widziała. – Mówi to szorstko, oskarżycielskim tonem. W mgnieniu oka do głosu dochodzi dawna Ellie, ta, którą spotkałam pierwszego dnia w tym mieście.

– Wiem, że tego nie zrobiłaś – wycofuję się szybko. – Zapomnijmy o tym. Czy twoja mama naprawdę знаła rodziców jednego z tych chłopców?

Ellie natychmiast się uśmiecha i krótkie spięcie idzie w niepamięć. Uderza mnie, jak szybko potrafi zmieniać nastroje – z głębokiego poruszenia w pełen luz i odwrotnie. Która Ellie jest prawdziwa?

– Nie. Zmyśliłam to na poczekaniu. Ale zrobiłam wrażenie na Naomi. Mogłabym zaproponować, że zdobędę dla niej koszulkę z autografem. Może to by zrekompensowało workowaty mundurek – dodaje ponuro.

– Chodź – rzucam, wstając. – Poszukamy dla ciebie nowej koszuli i spodni do szkoły. Coś, czego nie musiałybyś zapinać na agrafkę. Ale będziesz musiała je prać i prasować – ostrzegam.

Ellie z zapalem kiwa głową; twarz rozjaśnia jej się z wdzięczności. Ruszamy do miasta, a ja zagłuszam swój cichy głosik, aby nie zdążył mnie upomnieć, że to kiepski pomysł.

Imogen

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo wesoła i rozpromieniona – zauważa Dan, podchodząc do mnie od tyłu i całując mnie w policzek. – Czyżbym słyszał przed chwilą, że podśpiewywałaś? Czy może tylko szwankuje ci zrzęczenie?

Trzepię go po twarzy zmywakiem do naczyń, a on uchyla się i szczypie mnie żartobliwie w szyję. Odpycham go z cichym piskiem.

– Odpieprz się – rzucam z uśmiechem. – Nie jestem aż taką jędzą, żeby podśpiewywanie było u mnie zdarzeniem nie z tej ziemi.

Dan ściąga usta i odwraca głowę z miną „Nie odzywam się”.

– O Boże, przepraszam. – Wrzucam zmywak do zlewu, wycieram o dzinsy dłonie oblepione pianą i odwracam się do niego. – Mieliśmy zacząć wszystko od nowa, uciec od przeszłości, od ciągłego pilnowania „kruchej psychicznie żony”.

– Jesteś jedną z najsilniejszych psychicznie kobiet, jakie znam. – Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. – To, co się stało, nie miało nic wspólnego z twoim stanem emocjonalnym. Wydarzyło się, ponieważ za bardzo się przejmujesz. Dlatego właśnie tak się niepokoję twoim zaangażowaniem w sprawę tej Ellie.

Cofa się lekko, żeby sprawdzić moją reakcję, i przymyka oko na znak, że to nadal wygłupy. Uśmiecham się.

– Naprawdę nie musisz się martwić – zapewniam go, wyplątując się z jego objęć. – Ellie doskonale sobie radzi. Dzisiaj praktycznie...

– Dzisiaj? – Dan marszczy czoło. – Powiedziałaś, że wyskoczyłaś do miasta tylko na moment. – Twarz mu pochmurnieje. – Imogen?

– Och, to był spontaniczny wypad – kłamię na poczekaniu. – Postanowiłam wpaść i zobaczyć, jak sobie radzi, spytać, czy ma ochotę wybrać się na lody. Jej opiekunka nie miała nic przeciwko.

Zdaję sobie sprawę, że moja relacja brzmi, jakbym się tłumaczyła, ale nie kłamię. Sara Jefferson była czymś zajęta – z tego, co mówiła Ellie, przygotowaniem do przyjęcia dziecka – i zgodziła się natychmiast, a sądząc ze spojrzenia, jakie posłała Billy’emu, miała chyba nadzieję, że jego też zabiorę. Odnotowuję w pamięci, żeby sprawdzić w biurze, czy Sara korzysta z sesji relaksacyjnych.

– No dobrze, skoro się zgodziła, to chyba nic złego się nie stanie. Więc uważasz, że Ellie lepiej sobie radzi?

– O, znacznie lepiej – odpowiadam rozpromieniona. – Spotkałyśmy nawet jej koleżanki z klasy. Jedna z nich pochwaliła jej fryzurę i Ellie była w siódmym niebie. Wydaje mi się, że naprawdę nastąpił przełom.

Nie wspominam o kupionym ubraniu ani o uścisku, jakim mnie pożegnała, kiedy ją wysadzałam przed domem. Objęła mnie mocno i wyszeptała do ucha:

– Szkoda, że nie jesteś moją przybraną mamą.

Ani jakie to uczucie widzieć, że dzięki mnie czyjeś życie naprawdę się zmienia.

Po porannym spotkaniu z Ellie podjęłam decyzję. Nie muszę się obawiać o życie, które we mnie rośnie. Będę dobrą mamą, w niczym nie przypominam własnej matki. Potrafię dopilnować, żeby moje dziecko nie chodziło w tych samych ubraniach przez dwa tygodnie z rzędu, żeby z głodu nie czekało przed kuchennymi drzwiami klubu, kiedy będą wyrzucać resztki ze śniadania. Doszłam do wniosku, że dzieciństwo nauczyło mnie, jak być dobrą matką, ponieważ pokazało mi, co jest w życiu najważniejsze: nie najnowsze gadżety ani najlepsze

telewizory, tylko to, czy ktoś przyjdzie cię opatulić przed zaśnięciem i pocałować na dobranoc; ciepła kąpiel z bąbelkami i ser rozsmarowany na grzance, kiedy wracasz ze szkoły. Mama, która zmusza cię do odrobienia lekcji, zanim zaczniesz grać na xboxie, i wyznacza ci karę, kiedy jesteś niegrzeczna albo niemiła, ponieważ zależy jej na tym, kim się staniesz, kiedy dorośniesz. A ja nie mam już wątpliwości, że potrafię to swojemu dziecku zapewnić. Kiedy dorastałaś pozbawiona miłości, to uczucie cię wypełnia, nie masz go na kogo przelać, ale ono jest, czeka, aż je komuś ofiarujesz. Dlatego właśnie wpadłam w taką obsesję, żeby pomóc tamtemu chłopcu, i dlatego tak bardzo zależy mi na Ellie. Kocham męża, ale to nie wystarcza. Pragnę przekazać swoją miłość dziecku.

Dzisiaj wieczorem powiem Danowi, że jestem w ciąży. Kiedy sobie uprzytomniłam, czego w moim życiu brakuje, uznałam, że lepiej podjąć decyzję jak najszybciej, zanim zdążę samą siebie odwieść od powziętego zamiaru... lub zanim znowu ogarnie mnie strach. W drodze powrotnej nadłożyłam ponad dziesięć kilometrów, żeby wpaść do supermarketu i kupić na kolację ulubione potrawy Dana oraz test ciążowy. Jeśli mam to zrobić, nie chcę, by myślał, że zatajałam przed nim ciążę choćby przez minutę.

Powiem mu przy kolacji, że spóźnia mi się okres i że razem zrobimy test.

Imogen

Jedzenie jest w kuchence, a ja na górze kończę makijaż. Ze zdenerwowania na twarz wystąpiły mi rumieńce i plamy. Przez cały dzień chyba pięć razy otwierałam i zamykałam szufladę z testem ciążowym. Nie wiem, czy to możliwe, ale denerwuję się bardziej niż wtedy, kiedy robiłam go naprawdę.

– Wygląda wspaniale – oznajmia Dan, siadając przy stole. – Ty też. Zaraz, zaraz, tylko mi nie mów, że zapomniałem o rocznicy ślubu.

Uśmiecham się.

– Gdybyś zapomniał o naszej rocznicy drugi rok z rzędu, miałbyś tę kolację na sobie, a nie siedział przed nią przy stole.

– W takim razie o co chodzi? Chyba nie dostałaś już awansu? Czy to może jakieś złe wieści? Próbujesz mnie ugłaskać, żeby mi oświadczyć, że cię wylali z pracy?

Wybucham śmiechem.

– Udam, że nie jestem urażona insynuacją, że mogę gotować dobrą kolację i malować usta szminką tylko dlatego, że mnie wylali z pracy.

Nalewam mu wina, a sobie soku pomarańczowego i zastanawiam się, czy domyśli się prawdy, widząc, że nie piję alkoholu mimo otwartej butelki. Tak długo znosiłam katusze rozterki, czy mam zachować ciążę i powiedzieć o tym Danowi, że nie podejrzewałam się o takie zdenerwowanie. Jeszcze niedawno byłam taka pewna siebie, a teraz, gdy siedzę i czekam na odpowiedni moment, żeby wyjąć

płytkę z testem, znowu narastają we mnie obawy. Kiedy raz wypowiem te słowa, nie da się ich już cofnąć.

– No więc dzwonił do mnie Mike – w moje myśli wdziera się głos Dana.

– Mike?

– Ten z gazety. W sprawie kolumny.

Kiwam głową nad kawałkiem kurczaka w sosie teriyaki.

– Mmm, pamiętam. – Przełykam mięso. – Co powiedział?

– Że podrzucił pomysł zespołowi i... – Kiedy się uśmiecha, oczy mu iskrzą. – Dostałem pracę.

– Och, Dan, to cudownie! Wiem, mówiłeś, że nie potrzebujemy pieniędzy, ale to świetnie, że wyrwiesz się na trochę z domu.

– To kolumna w gazecie – odpowiada ze śmiechem. – Będę ją prowadził z domowego gabinetu. Ale dzięki niej zdobyłem parę nowych kontaktów, no i zawsze to jakaś odmiana, więc fajnie.

– Tak się cieszę.

Ja też mam dobrą wiadomość. Wykrztuś to wreszcie, Imogen...

W schowku pod schodami rozlega się telefon. Z jękiem zaczynam się podnosić, lecz Dan wyciąga rękę.

– Ja odbiorę. To pewnie telemarketing. Powiem im, żeby się odpieprzyli. Ty wdasz się z nimi w uprzejmą dyskusję.

Po chwili wraca do stołu.

– To do ciebie. Zdaje się, że to ta dziewczynka.

Zamieram. Jest tylko jedna dziewczynka, o którą może chodzić. A ostatnim razem, kiedy Ellie zadzwoniła do naszego domu, zginęła Hannah Gilbert. Nie bądź śmieszna, upominam się. Ellie czuje się już dobrze. Wszystko, co najgorsze, minęło.

– Halo?

– Pani Imogen? Bardzo przepraszam... – mówi Ellie łamiącym się głosem.

Słyszę, że powstrzymuje łyzy.

– Co się stało? Za co przepraszasz? Co takiego zrobiłaś?

– Co zrobiłam? – pyta Ellie zdziwiona. – Nic nie zrobiłam.

Przepraszam, że dzwonię do pani do domu. Wzięłam numer z książki telefonicznej...

– Więc o co chodzi, kochanie?

Wymierzam sobie w myślach solidnego kuksańca – z góry przyjąłam, że Ellie dzwoni, ponieważ zrobiła coś złego. Znakomity sposób, żeby jej okazać zaufanie!

– Chodzi o Mary. Pokłóciłyśmy się.

– O co? – Co się z nią stało? Żyje?

– Naomi dodała mnie na Snapchacie i Mary powiedziała, że jestem głupia, jeśli chcę się z nią przyjaźnić. Ona uważa, że Naomi udaje tylko moją przyjaciółkę, żeby wyciąć mi jakiś paskudny numer. Ale przecież to niemożliwe, prawda? Mary zachowała się okropnie. Jest zazdrosna i nie chce, żebym miała inne koleżanki. Chciałabym zamieszkać z panią.

Ściska mi się serce. Spełniły się moje najgorsze obawy. Wiedziałam, że dopuszczam Ellie za blisko i pewnego dnia stanę przed tym problemem. I jak mam jej powiedzieć, że Mary prawdopodobnie ma rację? Że Naomi Harper jest intrygantką i takie dziewczyny jak ona rzadko robią coś z czystej życzliwości, zwłaszcza dla dziwnej nowej koleżanki ze szkoły. Rozumiem, dlaczego Mary ją ostrzega: żeby miała się na baczności. Stara się jej strzec w jedyny sposób dostępny piętnastolatce – dość nieogłędny i gruboskórny, ale w najlepszej intencji.

– Ellie, skarbie, przecież wiesz, że to niemożliwe. Osoby, które się tobą opiekują, nie mogą na to pozwolić. Nie da się ot tak adoptować dziecka, tylko dlatego, że się polubiłyśmy. Do tego stworzono całą procedurę, którą trzeba przejść. Zresztą nie o to chodzi. Nie możesz

uciec od rodziny tylko dlatego, że się pokłóciłaś z Mary. Musisz naprawić tę sytuację. Ona cię kocha.

– Nieprawda – burczy nadąsana Ellie.

– Właśnie że prawda, sama o tym wiesz – próbuję ją ułagodzić i rozchmurzyć. – Ona się o ciebie troszczy, była dla ciebie wspianą siostrą. A siostry często się kłócą.

– A pani ma siostrę?

– Nie.

Przypominam sobie niezliczone sytuacje, kiedy żałowałam, że nie mam rodzeństwa, kogoś, kto potrafiłby zrozumieć, jak wyglądało moje życie, kiedy byłam mała. Kogoś, kto wziąłby na siebie część ciężaru depresji mojej matki i jej bolesnej obojętności. Kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

– Ale zawsze bardzo chciałam ją mieć – dodaję. – I czasem próbowałam sobie wyobrazić, że kłócę się ze swoją wymyśloną siostrą, a potem robimy pojednawczy wypad.

– A co to takiego?

– Och, no wiesz. – Uśmiecham się. – Potajemna wyprawa, tylko wy dwie. Po to są siostry: aby przeżywać wspólne przygody. I być najlepszymi przyjaciółkami. No więc myślę, że powinnaś pójść i pogodzić się z Mary. Na pewno jest jej przykro z powodu tego, co ci powiedziała.

Mam nadzieję. Mary jest dość inteligentna, by zdać sobie sprawę, że podeszła do sprawy w niewłaściwy sposób. I mam nadzieję, że skoro zdążyły już obie ochłonąć, nic złego jej się nie przytrafi.

Przestań myśleć w ten sposób, Imogen Reid. Jesteś tak samo okropna jak Hannah Gilbert.

– Dobrze, niech będzie, ale ona nie ma racji. Bo Naomi chce się ze mną zaprzyjaźnić. Jestem tego pewna.

– Z pewnością masz rację, kochanie.

O Boże. Obyś miała rację.

59

Ellie

– Proszę, to dla ciebie. – Ellie nieśmiało wręcza Naomi T-shirt i przygotowuje się na szydercze kpiny ze strony grupki dziewcząt.

Naomi bierze koszulkę i patrzy na nią tępo.

No tak, myśli Ellie. Będzie udawać, że nigdy nie słyszała o Limitless. Wystawi mnie na pośmiewisko przed swoimi koleżankami.

– To dla mnie? – pyta Naomi niezbyt mądrze. Przecież słyszała, co powiedziała Ellie, więc czemu jest taka zdumiona? – Ale ja... Ja tylko...

– Otwiera i zamyka usta jak ryba. – Dziękuję, Ellie, to bardzo miłe z twojej strony.

Ellie się rozpromienia. Wiedziała, że Mary nie ma racji co do Naomi, że to ona dobrze ją oceniła.

– Jest podpisana – dodaje, wskazując koszulkę.

Wie, że powinna spocząć na laurach i odejść, lecz pragnie jak najdłużej pławić się w blasku tej chwili. Uśmiech Naomi grzeje jak tysiąc słońc.

– O rany, dziękuję! Jesteś super, wiesz o tym?

Ellie ma wrażenie, że twarz jej za chwilę pęknie od uśmiechu. Wczoraj wieczorem przez kilka godzin ćwiczyła podpisy wszystkich członków zespołu, wodziła ołówkiem zawijasy autografów, które znalazła w internecie, potem długopisem, a w końcu przeniosła je na T-shirt. Nie wypadło idealnie, ale doszła do wniosku, że na materiale

nie mogą wyglądać tak dobrze jak na papierze. Właśnie wtedy Mary przyłapała ją na ćwiczeniu podpisów i zapytała, po co to robi. Ellie wyjaśniła, że była na tyle głupia, by powiedzieć Naomi, że zna jednego muzyka z zespołu, i teraz podrabia podpisy, żeby jej sprezentować koszulkę. Mary zareagowała bardzo impulsywnie; powiedziała, że Ellie nie powinna dawać prezentów komuś, kto ją tak wrednie potraktował. Przekonywała ją, że będzie tylko podnóżkiem dla Naomi, jeśli nie postawi jej się z podniesioną głową, że ta dziewczyna się nigdy nie zmieni i że nie wolno jej ufać. Ellie się zdenerwowała i rozzłościła. Jak Mary może być tak okrutna? Nie ma pojęcia, co to znaczy spędzać każdy dzień jak wyrzutek. Sama ma mnóstwo koleżanek, więc jakim prawem zabrania Ellie szukać własnych?

– Drobiazg. – Wzrusza teraz ramionami. Boi się, żeby nie wypadło to zbyt gorliwie, boi się, żeby nie wypadło to zbyt lekceważąco. – Nie znam wielu osób, które też ich lubią, więc pomyślałam, że się ucieszysz.

– Bardzo się cieszę. – Naomi wskazuje wolne krzesło przy stoliku. – Chcesz się do nas przysiąść?

Ellie pragnie tego z całego serca: znaleźć się w grupie, śmiać się, chichotać i znów mieć prawdziwe przyjaciółki. Ale się boi. Poszło idealnie, dokładnie tak, jak sobie to wczoraj wieczorem ułożyła w myślach, jak powtarzała na okrągło, wyobrażając sobie najlepszy scenariusz – a czasem najgorszy, bo nie mogła się powstrzymać – i teraz drży ze strachu, że im dłużej tu zostanie, tym bardziej ryzykuje, że powie coś głupiego i wszystko przepadnie. Przykleja więc na twarz wyraz głębokiego żalu i kręci głową.

– Przykro mi, nie mogę, ale dostałam karę w czasie lunchu od Tłustego Łba. On uważa, że to ja wypuściłam żaby w pracowni biologicznej.

– A wypuściłaś? – pyta Naomi z ledwo zauważalnym podziwem na twarzy.

Ellie wzrusza ramionami.

– Do niczego się nie przyznaję. – Nie zrobiła tego.

Naomi odsłania zęby w uśmiechu.

– W każdym razie dzięki za koszulkę. Może się do nas przysiądziesz, kiedy skończysz te swoje rebelie.

Ellie odpowiada jej takim samym szerokim uśmiechem. Musi się odwrócić, bo inaczej się rozpłacze.

60

Imogen

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Od kiedy zaczęłaś u nas pracować, w Ellie zaszła fenomenalna zmiana. I jeszcze te dodatkowe zajęcia, które robisz z dziećmi od śmierci Hannah... – Dyrektorka szkoły urywa.

– To był trudny okres dla wszystkich, którzy ją znali – mówię łagodnie. – Cieszę się, że mogłam chociaż trochę pomóc. Czy wiadomo, kiedy Evan...?

Florence kręci głową.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle wróci. Ludzie w tym mieście są pamiętliwi i surowi. Uczniowie, rodzice... Miałam już niejedną skargę w związku z jego dalszą pracą w szkole.

Marszczy brwi.

– Za co konkretnie zamierzasz go zwolnić?

Wzdycha i znów kręci głową.

– Nikogo tu nie obchodzą niuanse przyczyn i pretekstów. Uważają, że coś jest niesprawiedliwe, i oczekują, że zostanie to naprawione. Szybko nie zapomną, że Hannah spotykała się z Evanem za plecami męża. A ponieważ jej już nie ma, obawiam się, że cały ciężar winy spadnie na Evana, dopóki będzie tu mieszkał. A sądzę, że nie potrwa to długo – wyznaje, unosząc brwi.

– Czy on i jego żona nadal są razem?

– Nie mam pojęcia. Nie odezwał się do nas od śmierci Hannah. Powiedział, że musi wziąć wolne na jakiś czas. Lekarz wypisał mu zwolnienie, a ja poradziłam, żeby wziął tyle, ile potrzebuje. Minął dopiero miesiąc, nie spodziewam się jego szybkiego powrotu, o ile, jak mówiłam, w ogóle wróci.

– Florence...

Nie wiem, czy powinnam ją wypytywać o związek Evana ze śmiercią Hannah. Nadal ledwie ją znam, a po tym peanie, jaki przed chwilą usłyszałam, nie chciałabym stracić jej zaufania i wyjść na plotkare, ale od śmierci Hannah szukałam okazji, żeby spokojnie porozmawiać z dyrektorką szkoły, a następna może się prędko nie trafić. Florence jednak jakby wyczuła, o co zamierzam zapytać, i skinieniem głowy wskazuje kanapę w kącie gabinetu.

– Chodź – mówi. – Jeśli mamy poważnie porozmawiać, to przynajmniej sobie wygodnie usiądźmy. Kawy?

– Poproszę herbaty. – Mówię to automatycznie i w ostatniej chwili powstrzymuję się, żeby nie dotknąć brzucha. Ponieważ tamtego wieczoru stchórzyłam i w końcu nie powiedziałam Danowi o ciąży, muszę uważać, aby nikt się nie zorientował, zanim zrobię następne podejście. Chcę mu zrekompensować fakt, że tak długo to przed nim ukrywałam, więc muszę zadbać, by nic nie zakłóciło tej chwili.

Siadam na kanapie, a Florence przynosi mi kubek z herbatą.

– Ładny. – Wskazuję posążek Buddy stojący między nami na stoliku. – Nie pamiętam, żebym widziała go tu poprzednio.

– Stał w innym miejscu. – Wyciąga rękę w kierunku półki po lewej stronie drzwi. – Przyniosłam go sobie tutaj, żeby na niego popatrzeć. Dostałam go od Hannah.

Widzę, że z trudem walczy, żeby się nie załamać.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – mówię łagodnie.
– Widzę, że się przyjaźniłyście.

– To małe miasteczko. Pracowałyśmy razem, zżyłyśmy się ze sobą. Zatrudniłam ją w szkole i zostałyśmy dobrymi koleżankami, chociaż nie na tyle, żeby mi powiedziała o...

– O Evanie?

Florence wpatruje się w punkt za moimi plecami – typowa reakcja ludzi w sytuacjach napięcia emocjonalnego. Czyżby męczyły ją wyrzuty sumienia? Czy podejrzewa Evana Hawkera?

– Nie miałam o tym pojęcia. A potem dowiedziałam się, jak bardzo byli ostentacyjni. Wiesz, że zostawiali sobie wiadomości w drzewie na terenie szkoły?

– Słyszałam o tym.

– Nie sądzisz, że to było wyjątkowo ryzykowne? W szkołach roi się od najbardziej ciekawskich umysłów na ziemi: nastolatków. Zostawiając sobie wiadomości w takim miejscu, jakby się prosili, żeby ich nakryto.

– Strach przed zdemaskowaniem to jeden z powodów, dla których potajemny romans staje się bardziej atrakcyjny niż związek, o którym wszyscy wiedzą. Ludzie potrafią się narażać na niewiarygodne niebezpieczeństwa. Jestem pewna, że Hannah i Evan wynajdywali różne usprawiedliwienia, mówili sobie, że kryjówka jest za wysoko, by ktoś ją zauważył, a nawet jeśli zauważy, to nie domyśli się, kto jest nadawcą i adresatem potajemnych listów. W końcu cała historia wygląda bardziej na konspirację nastolatków i mogłaby spokojnie uchodzić za pomysł któregoś z uczniów.

– A jednak ktoś ich nakrył, prawda? – zauważa łagodnie Florence. – Ktoś zwabił Hannah do tego budynku. Evan zeznał policji, że spotykali się tam wielokrotnie, ale tej nocy nie proponował jej schadzki. Skoro tam poszła, to znaczy, że ktoś podsunął jej liścik rzekomo napisany przez niego.

– Chyba że poszła tam spotkać się z kimś innym.

Florence patrzy na mnie ze zgrozą.

– Wykluczone. Jeśli chodzi o Hannah i Evana... Powiedzmy, że mogę w to uwierzyć. Kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie, że zawsze trochę ze sobą flirtowali, chociaż nadal trudno mi pojąć, jakim cudem ktoś tak towarzysko niewyrobiony jak Evan Hawker uwiódł jakąś kobietę, a co dopiero dwie. Nie, Hannah mogła sobie wmówić, że kocha Evana, aby usprawiedliwić swoją zdradę, ale na pewno nie zdradzała męża z kilkoma partnerami naraz.

No cóż, to jest zdanie Florence. Skoro Hannah potrafiła oszukać przyjaciół, rodzinę i męża, to kto może zaręczyć, że nie była uzależniona od niewierności? Z drugiej strony, gdyby się widywała z kimś innym, chyba do tej pory wyszłoby to na jaw? Każdy mężczyzna, z którym się spotykała, był potencjalnym podejrzanym.

– Jeśli nie poszła tam na randkę z kimś innym i nikt nie odkrył ich skrzynki kontaktowej w drzewie, to pozostaje tylko jedna osoba, która wiedziała, że Hannah będzie tam tego wieczoru.

– Masz na myśli Evana, tak?

– A kto inny może wchodzić w grę, Florence? Wiem, że chciałabyś zachować jak najlepsze zdanie o swoich kolegach, ale...

– Mógł się dowiedzieć jej mąż, Sam. Albo Veronica.

– Żona Evana? – pytam. – Uważasz, że któreś z nich mogłoby być zdolne do popełnienia morderstwa?

– Nie. Ale nie wierzę również, że byłby do tego zdolny Evan.

– Więc może jednak to zwykły wypadek? Może się pośliznęła? Spadła ze schodów?

– Taką wersję przyjmuje policja – odpowiada Florence. – Nieszczęśliwy wypadek. Tylko nikt nie potrafi wyjaśnić, po co w ogóle tam poszła. Co robiła w tym bloku późnym wieczorem, do diabła?

Wzruszam ramionami.

– Chyba przyjdzie nam żyć ze świadomością, że Hannah zabrała tajemnicę do grobu.

– Och, nie wierzę w to – protestuje Florence. – Ktoś musi znać prawdę. – Wzdycha ze sztuczną ostentacją, wstaje i odstawia filiżankę na stolik. – Przykro mi, że złożyłam to na twoje barki. Nie zaprosiłam cię tu, żeby rozmawiać o Hannah. Chciałam ci powiedzieć, że zamierzam wystąpić z prośbą, abyś została naszą szkolną doradczynią. Oczywiście, jeśli wyrazisz zgodę.

Unoszę brwi.

– Rzeczniczką?

– No tak, przepraszam, zapomniałam, że nie jesteś wprowadzona w te sprawy. – Klepie się w głowę otwartą dłonią w geście „Co za głuptas ze mnie”. – Dość często korzystamy z pomocy Place2Be. Szkoła nie ma funduszy na zatrudnienie własnego psychologa, ale bardzo nam zależy, aby zapewnić dzieciom regularną pomoc. Zamierzam wystąpić do twojego szefa z prośbą, abyś została naszą stałą doradczynią, ilekroć będziemy korzystać z waszych usług. To normalna procedura.

Nie wiem, co powiedzieć. Po wszystkim, co się wydarzyło w Londynie, ten mały sukces wydaje się spełnieniem marzeń.

– Jestem... zaszczycona. – Dotykam dłonią piersi. – Nie wyobrażasz sobie, ile dla mnie znaczy wasze zaufanie. To cudownie. Bardzo dziękuję.

– Nie musisz mi dziękować. – Florence uśmiecha się promiennie, widząc moją przesadną wdzięczność. – To ty zadałaś sobie mnóstwo trudu dla naszej szkoły. Potrzebujemy tu takich ludzi jak ty, Imogen. Nie uwierzyłybyś, jak bardzo.

61

Ellie

– Nie uwierzysz, co mnie dzisiaj spotkało. – Ellie wpada do pokoju Mary bez pukania i starsza dziewczynka podrywa się z podłogi z miną winowajczynie przyklejoną na twarzy. – Co robisz?

– Nic – odpowiada warknięciem Mary i Ellie zastanawia się, czy to możliwe, aby do tej pory była na nią zła po przedwczorajszej kłótni. – Powinnaś pukać przed wtargnięciem do czyjegoś pokoju. Mogłam na przykład być nago.

Ellie rumieni się na twarzy – Mary nigdy nie była dla niej taka szorstka, lecz nawet najgorszy humor przybranej siostry nie może jej popsuć nastroju.

– Przepraszam. Nie będziesz zgadywać?

– Tommy Ross poprosił cię do tańca? – rzuca Mary drwiąco.

Ellie unosi brwi.

– Co?

Mary potrząsa głową ze zniecierpliwieniem.

– Nieważne. Co się stało?

– Dałam Naomi Harper tę koszulkę i powiedziała, że jestem super. Ja! Chyba pierwszy raz ktoś ze mną rozmawiał w tej szkole bez szyderstw i złośliwości. I zaprosiła mnie, żebym się do niej przysiadła na lunchu! Słyszysz? Przysiadła się do niej! Masz pojęcie, jaki to przełom? – Przerywa, żeby nabrać powietrza, i zauważa pochmurną minę swojej przybranej siostry. – Co?

Mary wzdycha i pociera dłonią twarz. Przez chwilę wydaje się dużo młodsza, niż jest; Ellie nigdy przedtem nie widziała jej takiej speszonej.

– Co? – pyta ponownie. Czuje rosnącą panikę. – O co chodzi, Mary?

– Nic takiego. Tylko obiecaj mi jedną rzecz, dobrze?

– Chyba nie chcesz mi wszystkiego popsuć? Proszę, nie mów mi, że jedyna osoba, która była dla mnie miła, od kiedy tu przyjechałam, próbuje mnie oszukać, bo ci nie uwierzę.

Mary łzy napływają do oczu.

– „Jedyna osoba, która była dla ciebie miła?” Więc ja nie byłam dla ciebie miła? Nie byłam najlepszą przyjaciółką, jaką tu miałaś? Troszczyłam się o ciebie i teraz też się o ciebie troszczę! Proszę cię tylko o jedno: żebyś nie pozwoliła Naomi Harper za bardzo się do siebie zbliżyć. Proszę, Ellie, jej nie można ufać! Nie mówię, żebyś się z nią nie przyjaźniła; chcę, żebyś znalazła sobie przyjaciół. Błagam cię tylko, żebyś była ostrożna.

Lecz Ellie ma dopiero jedenaście lat i chociaż niekiedy czuje się o całe dziesiątki lat starsza, najbardziej na świecie pragnie zdobyć przyjaciół i przestać być ostrożna.

– Przepraszam, Mary. Oczywiście, że byłaś dla mnie najlepszą przyjaciółką. Jesteś najlepszą siostrą, o jakiej mogłabym marzyć. Ale nie chodzisz ze mną do klasy, a nikt nie przetrwa szkoły, jeśli nie ma obok siebie kogoś bliskiego. Czasami czuję się taka samotna, że pomagam kucharkom sprzątać po obiedzie, żeby z kimś pogadać. A teraz mam szansę to wszystko zmienić. – Po policzkach płyną jej łzy.
– Tak bardzo pragnę być normalna.

Mary podbiega do niej, po drodze strącając z łóżka na podłogę stertę podręczników, po czym chwyta ją w ramiona i przytula do piersi. Ellie opiera głowę na jej ramieniu i szlocha w sweter. Mary gładzi ją po włosach.

– Ćśśś, ćśś, już dobrze – szepcze jej do ucha. – Już dobrze, mała Ellie. Ja tylko staram się cię chronić, ale teraz rozumiem: uważasz, że Naomi jest dobrą dziewczyną, i chcesz jej udzielić kredytu zaufania. Może to ja nie mam racji.

Ellie uśmiecha się przez łzy.

– Chodź, pomogę ci posprzątać te rzeczy.

Schyła się, żeby podnieść z podłogi książki i położyć je z powrotem na łóżko, ale Mary podskakuje jak rażona prądem.

– Nie! – krzyczy.

Ellie cofa szybko rękę. Spod łóżka Mary wystaje plik karteczek.

– Co to jest? – pyta, podnosząc je z podłogi.

Mary patrzy zdruzgotana, jak Ellie przebiega wzrokiem pogniecione kartki z bloku, z paskami taśmy przezroczystej przyklejonymi wzdłuż górnej i dolnej krawędzi, jakby zerwano je z miejsca, gdzie wisiały. Ellie ze ściśniętym żołądkiem ogląda niedbały rysunek dziewczynki stojącej nad kałużą. Pod spodem widnieje nabazgrany podpis: *Ellie od Śmierdzieli cuchnie szczynami*.

– Mary, co to jest?

Mary wzdycha, siada na podłodze obok Ellie i obejmuje ją ramieniem.

– Zerwałam je dzisiaj z przystanku autobusowego, zanim wyszłaś ze szkoły. Zebrałam wszystkie, jakie znalazłam, wydaje mi się, że niewiele osób zdążyło je zobaczyć.

Ellie wertuje plik dziesięciu identycznych kartek.

– Uważasz, że zrobiła to Naomi?

– Tak myślałam – przyznaje Mary. – Ale skoro mówisz, że była dla ciebie taka miła, to nie mogła być ona. Nie chciałam, żebyś je zobaczyła, przykro mi.

Ellie patrzy w milczeniu na rysunek. Nie może oderwać od niego wzroku. Obrazek wygląda jak narysowany przez dziecko, ale to bez

wątpienia ona, poza tym jest podpisany. Nad każdym „i” widnieje zamiast kropki maleńkie serduszko – charakterystyczny znak rozpoznawczy Naomi. Widziała gryzmoły, którymi ta dziewczyna zapełniała niezliczone notatniki, i nieraz myślała, jak bardzo dorysowywanie tych serduszek musi spowalniać jej pisanie. Chciałaby mieć tyle fantazji, żeby wymyślić sobie taki znak rozpoznawczy. Mimo wszystko to niczego nie dowodzi – serduszka mógł dorysować każdy, jeśli chciał skierować podejrzenia na Naomi. Jednak w wyobraźni Ellie widzi tamtą scenę: cała banda przytrzymuje ją mocno za ręce i wlewa jej w spodnie czyjeś siuski. Musiały to wcześniej zaplanować: przynieść pojemnik, iść do toalety i jedna z nich nasikała do środka, a przez cały czas śmiały się z Ellie od Śmierdzieli cuchnącej szczynami. Jak mogła być taka głupia? Jak mogło kilka miłych słów zatrzeć w jej pamięci te obrazy choćby na krótką chwilę?

– To była ona – mówi szeptem.

Wie to z taką pewnością, z jaką jeszcze nigdy niczego nie wiedziała. Zastanawia się, co by się stało, gdyby usiadła z Naomi Harper w czasie lunchu. Czy z tchórzostwa mimowolnie uniknęła kolejnego złośliwego kawału? Była głupia, wierząc, że w takim miejscu jak Lichota może znaleźć przyjaciół – w mieście, które każdego obcego rozgryza, przeżuwa i wypluwa do rynsztoka; mieście, które uznało, że jest zła, a samo ma najczarniejsze serce pod słońcem.

– Ona nie chce być moją przyjaciółką – mamrocze. – Nigdy nie chciała. Nikt tego nie chce.

Mary ściska ją za ramię.

– Znajdziesz sobie przyjaciół, Ellie, obiecuję ci. Musisz tylko bardziej uważać, komu ufasz. Jesteś taka kochana, starasz się o każdym myśleć jak najlepiej, ale musisz się trochę zahartować. Musisz im pokazać, że nie pozwolisz się tak traktować, bo inaczej nigdy nie przestaną.

– To jej nie ujdzie na sucho – obiecuje Ellie nieswoim głosem, jakby mówiła przez zaciśnięte gardło. – Już ja jej pokażę, że nie może tak traktować ludzi. Już ja jej pokażę, Mary. Wszystkim im pokażę.

62

Ellie

Jak zawsze przychodzi do klasy pierwsza. Tak właśnie najbardziej lubi – siedzi i czyta książkę, a wszyscy, którzy schodzą się powoli, mogą nie zwracać na nią uwagi, jakby nie istniała. Dzisiaj jest tak samo.

Sala zaczyna się zapełniać, uczniowie wchodzą dwójkami i trójkami, rozmawiają o tym, co robili poprzedniego wieczoru, co oglądali w telewizji, kto wysłał komu SMS-a i co napisał. Niebawem szmer zamienia się w rozgwar, lecz nikt nie odzywa się do Ellie, ani ona do nikogo.

Naomi Harper przychodzi jako jedna z ostatnich. Włosy ma niedbale rozrzucone, jakby przed chwilą wstała z łóżka, ale na pewno układała je przez godzinę. Na ładnej buzi ledwo zauważalny makijaż. Idzie wyprostowana, nie garbi się jak ktoś, kto próbuje wtopić się w tło, niesie szkolny plecak, jak gdyby to była najkosztowniejsza torebka. Idzie tak, jakby każdym krokiem ściągala na siebie uwagę otoczenia. Dzieciaki witają ją jak gwiazdę. Ellie poddaje się, podnosi głowę i przypadkiem chwyta jej spojrzenie. Naomi uśmiecha się do niej nieznacznie; jeszcze wczoraj ten uśmiech rozgrzałby jej serce i natchnął nową nadzieją, lecz dzisiaj ściska jej żołądek i napęnia goryczą.

Naomi siada jak zwykle w pierwszej ławce i jak zwykle natychmiast się odwraca, żeby pogawędzić z dziewczętami, które

siedzą za nią. Ellie obserwuje ją niepostrzeżenie – NIENAWIDZĘ CIĘ. NIENAWIDZĘ CIĘ. NIENAWIDZĘ CIĘ – jak rozrzuca włosy, jak śmieje się kokieteryjnie. Wyjmuje coś z torby i po chwili Ellie rozpoznaje koszulkę, którą jej wczoraj podarowała. Zanim się na niej poznała. Dziewczęta wokół niej wzdychają zachwycone, udają zainteresowanie, biorą koszulkę do ręki, oglądają. Naomi uśmiecha się i coś mówi, wskazując gestem Ellie. Dziewczęta jednocześnie odwracają się w jej stronę. Naomi podnosi dłoń na powitanie i Ellie odwraca wzrok; udaje, że jej nie zauważa.

DOSTANIESZ NAUCZKĘ, NA KTÓRĄ ZASŁUŻYŁAŚ, NAOMI HARPER.

63

Ellie

Tym razem Naomi nie zaproponowała Ellie, aby przysiadła się do niej podczas obiadu, więc Ellie siada przy sąsiednim stoliku. Nigdzie w szkole nie zauważyła żadnych kartek zawieszonych przez Naomi, chociaż się za nimi rozglądała. Może nie było żadnych innych poza tymi, które Mary zdjęła z przystanku autobusowego, ale Ellie w to wątpi. Gdzieś tu wiszą przyczajone, zaklejają ściany biblioteki albo sali gimnastycznej, gdzieś, gdzie cała klasa wejdzie i je zobaczy. Za każdym razem, kiedy sobie wyobraża tę scenę, krew dosłownie gotuje jej się w żyłach. Widzi, jak Naomi wybucha śmiechem i pokazuje ją palcem, a cała klasa gapi się na Ellie i wtóruje gromkim rechotem, aż w końcu paski taśmy klejącej odrywają się od ściany i kartki odpadają, jakby ożyły, i same lecą w stronę Naomi oraz jej rechoczących koleżanek, przyklejają im się do twarzy, zwijają się w kulki i wpadają do gardeł głupich, próżnych Harperanek i ich zepsutej do szpiku kości królowej.

Całe ciało Ellie płonie. Krew w żyłach przypomina gęstą lawę tętniącą jej w uszach równym rytmem – łup, łup, łup. Nie słyszy już śmiechu głupich dziewczuch ani nieprzerwanego gwaru głosów przekrzykujących się chłopców, nauczycieli grzmiących, aby uczniowie siedzieli porządnie na krzesłach albo stali w rzędzie. Wszystko cichnie w jeden przytłumiony daleki szum.

Nagle światła mrugają i stołówka pogrąża się w ciemności.

64

Ellie

Stołówkę wypełniają krzyki. Ellie ma oczy zamknięte w ciemności, czuje, że dzieje się coś złego, ale się nie boi. To coś nie spadnie na nią. Coś złego podkrada się w mroku i rośnie w siłę; czuje to zupełnie tak, jakby było nią. I może jest. Może to coś wyszło z niej. Koncentruje całą energię przeciwko Naomi Harper i jej przyjaciółkom.

Nauczyciele krzyczą, wołają do uczniów, żeby się uspokoiłi. Ellie otwiera oczy i widzi, jak pociągają za sznurki zasłon w oknach stołówki. Czy były wcześniej zaciągnięte, czy to również jej dzieło? Kiedy próbuje sobie przypomnieć, jak wyglądała stołówka, zanim rozległy się krzyki, widzi tylko jasne światło żarówek. Czy to możliwe, żeby nikt nie zauważył zasłon odcinających dopływ dziennego światła? Niekiedy nauczyciele zaciemniają okna podczas prób kółka teatralnego, żeby sprawdzić oświetlenie sceny. Może ktoś zapomniał rozsunąć zasłony?

Nikt nie zapomniał. To ty zrobiłaś. Wiedziałaś, że to nadchodzi...

Kiedy powoli ciężkie kotary odsłaniają okna, salę zalewa światło. Krzyki już ucichły, ustąpiły miejsca wrzawie podnieconych głosów i nawoływań nauczycieli usiłujących uspokoić tłum podnieconych nastolatków. Nigdy przedtem nie wydarzyło się w tej szkole coś równie emocjonującego. Ellie słyszy dookoła gorączkowe spekulacje, dlaczego zgasło światło, czemu okna były zasłonięte, ale jej wzrok

spoczywa na jednym stoliku, tym, przy którym krzyki wcale nie ucichły.

– Proszę pani! Proszę paaanii!

To jedna z koleżanek Naomi stoi i macha rozpaczliwie ręką w stronę nauczycieli. Pozostałe dwie kucają przy kimś, kto leży na podłodze.

W ciągu kilku sekund otaczają je nauczyciele, lecz Ellie udaje się zobaczyć Naomi, która leży na podłodze spokojnie, jakby uciniała sobie drzemkę.

Wydaje się, że pani Maxwell poczuła wzrok Ellie spoczywający na Naomi i otaczającym chaosie, ponieważ ze wszystkich dzieci wpatrujących się w nią ciekawie wyławia jej twarz. Ellie nie krzyczy, nie histeryzuje, tylko przygląda jej się z uwagą. Na obliczu dyrektorki maluje się lęk, a jednocześnie coś ją podrywa do działania.

– Wyprowadźcie stąd dzieci – rzuca do nauczyciela plastyki, którego nazwiska Ellie nie zna. – I wezwijcie pogotowie.

Jedna z koleżanek Naomi wpada w prawdziwą, teatralną histerię. Druga mamrocze coś w kółko pod nosem; Ellie stara się ją usłyszeć, spić każdą kroplę przyjemności, którą powinna czerpać z tego zamętu. Czy nie powiedziała, że za to zapłacą? Czy nie przyrzekła Mary, że Naomi Harper zapłaci za swoją podłość? I proszę, wrzeszczą, płaczą, boją się, a ona nie musiała nawet kiwnąć palcem. Wystarczyło, że sobie to wyobraziła. Co prawda wcale nie sprawia jej to takiej przyjemności, jak myślała: nie było tańczących skrawków papieru dławiących Naomi i pozostałe Harperki, ale jednak osiągnęła to, co sobie postanowiła.

Nadal nie słyszy, co powtarza druga dziewczyna, ale może jej czytać z ust.

– Włosy! – woła. – Co jej się stało z włosami?

W ostatniej chwili, kiedy nauczyciel plastyki, którego nazwisko nie ma znaczenia, wyprowadza ich ze stołówki, udaje jej się uchwycić widok Naomi Harper i jej włosów, które nie trzymają się już głowy, tylko leżą obok na podłodze, jakby ktoś ją oskalpował, a z ogołoczonej czaszki sterczą w różnych kierunkach przerzedzone pojedyncze kępki.

Całkiem ładne zwieńczenie, myśli z uśmiechem Ellie.

Nauczyciele nie umieją sobie z nimi poradzić. Cała szkoła huczy po tym, co się wydarzyło w stołówce, nad uczniami nie sposób zapanować. Nikt nie wie, czy Naomi żyje ani co się właściwie stało i dlaczego. Ale Ellie wie, co się stało, i wie dlaczego. Kiedy w panującym zamieszaniu wymyka się ze szkoły, nikt nawet nie zauważa, że zniknęła. Jak zawsze.

Otwiera torbę, zagląda do środka i uśmiecha się na widok tego, co spodziewała się zobaczyć. Na samym wierzchu książek migoczą złowrogo nożyczki, jakby chciały powiedzieć: „Udało się, Ellie, razem to zrobiliśmy. Dopadliśmy ją”.

Rusza szybko, zdecydowanym krokiem; ma przygotowaną wymówkę na wypadek, gdyby ktoś ją złapał poza szkołą: „Bałam się, bałam się, że ten, kto zabił panią Gilbert, przyjdzie, żeby pozabijać nas wszystkich”. W tej wymówce tkwi cudowna, wyrafinowana ironia: to co zabiło panią Gilbert, rzeczywiście nadciąga, żeby ich wszystkich dopaść, i tylko Ellie o tym wie.

Kiedy dociera na miejsce, wyjmuje z torby nożyczki, wyciera je rękawem i wrzuca przez kratownicę do studzienki.

65

Imogen

Wpatruję się w pokratkowaną stronicę, a kiedy patrzę na rubryczki, każde pole wydaje się rosnąć. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... minęło dziewięć tygodni od ostatniego okresu. To znaczy, że zostały mi jeszcze trzy tygodnie do pierwszego planowego USG, a ja nadal nie powiedziałam Danowi o ciąży. Tamtego dnia byłam tak blisko, lecz potem zadzwonił telefon i cały urok prysł jak zaklęcie. Weszłam do schowka pod schodami i w jednej chwili powróciły wszystkie lęki, wątpliwości i wahania, aż w końcu kiedy Dan zapytał, czemu zawdzięcza tę uroczystą kolację, wyjąkałam, że chciałam mu zrobić przyjemność, ponieważ go kocham. Może zostanie już tak na zawsze – wiecznie będę balansować pomiędzy rozpaczliwym pragnieniem, aby mieć własne dziecko, któremu mogłabym ofiarować całą swoją miłość, a przerażeniem, że muszę zapewnić bezpieczeństwo małej ludzkiej istotce i nie spieprzyć tego bezpowrotnie. Czy każda kobieta w ciąży tak się boi? Jeśli tak, to jakim cudem rasa ludzka jeszcze nie wyginęła?

– Już możemy rozmawiać.

Głos Edwarda wdziera się w moje rozmyślenia, a ja jestem mu wdzięczna za to oderwanie uwagi. Wczoraj zadzwoniła Florence Maxwell i poprosiła mnie o pomoc w sprawie poważnego wypadku, do którego doszło w szkole. Wezwano policję, a jedno z dzieci odwieziono do szpitala. Nawet się za bardzo nie zdziwiłam, kiedy

usłyszałam nazwisko poszkodowanej dziewczynki – Naomi Harper. Natychmiast pojechałam, żeby porozmawiać z dziećmi, które były świadkami i ucierpiały wskutek wypadku, naturalnie poza Naomi Harper, która nadal leżała w szpitalu z obrażeniami głowy. Jednak na liście osób potrzebujących pomocy nie było Ellie. Między kolejnymi sesjami nie miałam nawet czasu, aby jej poszukać, za to kiedy wyszłam z gabinetu do toalety, zobaczyłam na korytarzu Mary i natychmiast ją zawołałam. Podskoczyła jak oparzona, kiedy usłyszała mój głos, i obróciła się błyskawicznie na pięcie.

– Ach, to pani.

– Widziałas Ellie? Nic jej się nie stało?

Mary zmarszczyła czoło.

– Jest w klasie. Czemu miałyby się jej coś stać? Przecież ona akurat... – Zasłoniła usta dłonią.

– Co ona? Mary, czy chcesz powiedzieć, że Ellie miała z tym coś wspólnego?

Na młodej twarzy Mary odmalowało się rozczarowanie.

– Chciałam powiedzieć, że ona akurat jest jedyną osobą, o którą nie trzeba się dzisiaj martwić. Nie dlatego, że to zrobiła, tylko dlatego, że jej prześladowczynie zostały unieszkodliwione, więc ma trochę świętego spokoju. – Świdruje mnie wzrokiem. – Myślałam, że trzyma pani jej stronę. Że pani w nią wierzy.

– Wierzę. – Zaklęłam w duchu na swoją głupotę. Mieć prywatnie wątpliwości to jedno, ale ujawniać je dzieciom to zupełnie co innego. – Ale ponieważ ofiarą padła Naomi, a Ellie jest taka krucha... Pomyślałam, że może tym razem Naomi posunęła się za daleko.

– Naomi dostała to, na co zasłużyła. A jeśli Ellie miała z tym coś wspólnego, to ja bym się jej nie dziwiła.

Po raz pierwszy Mary przyznała, że Ellie mogła być zamieszana w te historie, ale nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Teraz

myślę, że może powinnam ją bardziej przycisnąć.

– Imogen? – Głos Edwarda znowu ściąga mnie z powrotem do małego gabinetu. – Pytałem, jak wczoraj poszło w szkole. Miałem umówione spotkanie z dyrektorką, ale musieliśmy je kilkakrotnie przekładać. Słyszałem, co się stało. Wszystko w porządku?

Przypominam sobie rozmowę z Florence Maxwell sprzed kilku dni, kiedy oznajmiła, że dzięki mnie sytuacja w szkole znacznie się poprawiła, i poprosiła, abym została ich doradczynią. Czy po tym, co się wczoraj wydarzyło, nadal tak uważa? To niemądre z mojej strony, że czuję się winna; rolą Place2Be jest zachęcanie uczniów do rozmowy, zapewnianie im wsparcia, jeśli zachodzi taka potrzeba, a nie zapobieganie z dnia na dzień każdemu aktowi przemocy czy zastraszania, mimo to nie mogę się pozbyć uczucia, że powinnam to była przewidzieć, że może mój ograniczony pogląd na temat Ellie przyczynił się w jakiś sposób do incydentu z Naomi.

Nerwowo przełykam ślinę. Za bardzo popuszczam wodze wyobraźni. Pozwalam, by ciśnienie tego, co się wydarzyło, kiedy ostatnim razem popełniłam błąd, przesłoniło mi trzeźwy osąd tej sprawy. Z Ellie Atkinson jest taki sam diabeł jak ze mnie matka Teresa. Kiedy rozsunięto zasłony w stołówce, siedziała w tym samym miejscu co kilka minut wcześniej. Nie ma nic wspólnego z wypadkiem. Widocznie Naomi wyprowadziła w tym roku z równowagi więcej niż jedną osobę.

– O ile mi wiadomo, Florence jest naprawdę zadowolona z mojej pracy dla szkoły. Wczorajszy wypadek jest odosobniony i nie ma związku ze sprawą, którą się zajmuję. Wygląda na to, że wszystko idzie doskonale. Myślę, że nie ma powodów do obaw.

66

Ellie

Ellie idzie przez las, od czasu do czasu wyciąga rękę, żeby dotknąć zimnej kory wielkich dębów. Światło jest przyćmione, ledwo się przesącza między grubymi konarami, mimo że z drzew opadły już prawie wszystkie liście. Idzie sama na spotkanie z Mary, ale się nie boi. Pod jej stopami trzaskają gałązki, od czasu do czasu dobiega ją szelest ptaków lądujących na gałęzi. Jej nogi nie chcą się poruszać tak szybko, jak by tego pragnęła, a polanka wydaje się leżeć całe kilometry dalej niż ostatnim razem, kiedy przyprowadziła ją tu Mary.

Przybrana siostra chce jej coś pokazać, coś fascynującego. Ellie nie widziała jej przez cały dzień, dostała SMS-a w czasie przerwy obiadowej i przybiegła tu natychmiast po lekcjach, ale wie doskonale, którą polankę Mary miała na myśli – przychodziły tu wiele razy. Na samym środku rośnie chyba największe i najpotężniejsze drzewo w całym lesie, lecz i tak jest tu znacznie widniej.

Mary jeszcze nie przyszła, ale przecież ona zawsze się spóźnia. Za to drzewo wygląda inaczej: na samym dole wokół pnia leżą oparte gałązki. Ellie zastanawia się, co jej ten widok przypomina, jakoś jednak nie może przywołać w myślach obrazu, który próbuje jej podsunąć pamięć. Nieco z boku z ziemi sterczy pniak, więc przysiada na nim, wyjmuje komórkę i pisze SMS-a do Mary.

Gdzie jesteś?

Choć tak naprawdę to nie ma znaczenia, nie ma powodu się bać. Lubi tę polankę, jest tu cicho i spokojnie i nikt im tu nie przeszkadza. Czasami ma wrażenie, jakby to miejsce zostało stworzone specjalnie dla nich, jakby na całym świecie nikt inny nie wiedział o jego istnieniu, a drzewa nie wyrosły na tym skrawku ziemi specjalnie po to, aby pozostawić otwartą przestrzeń dla Ellie i Mary. Otaczają je, zamykają w środku, odcinają od reszty świata.

Słyszysz hałas dobiegający zza drzew. Nareszcie! Serce zaczyna jej bić coraz szybciej z podniecenia i radosnego oczekiwania. Co takiego Mary chce jej pokazać? Już się cieszy na myśl o czymś wyjątkowym, co stanie się ich wspólną tajemnicą, na myśl, że ona stanie się kimś wyjątkowym dla Mary.

Spomiędzy drzew dookoła niej wyłaniają się dzieci, kolejno, jedno po drugim, i nagle Ellie ogarnia strach. Niektóre rozpoznaje ze szkoły, innych nie widziała nigdy w życiu. Wychodzą na polankę jednocześnie, jakby wyciekały z lasu kroplami, a nie wychodziły na nogach. I wszystkie co do jednego świdrują ją wzrokiem. Ellie przenosi wzrok z dzieci na drzewo i wtedy sobie uświadamia, co jej ono przypomina – gałęzie i polana poustawiane dookoła... stosu.

Z tłumu występuje naprzód dziewczyna i przez jedną błogą chwilę Ellie myśli, że to Mary, że nie ma się czego bać, ponieważ jest tu jej siostra i wszystkie inne dzieci przyszły zobaczyć jej sekret. Ale to nie jest Mary, tylko Naomi Harper.

Naomi nie wygląda na wściekłą. Nie sprawia też wrażenia, jakby to wszystko miało być psikusiem albo żartem; nie widać na jej twarzy śladu wesołości. Włosy ma stylowo upięte wokół głowy, jakby uczesał ją fryzjer jej mamy, i kiedy Ellie spostrzeża w jednym miejscu prześwitującą gołą skórę, przechodzi ją radosny dreszczyk zadowolenia. Naomi Harper nie ma pojęcia, w co się wplątuje.

– O co chodzi? – Głos Ellie nie drży. Wie, co się stanie, jeśli będzie tego chciała. Wie, że pomimo pewnej miny Naomi to ona panuje nad sytuacją. – Wynoście się stąd.

Dziewczyna robi krok naprzód i wyciąga w jej stronę palec.

– Łapcie ją!

Do przodu występują dwie następne osoby, tym razem chłopcy. Jednego Ellie rozpoznaje; chodzi z nią do klasy, ma tylko jedenaście lat i jak dotąd był w szkole łagodny jak baranek. Rozgląda się dookoła i rozpoznaje więcej twarzy. Ile ich tu jest? Czterdzieścioro? Pięćdziesięścioro? Wystarczająco dużo, żeby nagle cała sytuacja nabrała realizmu i grozy. Nie trać zimnej krwi, Ellie, nie mogą cię skrzywdzić.

– Nie dotykajcie mnie! – grozi, lecz oni wcale się nie zatrzymują.

Jeden z chłopców brutalnie chwyta ją za ramię i podrywa na nogi.

– Kto ma sznur?

W tłumie powstaje małe zamieszanie, ktoś wkłada Naomi do ręki płataninę lin.

Ellie koncentruje cały gniew na dwóch chłopcach, którzy ją trzymają. Wyobraża sobie, jak coś ich odrzuca w tył, jak lądują z łomotem na drzewie albo stają w płomieniach i z krzykiem uciekają w las. Nic się jednak nie dzieje. Skup się mocniej.

– I co zamierzacie zrobić? – pyta, trochę przestraszona, a trochę zaintrygowana.

Nigdy przedtem nie widziała, żeby dzieci zachowywały się w ten sposób. Jest nawet trochę ciekawa, na co się odważą.

– Wiemy, że to, co się stało w stołówce, to twoja robota. I wiemy, że zabiłaś panią Gilbert.

– Nieprawda – odpowiada Ellie. – Nie dotknęłam cię. A Gilbert sama spadła ze schodów. Wszyscy o tym wiedzą.

– Została zepchnięta – odpowiada Naomi. – Ty ją zepchnęłaś.

– W ogóle mnie tam nie było! Byłam, byłam... – Ellie nie kończy zdania. Właściwie nie wie, gdzie była, prawda? Pamięta tylko krzyki, te okropne krzyki, a potem zbudziła się w ogrodzie. Czy to możliwe, żeby zabiła Hannah Gilbert? Czy któreś z tych dzieci ją widziało? Czy dlatego tu przyszły? Żeby się zemścić?

– Widzisz? Nie możesz zaprzeczyć. – Naomi wyciąga oskarżycielsko palec. – Wszyscy wiemy, że to byłaś ty, Ellie Atkinson, wszyscy wiemy, że jesteś wiedźmą. Nie musiałaś się nawet zbliżyć do pani Gilbert, żeby ją zabić.

Podchodzi bliżej, tak blisko, że Ellie może jej dotknąć, wyciąga rękę i chwyta garść jej włosów. Chłopak, który trzyma Ellie, puszcza jej ramię i Naomi pociąga ją do przodu. Ellie zatacza się, potyka i pada na kolana. Boli ją szarpnięcie za włosy, które Naomi cały czas trzyma w garści. Popycha ją na ziemię, schyla się i syczy jej do ucha:

– A ty wiesz, co się dzieje z wiedźmami, prawda? Pali się je na stosie.

Ellie otwiera usta do krzyku, ale drugi chłopak brutalnie zasłania jej dłonią usta.

– Nawet o tym nie myśl. – Uśmiecha się do niej. – Nikt cię tu nie usłyszy.

Tłum obserwuje ich jak w transie. Poruszają się tylko dwaj chłopcy i Naomi. Gwałtownym szarpnięciem podrywają Ellie na nogi i wloką do wielkiego drzewa. Jeden z chłopców popycha ją na pień; szorstka kora wbija jej się boleśnie w ramiona i plecy. Ellie próbuje sobie wyobrazić, że sznury odpadają, jakby jej umysł był nożem, który rozcina je na kawałki, lecz nadal nic się nie dzieje. Czyżby moc ją opuściła? Czy teraz znowu jest tylko normalną dziewczynką? Zwyczajną i bezbronną?

– Masz. – Naomi rzuca coś jednemu z chłopców, a kiedy ten spostrzega, co to jest, oczy robią mu się okrągłe jak spodki.

– Po co to?

– Głupi jesteś czy co? Żeby była cicho. – Zaczyna rozplątywać linę, szarpać, szukając końcówki.

Chłopak powoli kręci głową.

– No nie wiem, Naomi – mówi. – To odrażające. Mamy jej to włożyć w usta?

– Rany boskie, ty ją przytrzymaj, a ja to zrobię sama.

Wyrywa mu dziwaczny przedmiot z ręki i podchodzi do drzewa, gdzie Ellie stoi na drżących nogach.

– Otwieraj – mówi ostro.

Ellie patrzy, nie rozumiejąc.

– Co mam otwierać?

Naomi prychna.

– Otwieraj cholerną gębę.

Dopiero teraz Ellie zauważa, że Naomi trzyma w ręku piłkę tenisową z kawałkiem materiału przewleczonym przez środek. Zaciska usta i potrząsa głową. Naomi ściska jej nos, aż z braku powietrza Ellie ma wrażenie, że rozsadza jej głowę. Kiedy w końcu nie wytrzymuje i chwytą powietrze ustami, Naomi korzysta z okazji i brutalnie wpycha jej do buzi piłkę, a materiał zawiązuje z tyłu głowy. Z tłumu dochodzą ciche okrzyki grozy. Ktoś – Ellie nie wie kto – woła:

– Naomi, jesteś tego pewna? Ona nie powiedziała...

– Zamknij się – warczy Naomi. – Ona mnie zaatakowała... Zabiła panią Gilbert. Pozwolimy, żeby uszło jej to na sucho? Skoro dorośli nie zamierzają nic w tej sprawie zrobić, to my musimy ją powstrzymać. Nie chcemy w naszym mieście czarownic.

– Ma rację! – woła któreś z dzieci. – Moja mama mówi, że ona jest jakaś dziwna. I że miała coś wspólnego z tym, że pani Gilbert w ogóle poszła do tego mieszkania.

Nie ma sensu się kłócić; Ellie może tylko kręcić głową, a nawet gdyby mogła się odezwać, i tak nikt by jej nie słuchał. Narasta w niej strach, ale również coś innego... gniew. Tu się wydarzy coś okropnego.

Piłka tenisowa knebluje jej usta, z oczu płyną łzy i nos Ellie się zatyka. Udusi się, jeśli zaraz nie przestanie płakać. Próbuje wypchnąć knebel językiem, ale na próżno, piłka siedzi za mocno.

– Przywiążcie ją do drzewa.

Ellie zaczyna szarpać się i wrzeszczeć, wywija rozpaczliwie rękami.

– Niech im ktoś pomoże, do diabła! – krzyczy Naomi.

Wyciąga z tłumu innego chłopaka i popycha go w ich stronę. Ellie natychmiast poznaje Toma Harrisa. Błaga go wzrokiem, żeby przerwał ten obłęd, lecz Tom patrzy na nią ze strachem i złością, po czym kręci głową i chwyta za linę.

– Zasłużyłaś sobie na to, Ellie – syczy. – Dlaczego nie zostawiłaś pani Gilbert w spokoju? – Podaje końcówkę liny chłopcu, który ją przytrzymuje, po czym okrąża drzewo i obwiązuje Ellie przez pierś, dopóki nie zostaje całkiem unieruchomiona przy pniu.

– Zawiąż to – komenderuje Naomi.

– Jak, do diabła? – pyta Tom prawie ze złością. – Nie jestem jakimś cholernym harcerzykiem.

Przez chwilę Ellie ma nadzieję, że zrezygnują, że skoro nikt nie umie zawiązać porządnego supła, to dadzą jej spokój, lecz Naomi tylko kręci głową i bierze od Toma linę. Wprawnie przeplata ją przez pozostałe zwoje, a każdy węzeł mocniej zaciska sznur na piersi Ellie. Potem rzuca chłopcom drwiący uśmiech i odwraca się do tłumu.

– Ta dziewczyna... – mówi, wskazując Ellie, która stoi zmartwiała ze strachu. Nie może przemówić w swojej obronie, nie może przestać płakać, mimo że prawie się dusi przez zatkany nos. – Ta dziewczyna zabiła naszą nauczycielkę i jak się z nią teraz nie rozprawimy, to nie

spocznie, dopóki nie zginie każda osoba, która jej się naraziła. – Odwraca się do Ellie. – Ellie Atkinson, to jest ostrzeżenie, że nie życzymy sobie w Lichocie czarownic. Nie będziemy tolerować zła.

Wyjmuje z torebki kawałek materiału i przewiązuje jej oczy. Ellie nic teraz nie widzi, ale nadal słyszy. Słyszy głośno wstrzymywane oddechy, kiedy Naomi znowu grzebie w torebce. Słyszy krzyk jednej z młodszych dziewczynek i jeszcze coś. Dźwięk, który doskonale zna. Trzask zapalniczki. Pstryk, płomień, pstryk, płomień, pstryk, płomień.

Chcą ją spalić żywcem.

67

Imogen

– Imogen?

Podnoszę wzrok znad komputera i mrugam. Mam wrażenie, że od kilku godzin nie zamieniłam z nikim ani słowa, tak się koncentrowałam na kończeniu raportów i nadrabianiu rosnących zaległości.

– Słucham?

Kobieta, która mnie zawołała, odwraca głowę w stronę drzwi.

– Ktoś chce się z tobą widzieć. Jakaś dziewczynka.

– Dobrze, dziękuję... – Zacinam się, ponieważ uświadamiam sobie, że nawet nie wiem, jak ta kobieta ma na imię. Musisz się trochę wysilić, żeby poznać tych ludzi, mówię sobie. Zachowuj się tak, jakbyś miała tu zostać. – Za chwilę przyjdę.

Dziewczynka w recepcji? To musi być Ellie, nikt inny nie przychodziłby do mnie do biura. Wszystkie inne dzieci, którymi się zajmuję, mieszkają dalej i zdziwiłabym się, gdyby połowa z nich wiedziała w ogóle, jak się nazywam.

Co ona tu robi? Nie byłyśmy dzisiaj umówione. Wstaję i wychodzę do holu, lecz w recepcji nie czeka na mnie Ellie, tylko Mary. Ma spuchnięte, czerwone oczy i twarz mokrą od łez.

– Mary? O co chodzi? Co się stało?

– Nie wiem! – Chwyta mnie za ramię tak mocno, że aż drgam przestraszona. Ciągnie mnie do drzwi. – Musi pani ze mną jechać,

musi mi pani pomóc. Nie wiem, co oni jej robią!

– Zaraz, poczekaj. – Łagodnie kładę jej dłoń na ramieniu. – Mów trochę wolniej. Kto jej coś robi? Mary, co się dzieje?

Dziewczyna bierze głęboki oddech.

– Chodzi o Ellie. – Z trudem hamuje zniecierpliwienie. – Zgubiłam dzisiaj w szkole telefon, a kiedy go znalazłam... – wyjmuję z torebki komórkę i pokazuje mi – to było w esemesach. Nie wiem, kto to napisał, ale wiem, gdzie oni są. Nie mogłam złapać Sary, więc musi mi pani pomóc. Nie pojedę tam sama.

Patrzę na wiadomość tekstową wyświetloną na ekranie: *Spotkajmy się dzisiaj na polance. Zaraz po szkole.*

– Na polance?

Mary kiwa głową.

– Chodziłyśmy tam czasem z Ellie. Do Lasu Parry’ego. Tam nie ma nic niebezpiecznego – dodaje jakby na swoją obronę.

– Więc czemu się tak martwisz?

– Ponieważ to nie ja wysłałam tę wiadomość. A jeśli nie ja, to kto próbuje zwabić Ellie do lasu? I czemu posłużyli się w tym celu moim telefonem?

Kiwam głową.

– Tak, to rzeczywiście nie wygląda dobrze. Poczekaj, wezmę torebkę.

Wracam do biura, zastanawiając się, co powiem kolegom z zespołu. Kiedy wchodzę do sali, Lucy unosi pytająco brwi.

– Pilna sprawa w domu – rzucam.

Kłamstwo nie wychodzi może zbyt gładko, ale nie wygląda również na naciągane, w każdym razie Lucy najwyraźniej mi wierzy, ponieważ kiwa głową.

– Spoko, Ted już wyszedł. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Do zobaczenia rano.

Kiwam głową, zadowolona, że tak łatwo mi poszło.

– Dzięki.

W recepcji Mary krąży niecierpliwie w kółko.

– No, chodźmy już – rzuca.

Znowu próbuje mnie złapać za ramię, ale tym razem cofam rękę.

– Dobrze, uspokój się. Na pewno wszystko jest w porządku.

– Po co ktoś chciał zwabić Ellie do lasu?

– Skąd mogę wiedzieć? – odpowiadam pytaniem. – Nie wiesz, kto mógł wziąć twój telefon? Co się działo ostatnio w szkole?

Mary potrząsa głową.

– Zniknął mi w czasie przerwy obiadowej. Nie mogłam go znaleźć. Sprawdziłam w punkcie rzeczy znalezionych, ale tam też go nie było. Potem nagle, po matematyce, pojawił się z powrotem w mojej torbie.

– Więc to musiał być ktoś z twojej klasy?

– Niekoniecznie. Mogli mi go podłożyć do torby na korytarzu. Leżał na samym wierzchu.

– A czy Ellie odpowiedziała?

– Tak. Napisała tylko: *Dobrze, do zobaczenia*. – Mary wydaje cichy jęk. – Jeśli coś jej się stanie, to będzie moja wina. Bo to tak, jakbym ją ją tam wyciągnęła.

– Nie mów głupstw. – Wskazuję drzwi mojego samochodu i Mary wsiada. – To nie ty wysłałaś jej wiadomość, nawet jeśli Ellie myśli, że tak było. Czy dzieci jej dokuczały?

Dziewczyna kiwa głową.

– Wiele dzieciaków uważa, że miała coś wspólnego ze śmiercią pani Gilbert. Lubili ją, była młoda i na ogół umiała się dogadać z młodzieżą. To idiotyczne. – Skubie skórki przy paznokciach. – Przecież Ellie nie mogła mieć związku z tym, że pani Gilbert poszła do tego mieszkania, ani z tym, co jej się przytrafiło. Rany boskie, ona ma tylko jedenaście lat. To nie morderczyni.

– Oczywiście, że nie.

Żołądek wywraca mi się do góry nogami. Myślałam, że poradziłam sobie z tą sprawą. Myślałam, że wszystko zaczęło się układać. Czyżbym znowu się tak katastrofalnie pomyliła?

Przez kilka minut jedziemy w milczeniu, prowadzę samochód prawie automatycznie w kierunku Lasu Parry’ego. Chodziłyśmy tam z Pammy tysiące razy, kiedy byłyśmy jeszcze młodsze od Mary. Nadal jednak nie wiem, kto poprosił Ellie, żeby tam przyszła, i po co. Co oni jej robią? Może powinnam zadzwonić na policję?

– Spróbuj jeszcze raz wykręcić do Sary – mówię. – Jeśli nie odbierze, to chyba powinniśmy powiadomić policję.

Mary kręci głową.

– Będę miała kłopoty. Powinnam opiekować się Ellie. Policjanci mogą mi nie uwierzyć, że to nie ja wysłałam tego esemesa.

– Policjanci nie są głupcami, Mary. Gdybyś to ty go wysłała, po co przychodziłabyś do mojego biura i wyciągała mnie do lasu?

– Nie może pani jechać trochę szybciej? – przynagla mnie Mary. – I tak będziemy na miejscu szybciej niż policja.

Właśnie mijamy szkołę. Mary wyruszyła stąd dopiero, kiedy zobaczyła SMS-a w swoim telefonie. Droga do mojego biura zajęła jej około piętnastu minut. Ze szkoły do Lasu Parry’ego idzie się dwadzieścia minut na piechotę, co oznacza, że Ellie od dziesięciu minut jest na polance z kimś, kto tam na nią czekał.

– Już dojeżdżamy na miejsce – obiecuję, kładąc dłoń na kolanie dziewczyny. – Nie bój się, dopilnuję, żeby nic jej się nie stało.

– Nie mam pojęcia, kto mógł wysłać tego esemesa. Wiem, że ludzie nie przepadają za Ellie, wymyślili sobie tę idiotyczną teorię, że jest zła. Ale to nie ona jest zła, tylko to miejsce.

– O czym ty mówisz?

Mary spogląda na mnie.

– Nie zauważyła pani tego? Nie czuje pani tego zła, które się tu rozprzestrzenia jak pleśń? Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie tu mieszkają. Jak tylko skończę osiemnaście lat, wyjeżdżam stąd i zabieram Ellie ze sobą.

– To miejsce zawsze takie było – mamroczę. – Zawsze sprawiało takie wrażenie.

– Jak to zawsze? – pyta Mary. – Myślałam, że przeprowadziła się tu pani niedawno.

Powinnam sprawić sobie lanie za tę głupotę.

– Mieszkałam tu, kiedy byłam dzieckiem – przyznaję. – Dorastałam w Lichocie.

Dziewczyna wytrzeszcza na mnie oczy.

– Mieszkała tu pani? I wyjechała? To po co, do diabła, pani tu wracała?

Kręcę głową.

– Zmarła moja mama, odziedziczyłam po niej dom. Potem straciłam pracę, więc uznałam, że powinnam się tu przeprowadzić, że logika tak nakazuje. – Nie mam pojęcia, czemu mówię to piętnastoletniej dziewczynie. – Ale nie tylko o to chodzi. Tak jak powiedziałaś: w tym miejscu tkwi coś dziwnego, coś człowieka tu przyciąga z powrotem, chociaż wcale nie chce tu mieszkać.

– Przykro mi z powodu pani mamy.

– Dziękuję. Od lat ze sobą nie rozmawiałyśmy. Nie przyjechałam nawet na jej pogrzeb. Nie była dobrą matką. Nie taką jak twoja.

– Uważa pani, że moja mama jest idealna? – prycha Mary. – Że przygarnianie bezdomnych dzieci czyni z niej świętą?

– Na pewno jest lepsza od mojej.

Nie powinnam o tym rozmawiać, nie powinnam dyskutować o swojej przeszłości z nastolatką. Wskazuję głową las, który właśnie wyłonił się przed nami.

– Którędy się dostać na tę polanę, gdzie chodziliście z Ellie?

Mary wskazuje palcem.

– Tam na prawo. Zwykle przeciskałyśmy się przez dziurę w siatce.

Jadę powoli, dopóki nie zauważam uszkodzonego ogrodzenia, o którym mówiła. Zjeżdżam na pobocze, wciskam się jak najgłębiej w las, po czym otwieram drzwi.

– Chodźmy.

– Muszę tam z panią iść? – pyta Mary z wahaniem.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest ta polanka. – Zastanawiam się przez chwilę. Nie powinnam ciągnąć ze sobą nastolatki do lasu. Choć technicznie rzecz biorąc, to ona mnie ciągnie. – Najlepiej zadzwonię na policję.

– Nie! – woła Mary. – Minie cała wieczność, zanim tu przyjadą, a my musimy tylko wejść i ją stamtąd wyciągnąć.

Dochodzimy do ogrodzenia i właśnie kiedy mamy przejść przez dziurę, rozlega się wrzask.

68

Ellie

Czuje smród dymu z płonących gałązek i zaczyna wrzeszczeć. Trzask, dym, dokładnie tak jak kiedyś. Tylko tym razem nikt jej nie może uratować. Tym razem umrze.

Na polance zalega cisza, ale może tylko tak jej się wydaje, bo nie słyszy niczego przez własne krzyki. Gdzie są te wszystkie dzieciaki? Zostawili ją samą? Czy zamierzają patrzeć, jak płonie wiedźma, za którą ją uważają? Myśli o swojej mamie, tacie, braciszku; ma nadzieję, że zaraz będzie po wszystkim, że niedługo ich ujrzy. Lecz chociaż chce ich zobaczyć, chce do nich wrócić, mimowolnie siłuje się ze sznurami, które ją pętają i przyciskają do pnia. Czuje coraz większe gorąco; zastanawia się, kiedy poczuje ból, i nie potrafi powstrzymać krzyku. Dlaczego akurat teraz opuściła ją moc? Czy to strach ją tak sparaliżował, że nie potrafi rozerwać lin?

Łzy płyną jej po policzkach na knebel zasłaniający usta. Z nosa lecą smarki i Ellie ma nadzieję, że się udusi, zanim dosięgnie jej ogień. Boi się, bardziej niż wtedy w domu, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Pęcherz jej się rozluźnia i po jej nogawce spływa rozprzestrzeniające się ciepło. Teraz naprawdę jest Ellie od Śmierdzieli. Na szczęście nadal nie czuje bólu.

I wtedy słyszy głos. Głos anioła wołający ją po imieniu, ale to nie jest głos mamy. Zna ten głos, to Mary. Mary przyszła ją ocalić! I słychać jeszcze inny głos – Imogen! One na pewno ją uratują, nie

pozwoła jej spłonąć, prawda? Ale ich głosy dochodzą z daleka, nie zdążą na czas. Dym wypełnia jej płuca; Ellie nie może oddychać.

Lecz wtedy czyjeś palce chwytają ją za ramiona. Naomi? Któryś z tamtych chłopaków? Nie, to głos Imogen, mówi jej do ucha, że już wszystko dobrze, Ellie, mamy cię. Rozluźniają się więzy, które przyciskały ją do drzewa, może już poruszać rękami, a kiedy opada sznur, nogi nie potrafią jej utrzymać, zupełnie jakby były z galarety, kompletnie bezużyteczne. Lecz podtrzymują ją czyjeś mocne ramiona i obejmują ją czuje, tak jak kiedyś obejmowała ją mama; nikt jej tak nie przytulał od bardzo długiego czasu.

Zręczne palce wyjmują jej z ust piłkę, rozwiązują materiał przytrzymujący knebel i zdejmują opaskę z oczu, ale nadal nic nie widzi przez łyzy. Głos cały czas szepcze jej do ucha, że wszystko już dobrze. Trzymam cię. Głos Imogen.

Wstrząsają nią spazmy. Nie potrafi już dłużej powstrzymać łez i wybucha głośnym szlochem, który chyba nigdy się nie skończy. Ale żyje i łyzy przeminą, i wszystko będzie dobrze, ponieważ Imogen ją uratowała.

69

Imogen

Idę prosto do schodów, nawet nie zatrzymując się przy recepcji. Na górze walę głośno do drzwi. Przede mną staje Florence Maxwell z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry, Imogen, czy coś się stało?

– Tak, stało się.

Wchodzę do środka, nie czekając na zaproszenie. Dyrektorka idzie za mną.

– O co chodzi? W czym mogę ci pomóc?

– Wczoraj po południu zawiozłam do domu rodziny zastępczej dziewczynkę w stanie kompletnego rozstroju nerwowego – mówię.

Z każdym słowem narasta we mnie furia. Furia, która wrzała przez cały wczorajszy wieczór. Wysłałam do Lucy SMS-a i poprosiłam, aby mnie zastąpiła na porannych spotkaniach, a sama przyjechałam prosto do szkoły.

– Ellie?

Florence wskazuje gestem, żebym usiadła, ale ja wolę stać, ponieważ w ten sposób lepiej kontroluję sytuację, a w tym momencie kontrola nie jest moją mocną stroną. Jestem tak cholernie wściekła, że każda żyła w moim ciele ma ochotę wybuchnąć i pozostawić po sobie stertę skóry oraz buraczkową rzekę krwi.

– Co jej się stało?

– Grupa uczniów z twojej szkoły przywiązała ją do drzewa i udawała, że ją podpala, mówiąc, że jest czarownicą.

– Dobry Jezu. – Krew odpływa jej z policzków. – Nic jej się nie stało?

– A jak myślisz, do cholery? – Celuję w nią oskarżycielsko palcem i Florence cofa się o krok. – Oczywiście, że się stało! Jest w ciężkim szoku. Na szczęście nie odniosła żadnych fizycznych obrażeń; nie podłożyli ognia, tylko podpalili gałązki i położyli obok miejsca, gdzie stała przywiązana do drzewa. Chcieli, by myślała, że spłonie żywcem. Małe przekłete dranie, zepsute do szpiku kości. Oskarżyli ją, że zaatakowała Naomi i zamordowała Hannah Gilbert.

Florence żałośnie kręci głową.

– Zapewniam cię, że...

– O czym mnie zapewnisz? – nie dopuszczam jej do głosu. – Bo na pewno nie o tym, że to się więcej nie powtórzy. Nie zapewnisz mnie o tym, że rozprawisz się z winowajcami. Ellie jest tak przerażona, że nie chce nam nawet powiedzieć, kto tam był. Twierdzi, że nie wie.

– Porozmawiam ze wszystkimi. Ściągnę ich tu pojedynczo... zwołam apel... Zarządzę...

Prawda jest taka, że Florence nie ma bladego pojęcia, co robić, i wszelka sympatia, z jaką odnosiłam się do jej poczciwej, uroczej nieporadności, pierzchła na dobre.

– Masz szczęście, że policja nie węszy ci teraz po każdym korytarzu – informuję ją. – Sara Jefferson chciała ich wczoraj wezwać, ale Ellie błagała, żeby tego nie robiła; powiedziała, że to jej ściągnie na głowę jeszcze więcej kłopotów. Ona jest przerażona, boi się tych łobuzów. To jest jawna i oczywista napaść.

Florence wydaje z siebie jęk.

– Do diabła, jak do tego doszło? Co teraz robić?

– Cokolwiek chcesz zrobić, zrób to szybko. Ponieważ jeśli jeszcze raz coś się wydarzy, jeśli ktoś piśnie do tej dziewczynki choćby jedno

niestosowne słowo, to osobiście pójdę na policję i nie będę zważać na protesty Ellie.

Dyrektorka kiwa głową.

– Oczywiście, oczywiście – mamrocze. – Porozmawiam z nauczycielami. Każę im uważnie obserwować klasę Ellie, może uda nam się zorientować, co się tam dzieje i kto brał udział w tej historii.

– Mary powiedziała, że kilka tygodni temu grupka dziewcząt przyszła pod ich dom. Wykrzykiwały okropne rzeczy pod oknem Ellie, nazywały ją czarownicą. Ta sprawa ciągnie się od dłuższego czasu. I myślę, że dobrze wiesz, jak to się zaczęło.

– Hannah? – Florence pociera dłonią twarz. – Ale ona nie żyje.

– Nie sugeruję przecież, że Hannah miała coś wspólnego z wczorajszą napaścią, ale jej stosunek do Ellie rozprzestrzenił się na całą szkołę. Pół miasta o tym gada. O tym, że dziewczynka jest inna, że jest zła, dokładnie to samo Hannah Gilbert powiedziała do mnie zaledwie kilka dni przed śmiercią.

Oślupiała Florence wytrzeszcza na mnie oczy.

– Kiedy to powiedziała? Nie miałam pojęcia, że jest aż tak źle...

– Przyszła do mojego domu i głądziła o tym, jak to złe rzeczy spotykają ludzi, którzy zdenerwowali Ellie. Najwyraźniej jej poglądy nie umarły razem z nią. Dzieci przejęły pałeczkę, sprzysięgły się przeciwko Bogu ducha winnej dziewczynce i próbują zamienić jej życie w piekło.

– A ty nie sądzisz, że...?

– Że co? – pytam gniewnie i czekam na to, co zamierza powiedzieć.

– Nie sądzisz, że w tym, co mówiła Hannah, może tkwić ziarno prawdy?

Z rozpaczą potrząsam głową.

– Rodzina Ellie zginęła w pożarze. – Cedzę dobitnie każde słowo i obserwuję, jak Florence się kuli. – A teraz ludzie, którzy mają

obowiązek się nią opiekować, którzy mają za zadanie zapewnić jej bezpieczeństwo, wmawiają jej, że jest potworem? Powiedz mi, Florence, gdybyś się znalazła na jej miejscu, nie zachowywałabyś się dziwnie?

Wzrusza ramionami.

– Nie umiem tego wytłumaczyć.

– Rzeczywiście nie umiesz, ponieważ to skończony idiotyzm. I uprzedzam, że jeśli nie znajdziesz sposobu, aby położyć temu kres, złożę pełny raport do zarządu szkoły, w którym oświadczę otwarcie, że jako dyrektorka nie potrafisz zapewnić Ellie bezpieczeństwa.

Nie czekam na jej odpowiedź. Nie mam ochoty wysłuchiwać więcej bzdur na temat tego, że Ellie jest dziwna, że jest inna, i tego, co zrobiła, a czego nie. Nie mam ochoty patrzeć na dorosłych zachowujących się jak małe dzieci i popadających w zbiorową histerię. Zachowują się karygodnie i mam tego dość.

70

Imogen

Kiedy nazajutrz rano wchodzę do biura, czuję od progu, że coś nie gra. W sali jest zbyt cicho, jakby ożywione rozmowy nagle umilkły, kiedy się zjawiłam. Mówię „Dzień dobry” i wszyscy odpowiadają, ale każdy wpatruje się usilnie w ekran, jakby sprawdzał numery totolotka. Poranki są tu zwykle ożywione i hałaśliwe, kakofonia głosów nie przycicha, dopóki nie zostaną skomentowane wszystkie programy telewizyjne z poprzedniego wieczoru i ludzie nie zasiądą do porannej kawy. Czasami cisza zapada dopiero przed dziesiątą, kiedy większość pracowników udaje się na spotkania i wizyty domowe. To jedna z rzeczy, do których musiałam się długo przyzwyczajać; w poprzedniej pracy witałam się z ludźmi w kuchni, gawędziliśmy dziesięć minut, po czym znikaliśmy w swoim cichym prywatnym gabinecie. Teraz jednak polubiłam to żywe, towarzyskie otoczenie.

Kontrast między typową codzienną jowialnością a dzisiejszą niezręczną ciszą napełnia mnie niepokojem i złymi przeczuciami. Włączam swój komputer i otwieram maile z uczuciem przejmującego lęku. Rzucam okiem na wiadomości, lecz nie zauważam niczego, co by wyjaśniało tę gęstą atmosferę – żadnych zapowiedzi kadr o redukcjach etatów czy cięciach w budżecie. Może powinnam sprawdzić w gazecie – dziennikarze często dowiadują się wcześniej niż pracownicy firmy o zagrożonych stanowiskach. Podnoszę wzrok

znad ekranu. Lucy, która zwykle zabiera się do pracy ostatnia, tym razem siedzi skupiona przed komputerem jak nigdy.

– Lucy – rzucam półszepcem.

Nie mogła mnie nie usłyszeć, nawet Tim, który siedzi kilka biurka dalej, podnosi głowę, tymczasem ona uparcie wpatruje się w monitor.

– Lucy! – wołam głośniej.

Jestem pewna, że się skrzywiła. Powoli podnosi głowę, a ja układam usta w bezgłośnie pytanie: „Co się dzieje?”.

Lekko kręci głową i przenosi wzrok z powrotem na ekran. Kilka sekund później dostaję maila: **Wczoraj po południu Ted wzywał nas po kolei do siebie. Nie mogę tu o tym mówić. Chciał rozmawiać o tobie.**

Żołądek podchodzi mi do gardła. Dlaczego wypytywał o mnie szef? A co ważniejsze: co mu ludzie powiedzieli? Na jedną okropną chwilę przychodzi mi do głowy, że wie o dziecku. Ale to absurd. Po pierwsze, gdyby zaczął wypytywać moich kolegów z pracy o tak prywatną sprawę, naruszyłby w sposób rażący wszelkie możliwe zasady, a Edward zdecydowanie nie należy do ludzi, którzy lubią prowokować tego rodzaju kłopoty. Po drugie, nikt w biurze nie wie o mojej ciąży – udało mi się dobrze zamaskować nudności, a jest jeszcze za wcześnie, żeby ktoś zauważył zmiany w figurze, zwłaszcza osoby, które mnie znają tak krótko. Nie, nie może chodzić o dziecko.

A jeśli nie chodzi o ciążę, to znaczy, że musiał się dowiedzieć o mojej wpadce w Londynie. O Boże.

Wystukuję na klawiaturze: **Dlaczego o mnie??? O co chodzi?** – i aż się kulę na dźwięk przychodzącego maila od Lucy, przekonana, że wszyscy już zauważyli naszą elektroniczną rozmowę. Wyłączam głos w komputerze i czekam zdenerwowana jak zakochana nastolatka wyglądająca wiadomości od chłopaka. Kiedy pojawia się odpowiedź, natychmiast ją otwieram.

Pytał, czy prosiłaś nas, żebyśmy cię zastępowali. Musiałam mu powiedzieć o wczorajszym. Wyglądało, jakby już o tym wiedział i tylko mnie sprawdzał. PRZYKRO MI :-)

Rumienię się ze wstydu i strachu. Najwyraźniej wszyscy już wiedzą, że Edward sprawdza moją pracę zaledwie po kilku pierwszych tygodniach. Czy myślą, że zostanę zwolniona? A zostanę? Wysłałam do Lucy odpowiedź: **Nie przejmuj się. Mam nadzieję, że nie miałaś przeze mnie kłopotów**, po czym opadam na oparcie fotela. Następny mail, jaki wyskakuje mi na ekranie, nadchodzi nie od Lucy, tylko od Edwarda.

Otwieram go, żałując, że muszę to zrobić, ale lepiej wiedzieć, co się dzieje, niż patrzeć, jak ludzie gadają za twoimi plecami. To oficjalne polecenie, abym przyszła do niego, kiedy będę miała wolną chwilkę. Wie o moim wczorajszym wyjściu, kiedy pojechałam do Florence, ale czy to naprawdę aż tak poważne przewinienie, żeby mnie zwalniać? Od kiedy zaczęłam tu pracować, widziałam, jak ludzie to robili dziesiątki razy. Kiedyś nawet zastępowałam samego Edwarda na spotkaniu z pracownikami Safe and Well. Więc czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie? Wiem, że cały czas zalegam z papierkową robotą i zapomniałam też o raporcie na temat bezpieczeństwa i ochrony zdrowia w szkole. No i jeszcze ta sprawa, kiedy Chaz musiał się tłumaczyć, bo zapomniałam o kolejnym spotkaniu z panią Bethnal z przychodni rejonowej...

Pocieram twarz dłońmi i odgarniam grzywkę z czoła. Po uważnym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że miałam sporo potknięć; w sumie od samego początku koledzy ciągle mnie w czymś zastępowali. Ściślej mówiąc, od kiedy zaczęłam sesje z Ellie Atkinson.

Biorę głęboki oddech, przeczesuję palcami włosy i wstaję, przygotowując się na najgorsze. Łapię z biurka notatnik, choć wątpię, abym go potrzebowała – informacja „Przykro mi, ale musimy cię

zwolnić” raczej nie wymaga zanotowania, dość trudno o niej zapomnieć – ale czuję się z nim pewniej, jakbym brała do ręki tarczę chroniącą mnie przed własnymi niepowodzeniami. Co teraz zrobimy? Mnóstwo czasu zajęło mi znalezienie tej pracy. Nie trafię na taką drugą w pobliżu naszego nowego domu. Może jednak tak będzie lepiej? Sprzedamy dom za grosze, ale przynajmniej będziemy mieć pieniądze na czynsz za jakieś mieszkanie. Tylko czy stać nas w takim razie na dziecko?

Kiedy przechodzę przez biuro, nikt na mnie nie patrzy; wszyscy z uporem unikają kontaktu wzrokowego, jakbym była zaraźliwa i samym patrzeniem w moim kierunku mogli ściągnąć sobie na głowę nieszczęście.

W kuchni robię sobie herbatę, żeby zabrać ją do Edwarda. To tutaj normalka. Nosimy ze sobą notatniki i gorące napoje niczym dodatki do garderoby. Czekając, aż się zagotuje woda, zastanawiam się, czy podświadomie nie zrobiłam tego celowo – czy nie sabotowałam tej pracy, żeby mnie wylali. Mogłabym sobie powiedzieć, że próbowałam, ale to miejsce mnie skreśliło i odrzuciło tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Od samego początku zastanawiałam się, czy powrót do Lichoty nie okaże się największym błędem w moim życiu. I może moje obawy się właśnie spełniają?

71

Imogen

– Wejdz. – Edward zaprasza mnie do środka i wskazuje miejsce przy małym okrągłym stoliku. – Napijesz się czegoś? – Pokazuję mu w odpowiedzi swój kubek, a wtedy on pokazuje swoje naczynie. – Pozwolisz, że ja też sobie zrobię? To potrwa tylko chwileczkę.

Wciska blokadę w komputerze i ekran gaśnie. Siadam przy stoliku i przyglądam się plakatowi Świadomości Zdrowia Psychicznego oraz białej tablicy wypełnionej notatkami wymienianymi przez kierowników zespołów, zygzakami schematów i terminami spotkań. Na samej górze, nabazgrane niedbałym, zawijasowatym pismem Kim widnieją słowa: *Ted – dzwoniła Florence z ZS, oddzwoń do niej szybko na 07345 879092.*

Do gabinetu wraca Edward z kawą w jednej ręce i paczką chipsów oraz czekoladą w drugiej. Stawia kawę na stoliku obok mnie, a pozostałe rzeczy chowa do szuflady biurka.

– Nie mam lunchu – rzuca tytułem wyjaśnienia, wzruszając ramionami.

Próbuję się uśmiechnąć, ale jestem pewna, że wychodzi mi raczej krzywy grymas. Edward chyba wyczuł moje napięcie, ponieważ siada naprzeciwko mnie i przystępuje od razu do rzeczy.

– Nie będę owijał w bawełnę, Imogen. – Bierze głęboki oddech. – Wezwałem cię tutaj, ponieważ dostałem na ciebie skargę.

O kurwa. Formalna skarga? Od kogoś z zespołu? Zerkam na tablicę z wiadomością nabazgraną przez Kim.

– Skargę?

– No dobrze, może to trochę za mocne słowo. Powiedzmy, że wyraz zaniepokojenia.

– Od kogoś z biura?

Sama nie wiem, co by było gorsze: fakt, że któryś z moich kolegów poszedł na skargę do szefa, czy to, że chodzi o wiadomość zapisaną na tablicy.

– Nie. Rozmawiałem z twoimi kolegami. – Uśmiecha się, jakby to miało osłodzić cios, który zamierza zadać. – Chciałem się zorientować, czy problem jest poważny. Wszyscy powiedzieli, że jesteś pracowita i sumienna. I to mnie właśnie martwi w związku z telefonem, który odebrałem. Że może czasami bywasz trochę zbyt sumienna.

– Nie rozumiem, jak coś takiego może...

– Chodzi o Ellie Atkinson.

Spodziewałam się tego, mimo to jego słowa wbijają mi się w pierś niczym nóż. Nie odzywaj się. Czekaj. Nie spieprz tego. To cię zgubiło poprzednio: emocje, wyniosła, arogancka wiara we własną nieomyślność.

– Osoba, która dzwoniła, zapewniła mnie, że nie chce sprawiać kłopotów.

Wyobrażam sobie przymilny głosik Florence Maxwell. Musiała zadzwonić do Edwarda, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, zagroziwszy jej, że sama złożę na nią skargę. Teraz wszystko, co powiem, będzie wyglądało jak rozpaczliwe wykręcanie kota ogonem. Dobre zagranie, Florence, naprawdę doskonałe.

Edward tymczasem mówi dalej:

– Uznała, że powinienem wiedzieć o twojej rosnącej zażyłości z Ellie Atkinson. Niepokoi się, że przekracza ona granice zawodowej

troski, i jeśli mam być szczery, to po rozmowie z twoimi współpracownikami ja również nabieram takiej obawy.

Wbijam paznokcie w dłoń, aby się upomnieć, że nie wolno mi reagować impulsywnie, że tym razem nie mogę stracić zimnej krwi. Powinnam założyć sobie na nadgarstek gumkę, jak radził mi psychiatra. Który następnie zlecił mi górę lekarstw na załamanie nerwowe. Jednak niezaprzeczalnym faktem jest to, że jak dotąd wszystko, co powiedział Edward, jest prawdą. Jedyne, co mogę zrobić, to zbagatelizować sytuację, sprawić, żeby wyglądało na to, że Florence Maxwell zdecydowanie przesadza.

– Staralam się tylko wykonywać swoją pracę – mówię, trzymając głos na wodzy. – Prawdopodobnie poświęciłam tej sprawie więcej czasu niż zwykle, ponieważ czułam, że Ellie nie otrzymuje wystarczającej pomocy, której potrzebowała.

Nie wspominam o dziwnej więzi, jaka mnie łączy z dziewczynką, o tym, że mimo wielu innych spraw tylko o tej myślę całymi dniami i nocami.

– I my to bardzo doceniamy – odpowiada Edward. Zastanawiam się, czy mówiąc „my”, myśli o sobie i Florence Maxwell. – Uważam, że przydałoby się nam więcej takich ludzi jak ty. Ale ich nie mamy. Nie mamy nawet pięciu pełnoetatowych pracowników, a chcemy pomagać wielu potrzebującym dzieciom i dorosłym. Niestety, to oznacza, że nie możemy poświęcić poszczególnym przypadkom tyle czasu, ile byśmy sobie życzyli. Musimy robić co w naszej mocy, a następnie kierować ich do instytucji, które mogą im udzielić odpowiedniej, regulaminowej, pomocy.

Podkreśla słowo „regulaminowej” i unosi brwi. To znaczy, że wie o moich wyprawach na zakupy.

Ale jak mogę mu to wyjaśnić? Jak mam wytłumaczyć, że coś mnie zmusiło do powrotu tutaj, do Lichoty, że wszystko, co się wydarzyło

przez ostatnie dwanaście miesięcy, doprowadziło mnie tutaj, abym pomogła tej jednej dziewczynce? Że nikt inny na mojej liście przypadków nie ma dla mnie znaczenia, nawet nie pamiętam ich wszystkich imion.

– Nie można jej tu tak po prostu zostawić pod opieką tych ludzi. Czy wiesz, co się stało dwa dni temu? Wiesz, co zrobiły te dzieciaki? Co mówią o niej ludzie, którzy dostają pieniądze, aby się nią opiekować?

Edward wzdycha i pociera dłonią twarz.

– Imogen, miałem nadzieję, że ten temat nie wypłynie, miałem nadzieję, że po prostu zgodzisz się trzymać od tej sprawy z daleka i że na tym się zakończy. Ale zdaję sobie sprawę z obłąkanych oskarżeń, które wysuwałaś pod adresem Florence Maxwell i jej pracowników, z których jedna, niestety, zmarła kilka tygodni temu.

Mam uczucie, jakbym dostała w twarz.

– Ja wysuwałam oskarżenia?

– Tak. Na temat dzieci w lesie, czarownic i temu podobnych rzeczy. Rozmawiałem z Florence Maxwell, była niezwykle miła, bardzo wyrozumiała. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo polubiłaś Ellie i że z pewnością działasz w jej najlepszym interesie, ale te oskarżenia wobec uczniów i nauczycieli muszą się skończyć.

– Czy rozmawiałaś z Ellie? Z Sarą Jefferson? Była w domu, kiedy przywiozłam Ellie, sama chciała dzwonić na policję, ale dziewczynka ubłagała ją, żeby tego nie robiła.

– Rozmawiałem z Sarą Jefferson dzisiaj rano. – Edward mówi teraz nieco ostrzej, wyraźnie traci cierpliwość. – Powiedziała, że dzieci bawiły się w lesie, że Ellie wygłupiała się razem z kilkoma koleżankami, gdy nagle zjawiała się ni stąd, ni zowąd i zawlokła ją do domu pod pretekstem ratowania jej. Powiedziała, że naprawdę chciała wzywać policję i że Ellie błagała ją, żeby tego nie robiła,

ponieważ nie chciała ci narobić kłopotów. – Zauważa mój wyraz twarzy i ciągnie: – Nie wątpię, że działałaś w najlepszej wierze, kiedy wybiegałaś z biura... rzekomo w sprawach prywatnych, pozwolę sobie zauważyć... przekonana, że działasz w obronie Ellie. Ale zrozum, że nie możesz uganiać się za każdą jedenastolatką, która nie wróci prosto ze szkoły do domu. Przede wszystkim, jeśli uważałaś, że dziewczynka jest w niebezpieczeństwie, powinnaś była wezwać policję, a sama trzymać się od tego z daleka.

Otwieram i zamykam usta niczym ryba wyciągnięta z wody. Jak mam się bronić przed kłamstwami? Dlaczego Sara to robi? Widziała, w jakim stanie była Ellie, kiedy przywiozłam ją do domu. Czyżby odwiedziła ją Florence? Kręcę głową. Najwyraźniej nie doceniłam pozornie poczciwej i nieporadnej pani dyrektor.

– Mam nadzieję, że rozumiesz moją sytuację? – pyta Edward łagodniejszym tonem.

– Rozumiem. – Biorę ze stolika notatnik i do połowy opróżniony kubek z wystygłą herbatą. – Zbiorę swoje rzeczy. Dziękuję że dałeś mi okazję...

Edward unosi brwi.

– Jakie rzeczy?

Patrzę na niego zbita z pantaląku.

– Niewiele... płaszcz, kubek, zdjęcie na tablicy...

– Ależ... Chyba mnie nie zrozumiałaś. Ja cię nie zwalniam... dobry Boże, to nawet nie jest żadne wielkie upomnienie. Proszę, usiądź. – Wskazuje ręką biurko, a mnie na pierś spływa niewypowiedziana ulga. Wzdycha, jakby nagle zdał sobie sprawę, że to wszystko potoczyło się w złym kierunku. – Przepraszam, jeśli odniosłaś wrażenie, że to coś więcej niż nieformalna rozmowa. Powtórzę jeszcze raz, co mówiłem wcześniej: to szczęście, że ciebie mamy. Wiem, że ze swoim doświadczeniem możesz zdziałać znacznie więcej dla ludzi,

którymi się opiekujesz, niż my, dysponując bardzo skromnymi środkami. Niestety, to nie zmienia faktu, że mamy ograniczone możliwości działania. A ponieważ otrzymałem telefon z wyrazami zaniepokojenia... nie patrz tak na mnie, przecież wiesz, że nie mogę ci zdradzić szczegółów... No więc po tym telefonie odnoszę wrażenie, że za bardzo związałaś się emocjonalnie ze sprawą Ellie Atkinson. Złożę to na karb tego, że mieszkasz tu od niedawna i zaangażowałaś się w pomoc dziewczynce, którą życie ciężko doświadczyło. To godne podziwu, lecz musi się zmienić. Przez sprawę Ellie Atkinson zaniedbujesz inne obowiązki. Wiem na przykład, że Lucy brała wczoraj za ciebie udział w spotkaniu z miejscową służbą zdrowia i że musiała dokończyć raport, który miałaś napisać w sprawie bezpieczeństwa i ochrony zdrowia. Proszę, żebyś skierowała Ellie do odpowiednich instytucji opiekuńczych i zajęła się swoimi pozostałymi obowiązkami. Nie wątpię, że będziesz nadal wykazywać się wspaniałymi sukcesami w tej dziedzinie, kiedy już przywykniesz do realiów miejscowej opieki społecznej, i że więcej nie będziemy musieli odbywać takich rozmów.

Ostatnie zdanie brzmi bardziej jak groźba niż wyjaśnienie mojej sytuacji, mimo to odpowiadam skinieniem głowy z uczuciem, jakbym uchyliła się przed nadlatującym pociskiem.

– Dziękuję – mówię cicho.

– Proszę. – Edward odwraca się i loguje do swojego komputera, kończąc w ten sposób spotkanie. – Nie chcę cię dłużej odrywać od pracy, więc spotkamy się na wtorkowym zebraniu.

Wstaję, żeby wyjść, ale coś mnie powstrzymuje. Nie chciałabym przeciągać struny, ale...

– Edwardzie?

Odwraca się do mnie.

– Słucham?

– Naprawdę doceniam, że nie ciągnęłaś tej sprawy dalej, i rozumiem twoje zalecenia na temat Ellie. Skieruję ją do odpowiednich instytucji, tak jak powiedziałeś, ale czy pozwolisz, że spotkam się z nią jeszcze raz, tylko po to, aby ją uprzedzić, co się dalej stanie? Wiele razy spotykało ją rozczarowanie ze strony różnych ludzi, nie chciałabym, aby pomyślała, że ją porzucam.

Twarz Edwarda łagodnieje.

– Oczywiście – odpowiada. – Nie widzę żadnych przeciwwskazań, jeśli tylko wyraźnie jej powiesz, że to wasze ostatnie spotkanie. Nie ocalimy wszystkich w pojedynkę – dodaje dobrodusznie – choćbyśmy bardzo chcieli. Pamiętaj, żeby sporządzić pełen raport łącznie z zaleceniami.

Kiwam głową i wychodzę z gabinetu. Czuję się, jakbym stoczyła bitwę, chociaż ledwo otworzyłam usta. Od początku wiedziałam, że pewnego dnia będę się musiała rozstać z Ellie; teraz mogę mieć tylko nadzieję, że biedactwo zrozumie dlaczego.

72

Ellie

Ellie nie rozumie. Myślała, że Imogen chce jej pomóc; tak dobrze się między nimi układało. Obok Mary, ona jest jedyną osobą, która nie uważa jej za potwora. Wie, jak ludzie na nią patrzą – z szacunkiem i lękiem, jakby się bali, że demon, który w niej kipi, może w każdej chwili wyskoczyć ze skóry. Imogen nigdy nie patrzy na nią w ten sposób. Oczywiście współczuje jej – nawet teraz Ellie widzi w jej oczach mieszaninę litości i bezradności – ale to Ellie wcale tak bardzo nie przeszkadza; sama często sobie współczuje, więc dlaczego przynajmniej jedna dorosła osoba nie miałaby czuć tego samego? Litość jest lepsza od strachu i nieufności. Litością można się posłużyć.

Imogen zawsze traktowała ją jak dorośli w jej dawnym życiu – jak dziecko, o które należy dbać, którym trzeba się opiekować i które trzeba chronić przed złymi rzeczami. Nawet mówi do niej czasem jak dorosła i trochę ją rozpieszcza, tak jak kiedyś mama. A teraz oświadcza, że to się musi skończyć, tak po prostu. Porzuca ją tak jak wszyscy inni.

– Przecież pani obiecała – mówi Ellie i sama nie cierpi tego swojego dziecięcego, jęczącego głosu. Próbuje jeszcze raz, próbuje włożyć w swoje słowa trochę gniewu, żeby o siebie walczyć, tak jak radziła jej Mary. – Powiedziała pani, że mi pomoże.

– I uważam, że ci pomogłam, Ellie – odpowiada Imogen.

Wyciąga dłoń, żeby dotknąć jej ramienia, lecz Ellie odskakuje jak oparzona. Mimo swoich jedenastu lat widzi na twarzy Imogen, że sprawiła jej przykrość, ale to jej wcale nie obchodzi. Dlaczego ma ją obchodzić, skoro – jak widać – ma gdzieś, co się z nią stanie?

– Ellie, proszę cię.

– „Ellie, proszę cię” – przedrzeźnia ją zjadliwie głosem niepodobnym do swojego.

Wcale tego nie chce, ale nie potrafi się powstrzymać, tak jak nie potrafi powstrzymać gniewu, który ją zalewa, jakby ktoś zapomniiał zakręcić kran w jej umyśle, i teraz ją przepełnia, wylewa się przez brzegi, spływa jej w ramiona, nogi i pierś, niepowstrzymany jak woda i tak samo jak wody nie da się go zebrać i wcisnąć z powrotem tam, skąd wypłynął. Gniew żyje własnym życiem i cała głowa od niego huczy. Dawna Ellie boi się tego, co mogłaby zrobić lub powiedzieć w tym głuchym, czarnym gniewie przepływającym przez jej ciało, lecz strach nie jest w stanie powstrzymać słów.

– Jest pani taka sama jak wszyscy inni! – krzyczy i czuje, jak jej twarz robi się czerwona i brzydka, czuje, jak demon, o którym mówiła pani Gilbert, staje dęba. – A nawet jeszcze gorsza, bo udawała pani lepszą, udawała pani, że panią obchodzę! Wszyscy mówią, że jestem zła, że przeze mnie dzieją się te wszystkie straszne rzeczy, ale może te rzeczy przytrafiały się im, ponieważ to oni byli źli, i może pani też przytrafi się coś złego, i może mnie nie obchodzi, jeśli tak się stanie!

Łzy płyną jej po policzkach, jakby ta czarna woda wypełniła ją po same brzegi i nie miała już gdzie się podziać, i kiedy je wyciera ze złością, boi się spojrzeć na rękaw i zobaczyć, czy są to czyste łzy normalnej dziewczynki, czy gęsta, lepka ciecz należąca do jakiegoś potwora.

– Ellie, ty wcale tak naprawdę nie myślisz. – Imogen załamuje ręce w rozpacz albo jakby się modliła.

Powinna się modlić, powinna się modlić, aby te rzeczy, które mówią ludzie w miasteczku, kiedy myślą, że Ellie ich nie słyszy, nie były prawdziwe.

– Nie jesteś zła, Ellie – ciągnie Imogen. – Jesteś wspaniałą dziewczynką i Bóg mi świadkiem, że bardzo bym chciała nadal z tobą pracować i pomagać ci, ale mam swoją pracę i zrobiłam tyle, na ile mi ona pozwala.

– Mam w dupie tę pani pracę! – wrzeszczy Ellie.

Przekleństwo wcale jej nie przeraża. Wie, że siedzi w niej zło, które tylko czeka, żeby się wydostać na świat, i w tej chwili gniew zapanował nad nią bez reszty, i nie obchodzi jej, czy tak się stanie.

– Ufałam pani!

– Bardzo się z tego cieszę, mam nadzieję, że nadal mi ufasz. Zaufaj mi, że ludzie, do których cię skieruję...

– Wszyscy robią to samo! – Ellie walczy, by złagodzić swoje słowa, ale nadal sączy się z niej niepowstrzymany jad. – Odesłać mnie, przekazać mnie z rąk do rąk. Za duży kłopot? Za dużo pracy? W porządku, wyślemy ją gdzie indziej, niech ktoś inny ją sobie wpisze na listę, niech ktoś inny ma problem. Wie pani, że chciałam, żeby była pani moją mamą? – Mówi coraz bardziej niezrozumiale przez łzy i wstrząsający nią szloch. – Leżę w łóżku i modlę się do Boga, w którego nawet nie wierzę, żeby została pani moją nową mamą, żeby mogła się pani o mnie troszczyć i żebyśmy wyjechały z tego okropnego miasta i były razem szczęśliwe.

Imogen kręci głową ze smutkiem i rozpaczą.

– To moja wina, Ellie. Nie powinnam była dopuścić do tego, żebyś sobie robiła nadzieję. Nie powinnam była...

– Proszę tego nie niszczyć jeszcze bardziej! Niech mi pani nie mówi, że to był błąd! Byłam przy pani szczęśliwa! – Ellie ma ochotę rzucić czymś w Imogen, żeby jej sprawić ból, taki ból, jaki ona teraz

czuje. – Cieszę się, że nie jest pani moją mamą. – Rzuca słowami, jakby wystrzeliwała pociski z karabinu. – Bo moja prawdziwa mama nigdy by mnie nie porzuciła tak jak pani. Nie zasługuje pani na to, żeby być mamą. Nie zasługuje pani na to, co w pani rośnie. Lepiej, żeby umarło.

I zanim Imogen ma szansę zareagować, Ellie skacze na równe nogi, wybiega z pokoju i rzuca się całym chudziutkim ciałkiem w ramiona czekającej matki zastępczej.

Imogen

Stoję sama w gabinecie, zasłaniam dłońmi twarz i próbuję się nie rozpłakać. Wszystko poszło nie tak. Powinnam była przewidzieć, że Ellie tak boleśnie odczuje tę okropną zdradę. Edward miał rację, Florence Maxwell miała rację – tak się dzieje, kiedy człowiek za bardzo się zbliży. Tak jak poprzednio. I proszę, jak to się skończyło.

73

Ellie

Mary gładzi długie, ciemne włosy Ellie, ujmuje dłonią jej brodę i unosi, aby Ellie popatrzyła jej w oczy.

– Już dobrze, nie płacz, proszę. Nie cierpię, kiedy jesteś smutna.

– Nie widziałaś jej, Mary – mówi Ellie, łkając łzy. Zrobi wszystko, żeby zadowolić jedyną osobę, jaka jej została. – Zupełnie jakby jej w ogóle na mnie nie zależało. A ja powiedziałam jej straszne rzeczy, najgorsze, jakie można komuś powiedzieć. Czuję się okropnie, wszystko mi się skręca w brzuchu, jakby wnętrzności zawiązały mi się na milion supłów.

– Jestem pewna, że jej na tobie zależy. – Mary pochyla głowę, żeby spojrzeć Ellie w oczy. – Tylko że ona jest dorosła. A przecież wiesz, jacy są dorośli, prawda? Już o tym rozmawiałyśmy. Zapominają, jak to jest czuć się samotnym, kiedy nie ma się nikogo na całym świecie, na kim można by polegać. Tak się martwią o swoją pracę i swoje rodziny, że zapominają, jak to jest być dzieckiem, o którego losie decydują. – Odgarnia z twarzy Ellie mokry kosmyk włosów, który przykleił się do policzka. Potem delikatnie kciukiem wyciera jej skórę pod okiem. – Ja tego nigdy nie zapomnę.

– Nie zostawisz mnie, prawda, Mary? Nawet jeśli przeniosą mnie do innej rodziny, nadal będziesz moją przyjaciółką, prawda?

– Oczywiście, że będę, głuptasie – obiecuje Mary. – Przecież jesteśmy kimś więcej niż przyjaciółkami. Jesteśmy siostrami. Tego nie

można zmienić, nawet gdyby się chciało. A ja nie chcę. – Widząc minę Ellie, podnosi dwa palce. – Słowo harcerki.

– Powiedziałam, że nie zasługuje na swoje dziecko. Powiedziałam, że powinno umrzeć – chlupie Ellie, pewna, że Mary przyjmie to z odrazą. – Żałuję, że to zrobiłam.

Mary wzrusza ramionami, chociaż Ellie jest pewna, że kuli się niezauważalnie z grozy.

– To nie ma znaczenia. To tylko słowa. A słowa nie mogą nikogo skrzywdzić, prawda?

Ellie czuje się słaba i nieszczęśliwa niczym mała, smutna dziewczynka, którą naprawdę jest. Mary ściska ją z całej siły.

– Ale jeśli chcesz, żeby zapłaciła za to, co ci zrobiła, za to, że cię zdradziła i skrzywdziła, wiesz, że możesz to zrobić, prawda? Wiesz, do czego jesteś zdolna.

Ellie otwiera szeroko oczy na widok wyrazu twarzy Mary. Więc ona jednak wie. Wie o snach, o gniewie i demonach, a mimo to ją kocha. I kiedy Mary uśmiecha się do niej zachęcająco, Ellie odpowiada skinieniem głowy. Tak naprawdę nie chce skrzywdzić Imogen Reid. Ale nie chce też sprawić Mary zawodu.

Imogen

Tego popołudnia wychodzę z pracy wcześniej. Muszę oddać Edwardowi sprawiedliwość, sam to zasugerował, kiedy zobaczył, w jakim stanie wróciłam do biura.

– Wyrobiłaś w tym tygodniu trochę nadgodzin – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Musiałaś też podjąć kilka trudnych decyzji. Zrób sobie wolne popołudnie i wróć jutro do pracy wypoczęta.

Trudne decyzje? – pomyślałam kwaśno. Nie ja je podejmowałam.

Ledwo wchodzę do domu i rzucam torebkę na podłogę, kiedy na schodach zjawia się Dan.

– Jak poszło? – pyta. Na jego łagodnej twarzy maluje się wyraz autentycznego współczucia.

– Okropnie.

Wchodzę do salonu. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Mam ochotę zadzwonić do Sary Jefferson, wyjaśnić, co się stało, i spytać, czy wszystko w porządku, ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Muszę się trzymać z daleka, pozwolić, żeby rodzina sama załatwiła sprawy Ellie, tak jak powinno być od początku.

Nawet nie zauważam, że za mną stoi Dan, dopóki nie kładzie mi rąk na szyi i nie zaczyna delikatnie masować moich ramion. Boże, jak przyjemnie.

Oddycham głęboko, rozluźniają mi się mięśnie. Silne ramiona mojego męża otaczają mnie w talii.

– To nie twoja wina – próbuje mnie pocieszyć. – Nie ty podjęłaś tę decyzję.

Wzdycham.

– Nie widziałeś jej twarzy, Dan. Była zdruzgotana, zła i rozstrojona. I trudno jej się dziwić. Miała tylko mnie. – Wyplątuję się z jego objęć i zaczynam chodzić ze złością po pokoju. – Wszystko przez tę pieprzoną babę! Nie umie wykonywać porządnie swoich obowiązków i postanowiła mnie zdyskredytować, żebym nie zdążyła rozpowiedzieć ludziom, jaka jest niekompetentna.

– Ale skoro Edward uważa, że powinnaś ją skierować gdzie indziej, to może tak będzie najlepiej – mówi Dan tym swoim zdroworozsądkowym tonem. – To twoja nowa praca i masz inne obowiązki. My również mamy inne sprawy, którymi powinniśmy się zająć.

– O czym ty mówisz? – Odwracam się do niego. Tak naprawdę szukam kogoś, kto ściągnie na siebie mój gniew. Wiem, że to nieuczciwe i niemile, ale jestem wściekła i przybita, a on potrafi tylko zmieniać temat na to, co jemu wydaje się ważne. – Chcesz tylko tego, bym zaszła w ciążę, ale to nie znaczy, że nie mogę być dobra w tym, co robię. Jakbym o niczym innym nie umiała myśleć.

Mój mąż niczego takiego nie powiedział i dobrze o tym wiem, ale prawda jest taka, że boję się panicznie, czy dziecko, o którym on nawet nie wie, już nie doprowadza mnie do obłędu. Może tak właśnie było z moją mamą? Może dlatego tata ją zostawił, gdy tylko się urodziłam? Bo zwariowała? W końcu choroby umysłowe są dziedziczne. Czemu miałabym być inna niż ona?

Dan wycofuje się, podnosząc ręce w geście obronnym.

– Tego nie powiedziałem, Im, wiesz o tym. Nigdy w życiu nie zakwestionowałbym twoich kompetencji. Jesteś świetna w swojej

pracy dla tych dzieci i będziesz świetna dla naszego dziecka. Myślałem, że oboje go chcemy.

Odwracam się od jego urażonej twarzy, mam ochotę krzyknąć z bezradnej złości i cieszę się, że nie powiedziałam mu o ciąży. Jeśli teraz się tak zachowuje, to co by było, gdyby o niej wiedział? Pewnie ma nadzieję, że na widok dwóch niebieskich pasków odejdę z pracy i zacznę dziergać buciki na szydełku. Słyszę dudniące w głowie słowa Ellie: *Nie zasługuje pani na to, żeby być mamą.*

– Bo chcemy – mówię. – Nie rozumiem tylko, dlaczego wszystko zawsze musi zejść na temat nas i naszej rodziny. To moja praca, Dan, to co robiłam dla Ellie, było dla mnie ważne. Nie zawsze chodzi o nas.

– A jeśli chodzi? – Jego twarz ciemnieje. – Jeśli nie będziesz mogła zapewnić tym dzieciom takiej samej opieki, kiedy będziesz miała własne dziecko? Co to oznacza dla nas? Za bardzo zbliżasz się do tych dzieci. Musisz nabrać dystansu, po to tu przyjechaliśmy.

Nabrać dystansu? Czy on to mówi serio? Co on w ogóle o mnie wie?

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać, Dan.

– Więc kiedy?

Odwracam się do niego. Widzę, że jest zły, że odmawiając mu przez kolejne miesiące tego, czego najbardziej pragnie, coraz bardziej go od siebie odpycham. Przeszywa mnie poczucie winy – wiem, że noszę w sobie coś, czego naprawdę pragnie, coś, co uczyniłoby go najszcześniejszym człowiekiem na świecie, a mimo to nadal nie potrafię się zmusić, aby mu o tym powiedzieć. Ponieważ to przesądzi sprawę, stracę prawo wyboru. Czuję się bezwzględna i samolubna, ale w tym momencie nie chcę go uszczęśliwić, ponieważ sama nie czuję się szczęśliwa.

– Kiedy o tym porozmawiamy, jeśli nie teraz? Za rok? Kiedy dostaniesz awans i „przepraszam cię, Dan, ale to niewłaściwy moment”? Bo szczerze mówiąc, Imogen, odnoszę wrażenie, że

wolałabyś rozmawiać o wszystkim, tylko nie o moim dziecku. I powiedziałbym, że rozumiem, że nie chcę cię naciskać, że nie chcę mieć dzieci, dopóki nie będziesz gotowa, ale przez cały miniony rok zapewniałaś mnie, że pragniesz mieć prawdziwą rodzinę, że jeśli znajdziesz mniej wymagającą pracę, dom poza miastem i jakie tam jeszcze przeszkody nie do pokonania sobie wymyśliłaś, to zdecydujemy się na dziecko. Więc zgodziłem się, dałem ci wszystko, czego chciałaś, a ty nadal mnie zwodzisz. Powiedz mi, o co chodzi, Imogen. Powiedz mi, co się dzieje w twojej głowie.

– Czy kiedykolwiek zastanowiłeś się nad tym, że może nie chcę rezygnować z pracy zawodowej? Ze swojego ciała? Ze swojego życia? W twoim świecie to jest takie proste, prawda? Nie musisz niczego poświęcać, będziesz robił dokładnie to samo, co robisz teraz, tylko z maleńkim, słodziutkim dzidziusiem, do którego mógłbyś gruchać i z którym mógłbyś się bawić, podczas gdy to ja będę chodziła gruba, zmęczona, przykuta do zmieniania pieluch o pierwszej w nocy i...

– Przecież ja bym ci we wszystkim pomagał, Immy, wiesz o tym. Pracuję w domu, nie wychodzę na osiem godzin do biura, ja też chcę brać udział w nocnym karmieniu i...

– Och, przestań być taki kurewsko uczynny! – wrzeszczę. – Przestań mnie wreszcie przekonywać, namawiać jak jakiś pieprzony przekupień do zrobienia czegoś, czego, jak widać gołym okiem i nawet głupiec by to zauważył, JA ZWYCZAJNIE NIE CHCĘ ZROBIĆ!

Dan aż się cofa, a na jego kochanej twarzy odmalowuje się szok. Mam ochotę odwołać wszystko, co powiedziałam, zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć, że noszę w łonie jego dziecko, ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Jakaś okrutna i egoistyczna część mnie, która przez cały czas wiedziała, że nie wolno mi zostać matką, powstrzymuje mnie tak skutecznie, jakby była inną osobą, silniejszą niż ta Imogen, która kocha swojego męża i najbardziej na świecie

pragnie go uszczęśliwić. Ta Imogen była tak często deptana przez swoją złą siostrę bliźniaczkę, że nie jestem nawet pewna, czy w ogóle jeszcze ma głos.

– Myślałem... ciągle powtarzałaś... – Urywa, ponieważ te nowe, niezbadane wody naszego małżeństwa stały się zbyt zdradliwe, aby na nie wypływać.

– No, to teraz już wiesz. Nie dam ci tego, czego chcesz, Dan. Jeśli ci się to nie podoba, to możesz się wyprowadzić.

Przepycham się obok niego i wychodzę do przedpokoju. Zatrzymuję się pod schodami i zaciskam oczy, żeby nie widzieć rozpaczki malującej się na twarzy męża. Czekam sekundę, dwie, trzy, lecz on nawet nie próbuje do mnie podejść.

75

Imogen

Szum lecącej wody zagłusza wszystkie inne odgłosy dobiegające z głębi domu, więc nie słyszę, czy Dan zastosował się do mojej okropnej sugestii, czy nie. Zamknęłam drzwi łazienki na zamek, żeby napuścić sobie wody do wanny, ale to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Dan nie przyszedł do mnie, jak to zwykle robił, nie zapukał lekko do drzwi i nie poprosił, żebyśmy porozmawiali. Tym razem posunęłam się za daleko. Odpychałam go od siebie tyle razy, że w końcu mur, który wokół siebie wzniosłam, stał się nie do przebiccia, i teraz stracę męża. Więc dlaczego nie mogę się zmusić do tego, by pójść i go przeprosić? Ponieważ nie potrafię znieść myśli, że mogłabym okazać słabość. To coś, co najbardziej go we mnie frustruje: że to on zawsze musi przeproszać, to on zawsze musi pierwszy wyciągnąć rękę. Jestem uparta i zawzięta, nauczono mnie w dzieciństwie, że przyznając się do błędu i przepraszając, okazuję słabość. Nawet teraz, nawet kiedy mogę stracić jedyną osobę, bez której nie wyobrażam sobie życia, nie jestem w stanie przełamać tego nawyku.

Pochyliłam się, żeby zakręcić zimną wodę, i nagle zginam się wpół od przeszywającego bólu. Łapię się za brzuch i w agonii krzyczę po Dana. Nie mogę złapać tchu, nie mogę wrzasnąć drugi raz, umieram, wiem, że tak jest, byłam jędzą, a teraz nie dostanę nawet szansy, żeby za to przeprosić. Ból pulsuje falami, wyciągam rękę, żeby się czegoś

złapać. Uderzam o umywalkę, ale jest mokra i dłoń ześlizguje się po błyszczącej emalii, a ja padam z łomotem na podłogę.

Nigdy w życiu nie czułam czegoś podobnego. Co się dzieje? Nagle w moim umyśle krystalizuje się myśl: dziecko. Kiedy leżę na podłodze, szlochając w udręce, słyszę, jak Dan woła przez zamknięte drzwi, ale nie mogę wykrztusić z siebie nawet jęku. W głowie dudnią mi słowa Ellie, niczym złowroga przepowiednia: *Nie zasługuje pani na to, żeby być mamą. Nie zasługuje pani na to, co w pani rośnie. Lepiej, żeby umarło.*

Imogen

Za bardzo mnie bolą oczy, żebym je otworzyła, ale nawet bez patrzenia wiem, że jestem w szpitalu. Nie leżę już na podłodze w łazience ani w swoim łóżku, bo moje jest wygodniejsze. Na przedramieniu czuję dotyk zimnego plastiku, a w dłoni pulsowanie. Wenflon. Zniknął potworny ból, który przeszywał mi brzuch, zanim straciłam przytomność, głowę wypełnia mi ciepła mgiełka, lecz poza tym jestem odrętwiała. Powoli otwieram oczy; nade mną jarzy się ostre, nieprzyjemne szpitalne światło. Na krześle obok łóżka siedzi Dan, a kiedy go zauważam, szybko zaciskam powieki. Jest jedyną osobą, której potrzebuję, i ostatnią, której chciałabym patrzeć w oczy, zadając to pytanie.

– Dziecko? – wykrztuszam skrzekliwie przez rozpalone gardło.

Odpowiada mi długa cisza, po czym dobiega mnie głos Dana tak samo zduszony jak mój:

– Nie przeżyło – mówi szeptem.

Ramiona zapadają mi się w twarde materac; nie zdawałam sobie nawet sprawy, że jestem sztywna ze strachu. Dziecko nie przeżyło. Dziecko nie żyje. Moje dziecko. Dziecko Dana.

– Od kiedy o tym wiedziałaś? – pyta zmienionym głosem.

Otwieram oczy. Na jego twarzy widzę takie cierpienie, że mam ochotę wyciągnąć ręce i wziąć go w objęcia. To nie powinno tak wyglądać, powinniśmy sobie radzić z tym razem, to wszystko przeze

mnie. Ponieważ tuż po obudzeniu odruchowo o nie zapytałam, nie mogę już udawać, że nic nie wiedziałam.

– Od kilku tygodni.

Dan krzywi się, jakbym go spoliczkowała.

– Nie miałaś zamiaru mi powiedzieć?

– Chciałam – kłamię.

Chciałam? Tak mi się zdawało. Planowałam to zrobić, lecz teraz już nigdy się nie dowiem, jaką decyzję bym podjęła. Decyzja zapadła bez mojego udziału. Powinnam czuć ulgę, ale nie czuję.

– Szukałam odpowiedniej chwili.

– Po naszej dzisiejszej rozmowie chyba oboje wiemy, że to nieprawda. Powiedz mi, Imogen, czy zapisałaś się już na aborcję? Zamierzałaś pozbyć się mojego dziecka, nie mówiąc mi nawet o jego istnieniu?

– To nie tak, nie rozumiesz...

Ale właśnie że tak. Dokładnie tak. Z powodu mojego egoizmu Dan nie mógł nawet przez chwilę poczuć się szczęśliwym ojcem.

– Przykro mi.

– Czyżby? Osiągnęłaś to, czego chciałaś, i nawet udało ci się uniknąć wyrzutów sumienia. Powinnaś skakać z radości, do cholery. I może tak jest, już nawet nie potrafię odgadnąć, co myślisz.

To niesprawiedliwe: mąż, który wspierał mnie w każdej trudnej decyzji, we wszystkich ciężkich chwilach w ciągu ostatniego roku, staje się taki zimny akurat wtedy, kiedy go najbardziej potrzebuję. Sama jesteś temu winna, upominam się. Wzięłam kochającego, cierpliwego, dobrego mężczyznę i rozszarpałam go na milion drobnych kawałków, aż w końcu mógł się pozbierać tylko w jeden sposób: zamieniając się w kamień.

– Przepraszam. – Jestem zbyt wycieńczona, zbyt zdruzgotana, żeby powiedzieć coś więcej.

– Zadzwoń do Pammy – mówi. – Będzie tu mniej więcej za godzinę. Zostanę z tobą do tej pory, a potem pojedę do domu po rzeczy dla ciebie. Chcą, żebyś została w szpitalu przynajmniej do jutra. Zadzwoń też do Place2Be, powiedziałem, że masz zapalenie wyrostka i przez kilka tygodni nie będzie cię w pracy. Lekarz zalecił ci wypoczywanie. Kiedy poczujesz się lepiej, zrobią badania, żeby stwierdzić przyczynę... tego, co się stało. Chociaż czasem podobno nie daje się jej wyjaśnić, czasem to się po prostu dzieje.

– Dan... – chrypię i urywam, bo nie wiem, co powiedzieć.

– Powinnaś zasnąć.

Zamykam oczy i kładę głowę na poduszce, myśląc o maleńkim życiu, które jeszcze kilka godzin temu we mnie rosło. Maleńkie życie wymyte w kłębowisku krwi i bólu.

Imogen prawie siłą otwiera zaspane oczy i na ułamek sekundy wpada w panikę. Czyżby oślepla? Czemu tu tak ciemno? Kiedy wzrok jej się powoli przyzwyczaja, z mroku zaczynają się wyłaniać przedmioty, powraca również pamięć. Siedziała w swojej kryjówce i po raz tysięczny czytała Dziwne losy Jane Eyre, kiedy oczy zrobiły jej się ciężkie i zamknęła je dosłownie na minutkę.

Ze strachu skręca ją w żołądku. Która godzina? Zawsze wychodziła z kryjówki przed powrotem mamy, chowała poduszki i koce do starej skrzynki po licznikach, książki za nieużywaną deskę do prasownia, zdjęcie...

Z gardła wyrywa jej się zduszony odgłos. Z jej kolan znikło zdjęcie mamy i taty, a jest pewna, że było tam, kiedy zasypiała. Szuka wokół siebie po omacku, drobne palce trafiają na zakurzone drobiazgi i stertę starych czasopism, ale ani śladu zdjęcia. Z sercem ciężkim, jakby było z kamienia, dźwiga się na nogi i otwiera drzwi.

Mama siedzi na kanapie i wpatruje się w kredens, w palcach ściska jej fotografię.

– Idę do łóżka – mówi, jękając się, Imogen.

Ponieważ matka nie odpowiada, rusza do schodów.

– Chodź tu – rozkazuje cicho mama.

Imogen odwraca się powoli; wie, że jest blada jak ściana. Wlecze się noga za nogą, jakby każdy krok sprawiał jej ogromny ból, ale posłusznie robi to, co jej kazano, aż w końcu staje przed kanapą.

– Usiądź.

Wie, że lepiej nie dyskutować.

– To zdjęcie – mama wyciąga fotografię w kierunku Imogen i potrząsa nią – zostało zrobione kilka tygodni przedtem, zanim zaszłam z tobą w ciążę. Widzisz, jacy jesteśmy szczęśliwi?

Imogen bez słowa kiwa głową, próbując powstrzymać łzy ciskające jej się do oczu. Oczywiście, że widzi, to jeden z powodów, dla których tak ukochała to zdjęcie – ponieważ pokazuje jej mamę taką, jakiej nigdy nie widziała w swoim krótkim życiu.

– Byliśmy tacy zakochani – ciągnie mama, jakby Imogen w ogóle tam nie było. – Twój tata był najlepszym mężem, jakiego mogłabym sobie wymarzyć.

Imogen słucha uważnie. Mama nigdy przedtem nie opowiadała o tacie, więc Imogen się boi, że jeśli okaże za dużo zapału, mama ją wyśle do łóżka.

– Był troskliwy i czuły, i kochał mnie. I bardzo chciał mieć dzieci. Dwoje, a nawet troje. Ja wolałam trochę poczekać... dość krótko się znaliśmy i uważałam, że przez jakiś czas powinniśmy się raczej skoncentrować na sobie. Ale on nalegał i upierał się, aż w końcu ustąpiłam. Doszłam do wniosku, że jeśli on będzie szczęśliwy, to ja także.

Serce Imogen podskakuje radośnie w piersi. Tata jej pragnął! Ale wie również, że ta historia nie może się dobrze skończyć. Co zrobiła mama? Dlaczego taty z fotografii – tego szczęśliwego mężczyzny, który tak bardzo chciał, aby przyszła na świat – nie ma teraz przy niej?

– Był cudowny, kiedy zaszłam w ciążę – ciągnie mama. – To nie była łatwa ciąża, ale mnie nie odstępował: masował mi stopy, przytrzymywał włosy, kiedy wymiotowałam. – Przerywa, oczy jej błyszczą, błądzi daleko wzrokiem. Po minucie potrząsa głową i patrzy na Imogen, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności. –

W każdym razie – mówi szorstko – tak właśnie było. A teraz idź do łóżka.

Imogen czuje się jak balon, z którego spuszczone powietrze.

– I co się stało? – pyta, zapominając o strachu.

Jeszcze nigdy nie rozmawiała z mamą tak bezpośrednio, dawno się nauczyła, że lepiej jej się nie naprzykrzać, nie zadawać pytań.

– Kazałam ci iść do łóżka.

– Ale mamusiu...

– Super!

W tej chwili Imogen zrozumiała, że posunęła się za daleko, ale już jest za późno.

– Chcesz wiedzieć, co się potem stało? – pyta mama. – Ty. – Jej oczy płoną z wściekłości i nienawiści i dziesięcioletnia Imogen aż się kuli przerażona. – Ty się urodziłaś. I nic, tylko w kółko ryczałaś, jadłaś, ryczałaś i srałaś. Wyssałaś cały mój czas, całą miłość, aż nie zostało już ani trochę czasu ani miłości dla nikogo innego, a twój ojciec nie mógł tego znieść! Nie potrafił znieść, że nie jest już centrum mojego wszechświata, i odszedł. Zostawił mnie samą z wrzeszczącym, samolubnym, niewdzięcznym dzieciakiem, który kradnie rzeczy z mojej sypialni i pyta o mężczyznę, który OD DZIESIĘCIU LAT MA NAS W DUPIE!

Imogen jeszcze nigdy nie słyszała mamy wrzeszczącej tak głośno. Ze złości łzy płyną jej po policzkach. Podnosi ręce, w których trzyma fotografię, i rozdziera ją na pół, dokładnie przez środek, po czym ciska ją w środek zimnego, nieużywanego kominka. Imogen podrywa się na nogi, które drżą pod nią tak gwałtownie, że nie jest pewna, czy ją długo utrzymają, i wybiega z salonu, wpada na schody, a potem do swojego pokoju, gdzie z trzaskiem zamyka za sobą drzwi.

78

Imogen

Przy łóżku siedzi Pammy i patrzy na mnie z nieskrywaną troską. Praktycznie od progu pytała, jak się czuję, prawie nie zwracając uwagi na Dana, który mruknął jakąś niedosłyszalną wymówkę, kiedy mijali się w przejściu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam.

– Czy zdarzyło ci się nie wiedzieć, że czegoś chcesz, dopóki ci tego nie odebrano, Pam? – pytam wreszcie.

Pammy wyciąga rękę, kładzie dłoń na mojej nodze.

– Ech, mnie to raczej nie. Zawsze całkiem nieźle wiedziałam, czego chcę – mówi, uśmiechając się smutno. – Ale znam faceta, który tak ma.

– Richard?

Potakuje głową.

– Kiedyś nie bardzo chciał mieć dzieci, a przynajmniej nie palił się do tego. Powiedzmy, że dzieci nie znajdowały się zbyt wysoko na jego liście priorytetów. Chyba zawsze uważał, że ma jeszcze mnóstwo czasu. Zgodził się ze względu na mnie, ale kiedy się okazało, że coś nam nie wychodzi, wpadł w prawdziwą obsesję. Nie wiem, czy to dlatego, że jego męskość doznała uszczerbku, czy nie wiedział, jak bardzo chce mieć dzieci, dopóki mu nie powiedziano, że może ich nigdy nie mieć.

– Zgodził się na dzieci tylko dlatego, że ty ich chciałaś? Więc on nie miał nic do powiedzenia?

Nie chciałam być tak obcesowa, ale Pammy drga niemile zaskoczona.

– Wcale na niego nie naciskałam. On nie miał nic przeciwko dzieciom, po prostu nie spieszyło mu się tak jak mnie. Mój zegar zaczął tykać i nagle nie mogłam myśleć o niczym innym.

Kiwam głową i opadam na poduszkę, po czym poprawiam się niespokojnie. Dlaczego nie mogę poczuć się wygodnie na tym cholernym łóżku? Nie cierpię tego miejsca – otoczenia matek i ich wrzeszczących noworodków. Położyli mnie w izolatce na końcu oddziału położniczego najwyraźniej po to, aby nie ranić moich uczuć, ale to tylko sprawia, że czuję się jak trędowata, jakbym nie zasługiwała na to, żeby znaleźć się między normalnymi, dobrymi matkami. Matkami, które zapewniają swoim dzieciom miłość i bezpieczeństwo. Jak mam wytłumaczyć Danowi, że to było nieuchronne? Prędzej czy później coś bym spieprzyła, mam to w genach. Więc chyba lepiej, że dowiedziałam się tego teraz, prawda? Ale jeśli to prawda, to dlaczego czuję taką przerażającą pustkę w miejscu, gdzie kiedyś miałam serce?

– Próbujesz mi powiedzieć, że chciałaś tego dziecka? – pyta Pammy, przysuwając się bliżej. – Im, to normalne, że człowiek nie wie, że się boi. Może cały czas go chciałaś, tylko nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Myślę, że doskonale zdawałam sobie sprawę.

Tak dobrze porozmawiać z kimś, kto stoi z boku całej tej sytuacji, chociaż mam bolesną świadomość, jak bardzo Pam sama pragnie dziecka. Jesteś samolubna, Imogen, zawsze myślisz tylko o tym, czego ty chcesz i czego ty potrzebujesz.

– Przekonałam siebie, że nie chcę mieć dziecka, ponieważ byłam pewna, że dziecko zniszczy mój związek z Danem, że je znienawidzę...

– ...jak twoja mama – kończy za mnie Pammy.

Właśnie dlatego jej potrzebuję. Ona wie o moim dzieciństwie. Wie o tym miejscu i o tym, co ono robi z ludźmi, jaki wywiera na nich wpływ. Dziwię się, że w ogóle bierze pod uwagę wychowywanie własnych dzieci w tym mieście.

– Imogen Reid, ty w niczym nie przypominasz swojej matki. Wiem, co myślisz o Lichocie, ale ona nie ma najmniejszego wpływu na to, jaką byłabyś matką. Macierzyństwo jest w tobie. Nie w twoim DNA, tylko w twoim sercu, a jeśli piśniesz komuś słowo o tym, że opowiadałam takie łzawe kawałki, to będziesz musiała sobie zarezerwować w tym szpitalu następne łóżko.

Próbuję się uśmiechnąć, ale nie daję rady, najwyraźniej moja twarz zapomniała, jak to się robi.

– Dziękuję, Pam. Chociaż to już raczej nie ma znaczenia, obawiam się, że moje małżeństwo jest skończone.

Pammy wzdycha.

– Jak na inteligentną osobę potrafisz być zaskakująco głupia. Twój mąż cię kocha, nawet ślepy to widzi. I chociaż zrobiłaś wszystko, żeby go do siebie zniechęcić, przesiedział właśnie cały wieczór przy twoim łóżku, zanim popędził do domu, żeby ci przywieźć rzeczy, których możesz potrzebować. A żeby uprzedzić to, co zamierzasz powiedzieć – podnosi dłoń, aby mnie powstrzymać – nie musi tego robić. Jeśli go skreślisz i pozwolisz mu odejść, Imogen, no cóż... nie ma tabletek, które mogą uleczyć taką głupotę.

Nawet nie próbuję się zdobyć na kolejny uśmiech.

– Nie jestem pewna, czy mam dosyć siły, Pam. Czuję się, jakbym mogła przespać tysiąc lat.

– Nic dziwnego po tym, co przeszłaś. – Zniża głos, chociaż nikt nie może nas usłyszeć. – Czy lekarze powiedzieli, jaka była przyczyna?

Kręcę głową; zaczyna mnie łupać na samą myśl o tym.

– Dopiero mnie zapiszą na badania.

– Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. – Ściska w palcach pościel. Odnoszę wrażenie, że jest zdenerwowana. Nie wiem, czy widziałam kiedyś zdenerwowaną Pammy. – Sama byłam kiedyś na twoim miejscu.

– Och, Boże, Pammy, tak mi przykro. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. Nie chciałam ci zawracać głowy. Mieszkałaś tak daleko, miałaś swoje idealne życie w Londynie, karierę zawodową, piękne mieszkanie, nie chciałam składać na twoje barki swoich małomiasteczkowych brudów.

– Jakoś wcale się nie czuję, jakbym tkwiła w małomiasteczkowych brudach.

Pammy się krzywi.

– O psia krew, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ależ ze mnie platfus.

– Nieprawda. I przykro mi, że nie zadzwoniłaś wtedy do mnie. – Biorę głęboki oddech. – Może najwyższa pora, żebym ci powiedziała prawdę o tym idealnym życiu w stolicy. – Na wpół podświadomie skubię skórki przy paznokciach. – Tak naprawdę odeszłam z poprzedniej pracy, ponieważ wpłynęła na mnie skarga. Dali mi do wyboru: albo odejdę na własną prośbę, albo mnie zwolnią.

Przyjaciółka przygląda mi się uważnie, a ja nie potrafię jej spojrzeć w oczy. Policzki mnie pieką ze wstydu. Ponieważ jednak nie odzywa się ani słowem, mówię dalej:

– Był pewien chłopiec. Trochę starszy od Ellie, skończył dwanaście lat. Skierowano go do nas ze szpitala, miałam się nim zająć *pro bono*. – Biorę głęboki oddech. – Boże, nie wymawiałam jego imienia od roku. Nawet w trakcie przesłuchania nie potrafiłam się do tego zmusić.

Pammy ściska moją nogę.

– Rodzice przyprowadzili go do mnie, ponieważ się okaleczał. Był cały w siniakach, powiedzieli, że kiedy jest zły albo zdenerwowany, bije się po ramionach, kopie meble, drapie się i uderza po twarzy. Pracowałam z nim długo i wydawało mi się... wydawało mi się, że dobrze go poznałam. Był miły, dowcipny i bardzo inteligentny jak na swój wiek. Ale przez cały czas, kiedy pracowaliśmy, ani razu nie chciał ze mną rozmawiać o tych samookaleczeniach. Zawsze starannie omijał ten temat. Któregoś dnia przyszedł z ręką w gipsie i na temblaku. Matka powiedziała, że w napadzie złości rzucił się ze schodów; złamał sobie nadgarstek i uszkodził łokieć. Kiedy go spytałam, co się stało, wzruszył ramionami i odparł, że za dobrze nie wie. Był podenerwowany, widziałam, że ta rozmowa go krępuje, ale nie chciałam znowu tego tak zostawić, przemilczeć, jak zwykle, sprawę jego obrażeń. Nabrałam już podejrzeń i zależało mi na tym, żeby je potwierdził, więc spytałam wprost: „Sam się okaleczasz, czy ktoś ci to robi? Próbujesz kogoś chronić?”. Nie odpowiedział od razu, tylko siedział w milczeniu i wpatrywał się w biurko. W końcu, po długiej chwili, która trwała chyba całą wieczność, łzy zaczęły mu płynąć po policzkach. Przekonywałam go, że nie musi się bać, że wszystko, co mi powie podczas sesji, zostanie między nami. Przekonywałam go, chociaż wiedziałam, że jeśli ktoś się nad nim znęca, będę musiała to zgłosić; więc całkiem świadomie go okłamałam. Ale wtedy, siedząc tam w pokoju, patrząc na tego smutnego małego chłopca, pragnęłam tylko poznać prawdę, więc skłamałam. Złamałam jedną ze swoich własnych zasad i okłamałam pacjenta.

Jeszcze przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, aż w końcu skinął głową. To był ledwo zauważalny ruch, leciutkie skłonienie głowy, ale mnie wystarczyło, aby potwierdziły się moje podejrzania. Chłopiec kogoś chronił, prawdopodobnie rodziców, a ja się

domyśliłam, że cała ta historia ma drugie dno. Przyrzekłam, że mu pomogę, i obiecywałam to szczerze. Razem obejrzelśmy wszystkie jego rany, zachęcałam go, żeby opowiedział mi, co się naprawdę działo. Razem rysowaliśmy: ojca, który go popycha, uderza jego ramieniem o kredens; matki stojącej na szczycie schodów, kiedy on z nich spada. Zrobiłam z nim ćwiczenie w skojarzenia i za każdym razem, kiedy wypowiadałam słowa: „opiekun”, „rodzic”, „matka”, „ojciec”, on pisał: „strach”, „ból”, „krzywdzić”, „zagubiony”.

Po kilku takich sesjach uznałam, że mam dość materiału, by pójść do mojego zwierzchnika. Siedzieliśmy razem, przeanalizowaliśmy każdą sesję, wysłuchaliśmy nagrań, oglądaliśmy rysunki. W końcu po obejrzeniu i wysłuchaniu tych samych dowodów, które ja widziałam, orzekł, że to za mało, aby iść do pomocy społecznej. Stwierdził, że zadawałam chłopcu tendencyjne pytania, że zachęcałam go do udzielania odpowiedzi, które chciałam usłyszeć, że nagradzałam go za opowiadanie historii przeciwko rodzicom. Byłam wściekła. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że chłopiec mówi prawdę. To nie było przekonanie płynące z tego, co słyszałam na sesjach ani co widziałam na rysunkach, tylko uczucie, które wywoływała sama jego obecność. Przeczucie, intuicja. Ale nie da się udowodnić intuicji, więc byłoby to gołosłowne oskarżenie.

Mój szef oraz zarząd zdecydowali, że nie podejmą żadnych kroków przeciwko rodzicom, że jeśli chłopiec nie zdecyduje się na złożenie skargi przeciwko nim, niczego nie możemy zrobić. Byłam wściekła. Czułam się skrzywdzona i nie miałam pojęcia, co robić. Wszędzie się słyszy historie o dzieciach, które odebrano rodzicom z powodu siniaka na nodze, tymczasem mamy tu chłopca, który przyznaje, że rodzice się nad nim znęcają, a my zamierzamy to zignorować. Polecono mi zamknąć sprawę, a rodzicom oznajmiono, że muszą poszukać innego psychologa, lecz ja nie mogłam tego tak zostawić. Nie

mogłam go zostawić samego z tymi ludźmi, wiedząc, co go czeka, wiedząc, co się może stać, jeżeli nie zareaguję. Poszłam na policję.

Pammy przykłada dłoń do ust, jakby się z trudem powstrzymywała, żeby mi nie przerwać, ale muszę dopowiedzieć wszystko do końca; jeśli tego nie zrobię, zamknę się w sobie i nigdy więcej nikomu o tym nie powiem. A pragnę to z siebie wyrzucić, więc ciągnę i nie dopuszczam Pam do głosu.

– Pokazałam im wszystko: rysunki, oświadczenia, spędziłam kilka godzin w małym, szarym pokoiku, opisując każdą ranę chłopca, każdy brutalny akt przemocy, którym według mnie rodzice krzywdzili to dziecko.

Mówię teraz szybciej i łzy płyną mi po policzkach na to wspomnienie. Do tej pory widzę przed oczami jego twarz, taką zdezorientowaną i zdradzoną, kiedy przed drzwiami swojego domu zobaczył mnie z policją.

– Zabrali rodziców, przesłuchiwali ich całymi godzinami, chłopca też, ale nie powiedział im ani słowa. Odmówił złożenia zeznań przeciwko rodzicom, a kiedy pokazano mu nagrania z naszych sesji, oznajmił, że nakłoniłam go do opowiedzenia tych wszystkich rzeczy, że wymyślił je, bo chciał mi sprawić przyjemność, ponieważ chciałam je usłyszeć. Według jego zeznań, kiedy rozmowa nie była nagrywana, przekonywałam go, że nie mógł sam sobie zadać tych obrażeń, że ktoś inny musi być za to odpowiedzialny. Mówił, że go naciskałam i naciskałam, aż w końcu zgodził się ze mną tylko po to, żebym już przestała.

Ocieram z policzków ciepłe łzy i strącam dłoń, którą Pammy kładzie mi na ramieniu. Nie chcę, żeby się nade mną litowała, tylko żeby zrozumiała.

– W końcu policja musiała rodziców wypuścić. Nie było dosłownie żadnego dowodu. Bez zeznań chłopca nic na nich nie mieli. Przez cały

czas siedziałam w poczekalni na posterunku, na wypadek gdyby mnie potrzebowali... gdyby on mnie potrzebował. Myślałam, że po tym wszystkim, co przeszedł, będzie chciał z kimś porozmawiać, że zaoferuję mu pomoc. Zamiast tego stanęłam twarzą w twarz z jego rodzicami. Matka obejmowała chłopca ramieniem i przyciągnęła go do siebie, gdy mnie mijali. Potem, kiedy już mieli wychodzić, odwróciła się do mnie i zaczęła wrzeszczeć, że próbuję zniszczyć ich życie, że chcę im odebrać dziecko, że kłamię, zastraszam i że mam ich zostawić w spokoju i nigdy więcej się do nich nie zbliżać. Chłopiec ani razu na mnie nie spojrzał.

Biorę głęboki oddech.

– Kiedy wróciłam do pracy, szef wezwał mnie na rozmowę. Był wściekły, że postąpiłam wbrew zaleceniom kliniki i ujawniłam poufne dane bez zezwolenia. Rodzice chłopca złożyli na mnie skargę, która miała zostać zbadana, a jeśli zarzuty zostałyby potwierdzone, na klinikę nałożono by dużą grzywnę. Rodzice oznajmili, że zamierzają złożyć pozew; odgrążali się, że odbiorą uprawnienia mnie i mojemu szefowi. Jedynym sposobem uniknięcia sprawy sądowej było porozumienie, że złożę indywidualne zeznania przed Generalną Radą Lekarską. Pragnęłam za wszelką cenę uniknąć rozgłosu, nie ze względu na siebie, lecz na chłopca. Był małoletni, więc gazety nie mogły ujawnić jego nazwiska, ale obawiałam się, że ludzie i tak by się dowiedzieli, kim jest, co jeszcze bardziej skomplikowałoby mu życie. Więc odeszłam. Rzuciłam nie tylko pracę, ale w ogóle psychologię. Powiedziałam szefowi, że odejdę po cichu, nie będzie powodu do szczegółowego śledztwa i nie narażę na szwank reputacji kliniki. Poprosiłam, żeby dali mi referencje, abym mogła odejść i poszukać sobie nowej pracy. Szef się zgodził, ale oznajmił, że wystawią mi referencje tylko pod warunkiem, że nigdy więcej nie powrócę do pracy psychologa. Jednak najgorsze w tym wszystkim było to, że ja

nadal wierzyłam w swoją rację. I do tej pory wierzę. Wciąż uważam, że odesłaliśmy tego chłopca z powrotem do rodziców, wiedząc, że się nad nim znęcają, a ja nie mogłam nic dla niego zrobić. Po odejściu z pracy pojechałam do nich i czekałam w samochodzie przed domem. Chciałam się tylko przekonać, że nic mu nie jest, ale zauważyła mnie jego matka. Musiała mnie obserwować ponad godzinę, nagrała mnie na komórkę, ale ja o tym nie wiedziałam, dopóki nie zjawiała się policja. Ostrzegli mnie, że jeśli nie przestanę ich molestować... dokładnie tak się wyrazili: „molestować”... to rodzina poda mnie do sądu. Zabronili mi wydzwaniać do ich domu, chociaż zrobiłam to tylko kilka razy, żeby porozmawiać z chłopcem, i pisać do niego listy. Nie miałam pojęcia, że znalazła moją wiadomość, którą przekazałam przez jednego z jego szkolnych kolegów. Błagałam go w niej, żeby powiedział prawdę, przekonywałam, że tylko w ten sposób będę mogła mu pomóc. Policja zadzwoniła do Dana i kazała mu po mnie przyjechać. Musiałam mu powiedzieć, co zrobiłam.

– Och, Im – wzdycha Pammy. – I co na to Dan?

– No cóż, Dan jak to Dan – odpowiadam, przypominając sobie, jak mnie niańczył i pielęgnował. – Martwił się o mnie. Cackał się ze mną, jakbym sama była małym dzieckiem, próbował mnie wypchnąć do lekarza. Był idealnym mężem, chociaż niczego nie rozumiał.

– A jak mógł zrozumieć? Jak mógł cię zrozumieć, skoro nie znał twoich prawdziwych motywacji? Rozpaczliwie usiłowałam ocalić tego chłopca przed przemocą i zaniedbaniem, ponieważ ciebie nikt nie ocalił. Wszyscy widzieli, jaka jest twoja matka, i nikt nawet palcem nie kiwnął. Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że to dlatego tak się zaangażowałam, prawda? I że to samo jest z tą dziewczynką. Za wszelką cenę chcesz zrobić to, czego nikt nie zrobił dla ciebie. Ale przeszłość nie pozwala ci trzeźwo oceniać sytuacji. Tylko nie myśl, że cię nie rozumiem. Rozumiem i kocham cię jak siostrę, ale żeby jechać

do szkoły tego dzieciaka? Przekazywać liściki przez kolegów? – Pammy kręci głową. – Jesteś najgłupszą mądrą kobietą, jaką znam.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – mówię z jękiem. – Kiedy potem patrzyłam na to z dystansu, widziałam doskonale, że zachowywałam się jak wariatka. Byłam taka pewna, taka przekonana, że mam rację.

– Tak jak z Ellie? – pyta łagodnie Pammy. – Nie sądzisz, że zaangażowałaś się tak bardzo w jej sprawę właśnie dlatego, że nie mogłaś pomóc temu chłopcu?

– Możliwe. Ale nawet jeśli tak jest, to co? Czy to znaczy, że nie mam racji? Czy przez jeden błąd mam raz na zawsze porzucić wszystkie swoje przekonania?

– To znaczy, że powinnaś być ostrożniejsza. Że nie powinnaś się angażować do tego stopnia, by tracić rozsądek. Że nie możesz drugi raz zrujnować sobie życia. A właśnie jesteś na prostej drodze do tego.

– To nie wszystko. – Skoro zaszłam już tak daleko, to muszę jej wyznać całą prawdę. Prawdziwy powód, dla którego tak się wahałam, aby urodzić Danowi jego upragnione dziecko. Prawdziwy powód, dla którego przy pierwszej nadarzającej się okazji przyjechałam do Lichoty, do tego wszystkiego, przed czym uciekałam. – Chłopiec, o którym ci opowiadałam, to ten sam, o którym głośno było w gazetach. Callum Walters.

Pammy wytrzeszcza oczy; wie, o kim mówię.

– Ten, który...?

– Ten, który popełnił samobójstwo, ponieważ jego rodzice zostali fałszywie posądzeni o znęcanie się nad dzieckiem.

79

Ellie

– Ty to zrobiłaś?

Mary chwyta Ellie za ramię i patrzy; oczy jej błyszczą z podniecenia. Przez całą kolację przyglądała jej się jakoś dziwnie i teraz, przy pierwszej okazji, kiedy zostały same, prawie rzuciła się na nią z pytaniem.

– Co miałam zrobić? – bąka Ellie. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Wszyscy o tym gadają – oznajmia teatralnie Mary. – Ta kobieta, która tu przychodziła, ta, która z tobą pracowała, Imogen Reid...

– Co z nią? – przerywa jej Ellie.

– Nie było jej w pracy przez kilka dni, zabrali ją do szpitala. Mama Maisie King pracuje z nią w Place2Be. Mówi, że straciła dziecko.

Ellie aż zatyka. Pamięta wyraz twarzy Imogen, kiedy rzuciła ze złością te słowa podczas ich ostatniego spotkania.

Nie zasługuje pani na to, żeby być mamą. Nie zasługuje pani na to, co w pani rośnie. Lepiej, żeby umarło.

– Jak ty to zrobiłaś? – pyta Mary, jakby czytała jej w myślach. – Chciałaś jej dać nauczkę, tak jak rozmawiałyśmy?

– Oczywiście, że nie. To okropne, nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. – Ellie mówi to ostrzej, niż zamierzała, i oczy jej siostry przyrodniej zwięzają się w szparki.

– Ale umiałybyś, prawda? – Mary przygląda jej się w napięciu. – Może zrobiłaś to niecelowo? Chociaż nie zamierzałaś?

– Już ci powiedziałam, że tego nie zrobiłam – odpowiada opryskliwie Ellie. – Idę na górę spać.

Wstaje i podsuwa krzesło do stołu. Aż się krzywi na okropny, świdrujący odgłos drewnianych nóg szurających o podłogę. Z kuchni przychodzi Sara.

– Gdzie idziesz, Els, jeszcze deser.

– Nie mam za bardzo ochoty – kłamie Ellie. – Chciałam pójść do swojego pokoju i trochę poczytać.

– Hm... – Sara odwraca głowę i patrzy na Marka. – No dobrze, jeśli jesteś pewna...

Wtedy Ellie uświadamia sobie, że Sara przez cały dzień ani na chwilę nie zostawiła jej samej, że ciągle proponowała, by robiły coś razem, spędzili więcej czasu jako rodzina. Musiała się dowiedzieć o Imogen i chce mieć Ellie na oku.

– Ja też, mamusiu. – Mary podrywa się od stołu i dosuwa krzesło. – Mamy w tym roku mnóstwo prac domowych.

Lecz kiedy wchodzi na górę, wcale nie kieruje się do swojego pokoju, tylko idzie za Ellie.

– No i jak to zrobiłaś? – pyta, rzucając się na jej łóżko.

– Mówię ci, że tego nie zrobiłam – powtarza Ellie przez zaciśnięte zęby.

Po raz pierwszy, od kiedy zamieszkała z Jeffersonami, chciałaby, żeby Mary sobie poszła. Jest jedyną osobą, dzięki której czuła się tu naprawdę mile widziana. Broniła jej w szkole, pozwalała jej chodzić w swoich ubraniach, malować się swoimi kosmetykami, ale teraz Ellie pragnie tylko zostać sama.

– Ekstra! – Mary podwija pod siebie nogi. – Chciałabym tak umieć. Chciałabym, żebyś mnie nauczyła. Jak się zemścić na kimś, kto ci dokuczył albo podpadł. Znam kilka osób, na których chętnie bym to wypróbowała.

– To nie tak – upiera się Ellie. – Nie robię niczego celowo. Nawet nie wiem, że to robię. To się... po prostu dzieje.

– Dobrze – ustępuje Mary, chociaż wcale nie wygląda na przekonaną. – Ale nie sądzisz, że mogłabyś się nauczyć to kontrolować? Nie uważasz, że gdybyś naprawdę się postarała, zamiast z tym walczyć, mogłabyś to okiełznać... no wiesz, używać jak mocy? Mogłabyś dostać wszystko, czego tylko zapragniesz. Wyobraź to sobie: w końcu musieliby cię zrobić premierem albo kimś takim.

– Albo wsadzić mnie do zoo – dopowiada Ellie, myśląc sobie, że to o wiele bardziej prawdopodobne. Oglądała *X-menów*; nikt się nie palił, żeby im przekazywać władzę nad krajem. – Albo do czubków.

– Ciekawe, czy ta kobieta... ta Imogen... ciekawe, czy wie, że to byłaś ty. Myślę, że nie potrafiłaby tego udowodnić, nawet gdyby coś podejrzewała – mówi Mary, bardziej do siebie niż do niej.

Ellie zastanawia się, kiedy to się stało, kiedy Imogen straciła dziecko. Kiedy łańcuch wydarzeń został wprawiony w ruch? Może gdyby udało jej się to ustalić, nauczyłaby się to kontrolować, tak jak mówiła Mary.

Czy to sprawiły jej słowa? Czy to stało się, kiedy je wypowiedziała? *Nie zasługuje pani na to, co w pani rośnie.* Czy to przez myśli, które się w niej kłębiły, zderzały i walczyły o miejsce w jej głowie? Gniewne, okropne myśli, które nie powinny jej nawiedzać. Może właśnie wtedy to się przesądziło? Bo później, wieczorem, kiedy się położyła do łóżka, była już spokojna. A może to się stało, kiedy spała, we śnie, tak jak z panią Gilbert? Ellie nie pamięta, żeby śniła jej się kłótnia z Imogen, ale to przecież nie znaczy, że tak nie było. Sny są jak duchy, ulotne; po przebudzeniu nie sposób ich pamiętać, jeśli one tego nie chcą. Więc może tak właśnie było?

– Mogłybyśmy zrobić eksperyment. – Mary przerywa milczenie i po raz kolejny daje dowód, jakby czytała Ellie w myślach. A może po

prostu tak łatwo ją przejrzeć? – Tylko żeby zobaczyć, jak to robisz, oczywiście. Dowiedzieć się, jak to działa.

– Chyba nie chcę... chyba... się boję – przyznaje Ellie.

No bo co będzie, jeśli się okaże, że naprawdę ma tę moc? Już się więcej nie oszuka, że nie jest niczemu winna, że to zwykły zbieg okoliczności.

– Wiem, że to przerażające: nie wiedzieć, do czego jesteś zdolna, nie umieć kontrolować gniewu ani tego, jak on wpływa na ludzi. Właśnie dlatego tu jestem, żeby ci pomóc. Ale nie pomogę ci tego kontrolować, jeśli czegoś się o tym nie dowiemy – tłumaczy Mary łagodnie, klepiąc ją w ramię. – Przede wszystkim potrzebujemy dowodu.

Dowodu. Dowodu na to, że Ellie sklepiła Billy’emu usta, że ściągnęła dziesiątki pajaków do szuflady biurka pani Gilbert tylko dlatego, że jej nienawidziła. Dowodu, że zabiła panią Gilbert i dziecko Imogen.

– Dlaczego? – pyta. – Po co nam dowód?

Mary się uśmiecha; Ellie nigdy dotąd nie widziała u niej takiego uśmiechu. Wyobraża sobie, że tak by się mogły uśmiechać demony, o których czytała w książkach, albo źli ludzie w filmach, które niekiedy oglądały.

– Och, przecież to oczywiste, po co nam dowód, głuptasie. – Mary cały czas się uśmiecha. – Bez dowodu nie uda nam się sprawić, żeby ludzie się ciebie bali. Bez dowodu ludzie będą cię dalej traktować tak jak dotąd. A chyba nie chcesz, żeby cię tak dalej traktowali, prawda, Ellie?

Oczywiście, że nie chce.

– Dobrze – mówi, kiwając głową z mocnym postanowieniem. – Zróbmy to.

Imogen

– Na razie będę spał w pokoju gościnnym – mówi Dan cicho, otwierając mi drzwi samochodu. – Żebyś trochę odpoczęła.

Nie chcę odpoczywać! – wrzeszczę do siebie w myślach. Chcę odzyskać męża. Ale oczywiście nie mówię tego; Dan ma wszelkie prawo być na mnie wściekły. Chciałabym wiedzieć, ile to może potrwać – sześć dni czy trzy godziny? Łatwiej byłoby mi to znieść. Chwilami się zastanawiam, czy w ogóle mi kiedyś wybaczy, czy to będzie klin, który rozdzieli nas na dobre. Wiem, że źle postąpiłam, ale skąd mogłam wiedzieć, że to się tak skończy? Sądziłam, że mam jeszcze czas, by mu powiedzieć, kiedy będę gotowa.

Patrząc na tę jego powściągliwą serdeczność, mam ochotę krzyczeć. Wolałabym, żeby mnie wyzwiał od pieprzonych suk, wykrzyczał, że mnie nienawidzi; oddałabym wszystko, żeby człowiek, który od pięciu lat jest moim mężem, rzucił we mnie wazonem, zrobił cokolwiek, na litość boską, byle tylko przestał się obnosić z tą chłodną obojętnością. Wiem, że gdy tylko poczuje się lepiej, spakuje walizki i odejdzie. To kwestia czasu; żaden kochający, troskliwy, cierpliwy mężczyzna jak Dan nie zniosłby więcej ze strony takiego kompletnego popaprańca jak ja. Poczulałam się milion razy lepiej po tym, jak opowiedziałam Pammy o Callumie, kiedy wyrzuciłam to z siebie na głos, opisałam własną wersję wypadków, jakbym zerwała strup i upuściła sobie krwi. W gazetach nie pojawiło się moje nazwisko,

szczegóły sprawy zostały zatajone przez Towarzystwo Psychologiczne, nawet przez policję. Morgan and Astley zażądało już wcześniej mojego odejścia, historia samookaleczeń Calluma przyćmiła kwestię oskarżenia i tylko najgorsze brukowce o tym donosiły. Mimo to historia utkwiała w mojej głowie i wypływała za każdym razem, gdy myślałam o dzieciach, za każdym razem, kiedy myślałam o wzięciu nowej sprawy w Place2Be. Wyznałam im prawie całą prawdę, kiedy ubiegałam się o tę pracę; powiedziałam, że przeciwstawiłam się poleceniom zwierzchników, ponieważ uważałam, że leżało to w interesie pacjenta. Nie wyjawiałam jednak, co się wydarzyło później, i nie zrobię tego, jeśli nie będę musiała.

Dan jest na górze i słyszę, jak otwiera drzwi do mojego dawnego pokoju – jedyne miejsce w całym domu, do którego jak dotąd nie zajrzałam. Sama nie wiem, co by było gorsze – czy gdybym po wejściu zobaczyła pokój urządzony całkiem na nowo, tak jak reszta domu, czy gdyby mama zostawiła go bez zmian i niczego w nim nie dotknęła. Teraz jednak to już i tak nieważne; mam wrażenie, jakby wszystkie moje uczucia związane z dzieciństwem, które spędziłam w tym domu z mamą, nawet z historią Calluma, utknęły pod szklaną kopułą: widzę je, pamiętam je, ale nie mam do nich dostępu. Zaparzam nam obojgu herbatę – bezkofeinowa nie wydaje się teraz taką udręką i wybieram ją automatycznie, potem idę z nią na górę.

– Przyniosłam ci herbatę – mówię, wyciągając tacę niczym białą flagę.

– Dzięki. – Dan zatacza ręką łuk. – Pokój został uprzątnięty.

Ostrożnie przekraczam próg i rozglądam się.

– Nie, nie został uprzątnięty.

Wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy odeszłam. Na bladobrzoskwiniowej ścianie tkwią kawałki plastycznej masy mocującej, która zaschła w miejscach, gdzie wisiały moje plakaty,

i wyglądają jak przyklejone do muru kamyki. W rogu stoi rozklekotane biurko, obok płócienna szafa. Przejeżdżam palcem po grubej warstwie kurzu i pajęczyn pokrywających biurko.

– Podejrzewam, że nawet tu nie zajrzała, od kiedy się wyprowadziłam.

– Przecież to obłąd. – Dan rozgląda się po pokoju. Potem patrzy mi w oczy i widzę, że szuka w nich śladu bólu. Przykro mi, Dan, wszystko wyszło. – Mieszkałaś w takich warunkach, Imogen?

– No cóż, sama widzę, że to nie jest Ritz.

– To wcale nie jest zabawne. Czy to dlatego nigdy z nią nie rozmawiałaś? Nie było żadnej kłótni, prawda? Odeszłaś, ponieważ od początku nie miałaś żadnego domu.

– Miałam dach nad głową. – Nie wiem, czemu jej bronię po tylu latach, kiedy nienawidziłam jej i jej złodowaczego serca. – Niektórym dzieciom nawet tego brakuje.

– Daj spokój, Imogen, nawet ja wiem, że to skandaliczne, a przypominam ci, że moja mama dziergała w prezencie dla moich kolegów pokrowce na kutasy.

Staje mi przed oczami konserwatywna, purytańska mama Dana siedząca w swoim kółku szydełkowania i produkująca flakowate brzoskwiniowe piórniki, nieświadoma ich jawnie obscenicznego kształtu, i mimowolnie – to reakcja bezwarunkowa – się uśmiecham, nie tym bladym grymasem, który od kilku dni składałam ludziom w ofierze, aby ich zapewnić, że nie grozi mi załamanie nerwowe, ale prawdziwie i szeroko. Dan patrzy mi w oczy i odpowiada tym samym, i przez chwilę wszystko jest dobrze. Rozgląda się, a ja wiem, że przypomina sobie własny pokój w domu rodziców, urządzonej niczym świątynia jedyne go syna: półki wypełnione książeczkami, które mama na pewno czytała mu co wieczór przed zaśnięciem, puchary i trofea

uświetniające jego sportowe osiągnięcia, a także inne pamiątki szczęśliwego dzieciństwa.

– No cóż, tak to wygląda.

Na jego twarzy maluje się bezgraniczne współczucie.

– Czy to dlatego...? Czemu nigdy nie chciałaś ze mną o tym rozmawiać, Im? Gdybym wiedział, gdybym zrozumiał...

Kładzie mi dłoń na ramieniu i tym razem nie strącam jej, nie odsuwam się. Tym razem pozwalam, aby jego dotyk dodał mi otuchy. Zaczynam płakać.

81

Imogen

Wpatruję się w te cztery ściany tak długo, że w końcu – mogłabym przysiąc – zaczynają się zbliżać, centymetr po centymetrze napierają do środka. Dan był idealną pielęgniarką, przynosił mi jedzenie, picie, lekarstwa, stawiał wszystko na stoliku nocnym, pytał, czy czegoś jeszcze potrzebuję. Od czasu, kiedy dwa dni temu rozplakałam mu się na ramieniu w swoim dawnym pokoju, w stosunkach między nami zaszła minimalna zmiana. Sprawia wrażenie, jakby jego postanowienie, że nigdy mi nie wybaczy tego, co zrobiłam, trochę osłabło, jakby dawał mi czas i przestrzeń, abym mogła się ze wszystkim uporać. Oczywiście ulżyło mi, kiedy zaczął tajać, ale nie wiem, czy kiedyś uda mi się zrozumieć całą tę niesprawiedliwość. Co takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć? Chciałam tylko za wszelką cenę pomóc Ellie. Jedyłą moją winą jest to, że za bardzo się starałam, za bardzo się zbliżyłam do niewłaściwej osoby. Znowu.

Próbuję odpocząć – w końcu tak mi zalecili lekarze – lecz za każdym razem, kiedy zamykam oczy i zaczynam zasypiać, widzę w myślach Hannah Gilbert, jej zakrwawioną twarz, jej brudne, oblepione błotem paznokcie, które wyciąga ku mnie, szepcząc: „A nie mówiłam? Ostrzegałam cię”, i dzieci, całą masę dzieci w czarnych szatach z kapturami; każde z nich niesie martwe niemowlę, a potem jedno po drugim wrzucają w przepaść. Na przedzie stoi Ellie Atkinson z moim nieruchomym dzieckiem. Unosi je nad głową i patrząc na

mnie oczami płonącymi czerwono niczym ognie piekielne, ciska w czeluść, a jednocześnie mówi do mnie cicho i spokojnie: „Nie zasługujesz na to, aby być matką”. Wołam coś, ale nie mogę się poruszyć, jestem tylko widzem, nie mogę powstrzymać tego zbrodniczego sabatu. Potem obraz się zmienia i znów jestem nad kanałem i tonę w zimnej, brudnej wodzie, tylko tym razem czuję drobne rączki trzymające mnie za włosy i ciągnące na dno, aż nabieram pewności, że umrę.

Budzę się, gwałtownie łapiąc powietrze, pewna, że czuję w ustach smak błotnistej wody wpływającej mi do gardła. Makabryczny obraz majaczy gdzieś na obrzeżach świadomości. Czy Ellie zadowolili się zabiciem mojego dziecka, czy w następnej kolejności przyjdzie po mnie i dopadnie mnie w snach? Jak to wyjaśnią, jeśli znajdą mnie utopioną we własnym łóżku? Oczywiście będzie już za późno, nikt nie połączy tego z Ellie. Może Sara Jefferson się domyśli, ale za bardzo się przerazi, żeby wyjawić komuś prawdę, przerazi się, że nikt jej nie posłucha. Sparaliżowana strachem przed potworem mieszkającym pod jej dachem. Och, gdybym wtedy posłuchała Hannah Gilbert, gdybym nie była taka ograniczona, taka cholernie przekonana o swojej absolutnej racji. Gdybym zadała sobie trochę trudu, żeby jej wysłuchać, to może leżałabym teraz obok męża, jego dłoń spoczywałaby delikatnie na moim brzuchu i wybieralibyśmy imiona i kolory do pokoiku dziecinnego.

Tylko że ty nie chciałaś mieć dziecka, pamiętasz? – odzywa się głos w mojej głowie. Dopóki go nie straciłaś.

Nie dostałam wyboru, odpowiadam bezgłośnie. Ona mi je odebrała. A ja nie wiem, jak to zrobiła. Ale się dowiem.

Wstaję z łóżka, krzywiąc się, bo moje nogi protestują. Nie obchodzi mnie, co mówią lekarze i Dan, mam już dosyć wypoczywania. Muszę

naprawić błąd, który popełniłam, i dopilnować, żeby nie przytrafiło się to nikomu innemu.

Wykopuję z szuflady swojego iPada i idę z nim na fotel stojący w kącie pokoju. Otwieram Google'a i wpisuję słowo „telekineza”, po czym czekam, aż załadują się strony.

Nawet wpisując to słowo, czuję się idiotycznie. Telekineza. A jednak od chwili, kiedy ocknęłam się bez dziecka, które nosiłam w swoim łonie, nie mogłam myśleć o niczym innym. Wieczór poronienia jest w mojej pamięci czarną dziurą. Przeskoczyłam z pozycji mężatki spodziewającej się dziecka, napuszczającej sobie wodę do wanny, prosto do roli potencjalnej rozwódki, której dziecko nigdy nie ujrzy światła dziennego, a jedyne, co pamiętam z tej chwili, gdy wszystko się zmieniło, to głos Ellie dzwoniący w uszach głośno i wyraźnie: *Nie zasługuje pani na to, żeby być mamą. Nie zasługuje pani na to, co w pani rośnie. Lepiej, żeby umarło.* To nie mógł być zbieg okoliczności, nie kolejny – po Naomi Harper, Tomie Harrisie, po Hannah Gilbert. Czy Hannah by nadal żyła, gdybym jej wtedy posłuchała?

Czuję w brzuchu gwałtowny skurcz, zamykam oczy i staram się głęboko oddychać. W kącikach oczu zbierają mi się łzy; zamykam dłonie w pięści i przyciskam je do oczu, aż pod powiekami zapalają mi się świetlne punkciki. Kiedy ponownie otwieram oczy, strona zdążyła się już załadować.

**Psychokineza (od gr. ψυχή „psyche”, oraz κίνησις „ruch”) –
zdolność oddziaływania na materię nieożywioną siłą umysłu
i woli.**

No i proszę. Po definicji następują niekończące się strony „dowodów” i relacji ludzi, którzy wierzą, że byli świadkami tego

zjawiska. Klikam na nie po kolei, śledzę wzrokiem opisy dzieci posiadających zdolność poruszania przedmiotów, kontrolowania elektryczności czy oddziaływania na rzeczy siłą woli. Przypomina mi się żart Dana na temat Carrie White.

Łatwo było wtedy zbyć śmiechem pomysł, że jedenastoletnia, niewinnie wyglądająca dziewczynka mści się na ludziach siłą umysłu. To było kiedyś, zanim na własnej skórze poczułam ten gniew i okrucieństwo. Mówiła, że pragnie ukarać ludzi, którzy ją źle traktowali. Wracam myślami do tamtej nocy, kiedy zginęła Hannah Gilbert. Tamtego wieczoru zadzwoniła do mnie Ellie, wydawała się przestraszona, mówiła coś o krzykach. Czy to były krzyki Hannah? Czy dziewczynka wiedziała, co się przytrafiło jej nauczycielce, ponieważ to widziała? Może nie na własne oczy, ale w umyśle?

Wyłączam iPada i z niesmakiem rzucam go na łóżko. Co za głupota! Zachowuję się jak pieprzona idiotka, jak ci wariaci w czapkach z folii aluminiowej, których pokazują w telewizji późnym wieczorem, a nie inteligentna trzydziestosześcioletnia kobieta.

Lecz kiedy godzinę później ponownie włączam iPada, otwiera mi się ta sama strona i zaczynam przewijać kolejne relacje. Gdy czytam jedną szczególną historię z 1978 roku, zaczyna mi walić serce.

Kiedy Abigail Sampson miała dziesięć lat i cztery miesiące, przeżyła głęboki wstrząs – jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym i została sierotą. Wzięła ją do siebie babka ze strony matki, ale wkrótce po tym powiadomiła opiekę społeczną, że nie może wychowywać wnuczki, ponieważ dziewczynka jest dziwna i niebezpieczna. Słów staruszki nie potraktowano poważnie, uznano je za rezultat starczej demencji, wymysły kobiety, która nie radziła sobie z opieką nad dzieckiem. Abigail ulokowano w rodzinie zastępczej, która przez kilka tygodni zgłaszała, że ich podopieczna jest szczęśliwa i dobrze przystosowana. Potem jednak, kiedy rodzice

wzięli na wychowanie drugie dziecko, pięcioletnią dziewczynkę, zachowanie Abigail uległo zmianie. Stała się cicha i zamknięta, zaczęła za to wykazywać skłonności do gniewnych wybuchów. Kilkakrotnie zaobserwowano niezrozumiałe zakłócenia w działaniu instalacji elektrycznej. Mrugały światła, telewizor się włączał, wyłączał, a potem znowu włączał. Któregoś razu po gwałtownej kłótni między Abigail a jej matką zastępczą zapaliła się kuchenka mikrofalowa.

Przykładam dłoń do piersi i przypominam sobie swoją pierwszą wizytę u Jeffersonów, kiedy zastałam Sarę sprząającą po wypadku z mikserem. Do tej pory czuję swąd przepalonych przewodów. Czy pokłóciła się tego dnia z Ellie? Czyżby czymś ją rozzłościła? Jak bym zareagowała, gdyby Sara oświadczyła mi, że dziewczynka popsowała sprzęt siłą umysłu? Wiem jak: wybuchłabym śmiechem i być może orzekła, że Sara Jefferson jest umysłowo nie zrównoważona i nie nadaje się na opiekunkę w rodzinie zastępczej. A czy ja jestem umysłowo zrównoważona? Czy ktoś by mi uwierzył, gdybym mu powiedziała, o czym rozmyślam, czy uznaliby, że przeżyłam poważny cios i zmagam się z nieszczęściem, które mnie spotkało?

Domownicy zaczęli zauważać inne dziwne zjawiska, do których dochodziło, kiedy Abigail znajdowała się w pobliżu. Najczęstszym obiektem stała się jej przybrana pięcioletnia siostra, która wywołała to zachowanie. Pewnego dnia spadła ze schodów, ścisnęła wtedy w rączce zabawkę, którą wykradła z pokoju Abigail. Kiedy matka krzyknęła, widząc małą pod schodami, Abigail, która przez cały czas była z nią w kuchni, powiedziała tylko: „Nie powinna kraść moich rzeczy”.

Rodzice przestraszyli się, że nikt im nie uwierzy, zrezygnowali z prowadzenia rodziny zastępczej i odesłali obie dziewczynki z powrotem do opieki społecznej. Dopiero wiele lat później ujawnili

swoje przeżycia z Abigail, kiedy inni opiekunowie dziewczynki zaczęli opowiadać o podobnych wypadkach. „Cały czas staraliśmy się wynajdywać racjonalne wyjaśnienia tego, co się działo – mówiła jej przybrana matka – ale tych przypadków było zwyczajnie za dużo, aby można je było uznać za zbieg okoliczności. Nikt nie chciał wypowiedzieć słów: »zła« czy »czarownica«, ale wszyscy o tym myśleliśmy”. Dopiero kiedy jeden z domów zastępczych Abigail spłonął niemal do fundamentów wraz z opiekunami, na światło wypłynęła prawda o jej rzekomych zdolnościach parapsychicznych.

Ogień. Przed oczami staje mi dom Atkinsonów spowity płomieniami. Czy Ellie Atkinson spowodowała pożar, w którym zginęli jej rodzice?

Tyle pytań wymagających odpowiedzi. Przeglądam kilka innych artykułów, gdzie powtarzają się te same epizody: kłopoty z elektrycznością, tajemnicze, niewyjaśnione zdarzenia, ludzie obawiający się, że nikt im nie uwierzy. Wtedy na którejś ze stron znajduję numer telefonu lekarza w Brighton, który twierdzi, że widział zjawiska parapsychiczne na własne oczy, że ma dowody, i prosi o kontakt każdego, kto jest w posiadaniu podobnych świadectw.

Artykuł pochodzi sprzed trzech lat; mało prawdopodobne, żeby numer był aktualny. Tak więc kiedy zamknąwszy drzwi sypialni, aby Dan nie słyszał wybierania numeru, po czwartym sygnale słyszę męski głos, jestem autentycznie zaskoczona.

– Halo?

– Czy to doktor Benson?

Zamykam oczy. Czy ja naprawdę tam dzwonię?

– Kto mówi? – pyta ostry, niezbyt przyjazny głos.

– Nazywam się Imogen Reid. Dzwonię, ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy...

Imogen

Nazajutrz wczesnym rankiem wjeżdżam do Greenacres. Powietrze jest chłodne i rześkie; kiedy wysiadam z samochodu, widzę przed sobą obłoki własnego oddechu. Po rozmowie telefonicznej z doktorem George'em Bensonem obejrzałam w internecie to miejsce, więc nie zaskakuje mnie widok wielkiego, majestatycznego budynku otoczonego szmaragdowozielonymi ogrodami. Wzniesiony z jasnej cegły, z kolumnami przed głównym wejściem, bardziej przypomina hotel niż szpital psychiatryczny. W tej chwili drzewa otaczające dom są огоłocone z liści, ale z internetowych zdjęć wiem, że o innych porach roku mieniają się różnymi odcieniami zieleni.

Podjazd jest pusty, przy drodze stoi znak informujący, że parking dla personelu znajduje się po lewej stronie, a dla gości po prawej. Rozglądam się; na razie nigdzie nie widzę ani śladu doktora Bensaona, więc wyjmuję telefon i wyświetlam konto na Facebooku, które wczoraj znalazłam.

Emily Murray jest śliczną, mniej więcej dwudziestopięcioletnią dziewczyną o kruczoczarnych włosach i niezwykłych niebieskich oczach. Na stronie nie ma żadnych ślubnych zdjęć. Czytam ponownie wiadomość, którą wczoraj ułożyłam.

Cześć, Emily.

Mam nadzieję, że nie uznasz tego za niestosowne, ale

zostałam zatrudniona na Twoje miejsce w Place2Be. Pracuję z Ellie Atkinson i rodziną Jeffersonów. Może to zabrzmie dziwnie, ale zastanawiałam się, dlaczego odeszłaś z pracy. Proszę, wybac mi tę bezpośredniość, lecz to może się okazać dla mnie bardzo ważne.

Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Imogen Reid

Staram się za bardzo nad tym nie zastanawiać i po prostu klikam na „Wyślij”. Stało się.

– Pani Reid?

Aż podskakuję. Przede mną stoi mężczyzna po sześćdziesiątce, z gęstymi siwymi włosami, lekką nadwagą i czołem poprzecinanym głębokimi bruzdami. Ma siwe, krzaczaste brwi i zaczerwieniony nos z siateczką widocznych naczyń – czyżby oznaka uzależnienia od alkoholu? Nie chciał mówić przez telefon, dlaczego nie pracuje już w zawodzie, ale jego życzliwe oczy świadczą o tym, że pasował do roli lekarza, przynajmniej kiedyś. Teraz zarówno jego buty, jak i płaszcz wyglądają, jakby dni świetności miały dawno za sobą.

Odpowiadam na jego pytanie skinieniem głowy i wyciągam rękę.

– Zapewne doktor Benson?

– No cóż, owszem, ale nie używam już tego tytułu, od kiedy zakończyłem praktykę.

– Sądziłam, że lekarze zachowują tytuły na emeryturze.

Benson wyraźnie czuje się zakłopotany.

– Formalnie rzecz biorąc, nie jestem na emeryturze, tylko... – Potrząsa głową. – Chodźmy, wejdźmy do środka. Wiedzą, że przyjdziemy, poprosiłem o pokój gościnny.

Idę razem z nim w stronę wejścia do budynku, a następnie po schodach do drzwi. Chociaż budynek zaprojektowano tak, aby wyglądał na stary, w oczy bije nowoczesny system ochrony i kiedy Benson naciska guzik, kamera w murze obraca się w naszą stronę.

– Mają nadzór wideo – wyjaśnia lekarz. – I najlepszy system alarmowy.

W głośniku rozlega się cichy głosik:

– Dzień dobry, George.

Rozlega się brzęczący dźwięk i Benson popycha ręką drzwi. Czuję się trochę nieswojo, wchodząc za nim do dużego holu recepcji, gdzie za biurkiem siedzi kobieta o dobrodusznym obliczu.

– Dzień dobry, Patricio – wita ją ciepło. – Trochę dzisiaj zimno.

– Komu to mówisz? Włączyliśmy rano ogrzewanie na pełen regulator, a ja do tej pory nie mogę się rozgrzać.

Doskonale rozumiem dlaczego. Mimo nowoczesnego wyglądu Greenacres sprawia wrażenie, jakby panowały w nim wieczne mrozy.

– Hetty mówiła, że prosiłeś o pokój, tak? – Patricia ruchem głowy wskazuje drzwi za recepcją. – Mamy dzisiaj wolny tylko Bukowy, mam nadzieję, że ci wystarczy?

Benson potwierdza skinieniem głowy.

– Oczywiście, że wystarczy. To bardzo miłe z waszej strony, że jesteście takie gościnne.

– Jesteś naszym ulubionym gościem. – Patricia uśmiecha się promiennie. – Proszę, żebyście się wpisali... – Wskazuje dużą otwartą księgę gości rozłożoną na biurku. – Zaraz przyniosę wam coś do picia.

– Och, nie rób sobie kłopotu, Patricio. – Benson podnosi dłoń. – Wiem, gdzie są automaty, weźmiemy sobie po drodze.

Patricia przez chwilę się waha, lecz w końcu kiwa głową.

– Tak, oczywiście, przecież znasz szpital, na pewno wszystko będzie w porządku. Tylko nie wędrujcie za dużo. I tak większość

pacjentów jeszcze śpi.

Benson wpisuje nas oboje do księgi, po czym ujmuje mnie za łokieć i szybko prowadzi do drzwi, zanim Patricia zmieni zdanie.

– Oficjalnie nie wolno mi chodzić po szpitalu bez nadzoru – przyznaje. – Sam teraz jestem tu tylko gościem, ale pracując tu przez lata, poznałem sporo osób z personelu. Są naprawdę bardzo uczynni, nie to co większość formalistów w tego rodzaju placówkach. – Zniża głos. – Powiedziałem, że sami przyniesiemy sobie picie, ponieważ chciałem panią trochę oprowadzić po tej instytucji.

W środku Greenacres wygląda bardziej jak szkoła niż dostojna rezydencja, jaką się wydaje od zewnątrz. Idąc, zaglądam przez drzwi do sal ozdobionych kolorowymi pracami artystycznymi i podnoszącymi na duchu sentencjami wymalowanymi na ścianach. W niektórych pokojach stoją tylko wygodne, miękkie fotele, a kiedy mijamy zamknięte drzwi, Benson, wskazując je, mówi:

– To jest gabinet lekarski. Tutaj pracownicy spędzają większość czasu między zmianami i kiedy nie są potrzebni na dyżurach. Przypomina raczej mieszkanie niż biuro.

– Więc personel szpitala pracuje tu dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Oczywiście – odpowiada ze śmiechem Benson. – Te dzieci są bardzo kruche, wymagają nieustannego nadzoru. A niektóre z nich mogą być... niebezpieczne. Chociaż zwykle tylko dla siebie.

– A Gemma? – pytam. – Czy Gemma jest niebezpieczna?

Benson rozgląda się, jakby ktoś mógł nas podsłuchiwać.

– Porozmawiamy o tym za chwilę. Najpierw panią oprowadzę.

Wchodzi przez podwójne drzwi do sali, która wygląda jak wielka stołówka. Ale nie przypomina szkolnych stołówek. W jednym końcu wydzielono kącik odpoczynkowy z wygodnymi kanapami, pufami oraz dużym panoramicznym telewizorem, obok którego piętrzy się

sterta płyt DVD. Po drugiej stronie znajdują się kuchnia oraz kilka automatów. Na ścianach wiszą plakaty z nastoletnimi aktorami i piosenkarzami.

– To świetlica – informuje mnie Benson, choć to zupełnie niepotrzebne. – Jak pani widzi, tu również panuje bardziej domowa niż szpitalna atmosfera.

Zastanawiam się, dlaczego próbuje się przede mną tłumaczyć, jakby chciał usprawiedliwić istnienie tego miejsca. I czemu właściwie ma służyć ta wycieczka?

– Tak, wygląda przeuroczo – odpowiadam.

Mówię to, ponieważ wiem, że tego oczekuje. Prawda jednak jest taka, że nawet najwygodniejsze w świecie kanapy ani kolorowe plakaty nie zatuszują faktu, że te dzieci nie mieszkają w modnym hotelu ani schronisku turystycznym. Zamki w drzwiach, kamery w kącie każdego pomieszczenia i brak ostrych narzędzi zdradzają prawdziwą naturę tego miejsca.

Bierzemy sobie kawę z automatu. Benson wyjmuję z kieszeni kilka żetonów i wrzuca je po kolei do otworu maszyny.

– Goście mogą kupować żetony, dzieci je dostają. Niczego im nie odmawiamy – dodaje szybko.

– Widzę.

Przez chwilę rozgląda się niezręcznie.

– Chodźmy do naszego pokoju, bo Patricia wyśle za nami ekipę poszukiwawczą.

Wracamy do recepcji, gdzie Patricia rzeczywiście sprawia wrażenie niespokojnej. Na nasz widok się uśmiecha, a w jej głosie słychać ulgę.

– Ach, wspaniale, jesteście z powrotem. Bardzo proszę, tędy...

W Bukowym Pokoju doktor Benson siada i rozpiną kilka guzików płaszcza, ale go nie zdejmuje. Ja rozbieram się z wierzchniego okrycia,

siadam naprzeciwko niego i kładę dłonie na stole.

– Powiedział pan przez telefon, że może będzie mógł mi pomóc.

– No cóż... – odpowiada staruszek trochę zakłopotany – nie wiem, na ile tak naprawdę może się to okazać pomocne. Jak wspomniałem, nie pracuję w zawodzie. Odszedłem z pracy... ponieważ w przeciwnym razie by mnie zwolniono.

– Rozumiem – mówię spokojnie, chociaż jestem wstrząśnięta. – Czy mogę w takim razie spytać, dlaczego nie uznał pan za stosowne powiedzieć mi o tym wczoraj?

Ma przynajmniej dość przyzwoitości, żeby się nieco stropić.

– Zależało mi na tym, aby w cztery oczy przedstawić pani całą sytuację. Poza tym muszę przyznać, że bardzo mnie zaciekało to, co od pani usłyszałem. Obawiałem się, że nie zechce się pani ze mną spotkać, jeśli pozna pani całą moją historię.

W mgnieniu oka uchodzi ze mnie powietrze. Kłamca i do tego jakiś szarlatan, tak jak się obawiałam. Ale ma rację – skoro już tu jestem, mogę wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Dobrze. – Upijam trochę kawy. – W takim razie słucham.

Benson kiwa głową i uśmiecha się.

– Jak pani wie, jestem... byłem lekarzem. Psychiatrą. Zajmowałem się dziećmi z najróżniejszymi chorobami, począwszy od zaburzeń pokarmowych, a skończywszy na schizofrenii. Mniej więcej tak, jak to się robi tutaj. Jednak zawsze interesowały mnie zjawiska paranormalne. Wiem, że to dziwnie brzmi. Lekarz, człowiek nauki, wierzący w duchy i upiory. Te dwie strony mojej osobowości nigdy zbyt dobrze ze sobą nie współgrały. Wykształcenie i praca zawodowa stały w sprzeczności z ciekawością nieznanego, ciekawością rzeczy, których nie da się naukowo wyjaśnić. Z kolegami nigdy na te tematy nie rozmawiałem; wszyscy byli naukowcami i żaden nie miał ochoty wdawać się w takie dyskusje. Trudno im się dziwić. Wielu ludzi

zapytanych wprost przyznaje, że wierzy w zjawiska paranormalne, lecz na co dzień pokpiwają ze wszystkiego, czego nie potrafią wyjaśnić, czego nie widzieli na własne oczy lub nie poczuli na własnej skórze. Nawet w obliczu bezpośrednich dowodów kręcą głowami i upierają się, że musi być na to inne wyjaśnienie, chociaż sami nie umieją go podać. Czasem czuję się taki sfrustrowany, widząc, jacy ludzie potrafią być ograniczeni.

Poruszam się niespokojnie na krześle, przypominając sobie, jak sama kpiłam z pani Gilbert, kiedy siedziała w moim pokoju i przekonywała mnie, żebym otworzyła swój umysł.

– Ludzie mają prawo być sceptyczni, skoro istnieje tak niewiele dowodów potwierdzających zjawiska paranormalne.

– Ach! – Benson uderza dłonią w stół i zachwycony celuje we mnie palcem, jakbym tymi słowami dowiodła jego racji. – Otóż właśnie o to chodzi! Istnieje dowód, zawsze istniał, tylko ludzie nie chcą go dostrzec. Z góry zakładają, że jest fałszywy albo że da się go wyjaśnić w racjonalny sposób, jakby nie mogli znieść myśli, że są rzeczy, których nie potrafimy wyjaśnić naukowo. A jednak mimo wszystkich szyderstw i protestów nasz gatunek nieodmiennie fascynuje się zjawiskami paranormalnymi. Wystarczy popatrzeć na to, co się ogląda w telewizji, aby się o tym przekonać. Intrygują nas rzeczy, których nie umiemy wytłumaczyć, a mimo to nie chcemy dopuścić do siebie myśli, że te rzeczy dzieją się w prawdziwym życiu.

Z każdym wypowiedzianym słowem Benson coraz bardziej czerwienieje, coraz bardziej podnosi głos. Widać, że pasjonuje go ten temat, i chociaż jest zakłopotany z powodu swojej przymusowej rezygnacji z zawodu lekarza, muszę przyznać, że w niego wierzę i mam nadzieję, że on wierzy we mnie.

– Tak więc – opiera się na krześle i odchrząkuje – interesowałem się zjawiskami paranormalnymi, lecz robiłem to potajemnie, dopóki

nie poproszono mnie o przyjęcie Gemmy Andrews.

Zerkam w kąt pokoju, spodziewając się zobaczyć jedną z niezliczonych w tym budynku kamer, kierującą na nas swój obiektyw na wzmiankę o pacjentce szpitala. Benson zauważa moje spojrzenie.

– Bez obawy – zapewnia mnie. – To pokój do rozmów prywatnych. Jest dźwiękoszczelny, nikt nas tu nie podsłucha.

Odpowiadam skinieniem głowy.

– Może mi pan opowiedzieć o Gemmie?

Spuszcza wzrok na stół.

– Muszę przyznać, że to nie był przypadek, którym miałbym ochotę się pochwalić. Raczej mi wstyd z powodu tego, jak potoczyły się sprawy. Pewnie domyśliła się pani, że to właśnie z powodu Gemmy porzuciłem psychiatrię. I z tego powodu odwiedzam ją tu co tydzień.

Nie odpowiadam; czekam, aż sam przerwie milczenie. Jako psychiatra musi znać tę sztuczkę, lecz ona mimo to działa.

– Rodzice Gemmy skontaktowali się ze mną wiosną dwa tysiące dziewiątego roku, ponieważ niepokoiili się niektórymi przejawami jej zachowania. Rozpoczęły się one po wypadku samochodowym, do którego doszło rok wcześniej i w którym zginęła jej młodsza siostra.

A więc strata i wstrząs, tak jak w przypadku Ellie, myślę, ale nie chcę mu przerywać.

– Proszę, niech pan mówi dalej – zachęcam go.

– Gemmie zaczęły się zdarzać gniewne wybuchy. Kilkakrotnie zdewastowała w złości swój pokój. Lecz wybuchy te zupełnie nie pasowały do jej charakteru. Na ogół była łagodną, pracowitą i dobrze wychowaną dziewczynką. Przed wypadkiem nigdy nie miała kłopotów w szkole, rzadko nawet zdarzało jej się mówić coś w złości.

– Takie zachowanie może być skutkiem straty, jaką przeżyła – zauważam. – To brzmi jak podręcznikowe wręcz stadium żałoby,

objawiające się poczuciem winy i gniewem. Poczucie winy, że przeżyła, uległo internalizacji, aż gniew zaczął się domagać ujścia.

– Dokładnie tak samo na początku sądziłem. – Benson kiwa głową. – I zgodziłem się przyjąć Gemmę na terapię, pomóc jej radzić sobie z żalobą i znaleźć dopuszczalne dla rodziny sposoby, które umożliwiłyby kanalizację i ujście gniewu. Niestety, jak się okazało, moje początkowe założenia opierały się na niedoinformowaniu. Dopiero na trzecim spotkaniu z Gemmą zdałem sobie sprawę, że mogę mieć do czynienia z czymś zupełnie innym niż stereotypowy przebieg żałoby.

Milknie, zatopiony we wspomnieniach, a ja zastanawiam się, czy próbuje w myślach odtworzyć tamte sesje, uchwycić momenty, w których mógłby postąpić inaczej, i doskonale wiem, co czuje, ponieważ robiłam to samo niezliczoną ilość razy.

– Zauważyło coś, co Gemma powiedziała podczas trzeciej sesji – podejmuje po dłuższej chwili. – Rozmawialiśmy o sytuacji, kiedy zdemolowała swoją sypialnię, a ona powiedziała, że nie pamięta, by czegokolwiek w pokoju dotykała. Zupełnie jakby wpadła w ślepy gniew i przedmioty zaczęły po prostu latać w powietrzu.

Otwieram usta, lecz on podnosi dłoń.

– Wiem, co pani myśli. I prawdę mówiąc, ma pani rację. Zawsze słyszałem tylko relację Gemmy na temat tego, co się z nią działo. Właśnie dlatego zaczęliśmy przeprowadzać testy.

Same mi się unoszą brwi, kiedy Benson relacjonuje rozmaite metody, którymi się posłużył, aby sprawdzić nadnaturalne zdolności Gemmy. Ponieważ okazały się bezowocne, zwiększał presję, naciskał, aż znalazła się na skraju załamania nerwowego. W efekcie w ramach własnych doświadczeń podpaliła kuchnię w domu rodzinnym. Chciała udowodnić Bensonowi, że jest wyjątkowa, tak przynajmniej powiedziała policjantowi.

– I zrobiła to siłą umysłu? – pytam z niedowierzaniem.

– Nie. – Benson kręci głową. – Ekipa śledcza znalazła w kuchni zapalniczkę, która wybuchła, oraz środek przyspieszający rozprzestrzenianie się ognia. Gemma omal nie spaliła całego domu wraz z domownikami tylko po to, aby mi udowodnić swoje możliwości. Przysłano ją tutaj zamiast do więzienia, a ja w niesławie odszedłem z pracy.

– Zaraz! Czyli sprowadził mnie pan tutaj, aby mi powiedzieć, że nigdy nie znalazł pan żadnego dowodu na działanie sił nadprzyrodzonych? Ale na pańskiej stronie internetowej...

– Nie aktualizowałem jej od czasu, gdy odkryłem prawdę. A sprowadziłem panią tutaj, żeby pani pokazać, co się dzieje, kiedy się miesza dzieciom w umysłach. Aby nie popełniła pani mojego błędu.

83

Ellie

Mary lekko ściska Ellie za rękę i wyprowadza ją do ogrodu.

– Co robimy? – pyta Ellie.

Od wyjścia ze szkoły Mary dziwnie się zachowywała – jakby była jednocześnie zdenerwowana i podniecona. Uśmiecha się.

– Nie bój się – mówi, klepiąc ją delikatnie w ramię. – Już ci mówiłam: zrobimy kilka eksperymentów. Pomożemy ci kontrolować twoje zdolności, żebyś mogła z nich zrobić właściwy użytek.

Właściwy użytek? A niby co Ellie próbuje robić przez cały czas? Mimo to jej gniew rośnie z dnia na dzień, a winni są temu ludzie i to, jak ją traktują. Wszystkie myśli przepelnia nienawiść, męczą ją koszmary senne. Ma je teraz co noc – pani Gilbert, dziecko Imogen. I te krzyki, te krzyki... Najbardziej słyszy dziecko – płacze i płacze i nic nie można zrobić, żeby przestało. W snach widzi Naomi wypadającą na ulicę, twarz Billy'ego unoszącą się przed nią z ustami zaszytymi czarną nicią. Usiłuje coś do niej wymamrotać, ale nie może, a kiedy próbuje coś powiedzieć, szwy zaczynają pękać i z otwartych ran kapie czerwona krew.

– Mówiłaś komuś o tym?

Mary kręci głową i nagle twarz jej blednie, a Ellie widzi w jej oczach strach. To dobrze. Powinna się trochę bać. Nie wie, z czym ma do czynienia. Ellie nie powiedziała jej o ostatnich wizjach; woli je zatrzymać dla siebie, przynajmniej przez jakiś czas.

Kiwa głową.

– Co mam robić?

– No więc tak – Mary wskazuje niski murek biegnący między trawnikiem a patio – widzisz te puszki po coli? Ustawiłam je tam specjalnie. Musimy podejść bliżej. – Kładzie dłoń na ramieniu Ellie i podprowadza ją do murku. Ellie w lot pojmuję, o co chodzi. – Dobrze, wystarczy. A teraz chcę, żebyś jedną z nich strąciła.

– I niby jak mam to zrobić?

Mary wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– A skąd ja mam wiedzieć? To ty robisz te wszystkie rzeczy, ty masz moc. Może po prostu pomyśl o niej, że spada.

Pomyśleć, że spada... Och, litości!

Ellie zaciska powieki, dla efektu mamrocze coś pod nosem. Zastanawia się, czy nie pomachać też rękami, ale to by już była przesada. Po minucie otwiera oczy i obie patrzą wyczekująco na puszki. Żadna nawet nie drgnęła. Co za niespodzianka.

– Mary, to chyba tak nie działa. Nie mogę tak po prostu o czymś pomyśleć i sprawić, żeby to się stało.

– Więc jak to robisz?

– Już ci mówiłam. – Ellie stara się zachować spokój. – Kiedy ktoś mi sprawi przykrość albo mnie rozgniewa, myślę o nim złe rzeczy i wtedy coś się dzieje.

– To może byś pomyślała coś złego o puszkach? – rzuca Mary ze zniecierpliwieniem.

Ellie powstrzymuje ironiczny uśmiech.

– Jak? Puszki raczej nie zrobiły mi nic złego...

– Rany boskie, Ellie! – wybucha Mary tak zirytowana, aż Ellie otwiera szeroko oczy z zaskoczenia. – O rany, przepraszam. – Mary cofa się o krok i pociera dłonią twarz. – Nie chciałam na ciebie krzyczeć. Po prostu pomyślałam, że chciałabyś się dowiedzieć, jak to

działa. – Sprawia wrażenie, że naprawdę jest jej przykro. – Może spróbujemy czegoś innego?

Ellie wzrusza ramionami, rozzłoszczona tym wybuchem Mary. W końcu wszyscy oni pokazują swoje prawdziwe oblicze – przyjaciele, nauczyciele, rodzice.

– A gdybyś sobie wyobraziła, że te puszki są ludźmi? – sugeruje Mary. – Wyobraź sobie, że to ludzie, którzy cię kiedyś zdenerwowali. Ta puszka to Naomi Harper, która mówi ci te wszystkie wredne rzeczy. – Zniża głos. – Wyobraź sobie, że szepcze ci do ucha: „Jesteś dziwolągiem, Ellie Atkinson, nikt cię nie lubi, nie masz żadnych przyjaciół, a twoi rodzice pewnie się cieszą, że...”.

I nagle wydaje z siebie wrzask. Jedna z puszek spadła z murku, jakby ktoś ją zestrzelił z wiatrówki.

– O rany! – Stoi osłupiała. – Jak to zrobiłaś?

Ellie udaje, że nie wie, co się tu dzieje. Na razie tak będzie lepiej. Unosi brwi.

– Fajne, co?

– „Fajne”? – powtarza osłupiała Mary. – Ellie, to było dużo więcej niż „fajne”. Jeśli możesz się nauczyć to kontrolować, jeśli możesz rozgryźć, jak to zrobiłaś, to wyobraź sobie... Nikt więcej nie wyrządzi ci krzywdy.

Słowa prześlizgują się przez myśli Ellie niczym jedwabna apaszka przez palce. *Nikt więcej nie wyrządzi ci krzywdy...* Mary nawet się nie domyśla, ile ma racji.

– Chcesz spróbować jeszcze raz? – pyta jej przybrana siostra. – A może jesteś zmęczona? Czy to męczące? Jakie to uczucie?

Ellie kręci głową; próbuje wyglądać na słabą małą dziewczynkę, tak jak oczekuje Mary.

– Nie. Nie jestem zmęczona. Dobrze się czuję. Może trochę dziwnie... Nie wiem, to chyba dlatego, że jestem zdenerwowana

i mam lekkiego stracha. Trochę mi niedobrze.

– Przynieść ci coś? – pyta natychmiast Mary.

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest. Co jeszcze chciałaś zrobić?

– No nie wiem... Na pewno dasz radę?

– Tak – zapewnia ja Ellie z zapałem, jakby najbardziej na świecie pragnęła ją zadowolić. Tylko nie przeholuj, Ellie. – Naprawdę wszystko w porządku. Słowo.

– No dobrze.

Mary chwyta ją za rękę i ciągnie do drzewa, tego, pod którym Ellie siedziała w noc śmierci pani Gilbert. Od tamtej pory skrupulatnie omijała to drzewo, bo za każdym razem, kiedy się do niego zbliża, słyszy krzyki.

Mary musiała zauważyć, że zbladła.

– El, na pewno dobrze się czujesz? – Wyciąga rękę i głaszcze ją po twarzy. – Marnie wyglądasz.

Ellie ze zniecierpliwieniem potrząsa głową.

– Powiedziałam, że nic mi nie jest. – Ruchem głowy wskazuje drzewo. – Co mam tam zrobić?

Mary pokazuje jej patyk przywiązany na sznurku do najniższego konara.

– To też wcześniej przygotowałam – wyjaśnia. – Pomyślałam, że może udałoby ci się nim zakręcić albo co. Nie ma wiatru, więc jeśli się poruszy, będzie wiadomo, że to ty. – Ellie kiwa głową i Mary klaszcze zadowolona w dłonie, po czym podbiega do drzewa. – No dobra, zaczynaj!

Ellie wpatruje się w patyk, rozszerza lekko oczy i stara się wyglądać, jakby się usilnie koncentrowała, ale patyk ani drgnie.

– To na nic. – Wzdycha. – Nie wiem, dlaczego to wszystko się dzieje. Nie umiem tego kontrolować.

– Kiedy spadła puszka – Mary wskazuje murek – wyglądałaś na tak wściekłą, jakbyś miała zaraz eksplodować. Więc może o to chodzi? Może musisz się naprawdę wkurzyć. Kiedy wspomniałam o twoich rodzicach...

Przerywa, jakby sprawdzała, czy Ellie się nie zdenerwuje na wzmiankę o jej rodzicach, lecz ona właśnie tego potrzebuje; musi się naprawdę wściec. Nie wystarczy, że sobie po prostu przypomni twarze dzieci, które jej dokuczały. To musi być prawdziwy gniew.

– Nienawidzę cię – mamrocze do patyka. Potem próbuje jeszcze raz, wyobrażając sobie twarze wszystkich, którzy ją obrzucali wyzwiskami, śmiali się z niej. – Nienawidzę was. Chciałabym, żebyście wszyscy umarli, żebyście się zwijali z bólu. Żebyście poczuli, jak to jest, kiedy się z was śmieją, kiedy was nienawidzą i lekceważą...

Mary wydaje cichy okrzyk. Z początku Ellie myśli, że to z powodu słów, które uleciały z ust słodkiej, małej, dziwnej Ellie Atkinson. Potem jednak spogląda na patyk, który wiruje jak szalony. Nogi się pod nią uginają i klęka na ziemi, kolana wbijają się w ostry żwirek; podpira się ramieniem za plecami. Mary podbiega i kuca obok niej.

– Nic ci nie jest, Ellie? Nic ci się nie stało?

– Nigdy więcej mnie nie skrzywdzą – mamrocze Ellie. – Tak powiedziałaś, prawda, Mary? Nikt mnie więcej nie skrzywdzi.

A potem wszystko robi się czarne.

Imogen

Pukam do drzwi, rozglądając się ukradkiem na wszystkie strony. Jestem pewna, że z głębi domu dobiegają głosy, a na podjeździe stoi samochód. Muszą być w środku.

Wiem, że nie powinnam tu przychodzić, ale nie znam żadnego innego sposobu, aby powstrzymać Ellie przed skrzywdzeniem kolejnych ludzi. Po nieszczęsnym spotkaniu z doktorem Bensonem czuję się jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek dotąd. Nie zdawałam sobie sprawy, ile nadziei z nim wiązałam. Nie mogę też nie zauważyć ironii losu: gdy Hannah Gilbert przyszła do mnie tak samo prosić o pomoc, odwróciłam się do niej plecami. Teraz ja zamierzam przekonywać Sarę.

Przez długą chwilę nikt nie podchodzi do drzwi, więc pukam jeszcze raz, tym razem głośniejsze. Modłę się, żeby nie otworzyła Ellie, żebym nie musiała stawać z nią twarzą w twarz. Myśl o tych zimnych, czarnych oczach napawa mnie przerażeniem.

Mam właśnie zapukać trzeci raz, lecz w tej samej chwili drzwi uchylają się na kilka centymetrów, a w szczelinie pokazuje się twarz Sary.

– Czego chcesz? – pyta, przytrzymując drzwi niczym tarczę, którą się przede mną zasłania.

– Nie przyszłam tu, żeby robić sceny – zapewniam. – Chcę tylko porozmawiać z tobą na osobności. Proszę.

– To nieodpowiedni moment. – Zaczyna zamykać drzwi, lecz ja blokuję je stopą.

– Proszę, Saro, tylko kilka minut. Przyrzekam, że to nie potrwa długo, a jeśli każesz mi wyjść, zrobię to natychmiast.

Sara wzdycha.

– Dobrze – rzuca. – Ale tylko kilka minut, to naprawdę nieodpowiedni moment. Poczekaj, zdejmę łańcuch.

Cofam stopę i drzwi się zamykają, a po chwili otwierają szerzej. Sara sprawia wrażenie kompletnie wykończonej. Zastanawiam się, czy sprawy mogły przybrać jeszcze gorszy obrót.

– Kiepsko wyglądasz – stwierdzam, kiedy wpuszcza mnie do środka.

– Dzięki. – Śmieje się bez cienia wesołości w głosie. – Mogłabym to samo powiedzieć o tobie. – Wprowadza mnie do pustej kuchni.

– Gdzie jest Ellie? – pytam cicho.

– W ogrodzie razem z Mary. – Sara wskazuje głową okno. – O co chodzi? Zdawało mi się, że miałaś się trzymać od niej z daleka.

– Owszem, i zamierzam to robić – obiecuję. – Chcę tylko... Chcę z tobą porozmawiać o tym, co mówiłaś w kawiarni.

Sara potrząsa głową.

– Zapomnij o tym – mówi szybko. – Byłam zła i zdezorientowana, nie myślałam trzeźwo. To było głupie.

– Sprawiałaś wrażenie dość pewnej swego – przypominam jej. – Nie wyglądałaś na zdezorientowaną.

Patrzy na mnie ze zbolaną miną.

– Proszę, nie powtarzaj nikomu tego, co wtedy powiedziałam, po prostu o tym zapomnij. Nie mogę sobie pozwolić na... – Urywa, jakby się zagalopowała.

– Na co? – podchwytuję. – Na co nie możesz sobie pozwolić?

Wygląda przez drzwi do przedpokoju, jakby się spodziewała kogoś, kto może się zjawić lada chwila. Potem zerka na dziewczynki w ogrodzie.

– Nie mogę sobie pozwolić, aby ktoś pomyślał, że miałam problemy. Że mówiłam lub powiedziałam coś przeciwko Ellie.

– Nadal się jej boisz?

Sara kręci głową.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że... z Ellie jest wszystko w porządku, dopóki... no cóż, dopóki wszystko jest w porządku. Dopóki jej nie rozżościmy, nie zdenerwujemy. A sytuacja się trochę zmieniła...

– Słyszałaś, że byłam w szpitalu? – pytam. Czuję się okropnie, wykorzystując w ten sposób swoje dziecko.

Sara kiwa głową.

– Tak, i jest mi bardzo przykro, ale chyba nie uważasz, że Ellie...?

– Jak powiedziałaś: wszystko jest dobrze, dopóki się jej nie rozżości. Musiałaś słyszeć, co mi rzuciła tego dnia na odchodne?

Kręci głową.

– Nie, niczego nie słyszałam. Kiedy Ellie otworzyła drzwi, przestałyście już rozmawiać. Co takiego powiedziała?

Przełykam ślinę. Chociaż słowa te dzwoniły mi głowie przez cały tydzień, nadal trudno mi je wyartykułować na głos. Ale jeśli chcę przekonać Sarę Jefferson, że Ellie jest niebezpieczna, to muszę jej wyjawiać całą prawdę.

– Powiedziała, że nie zasługuję na to, żeby mieć dziecko. Że lepiej, aby umarło.

Sarze zapiera dech.

– Ale skąd wiedziała? Powiedziałaś jej o tym? Chyba nie myślisz na serio, że...

Odpowiadam milczeniem.

– To szaleństwo! – mówi Sara. – Jak miałyby...?

– Jak miałyby zrobić te rzeczy, o które się ją oskarżało? Przecież wiesz, że jest w niej coś dziwnego. Dlatego do mnie wtedy przysłaś.

– Nie... To znaczy tak, uważam, że miała coś wspólnego z tym, co przytrafiło się Billy’emu. Były też inne wypadki... ale nie takie, o jakim mówisz. Nie wierzę, żeby mogła...

Nie kończy, jakby słowa „zabić twoje dziecko” nie mogły jej przejść przez gardło.

– A jeśli tak? – Zerkam na dziewczynki bawiące się za oknem puszkami. – Wiem, że to zakrawa na obłąd, Saro, ale jest taki człowiek, doktor Benson... rozmawiałam z nim... specjalizuje się w tego typu sprawach. W psychokinezie.

Nie powtarzam jej ostrzeżenia, jakim Benson podsumował naszą rozmowę, ani tego, że musiał porzucić praktykę lekarską.

Sara wstrzymuje oddech.

– Oszalałaś.

– Hannah Gilbert też oszalała? Przyszła do mnie kilka dni przed śmiercią, a ja powiedziałam jej mniej więcej to, co ty mówisz teraz mnie. Nigdy więcej jej nie widziałam. Została zamordowana.

Sara cofa się kilka kroków; jej twarz zamarła z grozy.

– Chyba nie sugerujesz...?

– Ellie zadzwoniła do mnie tego wieczoru, kiedy zginęła Hannah. Mówiła, że słyszy jakieś krzyki, w głowie. A jeśli to wcale nie były krzyki z jej umysłu? Jeśli słyszała prawdziwe krzyki? Krzyki Hannah Gilbert?

Podchodzi do drzwi kuchennych i otwiera je szerzej.

– Musisz wyjść.

Nie ruszam się z miejsca.

– Ja zrobiłam to samo – mówię. – Wściekłam się na Hannah i kazałam jej wyjść. Powiedziałam jej, że zwariowała i... – Przerywa mi

płacz dziecka dobiegający z sąsiedniego pokoju. Otwieram szeroko oczy. – Co to było? Macie już niemowlę?

Sara wychodzi szybko do przedpokoju.

– Tylko na próbę, jeszcze nie wzięliśmy go na stałe. Właśnie dlatego powiedziałam, że sytuacja się zmieniła. Od początku pragnęliśmy z Markiem małego dziecka, dlatego założyliśmy rodzinę zastępczą. Nie mogę pozwolić, żeby teraz coś poszło nie tak, żeby coś, co powiem lub zrobię, zaprzepaściło naszą szansę na to, czego od dawna pragnęliśmy.

– Ale...

– Naprawdę musisz wyjść. – Sara ciągnie mnie za ramię. – Jeśli Ellie cię usłyszy, zdenerwuje się, a ja muszę iść do Lily.

– Przecież to wszystko zmienia – zauważam. – Nie rozumiesz tego? Nie tylko wy jesteście teraz w niebezpieczeństwie. Macie w domu maleńkie dziecko.

– To nie twoja sprawa – rzuca. – Chyba nie oczekujesz, że narażę Lily na niebezpieczeństwo? Poza tym naprawdę uważasz, że Ellie, której tak wytrwale broniłaś, mogłaby skrzywdzić bezbronne sześciomiesięczne niemowlę?

Przechodzi mnie dreszcz grozy. Co powinnam teraz zrobić? Poprzednio mogłam po prostu odejść, zostawić całą sprawę pod opieką Sary Jefferson, lecz teraz w grę wchodzi niewinne maleństwo. Muszę powstrzymać Ellie, sama i za wszelką cenę.

85

Imogen

– Chyba wiesz, że gadasz jak popieprzona idiotka? – Pammy krzywi się, oblizując loda. – Aż mózg zamarza. Ale nie przejmuj się, tobie to nie grozi, żeby to poczuć, trzeba go mieć.

– Błagam, Pam, przestań. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym rozmawiać. Czuję się, jakbym weszła do któregoś z tych głównianych horrorów, które oglądałyśmy w twoim pokoju. Próbuję przekonać przyjaciół, że nie zwariowałam, zanim zły duch rozerwie ich na strzępy członek po członku.

– Brrr... – Pammy udaje, że się wzdrygnęła. – No dobra, nie chcę, żeby mi coś poobrywało kończyny, dzięki za obrazową wizję.

– Czy mogłabyś chociaż na chwilę przyjąć, że to, co mówię, jest prawdą? Tylko na użytek naszej rozmowy. Potem możesz znowu patrzeć na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa.

Celuje we mnie lodem.

– Chyba mieszasz filmy. Najpierw mnie straszysz utratą członków, a teraz tobie wyrasta dodatkowy. Zdecyduj się.

Marszczę brwi.

– W tym nie ma nic do śmiechu.

Kiedy zadzwoniłam do Pammy i poprosiłam, żeby się ze mną spotkała, byłam prawie pewna, że nie spodziewała się tego, co właśnie ode mnie usłyszała. Zaczęłam od początku, od pierwszego dnia, kiedy Naomi Harper bez żadnego widocznego powodu wypadła na jezdnię,

a Ellie Atkinson sprawiała wrażenie przerażonej i oszołomionej. Czy wiedziała wtedy, jaką władą mocą? A może ten wypadek był dopiero początkiem czegoś, czego nie umie kontrolować? Według szkoły i Sary Jefferson podobne wypadki zdarzały się już wcześniej. Jak daleko wstecz sięgają rządy terroru tej dziewczynki? Do śmierci rodziców? A może jeszcze dalej?

Pammy się nie odzywała. Zamówiła lody z samochodu stojącego przed parkiem i słuchała uważnie do samego końca, aż doszłam do dziecka, które straciłam. W tym momencie wydała swój surowy werdykt: jestem popieprzoną idiotką.

– Ja się wcale nie śmieję, Im. Naprawdę. Gadasz, jakbyś traciła piątą klepkę. Spotykasz się z jakimiś pokręconymi parapsychologami, opowiadasz o jedenastoletniej dziewczynce z supermocami, która zabija nauczycieli i mści się krwawo na swoich rówieśnikach. Martwię się o ciebie. Martwię się, bo myślę, że mówisz poważnie i naprawdę wierzysz, że straciłaś dziecko dlatego, że pokłóciłaś się z jedenastoletnią dziewczynką. Myślę, że potrzebujesz terapii, skarbie, a ja byłabym kiepską przyjaciółką, gdybym ci w tym wszystkim przyklasnęła.

Wzdycham i rozglądam się po parku. Patrzę na matkę wystukującą coś jedną ręką na komórce, a drugą niecierpliwie popychającą huśtawkę z małym dzieckiem. To był zły pomysł, żeby tu przychodzić, chociaż wcale tego nie planowałyśmy – wylądowałyśmy w parku nieświadomie, przyciągane jakąś siłą grawitacji, tak jak wtedy, kiedy miałyśmy piętnaście lat.

– To, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie – przyznaję. – Dokładnie tak samo myślałam, kiedy zaczęłam z nią pracować. Byłam wściekła, że ludzie się jej boją i traktują ją podejrzliwie. Uważałam, że Hannah Gilbert jest obmierzłą wariatką, która nienawidzi kogoś, kto jest zbyt młody, by na to zasłużyć. Broniałam Ellie, ale przez cały czas

wiedziała, że coś jest nie tak, że coś w tym wszystkim nie gra. A potem...

– Potem przytrafiło ci się coś złego i za bardzo przepelnia cię gorycz, żeby widzieć sprawy jasno – wpada mi w słowo Pammy, ale w jej głosie nie ma zjadliwości. – Potrzebujesz kogoś, kogo mogłabyś obwinić, zamiast zaakceptować fakt, że to, co się stało, było okropnym, lecz zupełnie naturalnym zbiegiem okoliczności. Skierowałaś gniew i frustrację na kruche i zagubione dziecko. Potrzebujesz pomocy, Imogen. Mówię ci to jako przyjaciółka, ponieważ cię znam od czasu, kiedy sama byłaś kruchym, zagubionym dzieckiem.

– A jeśli mam rację? A wiem, że mam.

– Tak jak z tym chłopcem w poprzedniej pracy? Twoja pewność kosztowała cię utratę posady. A jeśli to samo zdarzy się tutaj? Chcesz po raz drugi przechodzić to samo?

– To cios poniżej pasa – protestuję. – Tam było zupełnie co innego.

– Czyżby? Naprawdę potrafisz siedzieć tu spokojnie i mówić mi, że to, co się zdarzyło z tym chłopcem, i twoje zaangażowanie w sprawę Ellie nie są częścią tej samej historii? Chcesz uratować zagubione dziecko, którym byłaś dwadzieścia lat temu, i jeśli tego nie widzisz, to nie rozumiem, jakim cudem skończyłaś psychologię.

– Może poprzednio tak było – przyznaję. – Ale tym razem nie chcę nikogo ratować, nie widzisz tego? Nie próbuję uratować Ellie, tylko znaleźć sposób, żeby ją powstrzymać.

– Ratować, powstrzymywać... – Pammy wzrusza ramionami. – Na jedno wychodzi. Wszystko sprowadza się do tego, aby udowodnić, że nie jesteś nikim, że nie jesteś niewidzialną Imogen Tandy. Jeśli tak nie jest, to dlaczego po prostu nie zostawisz tego wszystkiego w spokoju? Nie poprosisz o przeniesienie do innej szkoły, nie zapomnisz, że kiedykolwiek słyszałaś o Jeffersonach i Ellie Atkinson? Dlaczego nie

pozwolisz, żeby policja odkryła, co się przytrafiło Hannah Gilbert, i nie skupisz się na ratowaniu swojego małżeństwa?

– Mówisz, jakby to było takie proste.

– Bo to jest proste, Immy. Nie możesz ciągle ratować świata. Czasem trzeba poprzestać na uratowaniu siebie.

86

Ellie

Jechali do domu w milczeniu. Mary nie odzywała się ani słowem, a Ellie nie wie, czy Sara i Mark nie odzywali się dlatego, że byli źli na nią, czy dlatego, że bali się, że jeśli coś powiedzą, sprowokują wybuch złości swojej córki. W końcu się stało – przywieźli dziecko do domu, teraz już na stałe.

Zaczęło płakać, gdy tylko przynieśli fotelik z samochodu, zupełnie jakby wiedziało, że znalazło się w obcym otoczeniu. Że to nie jest jego miejsce. Ellie doskonale wie, co maleństwo czuje. Sara i Mark od godziny chwytają się różnych sposobów, żeby uspokoić wrzeszczące niemowlę. Dziewczęta siedzą razem na górze. Mary krąży niespokojnie po pokoju, a Ellie ma uczucie, że głowa jej wybuchnie, jeśli te wrzaski nie ucichną. Zamyka oczy, stara się ukoić narastające zdenerwowanie. Kiedy ostatni raz czuła takie napięcie, ktoś zginął. Musi coś zrobić; musi się nauczyć to kontrolować, zanim znowu kogoś zabije.

Imogen

Ławka jest zimna i niewygodna i za każdym razem, kiedy zatrzepocze wiatr, przenika mnie kłucie maleńkich lodowych szpileczek, ale nawet to jest lepsze od siedzenia w domu. To drugi tydzień mojego zwolnienia po poronieniu. Chciałam wrócić do pracy już po kilku dniach, przerwać tę udrękę pętania się po domu w niezręcznym milczeniu z mężczyzną, który od pięciu lat jest moim mężem, ale dział kadr dyskretnie zasugerował, żebym wzięła co najmniej dwa tygodnie na uporanie się z tym, co się stało, i całkowity powrót do zdrowia.

Patrzę na ciemną rzekę i ogarnia mnie uczucie, że coś wyciągnęło mnie z tego życia i przeniosło dwadzieścia lat wstecz. Ta sama ławka – wisząca niebezpiecznie tuż nad brzegiem rzecznego nurtu, postawiona tu w czasach, kiedy brzegi były szersze i oddzielały ją od ciemnej, stojącej wody. Przychodziłam tu, ilekroć prawdziwe życie stawało się nie do zniesienia. Odkryłam ją, kiedy miałam dziewięć lat. Mama nigdy nie pytała, gdzie się podziewam całymi godzinami po szkole; nie jestem nawet pewna, czy wiedziała, o której godzinie wślizguję się po cichu do zimnego, cichego domu i udaję się prosto do swojego pokoju. Mimo mojego nieszczęśliwego dzieciństwa teraz rzeka wydaje mi się znajoma i bezpieczna. A po wszystkim, co się wydarzyło w moim życiu, potrzebuję tego poczucia.

Wiem, że Dan pragnie mi wybaczyć – nigdy nie lubił przeciągać kłótni – ale po jego utrzymujących się przejawach gniewu i rozczarowania wiem również, że tym razem naprawdę posunęłam się za daleko. Minął zaledwie tydzień, a ja już nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się wzbraniałam przed tym, by powiedzieć mu o ciąży. Teraz nie mogę myśleć o niczym innym poza dzieckiem, które pragnę trzymać w ramionach, czuć zapach jego mięciutkiego ciała i widzieć oczka wpatrzone we mnie z miłością i uwielbieniem. Ile by znaczyło dla maleńkiej istotki to, o co moja matka ani trochę nie dbała: to, że w domu zawsze było zbyt brudno, abym mogła zaprosić koleżanki. Co nie znaczy, że je miałam – nieśmiała dziewczynka w używanym, wiecznie brudnym i trochę śmierdzącym mundurku. Nie wierzę, że biologia wyznacza to, kim jesteśmy. Jesteśmy owocem kultury, nie natury.

Będę musiała opowiedzieć o wszystkim Danowi, jeśli nasze małżeństwo ma przetrwać. Wszystko o swoim dzieciństwie w Lichocie, o ludziach, którzy odwracali głowy, kiedy wchodziłyśmy z mamą do sklepu albo szłyśmy ulicą. O kołdrze od jednej z nauczycielek, młodej pani Rogers, która przynosiła mi kanapki i paczki chrupek, ponieważ wiedziała, że niewiele jem poza szkolnym obiadem.

Dostaliśmy kiedyś pracę domową na temat domu naszych marzeń i podczas gdy inne dzieci malowały zjeżdżalnie biegnące z okien sypialni do basenów i stojące w kuchni maszyny do lodów, ja narysowałam mięciutki materac i kołdrę, półki z książkami na ścianach i największy luksus, jaki mogłam sobie wyobrazić – telewizor w swoim pokoju. Pani Rogers popatrzyła na mój rysunek i zaszklily jej się oczy. Miałam siedem lat i myślałam, że chce jej się płakać, ponieważ mój rysunek jest brzydszy niż innych dzieci, nie taki wspaniały i wymyślny. Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że nie

potrafiła powstrzymać smutku, ponieważ mój dom marzeń wyglądał tak, jak dla większości moich rówieśników wyglądało zwyczajne życie.

Zaciskam mocno oczy, żeby zresetować obrazy i wspomnienia. Nie przyszłam tu po to, by snuć takie rozmyślenia. Uciekłam od duszącej ciszy w domu i znalazłam wytchnienie na zimnej ławce, ponieważ muszę wymyślić, co, do diabła, zrobić z Ellie Atkinson. Wiem, że powinnam trzymać się od niej z daleka, i po tym, co mnie spotkało, nikt nie miałby do mnie pretensji. Ale wiem również, że mam obowiązek zatroszczyć się o dziecko, które Jeffersonowie biorą na wychowanie. Jak bym się czuła, gdyby za kilka tygodni dotarła do mnie pocztą pantoflową wieść, że temu maleństwu coś się stało? Nie wiem, czybym to zniosła.

Muszę z kimś porozmawiać, z kimś wpływowym, kimś, kto mógłby przenieść Ellie w miejsce, gdzie nikogo nie skrzywdzi. Tylko gdzie? W innych rodzinach zastępczych też mogą się pojawić inne dzieci. Zresztą nawet gdyby się nie pojawiły, to powinnam również chronić jej rówieśników ze szkoły. I nie tylko ich, także nauczycieli. Staje mi przed oczami obraz Hannah Gilbert przed drzwiami mojego domu. *Módl się, abyś pożyła na tyle długo, by pożałować, że mnie nie słuchałaś.*

Wiedza nie pomogła Hannah Gilbert. Podejrzewała, nawet jeśli nie wiedziała tego na pewno, kim jest Ellie, a mimo to zginęła. Werdykt: nieszczęśliwy wypadek.

Lecz co by było, gdyby na światło dzienne wyszły nowe dowody w jej sprawie? Wertuję w myślach różne możliwości. Co by było, jeśli na miejscu zbrodni znalazłoby się coś, co powiązałoby Ellie ze śmiercią nauczycielki? To ryzykowne. Musiałabym się dostać do domu Jeffersonów, ukraść coś, co należy do Ellie, i podłożyć w opuszczonym mieszkaniu, a wszystko pod groźbą, że ktoś mnie zauważy. Czy mogłabym ją tam zwabić i tak zaaranżować spotkanie,

żeby pozostawiła odciski palców? Na pewno bez trudu wkradłabym się ponownie w jej zaufanie – wystarczyłoby ją przeprosić i obiecać, że nigdy więcej nie sprawię jej zawodu. Lecz gdyby się zorientowała, co zamierzam zrobić... Może zresztą już wie. Ona wie różne rzeczy.

Jak daleko sięga jej moc? Czy ludzie byliby bezpieczni, nawet gdyby siedziała w więzieniu? Nawet gdyby się do wszystkiego przyznała i...

– Tak! – mruczę pod nosem.

Gdyby udało mi się wyciągnąć z niej wyznanie, wystarczyłoby, że nagrałabym je na taśmę.

Przechodzi mnie dreszcz. Co ja najlepszego wygaduję? Wpadam w obłąd. Owijam się szczelniej wielkim płaszczem Dana. Rzeka jest tak spokojna i nieruchoma, cisza tak kompletna, że kiedy słyszę za plecami kasznięcie, serce podchodzi mi do gardła.

Kilka metrów od ławki stoi mężczyzna, opatulony dla ochrony przed porannym chłodem granatową ocieplaną kurtką, pod która nie sposób nawet ocenić sylwetki, czarnym szalikiem i czarną wełnianą czapką. W efekcie spod ubrania prawie nie widać jego twarzy, wystają tylko usta, nos i oczy.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. – Podnosi dłoń. – Zostawię panią samą.

Zdaję sobie sprawę, że to jedna z tych sytuacji, kiedy powinnam milczeć i pozwolić mężczyźnie odejść, mimo to mówię:

– Nie, nie musi pan. Proszę, może się pan do mnie przysiąść.

W jego postawie i zachowaniu jest coś, co świadczy o tym, że mężczyzna jest niegroźny. Wygląda na przybitego, tak jak ja się teraz czuję. Przez chwilę rozważa moje zaproszenie. Najwyraźniej spodziewał się zostać sam w miejscu, które, jak widać, ma dla niego równie szczególne znaczenie jak dla mnie.

– Obiecuję, że nie będę się do pana odzywać, jeśli pan nie chce – mówię.

Odpowiada czymś, co jest na wpół uśmiechem, na wpół grymasem, po czym siada na drugim końcu ławki. Próbuje się uśmiechnąć.

– Ładnie tu, prawda?

Nie patrzy na mnie, tylko na drugą stronę rzeki, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Przepraszam – mamroczę zawstydzona, że tak szybko złamałam swoją obietnicę.

Przez pięć minut siedzimy i w milczeniu patrzymy na wodę. W końcu mężczyzna się odzywa.

– Kiedyś często tu przychodziłem – mówi. – Od jakiegoś czasu przestałem. Może mi się zdawało, że już nie potrzebuję. Trochę to przypomina kościół. Ludzie przychodzą w takie miejsca, kiedy jest im źle. Czy miejsce może być dobre, jeśli ściąga do siebie tylko negatywną energię?

– Myślę, że to trochę jak z drzewem – odpowiadam. Mężczyzna odwraca się do mnie i unosi brwi. – Drzewa pochłaniają dwutlenek węgla, który jest dla nas szkodliwy, a oddają tlen potrzebny nam do życia. Zupełnie jakby zbierały naszą truciznę, aby nas uzdrowić. A my nawet tego nie zauważamy. Wydaje mi się, że z tym miejscem jest podobnie. Zbiera to, co w nas negatywne, żebyśmy mogli to zostawić za sobą i wrócić do prawdziwego życia uwolnieni od ciężaru. W każdym razie tak myślałam, kiedy byłam dzieckiem.

Zastanawia się nad tym przez chwilę.

– Musiała być pani bystrym dzieciakiem.

Uśmiecham się smutno.

– Owszem, byłam. Czasem się zastanawiam, jak to się stało, że wyrosłam na takiego matoła.

– To się zdarza najlepszym. – Śmieje się, ale wcale nie wygląda na rozbawionego. – Nie wiedziałem, że mieszkała tu pani w dzieciństwie. Sądziłem, że przeprowadziła się tu pani.

Teraz z kolei ja odwracam się do niego zdziwiona.

– Pracuje pani w Place2Be, prawda? Ja jestem Evan Hawker. – Czeka chwilę, aż przetrawię tę wiadomość. – Tak, ten Evan Hawker.

Sara całymi dniami chodzi wykończona. Oczy ją pieką, ma uczucie, jakby jej głowa miała się zapaść do środka. Na twarzy wyskakują jej plamy jak dziewczynie w okresie dojrzewania, włosy wiecznie ściągają w przetłuszczony, cienki kucyk. Nie pamięta, żeby z Mary było to takie trudne, ale od tamtej pory minęło piętnaście lat, a czas ma wspaniałe właściwości upiększania wspomnień, aż jedynym, co człowiek pamięta, jest gaworzące, gruchające niemowlę. Kolki i nieprzespane noce zostają wytarte jak po wciśnięciu „Delete”.

Dziewczynki wróciły ze szkoły i nie ma szans pójść na górę i chwilę się zdrzemnąć. Lily śpi w salonie na swoim leżaczku, a Sara próbuje wymyślić najszybszy sposób wprowadzenia kofeiny prosto do krwiobiegu. Mary zbiera w ogrodzie jakieś puszkę, którymi bawiły się z Ellie. Podnosi je i ogląda, jakby wyczytywała z nich sens życia. Sara naprawdę nie rozumie swojej córki: przyjęła Ellie tak dobrze, chroniła ją niczym rodzoną siostrę, więc dlaczego zrobiła się taka zimna, od kiedy zjawiała się Lily? Sara już ją zapewniła, że Ellie nie będzie musiała odejść wcześniej z powodu nowego dziecka, nikt nie kazał Mary oddawać swojego pokoju ani ponosić żadnych innych ofiar. Wprawdzie Sara zapowiedziała, że po kłopotach, jakie mieli z Ellie, nie będą brać więcej dzieci, ale od wypadku pod drzewem w lesie nawet Ellie jakby się uspokoiła. Sara ma wyrzuty sumienia, że zbagatelizowała tamtą historię, kiedy zadzwonił szef Imogen, ale naprawdę nie może pozwolić, by ktoś pomyślał, że dzieciom pod jej

opieką grozi jakieś niebezpieczeństwo. Zresztą przecież Ellie nic się nie stało. To były tylko dziecięce wygłupy, psikus, który posunął się za daleko.

Rozgląda się po ogrodzie za Ellie, ale nigdzie jej nie widzi. Pewnie siedzi w swoim pokoju, z książką albo czymś innym. Jest taka dziwna, kiedy patrzy na człowieka, tak jakby czytała mu w myślach. Sara na pewno się nie zmartwi, kiedy znajdą jej dom na stałe. Rozgląda się za komórką, żeby zajrzeć na Facebooka, i wtedy przypomina sobie, że zostawiła ją w salonie. Psiakrew, pewnie jej nie wyciszyła i jeśli zadzwoni Mark, obudzi Lily. Przekrada się po cichu, jak potrafi tylko kobieta opiekująca się małym dzieckiem. Dopiero gdy dochodzi do drzwi salonu, słyszy głos. Jest cichy, ale to niewątpliwie głos Ellie.

– Już go nie ma. Umarł. Moi rodzice nie spełnili swojego obowiązku, nawet nie próbowali nas ratować. Był malutki i nie mógł dosięgnąć klamki. To oni powinni go stamtąd wynieść.

Sara zdaje sobie sprawę, że jest zmęczona i rozchwiana emocjonalnie, mimo to łzy nabiegają jej do oczu. Ellie może i jest dziwną dziewczynką, ale nadal na tyle młodą, by wierzyć, że jej rodzice powinni byli zapewnić dzieciom bezpieczeństwo. Nie rozumie, że dym mógł ich zatruć, zanim się obudzili, że jej też by tutaj nie było, gdyby nie zdążyła dobiec do okna.

– Na tym polega problem z dorosłymi. Są ciągle tacy roztargnieni. Nie mają pojęcia, gdzie się kryją największe zagrożenia. A jeśli ich nie widzą, to jak mogą cię przed nimi ochronić? – Głos Ellie nabiera ostrości. – Nie mogą. Sara cię nie ochroni. Nikt cię nie ochroni. Jesteś zdana na siebie...

Kiedy Sara zamiera z drżącą dłonią na klamce, drzwi się otwierają od środka i w progu staje Ellie. Nie podskakuje przestraszona, nie ogląda się na boki; na jej twarzy nie widać skruchy.

– Cześć, Saro.

Macha lekko dłonią, mija ją i wychodzi do holu, a Sarze aż dech zapiera i głos jej więźnie w gardle. Bo słowa Ellie wcale nie brzmiały jak niewinne szczebiotanie dziecka do niemowlęcia. Jeszcze w tym samym tygodniu Sara przysięgnie na policji, że brzmiały jak groźba.

Imogen

Milknę wstrząśnięta. Obok mnie siedzi na ławce i patrzy na drugi brzeg mężczyzna, którego pół miasta uważa za mordercę. A ja go zaprosiłam, żeby się do mnie przysiadł i naostrzył maczetę. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że Evan Hawker nie wygląda groźnie, tylko żałośnie. Z bliska dostrzegam niedbałą, szorstką szczecinę na twarzy, której na pewno nie przyciął stylowo fryzjer, bo jest niechlujna i wskazuje, że jej właściciel ma ważniejsze sprawy na głowie niż dbałość o wygląd. Rozpacz wyryta na twarzy głębokimi bruzdami i podkrążone oczy świadczą o wielu nieprzespanych nocach.

– Czy to będzie głupie z mojej strony, jeśli zapytam, jak pan sobie radzi? – odzywam się cicho.

Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. Nagle uprzytamniam sobie, dlaczego ludzie tak mało ze mną rozmawiają, od kiedy straciłam dziecko. Dlaczego Danowi tak trudno patrzeć mi w oczy. Bo co można powiedzieć człowiekowi, w którego życiu zapanowała żałoba? Dla którego dobre rady i frazesy brzmią płytko i nieszczerze, który nie pragnie niczego innego, tylko cofnąć czas i coś zmienić. Cokolwiek.

Evan wydaje głośnie prychnięcie.

– A czy z mojej strony będzie głupie, jeśli zapytam o to samo?

I tak oto siedzi dwoje ludzi połączonych najgorszym scenariuszem wydarzeń, jaki może obrać życie: żałobą.

– Myśli pan, że dzięki temu poczuję się mniej podle? – odpowiadam pytaniem.

Kręci głową.

– Nie. – Kopie butem dołek w ziemi, nie patrzy na mnie. – Takie rzeczy muszą zaważyć na przyszłości. Do końca życia będę mężczyzną odpowiedzialnym za śmierć kochanki.

Czy chciał przez to powiedzieć, że Hannah nadal by żyła, gdyby nie mieli romansu? Czy ma na myśli bardziej dosłowną odpowiedzialność?

– Nie powinien się pan obwiniać – mówię po dłuższej przerwie. – To był wypadek.

Patrzy na mnie wzrokiem zasnutym żalobą.

– Naprawdę pani w to wierzy? Wierzy pani, że spadła ze schodów?

– Rozumiem, że pan nie wierzy?

– Nie. Byliśmy tam wiele razy. Hannah знаła drogę; nigdy wcześniej nawet się nie potknęła. A nawet jeśli to był wypadek, to po co tam w ogóle poszła?

– Może... może spotykała się z kimś innym? – sugeruję ostrożnie.

Evan uśmiecha się żałośnie.

– Niemożliwe. Wiem, że to brzmi jak hipokryzja, ale ja i Hannah się kochaliśmy. Nie zdradziłyby mnie.

To samo powiedziała Florence Maxwell – dwoje ludzi, którzy znali Hannah najlepiej.

– Więc co pańskim zdaniem tam robiła?

Wzrusza ramionami.

– Myślała, że idzie na spotkanie ze mną.

Wyobrażam sobie Hannah Gilbert, jak szykuje się na wieczorną schadzke: maluje się, wkłada najlepszą bieliznę i przez cały czas zmierza prosto w objęcia rozczarowania i śmierci.

– Florence powiedziała mi o listach w drzewie.

– Głupota – wybucha Evan. – To była głupota i arogancja. Wiedzieliśmy, że ktoś je może znaleźć, dzieciaki nie zostawiają kamienia na kamieniu, szukając kryjówek na papierosy, ale Hannah przekonywała mnie, że skoro nie podpisujemy listów, to jeśli ktoś je znajdzie, i tak się nie domyśli, kto je pisał i do kogo. Nawet kiedy znalazła tę wiadomość...

– Jaką wiadomość?

– Ktoś zostawił w drzewie karteczkę w kształcie jabłuszka z informacją: *Wiem, co robicie*. Hannah widziała takie karteczki w torbie jednej z uczennic. Powiedziała, że się tym zajmie.

– Uważała, że to Ellie, prawda?

Evan kiwa głową.

– Tylko że ona jest jedyną osobą, która nie mogła jej zabić.

– Dlaczego? Bo jest młoda i niewinnie wygląda?

Evan wybucha śmiechem.

– Błagam, Imogen. Jestem nauczycielem matematyki! Naprawdę uważa pani, że mogą mnie zwieść młode i niewinnie wyglądające dziewczątka? Nie, Ellie Atkinson jest poza podejrzeniami, ponieważ była wtedy u mnie.

Aż mnie zatyka.

– U pana? Jak to? – pytam głupio.

– Mieszkam niedaleko Jeffersonów, przy sąsiedniej ulicy. Znalazłem ją tamtego wieczoru w swoim ogródku. Była mniej więcej za dziesięć dziesiątą, usłyszałem na dworze hałas i wyszedłem sprawdzić, co się dzieje. Ellie stała i patrzyła na dom, wyglądała na oszołomioną, jakby zagubioną, jakby się właśnie ocknęła, jakby dopiero odkryła, że lunatykowała. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się znalazła przed moim domem ani dlaczego, ale wydawało jej się, że miała mi do powiedzenia coś ważnego. Kazałem jej wejść do środka, żona zrobiła jej coś gorącego do picia, a potem odprowadziłem ją do

domu. Ellie prosiła, żebym nie dzwonił do drzwi, i weszła boczną furtką. Oczekałem jakieś dziesięć minut, żeby się upewnić, czy nie wyjdzie znowu. Przez całą noc myślałem o tym, że powinienem był zadzwonić do jej opiekunów. Potem wyszło na jaw, co się stało z Hannah, i zapomniałem o tym, dopóki policja nie zaczęła mnie wypytywać, co robiłem tamtego wieczoru.

– Czy Ellie zachowywała się dziwnie?

Evan prychnął.

– Poza tym, że przyszła do domu swojego nauczyciela prawie w środku nocy we śnie albo w transie?

– Chodzi mi o to, czy była zdenerwowana albo zła.

– Nie, tylko oszołomiona.

– Ale jej siostra powiedziała mi, że Ellie spędziła z nią cały wieczór.

Dlaczego miałyby kłamać?

Wzrusza ramionami.

– Może Ellie nie powiedziała jej, gdzie była, a Mary podejrzewała, że siostra miała coś wspólnego ze śmiercią Hannah, i doszła do wniosku, że kłamiąc, ją ochroni.

– Hm – mrużę do siebie.

Co takiego Ellie próbowała powiedzieć Evanowi tamtego wieczoru? Czy chciała uratować Hannah życie, czy wręcz przeciwnie? Jest potworem czy ofiarą?

Imogen

W takim mieście jak Lichota określenie „przychodnia specjalistyczna” jest rażącą przesadą. Dwaj lekarze pracują w czymś, co można jedynie nazwać wielką chatą, a jeżeli widziała ona lepsze dni, to ja ich na pewno nie pamiętam. Gabinety lekarzy są urządzone bardzo skromnie i jeśli przyjrzeć się listwom przypodłogowym, to można zauważyć, że niektóre nie zostały nawet porządnie pomalowane. Chociaż Dan jeszcze mi całkiem nie wybaczył, że zataiłam przed nim ciążę, ściska moją dłoń niczym tonący szalupę. Nie wiem, kto jest bardziej zdenerwowany; sądząc po jego bladej i kamiennej twarzy, powiedziałabym, że on.

Przyszliśmy poznać wyniki badań, które robiono mi w szpitalu i które miały wyjaśnić, dlaczego nasze dziecko nie przeżyło dziesięciu tygodni. Już mnie uprzedzono, że nie ma w tym nic niezwykłego, że poronienia zdarzają się na tym etapie często; czasem kobiety nawet nie wiedzą, że były w ciąży, a niektóre prawdopodobnie nigdy się nie dowiedzą, ponieważ uznają skurcze i obfite krwawienia za wyjątkowo ciężką menstruację. Lekarze w szpitalu nawet nie garnęli się do robienia tych badań; miałam wrażenie, że co chwila gryzli się w język, żeby nie powiedzieć „To normalka”, i gdyby Dan się nie uparł, ja prawdopodobnie bym nie naciskała. Między innymi dlatego, że nie potrzebuję USG, by wiedzieć, dlaczego moje dziecko nie przeżyło. Znam powód, ale nie da się o nim dyskutować z lekarzami. Mam tylko

nadzieję, że Dan nie będzie zbyt zdruzgotany, kiedy usłyszy, że nie ma żadnego logicznego powodu śmierci naszego dziecka.

– Jak państwo zapewne wiedzą, wezwaliśmy was, ponieważ mamy już wyniki badań.

Z ukłuciem wyrzutów sumienia uprzytamniam sobie, że czułabym się swobodniej, rozmawiając o swoich intymnych narządach z siwym staruszkiem w drucianych okularach, a nie z młodym, przystojnym mężczyzną o ciemnych, lekko kręconych włosach, ubranym w dżinsy i jasnoróżową koszulę w prążki.

– Tak, mamy nadzieję, że to nie są złe wiadomości – mówi Dan.

Lekarz lekko marszczy czoło.

– No cóż, obawiam się, że nie są również całkiem dobre. Zwykle w takich okolicznościach trudno wskazać na przyczyny utraty płodu. Jednak w pani wypadku, pani Reid – patrzy na mnie wzrokiem, który z pewnością ma wyrażać współczucie – USG wykazało, że cierpi pani na tak zwaną endometriozę. Dochodzi do niej, kiedy komórki błony śluzowej macicy nie opuszczają organizmu. Badania wykazały pewną ilość tych komórek wokół pani macicy i jajników, co najprawdopodobniej doprowadziło do poronienia.

Nie wierzę własnym uszom. Byłam pewna, że USG niczego nie wykaże; nawet się nie zastanawiałam, co pocuję, jeśli usłyszę inną diagnozę.

– Czy można coś z tym zrobić? – pyta Dan łamiącym się głosem.

Wiem, o czym w tej chwili myśli – że nigdy nie stworzymy prawdziwej rodziny. Czy zostanie ze mną, jeśli nie dam mu dziecka? Tak bardzo pozwoliłam pochłonąć się roztrząsaniom, czy chcę mieć dziecko, czy nie, że ani razu nie przyszło mi do głowy, co się stanie, jeśli nie będę mieć wyboru.

– Możliwe, że obejdzie się bez takiej konieczności – mówi doktor Richardson. – Ponieważ nie zauważyła pani żadnych objawów, trudno

powiedzieć, jak długo trwa ten stan...

– To znaczy, że mogę to mieć od niedawna? – wtrącam się.

Lekarz kręci głową.

– Sądząc po ilości znalezionych komórek, na pewno nie nastąpiło to w ciągu krótkiego czasu, chociaż trudno ocenić dokładnie, kiedy ten proces się zaczął. Jeśli chodzi o leczenie, to dopóki nie ma objawów zakłócających pani życie codzienne...

– Utratę dziecka chyba można potraktować jako zakłócenie życia codziennego? – wtrąca gniewnie Dan. – Chce pan powiedzieć, że z powodu cięć budżetowych moja żona musi najpierw znieść codzienne katusze, żebyście się zabrali do leczenia?

Nie wiem, czy jego wybuch jest spowodowany troską o mnie, czy strachem, że oto pierzcha jego sielankowa wizja naszej rodziny. Lekarz patrzy na niego zakłopotany.

– Przepraszam, panie Reid, naturalnie nie zamierzałem sugerować, że strata dziecka nie jest dotkliwym zakłóceniem życia. Chciałem powiedzieć, że leczenie tego schorzenia może być bardziej dotkliwe niż sama choroba. W trzech na dziesięć przypadków endometriozy dochodzi do samoczynnej poprawy, nie ma natomiast skutecznych sposobów leczenia tej dolegliwości. Odpowiedź na pytanie, jak najlepiej radzić sobie z chorobą, zależy od bardzo wielu czynników, a jednym z nich jest pani płodność, pani Reid. Możemy zlecić leczenie hormonalne, które zmniejszy ból, lecz może uniemożliwić pani zajście w ciążę z powodu blokady estrogenu. Ja osobiście proponowałbym, aby przez jakiś czas, powiedzmy, co najmniej dwanaście miesięcy, próbowali państwo spłodzić dziecko w sposób naturalny, potem wykonamy ponownie badania i przedyskutujemy dostępne możliwości leczenia.

Kiwam głową, ale Dana sugestia lekarza wcale nie ułagodziła. Czerwienieje na twarzy i zaciska zęby.

– Więc proponuje nam pan terapię pod tytułem „Poczekamy, zobaczymy”, tak?

Zabieram dłoń, którą ściska tak mocno, że mógłby mi połamać palce, i dotykam jego ramienia.

– Pan doktor wie, co mówi, Dan – upominam go cicho.

Rzuca mi spojrzenie, jakim nigdy na mnie nie patrzył, spojrzenie, które mówi: „Nie prowokuj mnie, żebym powiedział coś, czego potem pożałuję”.

– A czy pan doktor wie, jakie to uczucie stracić dziecko, o którym się nie miało pojęcia? – Jego głos drży, z trudem przechodzi przez ściśnięte gardło.

Z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że mój mąż powstrzymuje łzy.

– Nie – odpowiada lekarz. – I nie zamierzam udawać, że wiem. Chcę jedynie powiedzieć, że skoro pana żona mimo stanu chorobowego zaszła w ciążę, to istnieje duża szansa, że zajdzie ponownie. Wydarzenia wskazują, że pańska żona nie jest bezpłodna, i ostatnią rzeczą, jaką chciałbym teraz zaordynować, jest rozpoczęcie leczenia, które może to zmienić. Gdyby odczuwała ciągły ból lub dochodziło do krwotoków, zaleciłbym inne postępowanie. Od poronienia minęło niewiele czasu, dla jej organizmu był to ogromny cios. Decydowanie się w tych okolicznościach na operacje chirurgiczne byłoby zbyt dużym obciążeniem.

Dan spuszcza wzrok; teraz on z kolei wygląda na zakłopotanego.

– Oczywiście – mamrocze. – Przepraszam. Chcę tylko tego, co również dla niej będzie najlepsze.

– Nie musi pan przepraszać – mówi dobrodusznie lekarz. – Naprawdę chcę państwu pomóc i zapewniam, że będziemy mieć do dyspozycji bardzo wiele metod. Dwanaście miesięcy może się panu wydawać długim okresem, ale wiele par czeka tyle na poczęcie pomimo braku jakichkolwiek komplikacji zdrowotnych. Gdyby coś się

zmieniło, jeśli pojawiłyby się bóle lub silne krwawienia, proszę natychmiast przyjść i wtedy zastanowimy się, co robić dalej. A na razie – bierze ulotkę z biurka – oto kilka stron internetowych, które pozwolą państwu lepiej zrozumieć, co się dzieje. Jeśli mają państwo jeszcze jakieś pytania, proszę śmiało pytać.

Dziękujemy mu i wychodzimy w milczeniu. Powinnam się cieszyć, że dostałam jakieś wyjaśnienie tego, co się stało, lecz myślę tylko o jednym – jak koszmarnie się myliłam. Ellie nie może być winna choroby, która zaczęła się, zanim ją poznałam. Upokorzenie pali mnie w piersi jak samo piekło. Powiedziałam Pammy i tej cholernej Sarze Jefferson, że Ellie zabiła moje dziecko. Nie jestem lepsza od tych wszystkich ludzi, których obrzucałam wyzwiskami i kazałam im się wstydzić. Ja również powinnam się wstydzić. I wstydzę się.

A skoro Ellie nie ma nic wspólnego z moim poronieniem, to cały mój gniew, strach i podejrzliwość wobec niej były całkowicie bezpodstawne. Co pozostawia jedno zasadnicze pytanie: Co się w tym mieście dzieje, do cholery?!

91

Imogen

Dom Harperów jest większy i okazalszy od tego, w którym mieszkają Jeffersonowie. Najwyraźniej skusiła ich wiejska okolica – mieszkają na odludziu, na końcu długiej, krętej drogi, tak że prawie przeoczyłam właściwy skręt. Serce mi wali na myśl o przyjęciu, jakie zapewne zgotuje mi Madeline Harper; po tym, co się stało w dniu naszego przyjazdu do Lichoty, na pewno nie zaprosi mnie na gorącą czekoladę. Ja jednak rozpaczliwie potrzebuję informacji, więc jeśli tylko ta kobieta na mój widok nie wezwie policji, może uda mi się tu uzyskać kilka odpowiedzi.

Przed drzwiami biorę głęboki oddech i naciskam dzwonek. Po kilku minutach słyszę zgrzyt zamka i drzwi się otwierają.

– Słucham?

Madeline Harper byłaby atrakcyjną kobietą, gdyby nie wyglądała, jakby nieustannie żuła osę. Znam takie kobiety z wyrazem twarzy wyluzowanej zdiiry, jak je nazywa Pammy. Kobiety, które sprawiają wrażenie wiecznie niezadowolonych.

– Nazywam się Imogen Reid, spotkałyśmy się kiedyś w mieście, pani córka wypadła na ulicę pod nasz samochód.

Na twarzy Madeline świta zrozumienie.

– Naomi mówiła mi, że pracuje pani w szkole – mówi.

Na razie idzie nieźle – jeszcze nie złapała telefonu, żeby zadzwonić na policję.

– Tak. Pracowałam z Ellie Atkinson. Czy mogłabym porozmawiać z Naomi, jeśli jest w domu?

– Nie wiem, co pani powiedziała ta dziewczucha, ale ona na pewno kłamie. Czy pani wie, że zaatakowała w szkole moją córkę? Nauczyciele mówią, że nie ma na to dowodów, ale Naomi twierdzi, że to była ona, i mnie to wystarczy. To dziecko trzeba gdzieś zamknąć.

– Właśnie dlatego tu jestem – wyjaśniam szybko. – W szkole doszło do kilku incydentów, w które może być zamieszana Ellie. Chcę się dowiedzieć, co Naomi o nich wie.

Jeśli choć przebaknę, że Naomi również mogła maczać palce w tych zdarzeniach, Madeline Harper zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Właśnie analizuje, czy moja obecność może przedstawiać jakieś niebezpieczeństwo dla jej bezcennej córeczki. Podczas gdy matka się zastanawia, czy kazać mi się odpiardolić, z holu dobiega głos Naomi:

– Wpuść ją, mamuś. Porozmawiam z nią.

Jej matka nie wygląda na przekonaną, ogląda się na córkę, a ta kiwa głową. W końcu z westchnieniem otwiera drzwi.

– Nie chcę tu żadnych kłopotów – ostrzega, kiedy wchodzę do przedpokoju. – Wiem, że broniła pani tej dziewczuchy przed całą szkołą, i jeśli zdenerwuje pani moją Naomi...

Nie kończy, ale ja i bez tego wiem, do czego zmierza. Kiwam głową, a ona wskazuje mi drogę do kuchni.

Naomi w niczym nie przypomina atrakcyjnej, pewnej siebie dziewczynki, którą spotkałyśmy z Ellie w mieście. Jej długie włosy znikły, zastąpiła je brzydka czupryna ostrzyżona na chłopaka, w której jej kompletnie nie do twarzy. Dziewczynka siada, automatycznie poprawiając włosy niezręcznym gestem. Nie czekając na zaproszenie, siadam naprzeciwko niej.

– Co pani chce wiedzieć? – pyta bez wstępów.

Odchrząkuję; staram się nie dać po sobie poznać, że jestem zdenerwowana.

– Wiem, że nie bardzo się lubiłyście z Ellie. Nie chcę nikogo oskarżać ani szukać winnych; chciałabym natomiast wiedzieć, jak to się zaczęło.

– Wepchnęła Naomi pod wasz samochód – wtrąca się Madeline, zanim jej córka ma szansę choćby otworzyć usta. – Naomi była za bardzo wstrząśnięta, żeby powiedzieć policjantom...

– Mamuś – przerywa jej dziewczynka. – Czy możesz zostawić nas same? Chciałabym porozmawiać z panią Imogen na osobności.

Nie wiem, czy to możliwe, ale Madeline jeszcze bardziej wygląda, jakby wdepnęła w coś odrażającego. Mimo to odpowiada skinieniem głowy.

– Będę w salonie, gdybyś mnie potrzebowała. – Odwraca się i wychodząc, rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Ellie nie wypchnęła mnie wtedy na ulicę. Naprawdę się potknęłam – mówi cicho Naomi. – Byłam skołowana. Ona coś mamrotała, wyglądała jakoś dziwnie, jakby rzucała urok czy coś. Zaczęłam się cofać i pośliznęłam się.

Nareszcie. Więc jednak dobrze wiedziałam, co widzę.

– Czemu pomyślałaś, że rzuca urok? To jednak dziwne podejrzenie... tylko dlatego, że ktoś coś mamrocze.

– Ale przecież tak robią czarownice, prawda? Rzucają czary. A najdziwniejsze jest to, że właśnie zaczęłam zmieniać o niej zdanie. Zaczęłam myśleć, że jest całkiem fajna, aż do tej historii w stołówce.

– I jesteś pewna, że to Ellie cię zaatakowała?

Naomi kiwa głową.

– To musiała być ona. Przecież ktoś, kto to zrobił, zjawił się znikąd, nikt go nie widział, nawet ja. To musiała być Ellie, tylko wiedźma mogłaby zrobić coś takiego.

– Dobrze. – Oszczędzam sobie uwagi, że w sali było ciemno, dzieci wpadły w histerię, krzyczały i podrywały się z siedzeń z powodu niespodziewanych ciemności. Mógł ją zaatakować każdy. – A skąd ci w ogóle przyszło do głowy, żeby ją uważać za czarownicę? – pytam łagodnie. – Ponieważ przeżyła pożar, w którym zginęła jej rodzina?

– Nie – odpowiada Naomi, patrząc na mnie jak na głupią. – Nic takiego nie przyszło mi do głowy. Wiedziałam, że jest czarownicą, bo ktoś mi to powiedział.

Przekłeta Hannah Gilbert, myślę. Wszystko zaczęło się od niej. Rumienię się na myśl, jak łatwo sama po stracie ciąży uwierzyłam, że Ellie jest niebezpieczna.

– Posłuchaj mnie, Naomi. Cokolwiek naopowiadała ci nauczycielka, nie miała racji. Pani Gilbert...

– Ale to wcale nie była pani Gilbert. – Naomi patrzy na mnie zdziwiona. – Nauczycielom nie wolno mówić takich rzeczy o uczniach. To Mary mi o tym powiedziała, siostra Ellie.

92

Ellie

– Pamiętasz plan? – syczy jej Mary do ucha, kiedy stoją przy szkolnej bramie.

Ellie rozgląda się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nauczycieli, po czym kiwa głową.

– Nie rozumiem tylko, jakim cudem nie narobię sobie przez to kłopotów...

– Przecież nie miałaś do tej pory żadnych kłopotów, prawda? – Mary macha ręką. – Na litość boską, Ellie, zabiłaś człowieka, a jeśli przez to nie narobiłaś sobie kłopotów, to znaczy, że jesteś nietykalna.

Imogen

Kiedy wychodzę z domu, w głowie huczy mi od informacji, które usłyszałam. *To była Mary*. Jedyna przyjaciółka i powierniczka Ellie zaczęła rozsiewać plotki, że jej przybrana siostra jest czarownicą, plotki, które przysporzyły Ellie tylu kłopotów w szkole. Dlaczego to robiła?

Otwieram samochód i w tym samym momencie dzwoni moja komórka.

– Halo?

– Imogen? To ty?

Kobieta w telefonie mówi bez tchu, gorączkowo, poznaję ją natychmiast.

– Saro, uspokój się – proszę. – O co chodzi?

– O Ellie – odpowiada Sara Jefferson drżącym głosem. – Wyszła ze szkoły w czasie przerwy obiadowej. Nie wiem, dokąd poszła.

Wzdycham. Powtarzaj za mną: „To nie twój interes. Nie twoja broszka”.

– Saro, nie pracuję już przy sprawie Ellie. Odsunęli mnie. Nawet nie powinnam się interesować jej wagarami.

– Nie rozumiesz. – Mówi coraz natarczywiej. – Nie martwię się o Ellie, tylko o Lily.

Machinalnie kładę dłoń na brzuchu i dopiero po chwili przypominam sobie, że dziecka już tam nie ma.

– Co się stało z Lily?

Odgłos, który wydaje Sara, nie jest chlipnięciem ani jękiem, lecz czymś pomiędzy jednym a drugim.

– Znikła. Ellie ją zabrała.

Imogen

Jadąc do Jeffersonów i modląc się, żeby policja miała dzisiaj ważniejsze sprawy na głowie niż siedzenie przy drodze z radarami, próbuję zapanować nad galopadą myśli. Dlaczego Mary opowiadała w szkole, że Ellie jest czarownicą? Przecież to właśnie ona zawsze stawiała w jej obronie, to ona upierała się, że jej przybrana siostra jest niewinna, a dorośli są kretynami. Czyżby i ze mną cały czas toczyła jakąś grę?

Zastanawiam się, dokąd Ellie mogła zabrać dziecko. Lichota nagle zrobiła się taka wielka, a ja jestem jedna. Sara zadzwoniła już na policję; wiem, że skierują wszystkie siły na poszukiwanie dziecka, nie muszę tego brać na swoje barki. Więc dlaczego mam uczucie, że to się stało przeze mnie?

Sara musiała mnie wypatrywać, bo otwiera drzwi, gdy tylko wchodzę na ścieżkę. W jednej dłoni trzyma komórkę, w drugiej telefon stacjonarny.

– Mark pojechał ich szukać – oznajmia. – Ja muszę zostać w domu i czekać na policję.

– Skąd właściwie wiesz, że to Ellie ją zabrała?

– Sąsiadka widziała ją godzinę temu. Lily zasnęła, więc położyłam się na kanapie, żeby chociaż na chwilkę zmrużyć oko, a kiedy półtorej godziny później się ocknęłam, Lily zniknęła. Wybiegłam na dwór,

a wtedy sąsiadka, June, powiedziała, że Ellie wychodziła z nią na spacer. Myślała, że jej kazałam.

– Nie mogła zajść daleko na piechotę – mówię. Otaczam Sarę ramionami i mocno ściskam. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co ona teraz czuje. – Znajdziemy ją. Może byś otworzyła mapę w Google’u, zanim przyjedzie policja? Spróbujemy wyznaczyć obszar, gdzie mogła dotrzeć w godzinę, dzięki temu będą mogli określić promień poszukiwań.

Oczywiście wiem, że policja sama na to wpadła i na pewno wysłali już funkcjonariuszy do przeczesywania terenu, ale chcę czymś zająć Sarę, żeby nie czuła się taka bezradna.

– Czy mogę rzucić okiem na pokój Ellie? – pytam.

Sara już siedzi przy komputerze i rozpoczyna poszukiwania.

– Oczywiście, jeśli tylko to może jakoś pomóc – odpowiada.

Po wejściu na górę nie idę jednak do pokoju Ellie, tylko do Mary. Nadal nurtuje mnie to, co usłyszałam od Naomi. Mary skłamała na temat tego, co jej przyrodnia siostra robiła wieczorem, kiedy zginęła Hannah Gilbert. Czyżby chciała sobie zapewnić alibi?

Otwieram drzwi do pokoju Mary. Typowy azyl nastolatki, lecz Mary nie gustuje w jaskrawych, różowych ścianach i plakatach ze zdjęciami boys bandów. Bardziej ją pociągają ciemny fiolet i gwiazdy rapu. Jej biurko zaścielają kolorowe artykuły papiernicze, tak jak za pierwszym razem, kiedy tu byłam.

Grzebię w papierach, chociaż nie wiem, czego właściwie szukam. I wtedy je znajduję – samoprzylepne karteczki w kształcie jabłuszka. Widziałam je poprzednio. Jak mogłam o tym zapomnieć? Przypominam sobie rozmowę z Evanem i osłupiała domyślałam się prawdy – to Mary wysłała Hannah liścik na temat jej romansu. Czy zostawiła również ostatnią wiadomość, jaką Hannah w życiu przeczytała?

Kiedy przeszukuję resztę pokoju, w mojej komórcie odzywa się sygnał. Dostałam na messengerze wiadomość. Wyświetla mi się zdjęcie profilowe Emily Murray.

Nie mogę wyjaśnić, dlaczego odeszłam z Place2Be, ale zrobiłam to z powodów osobistych, które nie miały nic wspólnego z prowadzonymi sprawami. Co do Ellie Atkinson, to powinnaś być ostrożna. Ta dziewczynka mnie przeraża.

Wpisuję odpowiedź: **Dlaczego? Co ci zrobiła?** Wsuwam telefon z powrotem do kieszeni i otwieram drzwi szafy. Na podłodze leży wciśnięta torba z jakimiś śmieciami – puszkami i patykiem. Wyjmuję jedną z puszek. Wokół brzegu oplata ją prawie niewidoczna żyłka. Patyk jest przywiązany do kawałka grubego sznurka, ale także do takiej samej cieniuteńkiej żyłki. Nie mam czasu się zastanawiać, co to może znaczyć, więc wciskam wszystko z powrotem do szafy. Za dużo czasu już tu spędziłam; nie chcę, żeby Sara się zorientowała, że grzebałam w rzeczach Mary.

Kiedy odwracam się do wyjścia, spostrzegam na biurku notatnik ze złożoną karteczką wsuniętą za okładkę. Wyciągam ją za róg, rozkładam i widzę kilka niedokończonych szkiców ołówkiem, przedstawiających dziewczynkę. Pod ostatnim widnieje podpis: Ellie od Śmierdzieli cuchnie szczynami.

W mojej kieszeni piszczy komórka. To znowu Emily. Tym razem jednak nie udaje mi się przeczytać wiadomości, ponieważ za plecami słyszę głos:

– Co pani robi w moim pokoju?

95

Ellie

Ellie przeciska niemowlę przez okno i wdrapuje się za nim na parapet. Mary miała rację, że to będzie łatwe; jest nawet miejsce, gdzie może położyć dziecko – na pufie. Zapala świeczkę, którą dała jej Mary, i wstawia ją do pustej brudnej szklanki na stole. Potem bierze Lily i idzie z nią w stronę schodów. Nie zauważa, że na stole sterta gazet zajmuje się ogniem, który zaczyna pełznąć w górę po papierze.

Imogen

– Chciałam... – Nie wiem, co powiedzieć. Zostałam przyłapana, nie ma sensu kłamać. – Szukałam wskazówek, gdzie może być Ellie.

– I doszła pani do wniosku, że znajdzie je w moim pokoju?

– Znalazłam to. – Pokazuję rysunek. – Skąd to masz?

– Był w torbie Naomi.

– Kłamiesz. – Wskazuję karteczki w kształcie jabłka. – To na nich Hannah Gilbert znalazła liścik z groźbą.

– To nie była groźba – burczy Mary i natychmiast się czerwieni, uprzytomniwszy sobie, że się zdradziła. – To Ellie je napisała. Powiedziała mi, co tam było.

– Bzdura! To był twój charakter pisma. Policja już ją dostała.

To gruby blef, ale dziewczyna ma dopiero piętnaście lat i daje się nabrać.

– I co z tego? – Zaciska wojowniczo szczękę. – To niczego nie dowodzi.

– Mają również liścik, który zostawiłaś, udając pana Hawkera, żeby zwabić Hannah Gilbert do pustego bloku.

– Ha! Tym razem się pani nie udało. Zabrałam go z powrotem, niemożliwe, żeby miała go policja.

– Nie mogłaś go zabrać, chyba że byłaś w mieszkaniu razem z Hannah Gilbert, kiedy zginęła – odparowuję.

Żółć podchodzi mi do gardła na tę myśl. To ona jest wcieleniem zła, a nie Ellie.

Do oczu napływają jej łzy, ale ja się nie dam zwieść komuś, kto przyznał się właśnie do popełnienia morderstwa.

– Gdzie jest Ellie? – pytam tak rozkazującym głosem, że sama siebie zaskakuję.

– Skąd mam wiedzieć? – pyta Mary z błyszczącymi oczami.

– Lada chwila będzie tu policja, żeby przesłuchać twoją mamę. Sugeruję, żebyś zaczęła myśleć.

Mary odwraca się, żeby wyjść z pokoju, ale łapię ją za ramię.

– Nic z tego.

– Jeśli mnie pani nie puści, nie pisnę ani słowa i nie znajdziecie jej na czas – grozi Mary.

Cholera. Wierzę, że może to zrobić, a wtedy co najmniej jednemu dziecku, jeśli nie obojgu grozi niebezpieczeństwo.

– Zaprowadź mnie do nich – żądam. – Jeśli mnie do nich zaprowadzisz, nie powiem policji tego, co wiem o Hannah Gilbert.

Mary rozważa moją propozycję.

– Dobrze – zgadza się. – Chodźmy.

Imogen

– To wcale nie zaczęło się tak, jak pani myśli – mówi Mary.

Siedzimy w samochodzie. Wybiegłyśmy z domu, nie mówiąc ani słowa Sarze, która cały czas wpatrywała się w kuchni w ekran komputera. Na końcu ulicy mijamy radiowóz jadący w przeciwnym kierunku. Mary ledwie rzuca na niego okiem.

– Nie chciałam, żeby to zaszło tak daleko. Jak chce pani szukać winnych, to radzę zacząć od dorosłych. – Marszczy gniewnie czoło.

– Owszem, zrobię to – odpowiadam ponuro. – Ze sobą włącznie. Ale tak naprawdę chcę wiedzieć, jak wpadłeś na pomysł wmówienia całemu miastu, że jedenastoletnia dziewczynka może być czarownicą.

Gówniara wygląda, jakby była z siebie dumna.

– Chciałam tylko nawarzyć trochę piwa, pokazać mamie i tacie, co robi z naszą rodziną ten niekończący się strumień nieszczęśliwych dzieci. – Wzrusza ramionami. – Z początku próbowałam zwalić kilka rzeczy na Billy’ego, ale mama wbiła sobie do głowy, że to musi być Ellie, bo jest taka cicha i dziwna. Chyba nawet zaczęła się jej bać. Dopiero potem, kiedy wysłałam ten liścik do Gilbert i podrzuciłam Ellie karteczki do torby... wtedy wszystko się zaczęło. Gilbert przyszła do naszego domu i naopowiadała mamie o tym, jak to Ellie wie rzeczy, o których nie powinna wiedzieć, że jej groziła, że chodziło o jakiś egzamin. Co jest idiotyczne, bo przecież ja wiedziałam, co ją łączy z panem Hawkerem, a nie jestem jakimś pieprzonym świrem. Ludzie

myślą, że jak nosimy mundurki, to nie mamy o niczym pojęcia. A nastolatki nie są ślepe.

– Skąd Ellie dowiedziała się o mojej ciąży?

– Ja jej powiedziałam. Rzygała pani wtedy u nas jak kot, a w torebce u pani zauważyłam kwas foliowy. Mama go ciągle bierze, chociaż wie, że jest bezpłodna.

Dreszcz mnie przechodzi, kiedy słyszę tak obcesowe słowa. Pamiętam ten dzień; nie wiedziałam, że Mary w ogóle zwraca na mnie uwagę, sądziłam, że to ja stawiam diagnozę, a tabletki nosiłam w torebce tylko ze względu na Dana.

– W każdym razie – ciągnie, pusząc się jak paw – po tym, co jej nagadała Gilbert, mama wpadła w paranoję. Gilbert była piekielnie przekonująca, kiedy opowiadała o tym, jaka Ellie jest dziwna i inna niż wszyscy, może nawet niebezpieczna. Domyśliłam się, że próbuje się zabezpieczać, na wypadek gdyby Ellie wypaplała coś o niej i Hawkerze, ale to mi podsunęło pomysł. Gdyby rodzice doszli do wniosku, że jedno dziecko w rodzinie zastępczej sprawia kłopoty, to może by w końcu uznali, że nie warto ich więcej brać.

– I wtedy zaczęłaś prokurować dowody przeciwko Ellie? Sugerować, że ma jakąś moc wpływania na innych?

Mary wybucha śmiechem.

– Tak, chociaż nie wierzyłam, że to zadziała. Niech pani tu skręci. Najlepsze były pająki. Wiedziałam, że Gilbert ma fobię... kiedyś świrowała w stołówce, jak zobaczyła pająka... więc przekonałam Ellie, że fajnie by było, gdyby zrobiła pracę o innych zwierzątkach niż wszyscy. Powiedziałam, że się wyróżni, że to będzie wyglądało, jakby się bardziej starała. Biedna Ellie o niczym innym nie marzyła. – Mary uśmiecha się ironicznie, a ja nigdy w życiu nie miałam takiej ochoty komuś przyłożyć. – Zrobiłaby wszystko, żeby się przypodobać i wmieszać w tłum.

– Więc już wtedy zaplanowałaś, że podłożysz pająki do szuflady Hannah Gilbert?

– Mhmm. Najpierw próbowałam je łapać, gdy tylko Ellie zaczęła pisać tę pracę domową. Obliczyłam, że mam na to kilka tygodni. Ale sukinsyny ciągle uciekały. Albo pożerały się nawzajem. Miałam tylko dziesięć i wiedziałam, że to nie wystarczy, więc weszłam na Reddita i tam znalazłam kolesia, który je sprzedawał. Na tym świecie pełno jest prawdziwych świrów. Zapłaciłam z PayPala mamy... jest taka nieprzytomna, że nie zauważyła nawet brakujących pieniędzy. Nie zapytałam go, jak to zrobił, że przestały mu się nawzajem zjadać. – Patrzy w zadumie. – Szkoda, że tego nie zrobiłam. Zamówiłam pięćdziesiąt, a w przeddzień jeszcze trochę, tak że w sumie, kiedy podłożyłam je do biurka, było ich około siedemdziesięciu. Kilka już nie żyło, ale to nie miało znaczenia, Gilbert i tak dostała szau, a dzieciaki twierdziły, że były ich tysiące. – Krztusi się ze śmiechu. – I oczywiście zrzuciła winę na Ellie.

– A to, co się przydarzyło Tomowi Harrisowi? To też twoja sprawka?

Mary prycha ze zniecierpliwieniem.

– Oczywiście. Ale to nie ja oskarżyłam Ellie. Ani razu nie próbowałam zrzucić na nią winy. To było w tym wszystkim najpiękniejsze. Nigdy nie musiałam się wysilać, żeby wina spadała na nią: ludzie automatycznie przyjmowali, że to ona, nawet kiedy to było niemożliwe! Przecież siedziała w sali pełnej świadków, kiedy zgasły te światła. Traf chciał, że ktoś zostawił zaciągnięte zasłony, inaczej by mi się nie udało. – Znów się zamyśla. – Ale nie wiedziałam, że uderzyłam ją tak mocno, to było dziwne. Ach... – Pstryka palcami, jakby właśnie sobie o czymś przypomniwała. – Skłamałam, że nie próbowałam przypiąć winy Ellie, zapomniałam o nożyczkach. Wrzuciłam jej do torby nożyczki, te same, którymi obciąłam Naomi włosy. A teraz

najlepsze: Ellie je po cichu wyrzuciła. Widzi pani? Nie tylko dorośli zaczęli podejrzewać, że może robić różne dziwne rzeczy, doprowadziłam do tego, że sama w to uwierzyła. Przeprowadziłyśmy nawet eksperymenty, do tego służyły te rzeczy w torbie schowane w moim pokoju. Wystarczy kawałek żyłki przyczepiony do puszki, a nawet taka bystra dziewczynka jak Ellie uwierzy, że ma moc przesuwania przedmiotów siłą umysłu. Jest pani psychologiem, to musi być dla pani fascynujące, prawda?

Nie wierzę własnym uszom. Ta dziewczyna ma piętnaście lat, ledwo rozumie konsekwencje swoich czynów, rozmiary szkód, jakie spowodowała, a mimo to gada o psychologii, manipulacji i masowej hysterii. Zupełnie jakby część umysłu odpowiadająca za współczucie i empatię podporządkowała się bez reszty inteligencji, która myśli tylko o swoich eksperymentach na żywej istocie. Zastanawiam się, czy po raz pierwszy w życiu nie rozmawiam z prawdziwą psychopatką.

– A co z Hannah Gilbert? – pytam cicho.

Ignoruję ostatnią wypowiedź Mary. Owszem, jest to dla mnie fascynujące i przerażające. Fascynujące, że tak wielu dorosłych mogło ulec manipulacji młodej dziewczyny. Przerażające, że byłam jedną z nich.

Mary otwiera szeroko oczy.

– Nie chciałam, żeby spadła ze schodów. No dobra, to ja ją tam ściągnęłam, zamierzałam ją trochę nastraszyć, udawać, że Ellie biega niewidzialna po pustym bloku. Nagrałam Ellie, jak wypowiada szeptem jej imię, i puściłam je w trzech różnych miejscach z mojej komórki i iPoda. To była tylko zabawa. Włączyłam radio, trochę się z niej ponabijałam. Potem ona zaczęła svirować, jakby umysł sam zaczął jej płatać figle. Tego się nie spodziewałam. Później zdałam sobie sprawę, że miała rozbuchaną wyobraźnię, w końcu to ona

właściwie wymyśliła całą tę historię, że Ellie jest wcielonym złem, diabolicą i tak dalej. Pewnie powinnam była to przewidzieć.

Wzrusza ramionami, jakby śmierć nauczycielki była tylko drobnym incydentem.

– Ale jej nie popchnęłaś?

– Nie! Za kogo mnie pani uważa? Wpadła w jakiś szal, zaczęła biegać w kółko jak wariatka, chociaż się do niej nie zbliżałam. Potknęła się na schodach i biegła dalej, jakby przed czymś uciekała. Latała jak kot z pęcherzem, jak mówi mój tata.

Robi mi się niedobrze. Coraz bardziej łupie mnie głowa, trudno mi jasno myśleć, pragnę tylko zamknąć oczy i zasnąć. Chociaż mam wrażenie, że nigdy więcej nie zmrużę oka.

– Więc co teraz? – pytam zmęczonym głosem. – Co się teraz wydarzy, Mary? Jaki masz plan?

Wzrusza ramionami i przez moment wygląda jak najzwyczajniejsza piętnastoletnia dziewczyna.

– Bo ja wiem? Kłamała pani, że zachowa wszystko dla siebie, prawda? Nawet jeśli przyrzeknę, że to się więcej nie powtórzy? Nie możemy o wszystkim zapomnieć i żyć normalnie dalej?

– Nie, nie możemy – zgadzam się.

– Wsadzą mnie do więzienia?

Twarz jej ciemnieje ze strachu i przez ułamek sekundy robi mi się jej żal. Czy ona zdaje sobie sprawę, ile wyrządziła zła? Czy też przekonała samą siebie, tak jak próbowała przekonać mnie, że to wszystko wina innych ludzi?

– Nie wiem, co się z tobą stanie – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Jeśli śmierć Hannah Gilbert była rzeczywiście nieszczęśliwym wypadkiem, wszystko inne można uznać za relatywnie drobne przewinienia. Historię w stołówce można by uznać za napaść na Naomi i uszkodzenie ciała, ale nie mam żadnych dowodów, a każdy

adwokat uprzedzi ją, żeby się do niczego nie przyznawała. Prawda jest taka, że wszystkie krzywdy, które wyrządziła, ujdą jej na sucho. Przykładałam dłoń do obolałej głowy.

– Zawiozę cię do domu i porozmawiam o tym z twoją mamą. Potem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

– A co z Ellie? – pyta Mary tonem niewinnego przechodnia, a mnie serce podchodzi do gardła.

– A co ma być?

– Co się z nią stanie, jeśli skrzywdzi dziecko?

Siłą woli staram się stłumić rosnący strach.

– Przed chwilą powiedziałaś, że Ellie nie ma nic wspólnego z tym, co się działo. Czemu miałyby skrzywdzić dziecko?

Twarz Mary rozciąga się w uśmiechu, który ścina mi krew w żyłach.

– Ponieważ jej kazałam.

98

Imogen

– Mary, gdzie ona jest?

Słuchając jej wyznania, prawie zapomniałam, dokąd jedziemy i po co. Teraz jak rażona gromem uświadamiam sobie, że muszę natychmiast znaleźć Ellie.

– W pustym bloku. Tam gdzie zginęła Gilbert.

Imogen

Pierwszą rzeczą, jaką widzę, kiedy zatrzymuję samochód przed opuszczonym blokiem, w którym Hannah Gilbert straciła życie, są płomienie.

– Wezwij straż pożarną! – wołam do Mary, która siedzi na miejscu pasażera sparaliżowana z przerażenia. – Zrób to natychmiast, bo Ellie zginie!

Puszczam się pędem po trawie, ale to wszystko dzieje się za wolno, jak we śnie, w którym człowiek usiłuje uciec przed złoczyńcą, ale nogi nie mogą się ruszyć. Mimo to biegnę co sił w stronę miejsca, które w każdej chwili może pochłonąć kolejne życie.

Ogień szaleje w pustych mieszkaniach z nieokiełznaną furią żywego potwora. Żar jest prawie nie do zniesienia, czarny dym zaciska mi szpony na gardle, dusi w płucach, dudni mi w uszach. Jeśli się nie zatrzymam, przypłacę to życiem jak amen w pacierzu. Nie wbiega się do płonącego budynku; każdy przy zdrowych zmysłach ucieka od niego jak najdalej. Ale myśl, że miałabym zostawić Ellie samą, przerażoną i opuszczoną, jest gorsza od strachu przed śmiercią. Może po to właśnie wróciłam do Lichoty – aby umrzeć razem z biedną, smutną Ellie Atkinson.

Wbiegam na górę i dalej idę korytarzem na czworakach. Dym jest tu rzadszy, ale i tak płuca palą mnie z wysiłku; co jakiś czas muszę się zatrzymywać, żeby oprzeć głowę o mur i odpocząć. Kiedy docieram do

mieszkania, które opisała mi po drodze Mary, tego samego, w którym Hannah spotykała się potajemnie z Evanem Hawkerem, chwytam za klamkę, modląc się, aby to były właściwe drzwi, i z całej siły napieram. Wpadam do przedpokoju i leżąc na podłodze, kopnięciem zamykam drzwi. W środku jest mniej dymu, mogę objąć wzrokiem cały salon z aneksem kuchennym, ale nigdzie nie widzę żywej duszy.

– Ellie? – Z gardła wydobywa mi się suchy skrzek.

Na czworakach wchodzę do sypialni: pusta. Zauważam jedyne miejsce na tyle duże, by mogło się w nim ukryć jedenastoletnie dziecko. Resztkami sił dowlekam się do szafy, łapię za uchwyt i otwieram drzwi. Dziewczynka, która siedzi skulona w kącie, wygląda na jeszcze mniejszą niż zwykle, jakby się skurczyła, żeby zmieścić się w środku. Zaciska mocno oczy, a po policzkach płyną jej łzy. Próbuję ją podnieść, lecz jest zupełnie bezwładna i w końcu obie się przewracamy.

– Ellie? – Potrząsam ją za ramiona, ale nie reaguje. Jest w ciężkim szoku. – Ellie, posłuchaj mnie, musimy się stąd wydostać. Gdzie jest dziecko? Gdzie Lily?

Na te słowa powoli otwiera oczy, jakby po raz pierwszy zdała sobie sprawę z mojej obecności.

– Nie wydostaniemy się stąd – mówi dziwnym głosem. – Tutaj zginiemy. Tak jak oni. Tak jak moja rodzina.

– Nie, Ellie – mówię z mocą. – Ja nie zamierzam tu ginąć. Nie jestem gotowa na śmierć i ty też nie. Musimy znaleźć Lily i uciekać stąd.

Patrzy mi w oczy tak głęboko, jakby czytała mi w myślach, jakby sięgała na samo dno mojej duszy.

– Przepraszam – mówi w końcu szeptem. – Przepraszam, to wszystko przeze mnie. Ja to wszystko wywołałam.

– Nie, Ellie, to nie ty. Nie jesteś niczemu winna.

Dziewczynka z rozpaczą potrząsa głową.

– Właśnie że jestem. To wszystko przeze mnie – powtarza.

– Ellie, skąd wiesz, że to zrobiłaś? – pytam. – Pamiętasz to? Pamiętasz, że podpalałaś dom? Czy tylko tak ci się wydaje? To, że o czymś myślisz, nie zawsze znaczy, że to powodujesz. Nie masz takiej mocy, Ellie. Jesteś tylko małą dziewczynką.

– A pani dziecko? – pyta szeptem. – Sama pani uważa, że to moja wina.

– Nieprawda. To nie była twoja wina.

– Tylko tak pani mówi, żebym z panią poszła. Żeby uratować Lily.

– Przysięgam, że tak nie jest – zapewniam ją błagalnym tonem. – Zawsze w ciebie wierzyłam. Zawsze uważałam, że nie byłabyś zdolna do tych wszystkich rzeczy. Tylko na chwilę się zagubiłam i przepraszam cię za to.

Ellie rozgląda się po pokoju, jakby właśnie odzyskiwała przytomność.

– Jeśli to prawda i ja nie spowodowałam tych wszystkich rzeczy, to kto to zrobił?

Nie mam czasu jej wszystkiego wyjaśniać, a nawet gdybym spróbowała, wątpię, żeby mi uwierzyła.

– To teraz nie ma znaczenia, później o tym porozmawiamy. Na razie musimy znaleźć dziecko i przeżyć, aby wszystkim powiedzieć, że jesteś niewinna. Żeby wszyscy się dowiedzieli. Jeśli uratujesz dziecko, będziesz bohaterką.

Ellie potrząsa głową.

– Nie obchodzi mnie, co sobie wszyscy pomyślą, obchodzi mnie tylko, co pani pomyśli. Tylko pani we mnie wierzyła i jeśli pani przestanie mi wierzyć, to nic nie ma sensu. Nikt inny nie stanie po mojej stronie.

– Ja stanę po twojej stronie, Ellie – obiecuję. Nie chcę w tej chwili opowiadać jej o Mary, bo wiadomość o manipulacjach jej przyrodniej

siostry jeszcze bardziej ją rozstroi. Cały ten budynek spłonie do fundamentów, jeśli się stąd nie wyniesiemy, a ja nadal nie mam pojęcia, gdzie jest Lily. – Jak myślisz, dlaczego tu przyszedłam? Dlaczego wchodziłam po ciebie do płonącego budynku? Nie zrobiłabym tego, gdybym uważała, że jesteś złym człowiekiem, Ellie.

– I tak już za późno – mówi szeptem. – Za późno dla nas wszystkich.

Potrząsam z rozpaczą głowę i serce mi się ściska, kiedy zauważam, że postać Ellie niknie mi przed oczami. Dym coraz bardziej gęstnieje. Muszę podjąć decyzję, dokonać wyboru. Mogę uratować dziecko tylko wtedy, jeśli Ellie mi powie, gdzie ono jest; jeżeli tego nie zrobi, zginiemy tu wszystkie trzy. Zbieram w sobie siły, o które się nawet nie podejrzewałam, chwytam dziewczynkę w pól i zaczynam ją wlec przez pokój, osłaniając jej wolną ręką oczy i nos przed dymem.

– Co pani robi? – chrypi Ellie i zaczyna kasłać. – Nie mogę oddychać. Dokąd mnie pani zabiera?

– Uciekamy stąd – mówię stanowczo.

– Nie! – To miał być krzyk, ale wychodzi z niego ledwie cichy szept.

– Lily jest na balkonie. Nie chciałam, żeby ją zadusił dym.

Balkon! Czemu nie wpadłam na to wcześniej?! Wszystkie mieszkania mają coś, co wspaniałomyślnie nazywa się balkonem, ale w rzeczywistości jest raczej szerokim gzymsem. Kiedy chodziłam do szkoły, widywałam na nich mieszkańców siedzących w szlafrokach na krzesłach i palących papierosy. Ciągnę Ellie w stronę dużych dwuskrzydłowych drzwi ukrytych za grubymi zasłonami.

Dziecko leży w kącie wąziutkiego balkoniku. Wypycham Ellie na dwór i chciwie nabieram w płuca świeżego powietrza. Kiedy odzyskuję dość sił, aby stanąć z powrotem na nogi, chwytam niemowlę z poduszki, na której położyła je Ellie, i przyciskam do piersi. W ciemności słycać zawodzące syreny, z ulgi kolana znowu

się pode mną uginają i opadam na klęczki. Jesteśmy uratowane. Wystarczy, że poczekamy, aż nas stąd zabiorą.

Na odgłos syren Ellie, która stała sparaliżowana na środku balkonu, zatacza się, a jej twarz przyobleka się w wyraz nieskończonej grozy. Cofa się o kilka kroków i opiera o zardzewiałą poręcz, która z głośnym skrzypieniem zwija się niczym papierowa harmonijka i dziewczynka leci w dół przy wtórze moich przerażonych wrzasków.

100

PL: Przesłuchanie Mary Jefferson. Dziesiąta pięćdziesiąt cztery.
Obecni: inspektor śledcza Petra Leigh, inspektor śledczy Carl Younis, adwokatka Maxine Erskine, pracownik pomocy społecznej Tony Vine oraz Mary Jefferson.

PL: Mary, czy wiesz, czemu tu dzisiaj jesteś?

PL: *Na użytek nagrania: Mary wzruszyła ramionami.* Więc nikt ci nie wyjaśnił, dlaczego cię tu przywieziono?

MJ: Chcecie mnie wypytać o to, co się stało pani Gilbert.

PL: Dobrze. Czy wobec tego możesz nam powiedzieć, gdzie byłaś wieczorem, kiedy zginęła Hannah Gilbert?

CY: *Mary znowu wzruszyła ramionami.* Mary, rozmawialiśmy z Imogen Reid i poinformowała nas, że przyznałaś się do zwabienia swojej nauczycielki w miejsce, w którym zginęła, i że byłaś tam, kiedy to się stało. Czy to prawda?

MJ: *Niesłyszalne.*

PL: Czy możesz mówić głośniej do magnetofonu?

MJ: Powiedziałam: tak.

CY: Dziękuję. Czy możesz nam wyjaśnić, dlaczego zostawiłaś pani Gilbert liścik z wiadomością, żeby przyszła tego wieczoru do pustego bloku?

MJ: To był tylko kawał.

CY: A jaki był cel tego kawału? Żeby ją zawstydzić? Skompromitować? Zaszantażować?

MJ: Chciałam ją tylko przestraszyć. Napędzić jej schizy.

PL: Więc nie poszłaś tam po to, aby powiedzieć pani Gilbert, że wiesz o jej związku z panem Hawkerem? *Na użytek nagrania: Mary kręci przecząco głową.*

MJ: Nie, nie zamierzałam jej się nawet pokazywać, chciałam, żeby myślała, że to Ellie ją podpuściła.

PL: Chodzi o Ellie Atkinson, twoją przybraną siostrę? *Na uży...*

MJ: Tak, o moją przybraną siostrę. Na użytek nagrania. Pani Gilbert już wcześniej jej nie znosiła, ja chciałam jej tylko narobić kłopotów.

CY: Dlaczego chciałaś narobić Ellie kłopotów?

MJ: Żeby się jej pozbyć. Żeby rodzice przestali brać kolejne dzieciaki.

PL: Chciałaś się jej pozbyć. Czy z tego powodu zrobiłaś te wszystkie inne rzeczy w szkole?

ME: Jeśli prosicie Mary, aby przyznała się do zrobienia czegoś, o co może być później oskarżona, musicie zadawać pytania konkretniej.

PL: Czy dlatego zaatakowałaś Naomi Harper w szkolnej stołówce?

MJ: Nie wiem, co tam się stało.

PL: Co to znaczy, że nie wiesz? Zaatakowałaś Naomi, prawda? Imogen Reid zeznała...

MJ: Wiem, co zeznała Imogen. Walnęłam Naomi i obciachałam jej trochę włosów, ale nie ma mowy, żebym uderzyła ją tak mocno, że wylądowała w szpitalu. I obcięłam jej jeden kosmyk, a nie połowę głowy.

PL: Czy sugerujesz, że ktoś inny napadł na Naomi w tym samym czasie co ty?

MJ: Niczego nie sugeruję. Mówię tylko, że nie uderzyłam jej aż tak mocno. Nie jestem Anthonym Joshua.

CY: A tej nocy, kiedy zginęła pani Gilbert, zabiłaś ją, ale nie aż tak mocno, Mary?

ME: Panie inspektorze. Mary, pan inspektor żartował, nie musisz na to odpowiadać.

CY: Przepraszam, Mary, pani Erskine ma rację. Odpowiedz mi więc na inne pytanie: czy zepchnęłaś panią Gilbert ze schodów?

MJ: Nie.

PL: Powiedziałaś to bez wahania. Czy jesteś pewna, że jej przypadkiem nie potrafiłaś?

MJ: Jestem pewna, nie dotknęłam jej.

PL: Albo że się nie pokłóciłyście, kiedy cię przyłapała w pustym bloku? Może groziłaś, że powiesz jej mężowi o romansie, i pobiłyście się? Może się tylko broniłaś?

ME: Moim zdaniem Mary powiedziała już wystarczająco jasno, że nie miała żadnego fizycznego kontaktu z Hannah Gilbert.

PL: Oczywiście. Mary, czy widziałaś, jak Hannah Gilbert spada ze schodów?

MJ: Tak jakby.

PL: Co to znaczy „tak jakby”?

MJ: Nagrałam trochę odgłosów: kroków i różnych takich. Włączyłam radio w mieszkaniu i ona poszła je wyłączyć, ale coś źle zrobiła, bo zaraz zaczęło grać na nowo. A po chwili zaczęła svirować, jakby ją coś goniło. Potem usłyszałam, że spadła.

PL: Ale nie było cię wtedy obok niej?

MJ: Nie! Przysięgam. Ona zaczęła wariować. Nie przyszło mi do głowy, że mogę ją aż tak przerazić.

PL: A co z Imogen Reid? Twierdzi, że została wepchnięta do kanału...

MJ: Nie wepchnęłam pani Imogen do kanału. W ogóle mnie tam nie było. Nie wolno nam tam chodzić, bo tam napadają ludzi.

CY: Więc twierdzisz, że pani Imogen sama wpadła do wody?

ME: Mary, nie musisz odpowiadać na to pytanie. Powiedziała wam już, że jej tam nie było, więc nie może spekulować, co się stało

Imogen Reid.

PL: I mamy ci uwierzyć, że nie miałaś związku z upadkiem Hannah Gilbert, chociaż byłaś tam wtedy i przyznałaś, że sama ją tam zwabiłaś. A także że nie jesteś winna obrażeniom Naomi Harper, mimo że ją „walnęłaś”?

MJ: Tak. Nie wiem, co się stało Gilbert i Naomi, mówię wam...

CY: Mary, usiądź, proszę.

MJ: Ale mówię wam, a wy nie słuchacie. Ja tego nie zrobiłam! Nie chciałam ich skrzywdzić, tylko... ja tylko... Nie popchnęłam jej i tyle. Nie wiem, co się stało. Nie mam pojęcia.

TV: Myślę, że to wystarczy jak na jeden raz. Mary jest wyraźnie zdenerwowana, odpowiedziała już na wasze pytania. Musimy zrobić przerwę.

MJ: Ale ja tego nie zrobiłam! Niech im pani powie, że muszą to zrozumieć! To był... Ja nikogo nie zabiłam, w porządku?

PL: Przesłuchanie zakończono o jedenastej dwadzieścia trzy.

Epilog

Sześć miesięcy później

Na końcu długiego, opadającego ogrodu siedzi dziewczynka, odwrócona do nas plecami, na elektrycznym wózku inwalidzkim. Na kolanach trzyma kołyszący się szkicownik i wydaje się bez reszty pochłonięta rysowaniem.

– Jak ona się czuje? – pytam, odwracając się od okna kuchennego i upijając łyk kawy.

Pammy się uśmiecha.

– Świetnie. Lekarze powiedzieli, że niedługo znowu będzie chodzić. To prawdziwa wojowniczką. Często już nawet nie chce używać wózka. Ale nie myśl sobie, że idzie tak całkiem gładko. Jest inteligentna jak sam diabeł i już potrafi być upierdliwą nastolatką, ale jak dotąd nie zakłęła nikogo w żabę ani nie zamieniła na wieczność w serwis do herbaty, więc... – wzrusza ramionami – jak dotąd nie jest źle.

Wybucham śmiechem, czuję się lekko i beztrąsko.

– Bardzo zabawne.

– Aha, i nie pytaj mnie, jak ona to robi, ale potrafi w minutę rozpalić ogień w kominku, tak że polana aż ryczą płomieniami. Ja się godzinę morduję nad wykrzesaniem jednej iskiarki.

– Och, przestań już, dobrze? – Podchodzę do stołu i siadam obok przyjaciółki. – Tak się cieszę, że wzięliście ją z Richardem do siebie. Bałam się, że po tym, co się stało, ludzie w tym mieście będą się jej

próbowali pozbyć na dobre. Do tej pory mam koszmary, że Ellie leci w dół i nie ląduje na balkonie piętro niżej, tylko spada bez końca...

– Ci ludzie nie są wcale tacy źli. – Cichy głos Pammy przywołuje mnie do rzeczywistości. – Owszem, dla kogoś, kto tu nie mieszka, może to trochę przypominać *Ligę Dżentelmenów*, i owszem, żeby uprzedzić twoją uwagę, wiem, że ty również tu dorastałaś, ale przez te lata zapomniałaś, jakie to miejsce może być również dobre. Że mimo wszystkich swoich idiosynkrazji...

– Ach, więc tak nazywasz oskarżenie dziecka, że jest wiedźmą?

Pammy ignoruje mój wybuch i muszę jej oddać sprawiedliwość, że pomija również milczeniem mój własny kilkudniowy napad szaleństwa.

– Mimo swoich idiosynkrazji ci ludzie naprawdę potrafią zachować się solidarnie, kiedy zachodzi potrzeba. Spójrz, co się stało, kiedy Mary odbiło. Powinnaś pomieszkać tu trochę dłużej. Sprzedaj dom mamy, kup coś innego, zacznij wszystko od nowa.

– Nie wiem, Pammy. Jesteśmy tu prawie od roku i naprawdę mamy same złe wspomnienia. Dziecko, pożar...

Przynajmniej w pracy idzie dobrze. Kiedy wróciłam po pożarze do Place2Be, czekały na mnie dwa wielkie bukiety kwiatów, a Lucy zabrała mnie na lunch i opowiedziała o romansie Emily i Edwarda. To on był prawdziwym powodem jej odejścia z pracy. Wygląda na to, że aby zostać przyjętym do wąskiego kręgu wtajemniczonych, wystarczy stanąć oko w oko ze śmiercią.

– Nie możesz uciekać za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie tak. Poza tym ona będzie za tobą tęsknić. – Pammy wskazuje głową miejsce, gdzie Ellie nadal siedzi pochłonięta rysowaniem. – Byłaś jedyną osobą, która w nią wierzyła. Uratowałaś jej życie. Czy to nie jest dobre wspomnienie?

– Nie powinno było do tego dojść. Powinnam się wcześniej zorientować, co knuje Mary. A tymczasem, kiedy zrobiło się gorąco, potraktowałam Ellie dokładnie tak samo jak wszyscy inni: byłam gotowa ją ukrzyżować, chociaż szczęśliwie ona o tym nie wie. Nie jestem dumna ze swoich wyczynów od przyjazdu do Lichoty. Ze względu na Dana i nasze dziecko powinnam stać się lepszym człowiekiem.

– Jesteś...? – piszczy Pam.

Potrząsam głową.

– Nie, jeszcze nie, ale się staramy. Lekarze mówią, że to się może nie udać, więc musimy się na to przygotować. Ale na pewno wynikła z tego wszystkiego jedna dobra rzecz: ja i Dan nigdy nie byliśmy równie silni jak teraz. Opowiedziałam mu w końcu wszystko o mojej mamie i o tym, jak mi się tu żyło. Nie wiem, czy do końca rozumie, dlaczego z tego powodu boję się mieć dzieci. On uważa, że odczułam na własnej skórze, jak nie wolno postępować, i tyle. Ale przynajmniej teraz wie, dlaczego wpadłam w taką panikę.

– No cóż, od początku próbowałam cię namówić, żebyś była z nim szczerą. Biedaczysko... A skoro jesteśmy przy temacie dzieci i szczeroci... – Bierze dwie puste filiżanki po kawie i zanosí je do zlewu. Stoi do mnie tyłem, mimo to domyślam się, o czym mówi, i aż mi dech zapiera.

– Nie! Serio? To cudownie!

Pammy odwraca się z promiennym uśmiechem na swojej ślicznej twarzy.

– Tak. Ósmy tydzień. Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam, poza Richardem – dodaje, widząc, że zaczynam marszczyć brwi. – Za trzy i pół tygodnia będziemy mieć pierwsze USG. Robię w gacie. Dosłownie, robię w gacie. Czy w ciąży człowiek się więcej wypróżnia?

Wybucham śmiechem, ale jednocześnie coś ściska mnie w żołądku.

– A co z Ellie? Wiem, że wzięliście ją do siebie na okres przejściowy, ale miałam taką nadzieję...

– Zamierzamy rozpocząć procedurę adopcyjną najszybciej, jak się da – oznajmia Pam. Patrzy przez ramię; Ellie przestała rysować i obserwuje coś w głębi ogrodu. – Oczywiście jeśli będzie chciała. Sądziłam, że zechce wyjechać z Lichoty, ale wygląda na to, że jej się tu podoba, a my ją pokochaliśmy. W przyszłym tygodniu jesteśmy umówieni na spotkanie w ośrodku pomocy społecznej, ale Ellie jeszcze o tym nie wie. Chcemy się najpierw zorientować, czy według nich to będzie możliwe i kiedy powinniśmy z nią o tym porozmawiać.

– Ależ to wspaniałe nowiny, Pam. – Obejmuję ją i ściskam z całego serca.

Chociaż naprawdę ogromnie się cieszę szczęściem swojej przyjaciółki, nie mogę się również pozbyć ukłucia zazdrości... nie, raczej smutku z powodu swojej własnej sytuacji. Lekarze nas ostrzegli, że donoszenie ciąży będzie dla mnie ogromnie trudne, że czeka nas ciężki okres. Po pożarze Ellie oczekiwała, że to ja się nią zaopiekuję, lecz chociaż nie miała nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w moim życiu od przyjazdu do Lichoty, w mojej świadomości nawet jej imię wiąże się bezpowrotnie ze śmiercią i złamanym sercem. Wiem, że to niesprawiedliwe, lecz za każdym razem, gdy na nią patrzę, wspomnienia zalewają mnie niczym powódź. Nie posiadałam się z radości, kiedy Pammy oznajmiła, że przejdzie wszystkie szkolenia i kontrole, aby zapewnić Ellie bezpieczne i spokojne miejsce do życia.

– Dzięki. Nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć z powodu... no wiesz...

– Och, przestań – besztam ją. – To wspaniała wiadomość. A Ellie będzie skakać z radości. Znowu będzie miała prawdziwą rodzinę.

– Mam nadzieję – mówi Pammy, zerkając na swoją nową przyszłą córkę. – Chcemy, żeby była z nami szczęśliwa.

Ellie siedzi ze szkicownikiem na kolanach, już prawie skończyła. To bez wątplenia jej najlepsze dzieło; szkoda, że nie może go nikomu pokazać. Lilioworóżowa ćma lecąca na tle chabrowoniebieskiego nieba wygląda fantastycznie, a do tego jaskrawopomarańczowe i czerwone płomienie spowijające jej skrzydła, na ziemię sypie się popiół spalonego owadziego ciała; ćma jeszcze nie wie, że tylko sekundy dzielą ją od śmierci... Tym razem naprawdę doskonale to uchwyciła.

Wszyscy sądzili, że po pożarze będzie się chciała wyprowadzić, zacząć na nowo gdzie indziej. Imogen i ludzie z pomocy społecznej byli gotowi odesłać ją w nowe, nieznane miejsce, jak najdalej od Lichoty, lecz ona zapytała, czy nie mogliby jej znaleźć rodziny zastępczej gdzieś bliżej. Nie mają pojęcia, jak bardzo się napracowała, jak bardzo sytuacja się zmieniła, od kiedy tu przyjechała. Nie chce zaczynać wszystkiego od nowa.

Poza tym tu są Pammy i Richard. Byli dla niej tacy mili, wzięli ją do siebie, kiedy Imogen odmówiła, traktowali ją jak prawdziwą córkę. Ellie patrzy na zapalniczkę, którą trzyma w dłoni, naciska krzesiwo.

Pstryk, płomień. Pstryk, płomień. Pstryk, płomień.

A teraz Pammy zaszła w ciążę. Sądzą, że Ellie o tym nie wie, że nie widzi, jacy są podnieceni myślą o prawdziwym, własnym dziecku. Zastanawia się, kiedy każą się jej spakować, tak jak planowali to Jeffersonowie. Ale Jeffersonowie nie biorą w końcu żadnego dziecka. Policja uważa, że Mary zepchnęła Hannah Gilbert ze schodów i że Ellie była tylko niewinną ofiarą. Wszystko potoczyło się lepiej, niż

mogła to sobie zaplanować. A teraz zastąpią ją nowym dzieckiem, tak samo jak jej rodzice, jak Jeffersonowie.

Zabiera palec z krzesiwa, lecz płomień nie gaśnie, tańczy w zapalniczce samoistnie.

Pstryk, płomień. Pstryk, płomień. Pstryk, płomień.

Nie może pozwolić, aby historia się powtórzyła.

Podziękowania

Miliony ludzi przyczyniają się do tego, by powstała książka, i przytłacza mnie wszechogarniający lęk, że pominę kogoś w podziękowaniach. Więc proszę, pamiętajcie: jeśli w jakiś sposób, choćby wydawał wam się znikomy, pomogliście mi w wydaniu tej książki, to jestem wam do zgonnie wdzięczna.

Kilku osobom muszę podziękować indywidualnie. Jak zwykle mojej niezrównanej agentce, Laetitii Rutherford. Nie wiem, jakim cudem mogłaś ze mną wytrzymać, domyślam się, że wpisałaś sobie w grafik moje kryzysy nerwowe. Megan, a także wszyscy pozostali w Watson Little: dajecie czadu.

Wszystkim członkom rodziny Headline, lecz szczególnie mojej redaktorce, Kate Stephenson. Millie, Jo, Elli, Siobhan – to prawdziwa przyjemność pracować z tak wspaniałymi kobietami.

Mogę sobie tylko wyobrazić, że dla kolegów z pracy byłam absolutnym koszmarem, tak więc z całego serca dziękuję wszystkim w Straży Pożarnej Shropshire. Wiem, że będziecie na mnie wściekli za tak beztroskie odmalowanie żywiołu, jakim jest pożar, i jego skutków (teraz wiecie, dlaczego odeszłam, zanim ukazała się książka!). Miałam szczęście współpracować z dwiema wspaniałymi menadżerkami, Maxine i Yvonne, i będę bardzo tęskniła za swoją rodziną ze straży. Dziękuję również Pammy za użyczenie imienia oraz swojego barwnego języka.

Dziękuję panu Maxwellowi, jego żonie, Florence, oraz Nicky Black za hojność podczas aukcji dobroczynnej. Fakt, że moje książki mogą zarobić pieniądze na tak szlachetny cel, jest dla mnie największą radością w pisarskiej podróży.

Wszystkim przyjaciołom, rodzinie oraz zgrai tych rozrywkowych palantów na miejscu zbrodni. Dzięki wam zachowuję się względnie. A najbardziej dziękuję mamie i tacie, którym dedykuję tę książkę. Jesteście cudownymi ludźmi, a ja wielką szczęściarą, że mam kogoś takiego, na kim zawsze mogę polegać.

Ash. Znosiłeś więcej moim pisarskich wad, niż to leży w ludzkiej mocy. Pisarz jest okropnym towarzyszem życia, a ty ze zdumiewającą cierpliwością powstrzymujesz się od wykorzystania rozmaitych sposobów ukatrupienia żony oraz usunięcia dowodów zbrodni, czego cię mimowolnie nauczyłam. Ty i chłopcy jesteście całym moim światem, a gdyby istniał czas, to byłibyście nim na wieczność. Connorowi i Finlayowi – kiedy to się skończy, obiecuję wam kupić całą górę słodczy.

I oczywiście najważniejsze podziękowanie należy się Tobie, drogi nabywco książki. Bloggerom, którzy nieustannie wspierają pisarzy bez zadośćuczynienia; okazjonalnym wakacyjnym czytelnikom, zachłannym molom książkowym, nałogowym pożeraczom audiobooków oraz początkującym amatorom. Bez was moje książki byłyby tylko głosem wołającego na puszczy. Mam nadzieję, że ta wam się podobała.

Przypisy

- [1](#) PHSE – Personal, Social and Health Education – program edukacyjny w zakresie zdrowia, umiejętności społecznych oraz rozwoju osobistego w szkołach Wielkiej Brytanii.